

**IRWIN SHAW**

***LUCY CROWN***

*Przełożyła Maria Boduszyńska-Borowikowa*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

O tej porze w licznych barach i nocnych klubach wielkiego miasta goście wyśpiewywali: „Kocham Paryż na wiosnę, kocham Paryż w jesieni...” Była druga nad ranem, lipiec, butelka szampana kosztowała osiem tysięcy franków i piosenkarze musieli się dobrze wysilać, by przekonać turystów, że pobyt w Paryżu wart jest płacenia ośmiu tysięcy franków za butelkę.

Przy żółtawym pianinie w głębi wąskiej, wydłużonej sali Murzyn o typowej, szerokiej twarzy mieszkańca Harlemu śpiewał tę piosenkę z wyrazem takiego przejęcia, jakby naprawdę wierzył w jej słowa. Wtem otworzyły się drzwi i na salę weszła kobieta. Zawahała się chwilę, jakby ją powstrzymała fala głośnego gwaru i spojrzenia gości pijących przy barze blisko wejścia. Ale właściciel lokalu podszedł do niej z uśmiechem, była bowiem najwyraźniej Amerykanką, a w dodatku dobrze ubraną i trzeźwą.

Dobry wieczór - powiedział po angielsku. Władał tym językiem, ponieważ jego bar znajdował się w ósmym *arron-dissement* i znaczną część klienteli, zwłaszcza w lecie, stanowili Amerykanie. - Madame jest sama?

Tak - odpowiedziała.

Życzy pani sobie miejsce przy barze czy przy stoliku?

Obrzuciła bar szybkim spojrzeniem. Siedziało tam kilku mężczyzn, dwóch przyglądało się jej bezceremonialnie. Była też jakaś dziewczyna z długimi blond włosami. Mówiła właśnie:

- Szarlii, darling, przecież ci powtarzałam trzy razy, że dzisiaj jestem z George'em.

- Proszę stolik - powiedziała nowo przybyła.

Właściciel prowadził ją w głąb sali i lawirując między stolikami, szybko dokonywał w myśli zawodowej oceny jej osoby. Zdecydował posadzić ją w pobliżu amerykańskiego towarzystwa, złożonego z dwóch panów i jednej pani.

Zachowywali się wprawdzie dosyć hałaśliwie, lecz w sposób nieszkodliwy, domagając się uparcie, aby pianista zagrał dla nich „Kobietę z Saint Louis”. Możliwe, że zechcą zaprosić tę panią na jeden kieliszek do swojego stolika, pora jest przecież późna, ona nie ma swojego towarzystwa, oni zaś nie znają francuskiego.

„Założę się, że to była nie byle jaka pięknotka za trochę młodszych lat - rozmyślał właściciel baru. - A i teraz jeszcze. W tym oświetleniu wydaje się, że ma naturalne blond włosy. I te duże, łagodne, szare oczy. Prawie nie widać zmarszczek. Umie się ubrać i potrafi się ruszać. Ma takie długie nogi. Hm, obrączka na palcu, ale męża nie widać. Mąż prawdopodobnie padł ofiarą turystyki i niestrawności. Pozostał zboląły w hotelu, a żona, pełna niewyczerpanej energii, wypuściła się na własną rękę, aby obejrzeć prawdziwy Paryż. Może... aby przeżyć interesującą przygodę, która nie mogłaby się zdarzyć kobiecie w jej wieku tam, na Środkowym Zachodzie, czy w jakimkolwiek innym zakątku Ameryki, z którego pochodzi”.

Odsunął dla niej krzesło przy wolnym stoliku i skłonił się, jednocześnie notując z uznaniem równą linię ramion, jędrną szyję i piersi, prostą, elegancką czarną suknię i miły, prawie dziewczęcy uśmiech, którym mu podziękowała zajmując wskazane miejsce. Natychmiast zrewidował swój wstępny szacunek. „Nie może mieć więcej niż

czterdzieści trzy lata - pomyślał. - No, najwyżej czterdzieści cztery. Możliwe, że mąż w ogóle nie przyjechał. Może to jedna z tych działaczek w amerykańskim stylu, co to rozjeżdżają po całym świecie, zawsze albo właśnie wsiadają do samolotu, albo wysiadają z niego, organizują rozmaite sprawy i żeby nie wiem co się działo, wyglądają tak, jakby wyszły prosto od fryzjera.”

Madame pozwoli pół butelki szampana?

Nie, dziękuję.

Właściciel baru nie skrzywił się na dźwięk jej głosu, mimo że był bardzo wrażliwy. Słuchając Amerykanów czy Anglików doznawał najczęściej niemiłego uczucia swędzenia pod pachami. Ale ten głos był całkiem inny. Niski, bezpośredni i melodyjny, a nie kapryśny.

- Mam ochotę na kanapkę z szynką. I butelkę piwa, jeżeli można.

Właściciel zmarszczył nos, co miało oznaczać zdziwienie i łagodną dezaprobatę.

Ależ, madame, za tę samą minimalną opłatę można mieć szereg trunków i radziłbym naprawdę...

Nie, dziękuję - odpowiedziała stanowczo. - W hotelu powiedzieli mi, że będę mogła tu dostać coś do zjedzenia.

Oczywiście, oczywiście. Nasza *specialite* to zupa cebulowa, *gratinee*, gotowany...

Proszę tylko kanapkę, jeśli można.

Wzruszył nieznacznie ramionami, skłonił się, dał polecenie kelnerowi i wrócił na swój posterunek przy barze. „Kanapka z szynką - rozmyślał. - Co ona tu robi o tej porze?”

Witając co chwila nowych gości i żegnając ukłonem wychodzących nie przestawał jej

obserwować. Samotna kobieta w jego nocnym lokalu o drugiej godzinie nad ranem to się często zdarzało i niemal w każdym wypadku wiedział dokładnie, czego one tutaj szukały. Przychodziły nałogowe alkoholiczki, które nie miały pieniędzy, by sobie zafundować kieliszek. Wpadały szalone dziewczęta amerykańskie, które rzucały się na wszystko, do czego udało im się dorwać, pośpiesznie, aby tylko zdążyć, zanim tata zamknie rachunek w banku i każe wsiadać z powrotem na statek. Zjawiały się także kobiety zgłodniałe, przeważnie rozwódki, świadome, że się starzeją z każdą mijającą minutą, utrzymujące się z alimentów i pełne lęku, że chyba odbiorą sobie życie, jeśli jeszcze raz będą musiały wrócić samotnie na noc do pojedynczego pokoju w hotelu. Wszyscy uważają, rzecz jasna, że nocny klub jest wesołym lokalem, i właściciel robił, co mógł, aby usprawiedliwić to mniemanie, ale sam dobrze wiedział, co o tym sądzić.

Ta pani przy małym stoliku, zjadająca spokojnie kanapkę z szynką i popijająca piwem, nie była zwariowaną dziewczyną amerykańską, na pewno nie była też nałogową pijaczką, a jej ubiór świadczył o tym, że nie musiała się utrzymywać z alimentów. Jeśli nawet była samotna, nie było tego po niej widać. Zauważył, że

Amerykane przy sąsiednim stoliku zwrócili się do niej, dokładnie tak jak przewidział, słyszał ich głosy górujące nad dźwiękami muzyki, ale ona potrząsnęła głową z uprzejmym uśmiechem, odmawiając przyjęcia czegoś, czym ją częstowano. Wobec tego dali jej spokój.

Noc dłużyła się i właściciel lokalu miał dosyć czasu na snucie domysłów co do obcej pani. Obserwował ją poprzez lekką mgłę dymu z papierosów. Kiedy tak siedziała wsparta plecami o poręcz aksamitnej kanapki, przysłuchując się śpiewowi

Murzyzna przy fortepianie, doszedł do wniosku, że była podobna do paru kobiet, z którymi zbliżył się w ciągu swego życia i o których wiedział od samego początku, że były dla niego za dobre. One także o tym wiedziały i dlatego zachował o nich romantyczne wspomnienie, a ostatniej z nich, która później wyszła za pułkownika lotnictwa, posyłał wciąż jeszcze kwiaty w dniu urodzin. „Ta stanowi nadzwyczaj rzadką kombinację - rozmyślał teraz. - Jest łagodna, a jednocześnie pewna siebie.

Dlaczego nie przyszła tutaj o dziesięć lat wcześniej?”

Musiał zajrzeć do kuchni. Przechodząc mimo jej stolika uśmiechnął się, a gdy odpowiedziała uśmiechem, zanotował starannie w pamięci białość nieco nieregularnych zębów oraz zdrową jędrność jej skóry. Otwierając w zamyśleniu drzwi prowadzące do kuchni pokręcił głową zdumiony. „Nie, doprawdy, co taka kobieta może mieć do roboty w takiej speluncie jak mój lokal?” Postanowił, że wracając z kuchni zatrzyma się przy jej stoliku i zaofiaruje jej kieliszek jakiegoś alkoholu, a wtedy może uda mu się wyjaśnić tę sprawę.

Ale gdy wyszedł z kuchni, zauważył, że dwaj amerykańscy studenci, którzy poprzednio siedzieli w kącie sali, przysiedli się do jej stolika i teraz cała trójka rozmawiała z ogromnym ożywieniem. Ona obdarzała uśmiechem to jednego, to znowu drugiego młodzieńca, trzymała obie ręce na stole i w pewnym momencie, gdy przechylając się mówiła coś do przystojniejszego z dwóch chłopców, dotknęła przelotnie palcami jego ręki.

Właściciel lokalu nie zatrzymał się przy tym stoliku. „Ach, więc to tak! -

pomyślał. - Taka prosta sprawa. Młodzieniaszki. Lubi młodych chłopczków.” Miał niejasne uczucie, że go oszukano, że wspomnienie tych paru kobiet, które były dla niego za dobre, zostało w jakiś sposób umniejszone i poniżone.

Wrócił na swoje stanowisko przy barze i usiłował nie patrzeć już więcej w tę stronę. „Studenci! - myślał. - A do tego jeden w okularach!”

Wszystkich Amerykanów poniżej trzydziestu pięciu lat, jeśli nosili krótko ostrzyżone włosy, nazywał studentami, ale ci byli nimi naprawdę. Autentyczne modele amerykańskich studentów - wysocy, chudzi, niedbali w ruchach, z ogromnymi łapskami i stopami dwa razy większymi od stóp każdego Francuza. „Łagodna, a jednocześnie pewna siebie. - Przeżuwał gorycz rozczarowania z powodu własnego sądu. - Ja myślę!”

W lokalu zrobił się ruch, wchodzili nowi goście, wychodzili dawni.

Gospodarz był tym zaabsorbowany przez blisko pół godziny. Potem uspokoiło się trochę, spojrzał więc znowu w kierunku tej pani. Dwaj młodzi studenci dotrzymywali jej w dalszym ciągu towarzystwa i mówili równie dużo jak przedtem, ale ona, jak się zdawało, nie słuchała ich już z taką uwagą. Siedząc między obu chłopcami opierała się rękami o stół i uporczywie patrzyła w stronę baru. Z początku myślał nawet, że patrzy na niego, i uśmiechnął się lekko, aby w uprzejmy sposób nawiązać kontakt. Na twarzy kobiety nie pojawił się jednak żaden błysk w odpowiedzi na jego uśmiech.

Zorientował się, że wpatruje się wcale nie w niego, lecz w mężczyznę, który pił przy barze o dwa miejsca dalej.

Obrócił się w tę stronę, przyjrzał mu się i pomyślał z lekkim posmakiem goryczy: „No tak, oczywiście.”

Był to młody Amerykanin nazwiskiem Crown, który mimo trzydziestki miał już włosy lekko przetkane siwizną. Był wysoki, ale nie taki ogromny jak owi studenci.

Miał duże, szare i czujne oczy z gęstymi, czarnymi rzęsami i zuchwałe usta o miękkim, niespokojnym rysunku, które wyglądały tak, jak gdyby przyczyniły mu w

życiu niejednego kłopotu. Właściciel lokalu znał go w ten sam sposób, w jaki znał może setkę innych mężczyzn wstępujących do niego parę razy w tygodniu, aby się czegoś

napić. Wiedział, że Crown mieszka w pobliżu i że jest mieszkańcem Paryża od bardzo dawna. Zwykle przychodził późno w nocy i zawsze sam. Nie pił dużo, ze dwie szklaneczki whisky w ciągu nocy, i mówił dobrze po francusku. Jeśli zauważył, że kobiety przyglądają mu się z zainteresowaniem, wydawał się lekko ubawiony nieodmiennością tego faktu.

Właściciel podszedł do Crowna i przywitał się z nim uściskiem dłoni, przy czym zauważył głęboki ton opalenizny na twarzy Amerykanina.

Dobry wieczór - powiedział. - Dostyc dawno nie było tu pana widać. Gdzie się pan podziewał?

W Hiszpanii. Wróciłem trzy dni temu.

A, to dlatego pan taki brązowy - rzekł gospodarz dotykając z żalną miną własnego policzka. - Ja za to jestem zielony.

To właśnie najlepszy kolor dla właściciela nocnego klubu - odparł Crown z całą powagą. - Niechże pan nie narzeka. Pańscy goście czuliby się po prostu nieswojo, gdyby przychodząc tutaj zastawali pana różowutkiego na twarzy i czerstwego.

Podejrzewaliby na pewno, że w tym lokalu muszą się dziać jakieś ponure historie.

Gospodarz roześmiał się na te słowa.

Możliwe, że pan ma rację. Pozwoli pan, że postawię szklaneczkę? - zaproponował dając znak ręką barmanowi.

Widzę, że naprawdę dzieją się ponure historie w tym lokalu - powiedział

Crown. - Niech pan uważa, żeby kto nie doniósł policji, że pan daje coś za darmo Amerykaninowi.

„Ho, ho! Widocznie popił dzisiaj trochę więcej niż zwykle” - pomyślał właściciel i mrugnął porozumiewawczo do barmana, aby przyrządził słabszy trunek.

Jeździł pan do Hiszpanii w interesach?

Nie - odparł Crown.

Aha. Dla przyjemności.

Nie.

Gospodarz uśmiechnął się konspiracyjnie.

- Ach, więc kobieta...

Crown roześmiał się w odpowiedzi.

Wie pan co, Jean, lubię tu zajść i pogadać z panem. Jak to inteligentnie z pana strony, że rozróżnia pan i oddziela te dwa pojęcia: kobieta i przyjemność. - Potrząsnął przecząco głową. - Nie, żadna kobieta. Pojechałem tam po prostu dlatego, że nie znam ich języka. Chciałem odpocząć, a nic nie działa na mnie tak odświeżająco, jak pobyt w takim miejscu,

gdzie nikt mnie nie może rozumieć i ja nie rozumiem nikogo.

Wszyscy tam teraz wyjeżdżają. Dzisiaj Hiszpania wszystkim się podoba.

Naturalnie - zgodził się Crown popijając wolno ze szklaneczki. - Kraj suchy, źle rządzony i niedoludniony. Jak można nie lubić takiego kraju?

Jest pan dzisiaj bardzo wesoły, panie Crown. Amerykanin skinął głową.

Tak, bardzo wesoły - odparł zwięźle.

Szybko dopił resztę i rzucił na ladę pięć tysięcy franków, jako zapłatę za whisky, którą wypił przedtem.

- Jeżeli będę miał kiedy własny bar - zwrócił się do właściciela lokalu - to przyjdzie pan do mnie, Jean, i wtedy ja panu postawię jednego.

Podczas gdy Crown czekał na wydanie reszty, gospodarz przebiegł spojrzeniem po sali i stwierdził, że pani siedząca w towarzystwie dwóch amerykańskich studentów w dalszym ciągu patrzy w kierunku baru i omijając wzrokiem jego samego wpatruje się w Crowna. „To nie dla pani, madame - pomyślał ze zgryźliwą satysfakcją. - Na dziś trzeba się zadowolić studencikami.”

Odprowadził Crowna do drzwi i wyszedł z nim razem, żeby odetchnąć trochę świeżym powietrzem. Crown zatrzymał się i patrzył przez chwilę w górę, na ciemne kontury dachów na tle gwiazdzistego nieba.

- Jako student byłem święcie przekonany, że Paryż jest wesołym miastem.

Obrócił się do właściciela lokalu, uściśnął mu rękę i powiedział dobranoc.

Ulica była ciemna i pusta, wiało chłodem. Gospodarz stał przed drzwiami swojego lokalu i patrzył za oddalającym się powoli mężczyzną. W ciszy uspionego miasta stukot kroków odbijał się wątlym echem od domów z opuszczonymi

żaluzjami. Postać idącego tchnęła niezdecydowaniem i smutkiem.

„Dziwna godzina - przyszło na myśl właścicielowi klubu, gdy patrzył na malejącą w oddaleniu figurkę, przechodzącą przez jezdnię w mdłym blasku ulicznej latarni. - Żle być samemu o takiej godzinie. Ciekawe, czy ten facet wyglądałby tak samo na jakiejś ulicy w Ameryce?”

Po chwili wrócił do lokalu i zmarszczył niechętnie nos odetchnawszy ciężkim powietrzem zadymionej sali. Zaledwie podszedł do baru, zobaczył, że tamta pani wstała od swojego stolika. Szła szybko w jego stronę nie troszcząc się o dwóch studentów, którzy z wyrazem zdziwienia unieśli się nieco z krzeseł.

- Może pan mógłby mi pomóc - zwróciła się do niego.

Głos jej był przerywany, jakby z trudnością panowała nad nim, a twarz miała

niezwykły wyraz - ściągnięta i podniecona, naznaczona znużeniem późnej godziny.

„Ależ się pomyliłem! - pomyślał kłaniając się uprzejmie. - Przecież ona już dawno zapomniała, kiedy miała czterdzieści pięć lat.”

Czym mogę służyć, madame?

Ten pan, który stał tutaj - zaczęła tłumaczyć nerwowo - ten, z którym pan wychodził przed chwilą...

Tak? - zapytał przybierając ostrożny, wyczekujący wyraz, jak gdyby nie rozumiał, o co jej chodzi, i jednocześnie myśląc: „Mój Boże, kobieta w tym wieku!”

Czy pan wie, jak on się nazywa?

Zaraz... muszę pomyśleć...

Udawał, że szuka w pamięci nazwiska, dręczył ją umyślnie, bo mierzyła go ta nie ukrywana, nieprzyzwoita pogoń za mężczyzną, bo tak nakazywał mu szacunek dla własnych wspomnień o kobietach, do których z początku ta obca wydała mu się podobna.

- Tak, zdaje się, że sobie przypominam - powiedział nareszcie. - Crown. Tony Crown.

Przymknęła oczy i wyciągnęła rękę, aby się oprzeć o ladę. Przypatrywał się jej zdumiony, ale ona już uniosła powieki i krótkim, niecierpliwym gestem odepchnęła się od lady.

- Wie pan przypadkiem, gdzie on mieszka?

Głos jej brzmiał teraz bezbarwnie. Przez sekundę gospodarz miał dziwaczne wrażenie, że odetchnęłaby z ulgą, gdyby powiedział: „Nie.”

Zawahał się. Potem wzruszył ramionami i podał jej adres. Nie siedział tu przecież po to, aby uczyć ludzi przyzwoitego zachowania. Jego interes to prowadzenie baru, co oznacza - dogadzanie klientom. Jeżeli do tego dogadzania należy także spełnianie kaprysów starzejących się panius, które dopytują się u niego o adresy młodych mężczyzn, to już ich własna sprawa.

- Proszę, zapiszę pani na kartce.

Nabazgrał kilka słów, wyrwał kartkę z notesu i podał jej uprzejmie. Wzięła ją sztywnymi palcami, zauważył, że papier lekko szeleści w jej drżącej ręce. Nie mógł się powstrzymać od złośliwego żartu:

- Madame pozwoli sobie poradzić? Lepiej będzie najpierw zatelefonować. A jeszcze lepiej napisać. Bo pan Crown jest żonaty. Ma piękną i uroczą żonę.

Spojrzała na niego tak, jakby niezupełnie wierzyła, że naprawdę powiedział te słowa. Nagle roześmiała się. Jej śmiech był szczery, niewymuszony i dźwięczny.



- Ach, jakież pan niemądry! - powiedziała nie przestając się śmiać. - Przecież to jest mój syn.

Następnie odczytała uważnie adres, złożyła kartkę we dwoje i schowała ją do torebki.

- Dziękuję panu. I dobranoc. Już uregulowałam rachunek.

Skłonił się. Patrzył za nią, gdy wychodziła z lokalu, i czuł się głupio. „Ci

Amerykanie to najdziwniejsi ludzie na świecie” - powiedział sobie w duchu.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedy odwracamy się wstecz, by spojrzeć w przeszłość, rozpoznajemy określony punkt na taśmie czasu. Punkt, który okazał się decydujący, od którego poczynając przemienił się wzór naszego życia. Moment, w którym nieodwołalnie ruszyliśmy w nowym kierunku. Ta odmiana może być równie dobrze skutkiem świadomego zamiaru, jak i przypadku. Możemy pozostawić za sobą uczucie szczęścia albo ruiny i kroczyć naprzód ku innemu szczęściu albo ku bardziej gruntownej ruinie.

Ale nie ma już dla nas powrotu. Ów moment może być tylko mgnieniem, jedną sekundą, w ciągu której obróci się jakieś koło, spojrzenie skrzyżuje się z innym spojrzeniem, zostanie wypowiedziane jakieś zdanie. Może to być jednak tak samo długie popołudnie, tydzień lub nawet pora roku, w ciągu której ostatnie słowo pozostaje wciąż w zawieszeniu, koło wykonuje setki obrotów pozwalając gromadzić się drobnym, przypadkowym zdarzeniom.

Dla Lucy Crown owym zwrotnym momentem było pewne lato.

Zaczęło się ono zupełnie tak samo jak każde inne lato.

Z domków rozrzuconych na brzegu jeziora rozlegało się stukanie młotków, którymi przybijano żaluzje do okien. Spieszono się ze spuszczeniem na wodę tratw dla pierwszych amatorów kąpiel. W obozie dla chłopców na przeciwległym brzegu jeziora boisko baseballowe było już wypielone i przywałowane, kajaki czekały gotowe na kozłach, a przed jadalnią, na szczycie masztu flagowego świeciła się nowa, złocona kula. Właściciele obu hoteli kazali je odmalować na nowo już w maju, ponieważ był to rok 1937 i zdawało się, że nawet w stanie Vermont kryzys nareszcie się skończył.

W końcu czerwca Crownowie zajechali przed ten sam domek, który wynajmowali w ubiegłym roku, i wszyscy troje - Oliver, Lucy i Tony, teraz już trzynastoletni chłopak - odetchnęli z przyjemnością tutejszym powietrzem, nabrzmiałym jakimś sennym, przedwakacyjnym oczekiwaniem. Uczucie przyjemności było tym żywsze, że w okresie,

który minął od ostatniego ich tutaj pobytu, Tony znalazł się dosłownie o włos od śmierci, ale jednak nie umarł.

Oliver mógł spędzić nad jeziorem zaledwie dwa tygodnie, po czym musiał wracać do Hartford. Większość czasu w ciągu tych dwóch tygodni poświęcał Tony'emu. Łowili razem ryby, trochę pływali, odbywali nie męczące spacerunki po lesie, przy czym Oliver starał się nieznacznie wpoić w Tony'ego przekonanie, że prowadzi on ruchliwe życie normalnego trzynastolatka, a równocześnie uważał, aby wysiłek fizyczny chłopca nie przekraczał granic ustalonych przez Sama Pattersona, ich domowego lekarza.

Dwa tygodnie minęły, było niedzielne popołudnie, torba podróżna Olivera, już zapakowana, stała na ganku. Dookoła jeziora panował większy ruch niż zazwyczaj i trochę zamieszania. Mężowie i ojcowie, obezwładnieni jeszcze i senni po niedzielnym obiedzie, oblażący ze skóry po weekendzie spędzonym na słońcu, ładowali się do swych wozów i wyruszyli z powrotem do miast, gdzie czekała ich praca. Nad jeziorem pozostawiali rodziny, ponieważ zwyczaj amerykański ustanawia, że ci, którym odpoczynek jest najmniej potrzebny, mają najdłuższe wakacje.

Oliver i Patterson, wyciągnięci na płóciennych leżakach twarzą ku jezioru, wypoczywali pod klonem na trawniku. Każdy miał w ręku szklaneczkę szkockiej z wodą sodową i potrząsał nią od czasu do czasu, aby usłyszeć przyjemne dzwonienie lodu o szkło.

Obaj byli wysocy i mniej więcej w tym samym wieku, bez wątplenia należeli też do tej samej warstwy społecznej i odebrali podobne wychowanie. Mimo to widoczne były wyraźne różnice ich usposobień. Oliver zachował postać i ruchy sportowca -

precyzyjne, szybkie i energiczne. Co do Pattersona, to wyglądało, że się trochę opuścił. W jego naturze musiała leżeć pewna niedbałość. Nawet kiedy siedział, miało się wrażenie, że w pozycji stojącej na pewno garbi się w ramionach. Miał bystre oczy, prawie zawsze przysłonięte do połowy opuszczonymi leniwie powiekami, a w kącikach oczu gnieździły się pęczki drobnych zmarszczek, wyżłobionych przez śmiech. Brwi miał grube, niesforne i nawisłe, włosy w nieporządku, nierówno ostrzyżone i mocno już siwiejące. Oliver, który dobrze znał Pattersona, powiedział kiedyś do Lucy, że Sam na pewno spojrział pewnego pięknego poranka w lustro i zdecydował na zimno, że ma do wyboru dwie rzeczy - albo wyglądać jak przeciętnie przystojny mężczyzna, coś w rodzaju drugorzędnego amanta w filmie, albo też

pofołgować sobie i budzić zainteresowanie szpakowatą czupryną.

- Sam jest mądry chłop - stwierdził wówczas Oliver ze szczerym uznaniem. - Nic dziwnego, że wybrał szpakowatą czuprynę.

Oliver był już ubrany po miejsku. Miał na sobie garnitur z lekkiej, jasnej wełny w niebieskie prążki i niebieską koszulę. Włosy miał trochę przydługie, bo nie chciało mu się iść do fryzjera w czasie urlopu, a dzięki wielu godzinom spędzonym na jeziorze był równo i ładnie opalony. Spoglądając na niego spod oka Patterson pomyślał, że Oliver jest w tej chwili w swojej najlepszej formie: widać na nim wyraźnie dobroczynne skutki wakacji, a jednocześnie w tym ubraniu, na tle wiejskiego otoczenia, wyróżnia się miejską, nieco sztywną elegancją.

„Powinien zapuścić wąsy - myślał leniwie Patterson. - Wyglądałby naprawdę imponująco. Ma taką powierzchowność, jakby go czekały jakieś skomplikowane, ważne, może nawet niebezpieczne zadania. Przypomina portrety młodych dowódców kawalerii konfederackiej. Dostyc się ich naoglądałem w historii wojny domowej.

Gdybym ja tak wyglądał i gdybym prowadził jedynie drukarnię odziedziczoną po ojcu, to chyba czułbym się zawiedziony”.

Na drugim końcu jeziora, tam gdzie nagi występ skalny zanurzał się w wodzie skośnym konturem, widać było Tony’ego i Lucy. W małej łódeczce dwie drobne figurki skąpane w słońcu unosiły się spokojnie na powierzchni wody. Tony łowił ryby. Lucy nie chciała z nim wypłynąć, ponieważ były to ostatnie godziny pobytu

Olivera, Oliver jednak nalegał, nie tylko ze względu na syna, ale również dlatego, że Lucy, jego zdaniem, okazywała przy wszelkich powitaniach i pożegnaniach, rocznicach i świętach niezdrową skłonność do sentymentalizmu.

Patterson był w welwetowych spodniach i koszuli z krótkimi rękawami, zamierzał bowiem pójść jeszcze do hotelu oddalonego o jakieś dwieście jardów, na tej samej posesji, aby tam się spakować i przebrać. Domek Crownów był zbyt mały, by mogli przyjmować w nim gości.

Kiedy Patterson zaofiarował się, że przyjedzie na weekend, aby skontrolować stan zdrowia Tony’ego, dzięki czemu Lucy i chłopiec mogliby uniknąć specjalnej wyprawy do odległego Hartford w ciągu lata, Oliver wzruszył się tym dowodem serdecznej troski ze strony przyjaciela. Ale potem zobaczył Pattersona w towarzystwie niejakiej pani Wales, która zamieszkała w tym samym hotelu, i wzruszenie jego nieco się zmniejszyło. Pani Wales była ładną brunetką o drobnej, pulchnej figurce i poządliwych oczach. Przyjechała z Nowego Jorku, dokąd Patterson wybierał się bez żony co najmniej dwa razy w miesiącu, znajdując zawsze jakiś pretekst. Jak się okazało, pani Wales przybyła tu pociągiem już w czwartek, czyli w przeddzień przyjazdu Pattersona, a miała wracać do Nowego Jorku, ze względu na dyskrecję, dopiero we wtorek. Zarówno ona jak i Patterson dokładali starań, by zachować

wszelkie pozory towarzyskiej poprawności ich wzajemnego stosunku, i to do tego stopnia, że nie zwracali się do siebie po imieniu. Ale po dwudziestu latach przyjaźni z doktorem, który - według określenia Olivera - miał ambicje na punkcie kobiet, trudno było zamydlić Oliverowi oczy. Był zbyt wstrzemięźliwy w sposobie bycia, aby powiedzieć cokolwiek na ten temat, ale uczucie rozbawienia, pełne serdeczności i cynizmu zarazem, wpłynęło na znaczne utemperowanie jego wdzięczności dla Pattersona z powodu dalekiej wycieczki do stanu Vermont.

Z obozu na przeciwległym brzegu jeziora, z odległości pół mili, dolatywały stłumione dźwięki trąbki. Obaj mężczyźni, popijając whisky, słuchali w milczeniu melodii zamierającej ostatnim echem na wodzie.

- Trąbka... - rzekł Oliver w zamyśleniu. - Ma takie staro świeckie brzmienie, prawda?

Popatrzył sennym wzrokiem na daleką łódkę, w której jego żona i syn kołysali się na powierzchni jeziora, na samej krawędzi cienia padającego od skalnego występu.

Pobudka, pobudka, wstać! Apel! Rozejść się! Gasić światło! - Oliver pokręcił głową.

- No cóż, przygotowujemy młode pokolenie dla jutrzejszego świata.

Może by im wyszło na lepsze, gdyby używali syreny - zauważył Patterson.

- Kryj się! Nieprzyjaciel nad nami! Alarm odwołany!

- Wesoło ci? - zapytał Oliver dobrodusznie.

Patterson uśmiechnął się.

- A tak, wesoło. Tylko że lekarz wydaje się zawsze o wiele inteligentniejszy, kiedy jest ponury. Nie potrafię się oprzeć tej pokusie.

Znowu umilkli wspominając dźwięk trąbki i snując niewyraźne myśli na temat dawnych, przyjemnych wojen. Na trawie obok Olivera leżał teleskop Tony'ego.

Podniósł go od niechcienia, przyłożył do oka i zaczął nastawiać na jezioro. Z okrągłej mgławicy soczewki wyłaniała się mała płaskodenka, coraz wyraźniejsza i bliższa.

Oliver widział, jak Tony zwija powoli żyłkę, a Lucy zaczyna wiosłować w kierunku domu. Tony miał na sobie czerwony sweter, mimo że w słońcu było gorąco. Lucy była w kostiumie kąpielowym, jej nagie plecy odcinały się głębokim brązem od szaroniebieskiego tła dalekiej skały. Wiosłowała silnie i równomiernie, od czasu do czasu wyrzucając końcami wiosł niewielkie, białe bryzgi nad gładką powierzchnię wody. „Mój okręt wraca do przystani” - pomyślał Oliver uśmiechając się w duchu z dysproporcji pomiędzy tym wzniosłym, słonowodnym wyobrażeniem a skromnym powrotem z jeziora.

Sam - powiedział nie odejmując teleskopu od oka - chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił.

No?

- Powtórz Lucy i Tony'emu to wszystko, co mnie powiedziałaś.

Patterson wyglądał tak, jakby się jeszcze nie ocknął z drzemki.

Zapadł się w leżaku, broda mu się osunęła na piersi, oczy miał w półprzymknięte, a długie nogi wyciągnął daleko przed siebie.

Tony'emu też? - mruknął niewyraźnie.

Właśnie Tony'emu przede wszystkim.

Myślisz, że to będzie dobrze?

Oliver położył teleskop na trawie i skinął głową.

Jestem zupełnie pewien - odparł zdecydowanie. - Ufa nam całkowicie.

Przynajmniej... jak dotąd.

Ile on ma już lat? - zapytał Patterson.

Trzydzieści.

To nadzwyczajne.

- Co w tym nadzwyczajnego?

Patterson uśmiechnął się.

Dzisiaj, w naszej epoce! Trzynastoletni chłopak jeszcze ma zaufanie do rodziców!

No, no, Sam - zmytygował go Oliver. - Teraz znowu wysilasz się, żeby wyglądać na inteligentnego.

- Może i tak - zgodził się Patterson dobrodusznie.

Pociągnął łyk ze szklaneczki i przyglądał się łódce, która była jeszcze daleko na jeziorze zalany słonecznym blaskiem.

Ludzie zawsze się dopominają, żeby im lekarz powiedział prawdę. A kiedy ją usłyszą... Wiesz, poziom żalu sięga bardzo wysoko w Ministerstwie Prawdy.

Słuchaj, Sam - zapytał Oliver - czy zawsze mówisz prawdę, kiedy cię o to proszą?

- Rzadko kiedy. Ja wyznaję inną zasadę.

- No, na przykład?

Zasadę łagodnego, gojącego kłamstwa - odparł Patterson.

Nie wydaje mi się, żeby istniało jakieś gojące kłamstwo.

Nie zapominaj, że ty pochodzisz z Północy - rzekł Patterson uśmiechając się lekko. -

A ja z Wirginii.

Akurat tak samo pochodzisz z Wirginii jak i ja.

No, dobrze. Ale w każdym razie mój ojciec pochodził z Wirginii. To pozostawia ślad na człowieku.

Mniejsza z tym, skąd pochodził twój ojciec. Przecież czasami musisz powiedzieć prawdę.

Oczywiście. Czasami.

Kiedy?

Kiedy mi się zdaje, że ludzie potrafią ją znieść - odparł Patterson swobodnym, prawie żartobliwym tonem.

Tony potrafi znieść - stwierdził Oliver. - To dzielny, fajny chłopak.

Patterson kiwnął głową.

- Tak, pewnie. Niby dlaczego nie? Kiedy się ma trzynaście lat...

Znowu pociągnął whisky, podniósł szklaneczkę i obracając ją w palcach przypatrywał się jej uważnie.

No, a jak będzie z Lucy? - zapytał po chwili.

Nie martw się o Lucy - uciął Oliver sucho.

Czy ona jest tego samego zdania co ty? - nie ustępował Patterson.

Nie - odpowiedział Oliver z niecierpliwym gestem. - Gdyby to od niej zależało, Tony doszedłby do trzydziestki i wierzyłby święcie, że ludzie znajdują dzieci między rządkami kapusty, że nikt nigdy nie umarł, że konstytucja gwarantuje i wymaga, żeby wszyscy kochali Antoniego Crowna więcej niż cokolwiek innego na świecie, pod karą dożywotniego więzienia.

Patterson uśmiechnął się.

Tak, śmiejesz się - ciągnął Oliver. - Dopóki człowiek nie ma syna, wydaje mu się, że kiedy go będzie miał, to cały kłopot będzie polegał na wychowaniu i wykształceniu chłopaka. A tymczasem trzeba robić coś zupełnie innego. Trzeba nieustannie, uparcie walczyć o jego nieśmiertelną duszę.

Powinieneś mieć jeszcze paru chłopaków - zauważył Patterson. - Wtedy człowiek się mniej przejmuje.

Ale nie mam paru chłopaków - odparł Oliver zwięźle. - Powiesz Tony'emu czy nie?

Dlaczego ty sam mu nie powiesz?

Bo chcę, żeby to było oficjalnie. Chcę, żeby się oswoił z orzeczeniem z ust autorytetu, w formie nie złagodzonej przez miłość.

- Nie złagodzonej przez miłość... - powtórzył cicho Patterson.

„Co za dziwny człowiek z tego Olivera - pomyślał. - Nie znam nikogo innego, kto by mógł użyć takiego wyrażenia. Orzeczenie z ust autorytetu: Mój chłopcze, nie spodziewaj się dożyć późnego wieku.”

W porządku - odezwał się głośno. - Na twoją odpowiedzialność, Oliver.

Na moją odpowiedzialność.

Czy pan Crown?

Oliver odwrócił się na leżaku. Od strony domu szedł ku niemu przez trawnik jakiś młody mężczyzna.

- Tak? - odpowiedział wyczekująco.

Młodzieniec obszedł leżaki od tyłu i stanął przed dwoma panami.

Jestem Jeffrey Bunner - przedstawił się. - Przysłał mnie tutaj pan Miles, kierownik hotelu.

Tak? - powtórzył Oliver przyglądając się mówiącemu z lekkim zdziwieniem.

Mówił, że pan poszukuje towarzystwa dla swego syna do końca wakacji.

Mówił mi także, że zamierza pan wyjechać stąd już dzisiaj wieczorem, więc przyszedłem od razu.

Ach, tak! - zawołał Oliver.

Wstał i uściśnął rękę młodego człowieka, obrzucając go przy tym baczny spojrzeniem. Bunner był smukły, nieco więcej niż średniego wzrostu. Miał gęste, czarne włosy, krótko ostrzyżone, i śniadą z natury cerę, której słońce nadało jeszcze ciemniejszy odcień, tak że miał w swoim wyglądzie coś niemal śródziemnomorskiego. Oczy jego były po dziewczęcemu niebieskie, aż prawie fioletowe, miały w sobie blask i przejrzystość oczu dziecka. Jego szczupła i ruchliwa twarz pod wysokim, opalonym czołem narzucała wrażenie niewyczerpanej, młodzieńczej energii. W szarym, spłowiałym podkoszulku, w nie odprasowanych spodniach flanelowych i tenisowych pantoflach zaplamionych od trawy na zielono wyglądał na wioslarza-intelektualistę. W jego swobodnej, chociaż pełnej szacunku pozie, kiedy stał przed dwoma starszymi od siebie mężczyznami, było coś, co przywodziło na myśl ukochanego wprawdzie, lecz rozumnie wychowanego syna wytwornych rodziców. Oliver zawsze był zdania, że należy się otaczać, o ile możliwości, ładnymi ludźmi (czarna służąca w ich domu była jedną z najładniejszych dziewcząt w Hartford), toteż natychmiast zdecydował, że ten młodzieniec przypadł mu do gustu.

To jest doktor Patterson - poinformował Bunnera.

Bardzo mi miło, panie doktorze - rzekł uprzejmie Bunner.

Patterson leniwym ruchem uniósł nieco szklaneczkę.

Proszę wybaczyć, że nie wstaję - odparł. - W niedzielę rzadko kiedy zdarza mi się wstawać.

Ależ oczywiście, proszę pana.

Chcesz wziąć na spytki tego młodego człowieka na osobności? - zwrócił się Patterson do Olivera. - W takim razie może mi się jakoś uda wstać.

Nie. To znaczy, jeżeli panu Bunnerowi na tym nie zależy?

Ależ bynajmniej - odparł Bunner. - Wszyscy mogą słuchać. Jeżeli będzie coś kłopotliwego, to po prostu skłamię.

Oliver roześmiał się.

Wcale niezły początek. Może papierosa? - zapytał wyciągając paczkę w stronę młodego chłopca.

Nie, dziękuję panu.

Oliver wziął papierosa, zapalił i rzucił paczkę Pattersonowi.

Może pan należy do tych młodych ludzi, co to uznają tylko fajkę?

Nie.

No, dobrze. A ile pan ma lat?

Dwadzieścia.

Za każdym razem kiedy słyszę, że ktoś ma dwadzieścia lat - odezwał się

Patterson - mam ochotę złapać za rewolwer.

Oliver spojrzał na jezioro. Lucy wiosłowała spokojnie i pewnie, łódka wydawała się teraz o wiele większa, a czerwony sweter Tony'ego jaskrawiej płonął w słońcu.

Niech mi pan powie, panie Bunner, chorował pan kiedy?

Przebacz mu, drogi chłopcze - wtrącił doktor swoje trzy grosze. - Ten pan należy do ludzi, którzy nigdy w życiu nie byli chorzy i dlatego uważają chorobę za akt rozmyślnej słabości.

Dlaczego? To zrozumiałe - odparł Bunner. - Gdybym ja miał zaangażować kogoś do stałego przebywania z moim synem, to chciałbym tak samo wiedzieć, czy facet jest zdrowy, czy chory. - Tu zwrócił się do Olivera. - Raz jeden złamałem nogę.

Miałem wtedy dziewięć lat. Pośliznąłem się przy baseballu. Wypchnęli mnie z drugiej bazy.

Oliver kiwał głową, młody człowiek podobał mu się coraz bardziej.

I to już wszystko?

Myślę, że tak.

Uczęszcza pan na jakąś uczelnię? - zapytał Oliver.

Tak, w Dartmouth. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko Dartmouth?

-



Nie mam żadnych uprzedzeń do tej uczelni. A gdzie pan mieszka na stałe?

-

W Bostonie - odpowiedział Patterson za Bunnera.

-

Skąd wiesz? - zdziwił się O'iver i spojrzał na doktora.

-

Bo mam uszy. Co, może nie?

-

Nie wiedziałem, że mój akcent może mnie tak łatwo zdemaskować-

-

powiedział Bunner.

-

Nic nie szkodzi - pocieszył go Patterson. - To nie jest znów takie brzydkie. Po prostu akcent bostoński.

-

Dlaczegoż wobec tego nie poszedł pan do Harvard? - dopytywał się O'iver.

-

Zdaje się, mój drogi, że trochę się zagalopowałeś - zauważył Patterson.

Bunner roześmiał się. Robił takie wrażenie, jakby go bawiła ta indagacja.

Ojciec twierdził, że powinienem się wynieść z rodzinnego domu - odparł spokojnie. - Dla mojego własnego dobra. Bo mam aż cztery siostry i jestem beniaminkiem w rodzinie. Ojciec uważał, że dostaje mi się trochę za duża porcja miłości i pieczy. Chciał, żebym się przekonał, że świat to nie takie miejsce, gdzie pięć rozkochanych kobiet myśli tylko o tym, żeby człowiekowi było najlepiej.

A co pan zamierza robić po skończeniu studiów?- pytał dalej O'iver.

Czuł wyraźną sympatię do tego chłopca, ale nie miał zamiaru rezygnować z żadnej informacji, która mogłaby rzucić jakieś światło na jego kwalifikacje.

Chciałbym się dostać do służby zagranicznej - odparł Bunner.

Tak? A to dlaczego?

Podróże - wyjaśnił chłopak. - Obce kraje. Kiedy miałem szesnaście lat, rozczytywałem się w *Siedmiu filarach mądrości*.

Wątpię, żeby kiedykolwiek powierzono panu prowadzenie szarzy wojowników na wielbłądach - wtrącił znów Patterson. - Nawet gdyby pan zaszedł w ministerstwie bardzo wysoko.

Jasne, że nie tylko o te rzeczy mi chodzi. Czuję, że w najbliższych latach będziemy przeżywali dużo bardzo ważnych wydarzeń i dobrze będzie znaleźć się wtedy w samej kuchni tych spraw. - Zaśmiał się, zażenowany własnymi słowami i dorzucił tonem usprawiedliwienia: - Kiedy się komuś opowiada o tym, czego by się chciało w życiu dokonać, to zawsze wychodzi z tego jakaś drętwa mowa, prawda?

Niewykluczone, że po prostu mam ochotę zobaczyć się kiedyś w lustrze w oficjalnym żakiecie i sztuczkowych spodniach, na przykład w chwili, gdy oświadczam przy stole konferencyjnym: „Nie zgadzam się na rezygnowanie z Wenezueli.”

Oliver spojrzął na zegarek i zdecydował, że trzeba sprowadzić rozmowę na bardziej praktyczne tory.

Jest pan sportowcem, panie Bunner?

Trochę gram w tenisa, pływam, poza tym narty...

Chodzi mi o to, czy należy pan do jakiegoś klubu.

Nie.

To dobrze - stwierdził Oliver. - Sportowcy mają tyle roboty z dbaniem o własną kondycję, że nigdy nie można liczyć na to, że się zaopiekują kim innym. A mój syn może potrzebować sporo opieki...

Wiem - rzekł Bunner. - Widziałem go.

Tak? - zdziwił się Oliver. - Kiedy?

Jestem tutaj od kilku dni. I w zeszłym roku spędziłem tu większą część wakacji. Moja siostra ma dom o pół mili stąd, nad jeziorem.

I teraz pan mieszka u niej?

Tak.

Właściwie dlaczego pan chce wziąć tę posesję? - zapytał niespodziewanie Oliver.

Bunner uśmiechnął się.

- Z normalnego powodu - odpowiedział. - Plus korzyść spędzenia lata na świeżym powietrzu.

- Jest pan niezamożny? Chłopak wzruszył lekko ramionami.

- Mój ojciec jakoś przeżył kryzys, ale jeszcze dotychczas kuleje.

Oliver i Patterson pokiwali głowami wspominając okres Wielkiego Kryzysu.

- No, a lubi pan dzieci, panie Bunner? - indagował nie zmordowany Oliver.

Młodzieniec zawahał się, jak gdyby musiał dopiero przemyśleć tę sprawę.

Mniej więcej tak samo jak dorosłych - odpowiedział po chwili. - Sporo jest takich

dzieci, które bym chętnie żywcem zamurował.

Dosyć uczciwe postawienie sprawy - pochwalił go Oliver. - Nie przypuszczam, żeby pan miał odczuwać pokusę zamurowania żywcem Tony'ego. Czy pan coś wie o jego chorobie?

Wspomniano mi, że podobno zeszłego roku miał jakąś reumatyczną gorączkę.

Tak, właśnie. Choroba zaatakowała oczy i serce. Obawiam się, że przez dłuższy czas będzie się musiał oszczędzać.

Oliver spojrzał znów na jezioro. Łódź była już niedaleko. Lucy wiosłowała równomiernie i pewnie w stronę brzegu.

Z powodu tej choroby - podjął na nowo Oliver - nie chodził w zeszłym roku do szkoły i trochę za dużo przebywał w towarzystwie matki...

Każdy z nas trochę za dużo przebywał w towarzystwie matki - mruknął filozoficznie Patterson opróżniając swoją szklaneczkę. - Ja także.

Chodzi o to - wyjaśniał Oliver - żeby mu pozwolić zachowywać się prawie zupełnie tak samo jak normalnemu chłopcu, a równocześnie nie dopuścić do przesady w żadnym kierunku. Nie wolno mu się wysilać ani nadmiernie męczyć, ale nie chciałbym także, żeby się czuł inwalidą. Ten rok i następny to będą dla niego lata przełomowe. Nie chcę, żeby dorastał w atmosferze lęklności, w poczuciu jakiegoś upośledzenia.

Biedny dzieciak - rzekł miękko Bunner spoglądając w stronę zbliżającej się łódki.

O, to jest właśnie niedobra reakcja - wytknął mu Oliver. - śadnej litości.

Przede wszystkim żadnej litości, proszę pana. Dlatego, między innymi, rad jestem, że nie mogę tu zostać kilka tygodni dłużej razem z Tony'm. I dlatego nie chcę, żeby pozostawał wyłącznie z matką. Dlatego poszukiwałem młodego mężczyzny jako towarzysza. Chcę, żeby się otrząsał z normalną szorstkością i twardością dwudziestolatka. Myślę, że pan to potrafi?

Bunner uśmiechnął się.

Czy życzy pan sobie referencji?

Ma pan jaką dziewczynę? - zapytał Oliver.

- No nie, słuchaj... - zaprotestował Patterson.

Oliver obrócił się ku niemu i powiedział spokojnie:

Jedną z najważniejszych rzeczy, żeby się zorientować w dwudziestoletnim młodzieńcu, to - czy ma dziewczynę, czy też nie ma. Czy miał już, czy jest właśnie pomiędzy dwiema dziewczynami.

Więc... mam dziewczynę - oświadczył Bunner, ale zaraz dodał: - To znaczy... tak jakby.

Jest może tutaj?

A jak powiem, że tak, to zaangażuje mnie pan?

Nie.

Nie ma jej tutaj - powiedział chłopak skwapliwie.

Oliver schylił się, aby ukryć uśmiech, podniósł z ziemi teleskop i złożył go dociskając dłonią drugiej ręki.

Orientuje się pan coś niecoś w astronomii? - zapytał.

Nie słyszałem, jak żyję, takiego kompletu pytań - wymamrotał pod nosem

Patterson.

Bo Tony stanowczo chce zostać astronomem - wyjaśniał Oliver bawiąc się teleskopem. - Więc dobrze by było, gdyby...

No cóż - odparł Bunner tonem powątpiewania. - Coś niby wiem...

Jak pan myśli - zapytał Oliver zupełnie jak nauczyciel na lekcji - o której godzinie będzie dzisiaj widoczna konstelacja Oriona?

Patterson pokręcił głową i dźwignął swoją ciężką postać z niskiego leżaka.

- Niewymownie się cieszę, że ja nie będę nigdy potrzebował cię prosić o posadę - parsknął w kierunku Olivera.

Bunner tymczasem wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Pan jest okropnie chytry, panie Crown.

Co pan chce przez to powiedzieć? - zapytał niewinnie Oliver.

Przecież pan doskonale wie, że na północnej półkuli Orion nie może być widoczny wcześniej niż dopiero we wrześniu - odpowiedział wesoło Bunner. - I

czekał pan, oczywiście, że się zbłąźnię.

Mogę panu płacić trzydzieści dolarów tygodniowo - oświadczył Oliver. - Do obowiązków towarzysza mojego syna będzie należało uczyć go pływania, wyprawiać się razem z nim na ryby, obserwować gwiazdy, no i robić wszystko, co się da, żeby nie słuchał tych idiotycznych komiksów radiowych. - Oliver zawahał się, po czym podjął na nowo, ciszej i poważniejszym tonem: - Powinien pan także zdobyć jego sympatię i jakoś dyplomatycznie odciągnąć go trochę od matki, bo ich wzajemny stosunek, tak jak to jest... - Zatrzymał się. Uświadomił sobie, że dotarł do samej krawędzi i że sens jego słów może się wydać bardziej bezwzględny, niżby tego pragnął. - Chodzi mi o to - tłumaczył Bunnerowi - że dla nich obojga będzie lepiej, jeżeli nie będą tak wyłącznie zdani na siebie samych. No więc jak? Chce pan wziąć tę posadę?

Tak - odparł Bunner.

- Dobra. Może pan zaczynać od jutra.

Patterson zainscenizował głębokie westchnienie ulgi.

- Czuję się wyczerpany - oświadczył i z powrotem opadł na leżak.

Wie pan, odrzuciłem trzech kandydatów - powiedział Oliver.

Tak, słyszałem.

Młodzi mężczyźni są dzisiaj albo ordynarni, albo cyniczni. A najgorsi odznaczają się obiema tymi cechami.

Szkoda, że pan wcześniej nie spróbował z jakimś facetem z Dartmouth - powiedział Bunner.

Zdaje mi się, że jeden był właśnie z Dartmouth.

O, w takim razie musiał się tam dostać na sportowe stypendium.

Myślę, że lepiej pana uprzedzić o pewnej drobnej, ale nieprzyjemnej właściwości Tony'ego, to znaczy, no... jego charakteru. Można chyba mówić z panem o charakterze trzynastoletniego chłopca, prawda? Otóż w czasie choroby, kiedy musiał tak długo leżeć, rozwinęła się w nim skłonność do - jak by tu powiedzieć-

...fantazjowania. Jakieś nieprawdopodobne historie, zmyślanie, bujanie, kłamstwa.

Nic poważnego, oczywiście.

Patterson widział, że Oliverowi ogromną przykrość sprawia wyznanie czegoś podobnego o własnym synu.

- Moja żona i ja nie wyciągaliśmy z tego żadnych konsekwencji ze względu na tę chorobę - ciągnął Oliver. - Ale rozmawiałem z nim na ten temat i przyrzekł mi, że będzie trochę trzymał na wodzy swoją... hm, wyobraźnię. W każdym razie, gdyby to się miało powtórzyć, nie chciałbym, żeby pan się czuł zaskoczony, a jednocześnie zależy mi, żeby go od tego odstręczać, zanim się przyzwyczai na dobre.

Przysłuchując się temu, co mówił Oliver, Patterson doznał nagle olśnienia, które go przeniknęło chłodem. „Oliver czuje się zawiedziony - pomyślał. - Musi odczuwać pustkę własnego życia, jeżeli tak uparcie pracuje nad synem”. Ale zaraz odrzucił tę myśl. „Nie - rozumował dalej. - On tylko przywykł do kierowania wszystkimi sprawami naokoło. Łatwiej mu przychodzi samemu kierować niż

pozwolić, aby to inni robili. Syn to dla niego tylko jedna z tych spraw, którymi kieruje wprost automatycznie.”

- A, prawda - przypomniał sobie Oliver. - Jeszcze jedna sprawa.

Uświadomienie seksualne...

Patterson podniósł ostrzegawczo rękę.

Słuchaj, Oliver - rzekł. - Zdaje się, że naprawdę posuwasz się za daleko.

Tony nie ma braci ani siostr - mówił Oliver nie zwracając na niego uwagi. - Moim zdaniem, był trochę zanadto chroniony, zresztą z najbardziej naturalnych powodów. Zarówno matka, jak i ja sam unikaliśmy dotychczas w rozmowach z nim tego tematu. Jak wszystko dobrze pójdzie, to od jesieni Tony wróci do szkoły, a wolałbym, żeby się dowiedział o sprawach płci od inteligentnego młodego mężczyzny, który bądź co bądź przygotowuje się do kariery dyplomatycznej, niż od jakichś trzynastoletnich świntuchów w wytwornej szkole prywatnej.

Bunner skrobał się po nosie z poważną miną.

Od czego chciałby pan, żebym zaczął?

A od czego pan sam zaczynał? - zapytał Oliver.

No, obawiam się, że w tym wypadku musiałbym jednak rozpocząć od wcześniejszego stadium - odparł Bunner. - Mówiłem panu, że ja miałem aż cztery starsze siostry.

Pozostawiam to zatem do pańskiego uznania. Chciałbym, żeby po tych sześciu tygodniach Tony zdobył, powiedzmy, spokojne rozeznanie teoretyczne, bez gwałtownego pragnienia zanurzenia się natychmiast... no, w... praktyce.

Będę się starał wytłumaczyć mu te rzeczy wyraźnie - oświadczył Bunner -

ale bez jakiegoś babrania się w tym. Będę używał wyłącznie naukowych, poważnych terminów. Co najmniej trzysylabowych. I trzeba będzie pomniejszyć, ile się da, znaczenie... bardziej przyjemnych aspektów zagadnienia, prawda?

Tak, właśnie - potwierdził Oliver.

Spojrzał jeszcze raz w stronę jeziora. Łódź była już prawie przy brzegu, a

Tony stał na rufie i machał do niego ręką ponad plecami matki. Blask słońca odbijał się ostro od jego ciemnych okularów. Oliver odpowiedział machnięciem ręki. Nie odwracając wzroku od żony i syna powiedział do Bunnera:

- Pewnie pan uważa, że mam lekkiego bzika na punkcie tego chłopca, ale nie uznaję absolutnie sposobu, w jaki wychowuje się dzisiaj większość dzieci. Albo daje im się za dużo swobody i wyrastają na rozhukane zwierzątka, albo znowu przytłacza się je zbytnim rygorem, tak że po kryjomu uprawiają rozmaite grzeszki, hodują w sercu mściwość i obracają się przeciwko rodzicom w tym samym momencie, kiedy im się uda znaleźć gdzie indziej pełny talerz. Ale, co najważniejsze - nie chcę, żeby wyrósł na takiego, który się boi...

No, a ty sam, Oliverze - zapytał Patterson z błyskiem zaciekawienia w oczach - czy ty się nie boisz?

Okropnie - odparł Oliver.

Hej, Tony! - zawołał głośniej i ruszył w stronę wody, aby pomóc im wyciągnąć łódkę na brzeg.

Patterson wstał z leżaka i razem z Bunnerem patrzyli, jak Lucy dwoma ostatnimi silnymi ruchami wiosł wyprzedziła łódź aż na żwir. Oliver przytrzymał dziób łodzi, a Lucy, zabrawszy sweter i książkę, wyszła na brzeg. Tony stanął na burcie, przegiął się dla zachowania równowagi i wżgardziwszy pomocą zeskoczył do płytkiej wody.

Święta Rodzina - zamruczał Patterson.

Co pan powiedział? - zapytał Bunner zdziwiony i niepewny, czy dobrze usłyszał.

Nic - odburknął doktor. - On chyba wie, czego chce, prawda?

O tak, on wie na pewno - uśmiechnął się Bunner.

Myśli pan, że ojciec może zrobić ze swego syna, co mu się podoba?

Bunner spojrział na niego podejrzliwie, wężąc jakąś pułapkę.

- Nie zastanawiałem się nad tym - odpowiedział ostrożnie.

A czy pański ojciec ma takiego syna, jakiego chciał mieć? Bunner już się prawie uśmiechał.

Nie, chyba nie.

Patterson pokiwał głową. Patrzyli na zbliżającą się trójkę. Oliver szedł w środku, pomiędzy Lucy i Tony'm, który niósł wędkę na ramieniu. Lucy naciągnęła luźny, biały sweter na kostium kąpielowy. Po długim wiosłowaniu na jej górnej wardze i na czole lśniły drobne kropelki potu. Grube podeszwy drewniaków włożonych na bosc stopy opadały bezgłośnie na przystrzyżoną trawę. Zbliżając się to zanurzali się w cień pomiędzy drzewami, to znowu wchodzili w blask słońca i wtedy smukłe, nagie uda Lucy świeciły przez chwilę złotym połyskiem. Szła wyprostowana, panując nad ruchami bioder, jak gdyby chciała zatuszować swoją kobiecość. W

pewnym momencie zatrzymała się, wsparła się ręką o ramię męża i podniosła stopę, aby usunąć kamyczek, który uwiązał jej między palcami. I oto na jedną chwilę cała grupa zastygła w tej pozycji, w ukośnych promieniach letniego słońca, przynikających przez zielen liści.

Kiedy byli już blisko, Patterson i Bunner usłyszeli dziecinny, jasny alt

Tony'ego:

- W tym jeziorze już dawno wszystko wylłowili - dowodził chłopiec.

Mimo że Tony był wysoki na swój wiek, wydał się Bunnerowi wątki i słabo rozwinięty, a głowę miał jak gdyby za dużą w stosunku do tułowia.

Jesteśmy stanowczo za blisko cywilizacji - rozprawiał dalej - Lepiej było się wybrać do North Woods. Tylko że tam znowu komary, no i te łosie. Z łosiami trzeba uważać. Bert mówi, że tam każdy musi przynosić swoją łódź na głowie. I Bert mówi, że tam jest taka masa ryb, że aż wiosła się łamią.

Tony - zapytał Oliver poważnie - czy wiesz, co to jest ziarenko soli?

No, pewnie - odparł chłopak.

To jest właśnie to, czego potrzeba Bertowi.

Uważasz, że on zbujał?

Niezupełnie. Ale trzeba go trochę posolić przed połknięciem, tak jak orzeszki ziemne.

Muszę mu to powtórzyć - zawołał Tony. - Tak jak orzeszki ziemne!

Zatrzymali się przed Pattersonem i Bunnerem.

Pan Bunner - przedstawił Oliver. - Moja żona. I Tony.

Dzień dobry panu - rzekła Lucy.

Skinęła mu lekko głową i zapięła sweterek pod samą szyję. Tony podszedł do

Bunnera i podał mu grzecznie rękę.

Halo, Tony - przywitał go Bunner.

Halo! Ależ pan ma twardą łapę.

Grywam w tenisa.

Zalóżmy się, że za miesiąc ja pana ogram. No, może za pięć tygodni.

Tony... - odezwała się Lucy ostrzegawczo.

Myślisz, że się tylko przechwalam? - zwrócił się do matki.

Tak.

Tony wzruszył ramionami i zaczął znowu rozmawiać z Bunnerem.

Nie pozwalają mi się chwalić. Mam taaakiego forehanda, tylko z backhendem trochę kiepsko. Mogę to panu powiedzieć - oświadczył spokojnie - bo i tak pan się sam przekona od razu w pierwszym gemie. Kiedyś widziałem, jak grał

Ellsworth Vines.

No i co o nim myślisz? - zapytał Bunner.

Przereklamowany - odparł Tony z lekceważącym skrzywieniem. - Nic trudnego, jak się pochodzi z Kalifornii i można trenować co dzień przez okrągły rok.

Pływał pan dzisiaj.

Tak - potwierdził Bunner, zdziwiony i ubawiony zarazem. - Skąd wiesz?

Bardzo proste. Czuć pana jeziorem.



To jeden z jego popisowych kawałków - wmieszał się do rozmowy Oliver i podszedłszy przejechał ręką po włosach chłopca. - W czasie choroby leżał z zabandażowanymi oczami i wtedy wyrobił sobie węch niczym pies myśliwski.

Ja też umiem pływać. Jak strzała - oświadczył Tony.

Tony... - odezwał się znowu ostrzegawczy głos Lucy. Chłopak uśmiechnął się, przyłapany na gorącym uczynku.

Ale tylko parę kroków - poprawił się zaraz. - Potem idę na dno. Nie potrafię dobrze oddychać.

Poćwiczmy to - powiedział Bunner. - Nie możesz przez całe życie nie umieć oddychać.

Będę musiał porządnie się do tego zabrać.

Jeff cię nauczy - rzekł Oliver. - Zostanie z tobą aż do końca wakacji.

Lucy rzuciła na męża szybkie, czujne spojrzenie, po czym spuściła oczy. Tony także patrzył na Olivera - uważnie, z rezerwą, podejrzliwie - miał bowiem jeszcze w pamięci pielęgniarki, lekarstwa, różne nakazy i zakazy, ból, uwięzienie w łóżku.

Tak? - zapytał ostrożnie. - Będzie się mną opiekować?

No nie - odparł Oliver. - Raczej pomoże ci nadrobić to i owo.

Tony przypatrywał się Oliverowi przez dłuższą chwilę usiłując dociec, jak dalece ojciec był szczery w tym, co mówił. W końcu odwrócił się od niego i w milczeniu zaczął badać wzrokiem Bunnera, jak gdyby z chwilą ujawnienia ich wzajemnego stosunku musiał natychmiast przystąpić do wyrabiania sobie o nim opinii. - Jeff - odezwał się wreszcie - umie pan dobrze łowić ryby?

- Jak widzą, że się do nich zbliżam, to ryczą ze śmiechu - odparł Bunner.

Patterson spojrział na zegarek.

Wiesz, Oliver, powinniśmy się już wybierać. Muszę jeszcze zapłacić w hotelu, wskoczę w inne ubranie i jestem gotów.

Mówiłeś, że chcesz jeszcze coś powiedzieć Tony'emu - przypomniał mu Oliver.

Lucy przeniosła zaniepokojone spojrzenie z twarzy męża na twarz Pattersona.

- A, tak - odparł Patterson.

Teraz, kiedy nadszedł decydujący moment, żałował, że ustąpił wobec nalegań Olivera. Zdawał sobie sprawę, że to tchórzostwo, lecz mimo to powiedział:

Nie sądzisz, że można z tym poczekać do innej okazji?

Myślę, że teraz jest najlepsza okazja - rzekł Oliver ze spokojnym naciskiem. -

Zobaczysz Tony'ego najwcześniej za miesiąc, a ostatecznie właśnie on jest odpowiedzialny za to, żeby pilnować siebie, i zdaje się, że będzie lepiej, jeżeli się dowie, z czym powinien się liczyć i dlaczego...

O1iver... - przerwała mu Lucy.

Już obgadaliśmy to wszystko z Samem - rzekł O1iver dotykając jej ręki.

Co będę musiał robić? - zapytał Tony przyglądając się Pattersonowi nieufnie.

Nic nie będziesz musiał robić - uspokoił go doktor. - Chciałem ci po prostu powiedzieć, jak wyglądają twoje sprawy.

Bardzo dobrze się czuję - mruknął Tony niechętnie i z nieszczęśliwą miną utkwiał wzrok w ziemi.

Naturalnie - zgodził się Patterson. - I będziesz się czuł jeszcze o wiele lepiej.

Nie potrzebuję. Czuję się fajnie - burknął Tony z uporem. - Po co mam się czuć lepiej?

Patterson i O1iver roześmiali się na te słowa, a po chwili przyłączył się do nich

Bunner.

Dobrze, a nie fajnie - poprawiła go Lucy.

Dobrze - zgodził się posłusznie Tony.

Oczywiście - zaczął Patterson - musisz...

Nie chcę się już niczego wyrzekać - przerwał Tony kategorycznie. - Dostyc się wyrzekałem w życiu.

Tony - wmieszał się O1iver - daj skończyć panu doktorowi.

Słucham pana doktora.

Wszystko, co mam ci do powiedzenia - rzekł Patterson - to to, że jeszcze przez jakiś czas nie powinieneś się brać do czytania. Poza tym możesz robić prawie wszystko, na co ci przyjdzie ochota, byle z umiarkowaniem. Czy wiesz, co to znaczy umiarkowanie?

Wiem. Nie napraszać się o drugą porcję lodów - odpalił z miejsca Tony.

Wszyscy się roześmiali, on zaś przyglądał się im z zadowoleniem, bo z góry wiedział, że taka odpowiedź musi ich rozśmieszyć.

Doskonale - rzekł Patterson. - A zatem możesz grać w tenisa, możesz pływać i...

Chcę się nauczyć grać w baseball - przerwał mu znowu Tony. - Na drugiej bazie. I wybijać krzywą piłkę.

Możemy spróbować - odezwał się Bunner - ale niczego nie gwarantuję. Bo dotychczas jeszcze ani razu nie udało mi się wybić krzywej piłki, chociaż jestem od ciebie dużo starszy. Albo się człowiek urodził do krzywej piłki, albo nie.

Tak, możesz to wszystko robić - zgodził się Patterson, notując równocześnie gdzieś w głębi mózgu, że Bunner jest pesymistą - ale pod jednym warunkiem. Jak tylko poczujesz się odrobinę zmęczony, natychmiast przestać.

Pamiętaj, choćby odrobinę zmęczony...

- A jak nie przestanę? - zapytał chłopiec ostro. - To co wtedy będzie?

Patterson spojrzał niepewnie na Olivera.

- Powiedz mu wszystko - zdecydował tamten.

Patterson obrócił się znów do Tony'ego.

Wtedy możliwe, że będziesz musiał z powrotem iść do łóżka, i to na bardzo długo. Chyba nie masz na to ochoty, co?

Pan chciał powiedzieć, że wtedy mogę umrzeć - stwierdził Tony pomijając milczeniem pytanie doktora.

Tony! - zawołała Lucy. - Pan doktor wcale tego nie mówił.

Tony wodził dokoła wrogim spojrzeniem. Pattersonowi zdawało się przez chwilę, że chłopiec patrzy na otaczające go osoby tak, jakby to nie byli rodzice i przyjaciele, lecz prześladowcy sprzymierzeni z jego chorobą.

Nie martwcie się - rzekł w końcu z uśmiechem, w którym już nie było wrogości. - Nie umrę.

Oczywiście, że nie - potwierdził Patterson, zły na Olivera, który go wpakował w tę scenę. Podszedł do chłopca i schyliwszy się ku niemu powiedział: - Winszuję ci, Tony.

Dlaczego? - zapytał tamten nieufnie, podejrzewając jakieś nabieranie.

- Jesteś idealnym pacjentem - oświadczył Patterson. - Wyzdrowiałeś. Dziękuję ci.

- Kiedy mogę to zrzucić? - zapytał Tony.

Podniósł rękę i szybkim ruchem ściągnął okulary. Głos jego zabrzmiał niespodziewanie dojrzałe i gorzko. Oczy, pozbawione osłony szkielek, wydawały się bardzo głębokie, przenikliwe, pełne melancholii i krytycyzmu. Wyglądały niepokojąco w szczupłej, chłopięcej twarzy.

Możliwe, że za rok, dwa - odpowiedział mu doktor. - Jeżeli będziesz codziennie ćwiczył. Godzinę rano i godzinę wieczorem. Będziesz o tym pamiętał?

Tak - odparł Tony.

Włożył z powrotem okulary i od razu odzyskał swój chłopięcy wygląd.

- Twoja mama zna wszystkie ćwiczenia - ciągnął Patterson - i obiecała, że nie daruje ci ani minuty.

Może pan zechce mnie pokazać te ćwiczenia, panie doktorze odezwał się

Bunner. - Będziemy mogli oszczędzić pani trudu.

- Nie, nie, nie trzeba - rzekła pośpiesznie Lucy. - Dziękuję. Już ja się tym zajmę.

Ależ, oczywiście - wycofał się Jeff. - Jak pani sobie życzy. Tony podszedł do Olivera.

Tatuś, czy ty musisz wracać do domu?

Niestety, muszę - powiedział Oliver. - Ale postaram się do was przyjechać na weekend gdzieś pod koniec miesiąca.

Wiesz, Tony - - zażartował Patterson - ojciec musi już wracać do miasta i popracować, bo inaczej nie będzie miał z czego mi zapłacić.

Oliver uśmiechnął się.

Nie uważasz, Sam, że ten dowcip powinienesz mnie pozwolić powiedzieć?

Przepraszam bardzo.

Patterson podszedł do Lucy i pocałował ją w policzek.

Kwitnij, kwitnij, dzika różyczko - powiedział na pożegnanie.

Będę przechodził obok hotelu - zwrócił się Jeff do doktora. - Czy ma pan coś przeciw temu, żebyśmy poszli razem?

Cała przyjemność po mojej stronie - odparł Patterson. - Opowie mi pan po drodze, jak to jest, kiedy się ma dwadzieścia lat.

Serwus, Tony - powiedział Bunner. - O której mam przyjść jutro?

Dziewiąta rano?

Może o wpół do jedenastej - wtrąciła Lucy. - To zupełnie wystarczy.

Bunner spojrzał na Olivera.

- O wpół do jedenastej - powtórzył.

Ruszyli razem z Pattersonem ścieżką prowadzącą w stronę hotelu - wysoki, powolny w ruchach, ociężały mężczyzna i zwinny, smukły, czarny chłopak w płóciennych tenisówkach poplamionych od trawy. Lucy i Oliver patrzyli za nimi przez chwilę w milczeniu.

„Ten chłopak jest zanadto pewny siebie - myślała Lucy wpatrując się z daleka w pełną wdzięku postać. - żeby przyjść prosić o posadę w podkoszulku!” Miała ochotę okazać Oliverowi niezadowolenie z powodu tego Bunnera. „Mógł przynajmniej tak to urządzić, żebym była obecna przy rozmowie” - pomyślała z niechęcią, ale zdecydowała, że nie będzie mu robić żadnych wyrzutów. Już się stało.

Znała Olivera zbyt dobrze, aby móc wierzyć, że potrafi wpłynąć na zmianę jego postanowienia. Będzie musiała spróbować dać sobie radę z tym młodym człowiekiem na własną rękę.

Skuliła się w ramionach i potarła dłońmi obnażone uda.

Zimno mi - powiedziała. - Pójdę coś na siebie narzucić. Wszystko już zapakowałeś?

Tak, mniej więcej - odparł Oliver. - Zostało tylko parę drobiazgów. Pójdę do domu razem z tobą.

Tony - zwróciła się Lucy do syna. - Ty także powinienes coś włożyć, jakieś spodnie, no i buty.

Nie, mamoo...

Tony - powtórzyła z naciskiem. Przyszło jej na myśl, że chłopiec nigdy się nie opierał poleceniom ojca.

No dobrze, dobrze - ustąpił Tony i pierwszy poszedł w kierunku domu, brodząc z rozkoszą bosymi stopami w chłodnej, gęstej trawie.

## ROZDZIAŁ TRZECI

W sypialni, gdzie znaleźli się tylko we dwoje z Lucy, Oliver kończył swoje pakowanie. Nie robił z tego wielkiego obrządku i nigdy nie zabierało mu to wiele czasu, ale kiedy już zapakował torbę podróżną, wyglądała ona tak schludnie i porządnie, jakby pakowanie było dziełem maszyny, a nie człowieka. Lucy zazwyczaj pakowała i rozpakowywała swoje walizki w nerwowych zrywach nieudolnej energii, toteż była przekonana, że Oliver ma w rękach jakiś wrodzony zmysł sprawności i porządku. Podczas gdy on zajęty był pakowaniem, Lucy zdjęła sweter i kostium kąpielowy i przyglądała się odbiciu swego nagiego ciała w wysokim lustrze.

„Starzeję się - myślała przypatrując się sobie. - Na udach widać już pierwsze, przytające znaki czasu. Muszę więcej chodzić. I więcej spać. I nie powinnam o tym myśleć. Trzydzieści pięć lat!”

Zabrała się do szczotkowania włosów, które sięgały nieco poniżej ramion, bo tak się podobało Oliverowi. Ona wolałaby je przyciąć trochę krócej, zwłaszcza na lato.

- Oliver... - zagadnęła nie przestając szczotkować włosów i patrząc na niego w lustrze.

Do torby postawionej na łóżku Oliver wkładał szybko i porządnie kopertę wypchaną papierami, ranne pantofle i sweter.

- Co takiego?

Zatrzasnął zamek i ściągnął energicznie pasek, jakby dociągał koniowi popręg.

- Bardzo nie chcę, żebyś wracał do domu.

Podszedł i stanawszy za jej plecami objął ją od tyłu. Poczwała na ciele jego ręce, chłodne dotknięcie ubrania na plecach. Stłumiła w sobie nagły dreszcz obrzydzenia.

„Jestem jego własnością - pomyślała. - Nie powinien się zachowywać tak, jakbym była jego własnością.”

O1iver pocałował ją w szyję, pod uchem.

Masz cudny brzusek - powiedział pieszcząc go dłońmi i całując ją.

Obróciła się w jego ramionach i przyłgnęła do niego.

- Zostań jeszcze tydzień - wyszeptwała.

Słyszałaś, co mówił Sam? Muszę zapracować na jego rachunek. On wcale nie żartował - dodał głaszcząc delikatnie jej ramię.

Przecież jest dosyć ludzi w drukarni...

Ale wszyscy ci ludzie wypryskują z drukarni na herbatkę już o drugiej godzinie, jeżeli mnie tam nie ma - odparł dobrodusznie. - Cudownie się opaliłaś.

Nie cierpię być sama. Nie potrafię być sama. Jestem na to za głupia.

Roześmiał się i przycisnął ją mocniej do siebie.

Przecież ty wcale nie jesteś głupia.

Właśnie że jestem. Ty mnie nie znasz. Kiedy zostaję sama, mój mózg robi się od razu podobny do wyżętej ścierki. Nienawidzę lata. W lecie jestem jak na wygnaniu.

Ale za to ja uwielbiam kolor twojej skóry w lecie - rzekł O1iver.

Lucy poczuła ukłucie złości o to, że ją traktował tak lekko.

- Jak na wygnaniu - powtórzyła z uporem. - Każde lato to moja Elba.

O1iver znowu się roześmiał.

No, widzisz, wcale nie jesteś głupia. Śadnej głupiej kobiecie coś podobnego nie przyszłooby na myśl.

Jestem po prostu odcytana. Ale głupia. I będę taka samotna.

No, no, Lucy... Odsunął się od niej i zaczął się kręcić po pokoju zaglądając do szuflad i różnych zakamarków, aby się upewnić, że niczego nie zapomniał. - Przecież nad jeziorem mieszkają setki ludzi - rzucił na pocieszenie.

Tak, setki czupiradeł. Babska, z którymi mężowie już nie mogą wytrzymać.

Wystarczy popatrzeć, jak wysiadują na hotelowym tarasie wszystkie razem. Ód razu widzę jak żywych ich mężów, tam, w mieście. Ryczą po prostu z uciechy.

Przyrzekam ci, że nie będę ryczał z uciechy - przerwał jej O1iver.

Chcesz może, żebyś kultywowała znajomość z panią Wales? Dla ćwiczenia umysłu i gromadzenia zapasu historyjek, którymi w zimie będę mogła zabawiać towarzystwo przy

brydzu u Pattersonów?

Oliver zawahał się.

No, wiesz - powiedział lekkim tonem - nie brałbym tego aż tak poważnie. - Znasz przecie Sama...

Chciałam tylko, żebyś się orientował, że ja się orientuję - rzekła Lucy, wiedziona jakimś niezrozumiałym pragnieniem wprawienia Olivera w zakłopotanie. - I że mi się to nie podoba. Mógłbyś powiedzieć o tym Samowi w powrotnej drodze, skoro już wszyscy są dzisiaj tacy niesamowicie szczerzy.

Doskonale. Wspomnę mu o tym, jeżeli ci tak zależy. Lucy zaczęła się ubierać.

Chciałabym wrócić do domu razem z tobą. Teraz, zaraz. Oliver otworzył drzwi do łazienki i zajrzał tam.

No, a co z Tony'm? - zapytał.

Zabierzemy go ze sobą.

Ależ pobyt tutaj tak dobrze mu robi!

Wrócił z łazienki zadowolony, bo i tam nic nie zostawił. Nigdy niczego nie zostawiał, nigdzie. Ale też nigdy nie zaniedbywał tego ostatniego, szybkiego przeglądu.

Jezioro, słońce.. - kończył przerwana myśl.

Wiem doskonale, że jezioro i słońce. - Lucy schyliła się i wciągała na nogi mokasyny czując przyjemny chłód skóry przylegającej ciasno do bosych stóp. - Ale wydaje mi się, że ojciec i matka, kiedy będą z nim razem, zrobią mu jeszcze lepiej niż

jezioro i słońce.

Kochanie - powiedział Oliver łagodnym tonem - zrób coś dla mnie.

Co takiego?

Przestań już o tym mówić.

Włożyła bluzkę. Bluzka miała długi rząd guziczków na plecach, więc Lucy podeszła do Olivera i odwróciła się, żeby je zapiął. W milczeniu, automatycznie, zaczął zapinać od dołu, poruszając palcami szybko i zręcznie.

Nie mogę po prostu o tym myśleć, że będziesz się objął sam w dużym, pustym mieszkaniu. A poza tym zawsze się przepracowujesz, kiedy mnie nie ma.

Obiecuję ci, że nie będę się przepracowywał - rzekł Oliver. - Coś ci powiem... Spróbuj przez jeden tydzień. Zobaczysz, jak się będziesz czuła. Czy Tony będzie się poprawiał. I wtedy, jeżeli zechcesz wrócić do domu...

To co?

Wtedy zobaczymy - dokończył Oliver.

Zapiął ostatnie guziczki i poklepał ją czule po karku.

„Zobaczymy” - powtórzyła. - Za każdym razem kiedy ty mówisz:

„Zobaczymy”, wiadomo, że to znaczy: „Nie.” Przecież cię znam.

Roześmiał się i pocałował ją w czubek głowy.

- Ale tym razem to znaczy naprawdę: Zobaczymy.

Lucy odsunęła się od niego i wróciła do lustra, by umalować usta.

Dlaczego to tak jest - zapytała chłodno - że zawsze robimy to, czego ty chcesz?

Bo już taki ze mnie staroświecki mąż i ojciec - odpowiedział ubawiony własnymi słowami.

Lucy nakładała na wargi grubą warstwę szminki, wiedziała bowiem, że Oliver tego nie lubi, i chciała chociaż takim drobiazgiem ukarać go za to, że jej odmówił.

A co będzie - spytała - jeżeli któregoś pięknego poranka ja zechcę się zmienić w nowoczesną żonę?

Ty się nie zmienisz. - Zapalił papierosa i zauważywszy szminkę na jej ustach, zmarszczył lekko czoło, co było u niego oznaką niezadowolenia. - Nie zmienisz się - powtórzył tym samym, żartobliwym tonem. - Właśnie dlatego ożeniłem się z tobą, kiedy byłaś taka młodziutka. żebyś nie zdążyła zakrzepnąć we własnych przyzwyczajeniach.

Nie mów o mnie tak, jakbym była z wosku - obruszyła się Lucy. - To mnie obraża.

Przysięgam - rzekł Oliver z udaną powagą, unikając świadomie sprzeczki. - Przysięgam, że uważam cię za okropnie nieustępliwą i twardą jak kamień. Czy to ci odpowiada?

Nie - odparła krótko.

Narysowała kredką przesadnie duży, czerwony łuk i wydymając wargi zaczęła na nich rozsmarowywać szminkę małym palcem. Wprawdzie Oliver nigdy nie powiedział jej słowa na ten temat, ale wiedziała, że nie lubi tych chwil przed lustrem, kiedy jej wargi wyginają się przybierając próżny, zadowolony z siebie wyraz, a czubek palca świeci się tłusto od czerwonego smarowidła. Teraz na złość przedłużała tę chwilę.

- Znamy przecież mnóstwo nowoczesnych małżeństw - podjął na nowo Oliver.

Odwrócił się, aby na nią nie patrzeć, udając, że szuka popielniczki. - Obie strony decydują każda na własną rękę. Ile razy widzę jakąś kobietę z niezadowoloną miną, wiem na pewno, że mąż pozwala jej decydować o sobie.

Wiesz, Oliver - rzekła niespodziewanie Lucy - gdybym nie była twoją żoną, to bym cię chyba nienawidziła.

No, ale pomyśl tylko o tych małżeństwach, które znamy oboje. Mam rację czy nie



mam racji?

Masz rację. Masz rację. Ty zawsze masz rację. - Odwróciła się i wykonała pokorny, ironiczny dyg w jego stronę. - Chylę głowę, bo ty zawsze masz rację.

Oliver roześmiał się, wobec czego ona także musiała się roześmiać.

Zabawne - rzekł zbliżając się do niej.

Co jest takie zabawne?

Jak ty się śmiejesz. Już wtedy, mimo że byłaś młodą dziewczyną...

Zupełnie jakby tutaj siedział ktoś inny - dotknął palcem jej krtani - i śmiał się zamiast ciebie.

Ktoś inny? A jaka ona jest, ta inna?

Ma głos matowy - mówił Oliver miękko - idąc trochę się w biodrach kołysze i ma rude, niesforne włosy.

Może wobec tego powinnam przestać się śmiać.

Nie, nigdy - zaprotestował. - Kocham ten twój śmiech.

Czekałam na to słowo.

Kocham?

Aha. Dawno go nie słyszałam.

Ujęła obu dłońmi kłapy jego marynarki i przyciągnęła go lekko ku sobie.

śadnemu z dzisiejszych powieściopisarzy nie przyszłoby na myśl użyć tego słowa - powiedział poważnie.

No więc, dalejże!

Co: „dalejże”?

Użyj go. Nie ma tu przecież nikogo.

Mamo! Tato! - rozległo się z saloniku wołanie Tony'ego. - Już się przebrałem. Jesteście gotowi?

Za chwilę, Tony - odpowiedział mu Oliver usiłując się uwolnić z rąk żony.

- Zaraz wychodzimy.

Ach, Oliver - szeptała Lucy nie puszczając go. - To takie okropne.

Co okropne? - zapytał ze zdumieniem.

Taka jestem od ciebie uzależniona.

Tatusiu - odezwał się znowu Tony stojąc grzecznie za drzwiami.

Co takiego, Tony?

Pójdę do hotelu i tam na ciebie zaczekam. Przejadę się z tobą do bramy.

Okej - zgodził się Oliver. - Powiedz doktorowi, że będę za pięć minut.

Klawo jest! Oliver zachnął się.

Skąd on się tego nauczył? - zapytał cicho.

Lucy wzruszyła ramionami. Na rękawie Olivera widać było lekki ślad szminki, zapewne od jej palca. Postanowiła tchórzliwie nic mu o tym nie mówić. Usłyszeli, jak Tony wychodzi z domu i jak się oddala żwirowaną ścieżką za oknem.

- Tak... - rzekł Oliver rozglądając się jeszcze raz po pokoju. - To by było mniej więcej wszystko. - Podniósł obie torby podróżne i zwrócił się do Lucy: - Otwórz mi drzwi, dobrze?

Otworzyła i wyszli przez salonik na ganek. Salonik był pełen kwiatów, które zasłaniały szpetotę podniszczonych, wynajętych mebli. Woń kwiatów mieszała się z rzeźwym zapachem napływającym nieustannie od strony jeziora. Na ganku Lucy stanęła.

- Mam ochotę się czegoś napić - powiedziała. Właściwie wcale nie miała ochoty, ale w ten sposób mogła odwlec jeszcze o dziesięć minut wyjazd Olivera. Wiedziała, że on się na tym poznał, że zawsze go gniewało albo w najlepszym razie bawiło i niecierpliwiło zarazem to jej nierozsądne, jak twierdził, odkładanie chwili pożegnania. Ale po prostu nie mogła znieść myśli o tym momencie, kiedy odgłos oddalającego się samochodu będzie zamierał na drodze, a ona zostanie tu sama.

- Dobrze - rzekł Oliver po sekundzie wahania i postawił swoje rzeczy na ganku.

On umiał odjeżdżać bez żadnych korowodów, zegnał się tylko raz, ale na serio, i już go nie było. Stał na ganku i patrzył na jezioro, a tymczasem Lucy podeszła do stolika pod ścianą i naląła do szklaneczek whisky, która tam stała w butelce, i trochę wody z lodem.

Z drzew na brzegu jeziora poderwał się w górę jastrząb i zaczął krążyć nad wodą, powoli, nie poruszając skrzydłami. Z obozu na drugim brzegu znowu dolatywało ciche wołanie trąbki - żołnierska pobudka budząca echa karabinowych strzałów, klęski i zwycięstwa, wzywająca dzieci do zabawy w piłkę lub na lekcję pływania. Jastrząb żeglował spokojnie wśród powietrznych prądów, wyczekując jakiegoś drobnego, lecz fatalnego w skutkach wydarzenia tam w dole - poruszenia się trawy, drgnięcia gałązki - które by odsłoniło obecność jego wieczerzy.

Oliver - rzekła Lucy podchodząc do męża z pełnymi szklaneczkami.

Co?

He będziesz płacił temu chłopcu? Temu Bunnerowi?

Oliver zrobił taki ruch głową, jakby się chciał otrząsnąć z chaotycznych myśli wywołanych widokiem ptaka, który krążył nad wodą, dźwiękiem trąbki i bliskim odjazdem.

Trzydzieści dolarów tygodniowo - odpowiedział biorąc z rąk Lucy szklaneczkę.

To dosyć dużo.

Tak, dosyć.

Czy nas na to stać? - zapytała.

Nie, nie stać - odparł rozdrażniony jej pytaniem.

Lucy była na ogół dosyć nieopatrna w sprawach pieniężnych i w jego przekonaniu ulegała od czasu do czasu dziwnym napadom rozrzutności. Nie płynęło to ani z pożądlivosti, ani z zamiłowania do zbytku, po prostu nie zdawała sobie dostatecznie sprawy z wartości pieniądza i z tego, jak trudno go zdobyć. Ale kiedy była przeciwna czemuś, co on zamierzał zrobić, tak jak w tej chwili przeciwna była zaangażowaniu Bunnera, potrafiła szermować argumentami oszczędnej i zapobiegliwej pani domu.

Naprawdę uważasz, że to potrzebne? - dopytywała się stojąc obok niego i śledząc wzrokiem powolne krążenie jastrzębia nad jeziorem.

Naprawdę - odpowiedział podnosząc szklaneczkę uświęconym gestem. - Za zdrowie naszego chłopca z teleskopem!

Lucy z roztargnionym wyrazem twarzy uniosła swoją szklaneczkę i upiła łyk whisky.

Dlaczego? - zapytała.

Co: „dlaczego”?

Po co on nam potrzebny? Oliver dotknął łagodnie jej ramienia.

śebyś mogła mieć trochę czasu dla siebie.

Ależ mnie jest przyjemnie z Tony'm.

Ja wiem. Jednakże wydaje mi się, że jeśli Tony przez tych kilka tygodni będzie miał koło siebie wesołego, inteligentnego chłopaka, kogoś, kto potrafi być z nim troszeczkę szorstki...

Uważasz, że go zanadto rozpieszczęm? - spytała.

Nie. Chodzi o to, że... - Usiłował znaleźć możliwie najłagodniejszy i najbardziej niewinny argument. - No, po prostu chodzi o to, że jedynacy, zwłaszcza po poważnej chorobie, jeżeli przez dłuższy czas musieli przebywać wyłącznie w towarzystwie matki... Takie dzieci, jak dorosną, to idą często do baletu.

Lucy roześmiała się.

- Zwariowałaś?

Wiesz dobrze, co mam na myśli - rzekł Oliver, zły na samego siebie, bo czuł, że musi jej się wydawać napuszony. - Niech ci się nie zdaje, że to takie proste.

Przeczytaj jakąkolwiek książkę o psychoanalizie.

Nie potrzebuję nic czytać, żeby wiedzieć, jak wychowywać własnego syna - odparła Lucy.

Ależ to po prostu kwestia rozsądku - próbował ją przekonać.

Zdaje się, chcesz powiedzieć, że robię wszystko na odwrót, niż trzeba - przerwała mu z goryczą. - No, więc powiedz to i...

Ależ, Lucy - uspokajał ją - nie miałem zamiaru powiedzieć nic podobnego.

Może tylko ja patrzę na te sprawy z innej strony niż ty, może lepiej widzę to, do czego chciałbym przygotować Tony'ego, a czego ty nie dostrzegasz.

Na przykład czego? - zapytała zaczepnie.

Widzisz, żyjemy w epoce chaosu - zaczął jej tłumaczyć czując, że słowa te brzmią pustym, patetycznym dźwiękiem, ale nie wiedząc, jak inaczej wyrazić to, co chciał powiedzieć. - Czasy są niepewne i niebezpieczne. żeby im stawić czoło, trzeba być po prostu herosem.

I dlatego postanowiłeś zrobić herosa z naszego małego biedaka - wtrąciła sardonicznie.

A tak - odparł obronnym tonem. - I nie nazywaj go małym biedakiem. Za siedem, najwyżej za osiem lat będzie z niego mężczyzna.

Mężczyzna to jeszcze nie to samo co heros.

Dzisiaj to jest to samo - upierał się Oliver. - W naszych czasach trzeba być przede wszystkim herosem. A potem, jeśli się uda, można być także mężczyzną.

Biedny, mały Tony! I jakiś tam zielony studencina potrafi zrobić z niego herosa, ale rodzona matka nie potrafi.

Tego nie powiedziałem. - Oliver czuł, że zaczyna go ogarniać gniew, ale świadomie panował nad sobą, nie chciał bowiem rozstawać się z żoną w rozgoryczeniu wywołanym sprzeczką. Zmusił się zatem do spokoju. - Przede wszystkim, Bunner nie jest byle jakim zielonym studencina. Jest inteligentny, zrównoważony, ma poczucie humoru...

A ja, naturalnie, jestem tępa - przerwała Lucy. - Tępa, niezdecydowana, ponura.

Odeszła od niego w stronę ganku.

Słuchaj no, Lucy - zaprotestował idąc za nią - przecież tego także wcale nie powiedziałem.

Stała i obróciła się ku niemu ze złym wyrazem twarzy.

Nie potrzebujesz mówić - rzekła powoli. - Nieraz udaje mi się nie myśleć o tym całymi miesiącami. A potem powiesz coś takiego... Albo zobaczę jakąś inną kobietę w moim wieku, której udało się uratować...

Na miłość boską, Lucy! - zawołał zapominając w rozdrażnieniu, że postanowił nie dać się wciągnąć w kłótnię. - Nie zaczynaj tylko na tę melodię.

Proszę cię, Oliverze - uderzyła nagle w błagalny ton - zgódź się, żeby Tony został ze mną samą do końca lata. Przecież to już wszystkiego sześć tygodni. Ja ustąpiłam co do szkoły, możesz mi teraz ustąpić w tej sprawie. Później będzie tak długo poza domem, w towarzystwie tych gruboskórnych smarkaczy... Nie mogę się jeszcze pogodzić z myślą, że nie będę go miała ciągle na oku. Po tym wszystkim, cośmy z nim przeszli. Nawet w tej chwili, chociaż wiem, że poszedł tylko do hotelu, że chce się z tobą przejechać do bramy, muszę się powstrzymać, żeby tam nie pójść i nie upewnić się, że nic złego mu się nie stało.

Właśnie o tym ci mówiłem przez cały czas - rzekł Oliver z naciskiem.

Popatrzyła na niego, jej spojrzenie stało się nagle lodowate. Postawiła szklaneczkę na trawie, jak gdyby składała jakiś niezręczny ukłon. Potem wyprostowała się i z ironicznym uśmiechem przesadnie skłoniła przed nim głowę.

- Chylę głowę - powiedziała - bo przecież ty masz zawsze rację. Zawsze!

Gwałtownym ruchem ujął ją pod brodę i podniósł jej głowę. Nie próbowała się wyrwać. Stała wyprostowana, ze złym uśmiechem na ustach, i patrzyła mu prosto w oczy.

- Pamiętaj, żebyś mi tego nigdy więcej nie powiedziała - wycodził przez zęby.

- Ja teraz nie żartuję.

Wtedy szarpnęła głową, odwróciła się do niego plecami i weszła do domu.

Drzwi zaopatrzone w żaluzję zatrzasnęły się za nią. Oliver patrzył przez chwilę w tę stronę, po czym dokończył whisky, wziął rzeczy i poszedł ku szczytowej ścianie domu, gdzie pod drzewem stał jego samochód. Wstawił obie torby podróżne, zawahał się sekundę, a w końcu mruknął półgłosem:

- Do cholery z tym wszystkim!

Wsiadł do wozu i włączył motor. Właśnie wyjeżdżał tyłem na drogę, kiedy

Lucy ukazała się w drzwiach wychodzących na ganek i podeszła do niego. Wyłączył motor i czekał.

- Przepraszam cię - powiedziała cicho stojąc tuż przy wozie i opierając się ręką o drzwiczki.

Oliver ujął jej rękę i delikatnie poklepał.

- Zapomnijmy już o tym - rzekł łagodnie.

Lucy przechyliła się i pocałowała go w policzek. Przelotnym ruchem ręki poprawiła mu krawat.

Kup sobie parę nowych krawatów - powiedziała. - Wszystkie wyglądają już

tak, jakbyś je dostał na Gwiazdkę w dwudziestym dziewiątym roku. - Patrzyła na niego uśmiechając się niepewnie i prosząco. - I nie gniewaj się na mnie.

Wcale się nie gniewam - zapewnił ją Oliver. Czuł ulgę i zadowolenie, że to ostatnie popołudnie i ich rozstanie zostały jednak uratowane. Prawie uratowane. W

każdym razie zagojone po wierzchu.

Zatelefonuj do mnie w tygodniu - prosiła Lucy. - I powiedz wtedy to zakazane słowo.

Powiem - obiecał i wychylając się pocałował ją jeszcze raz. Potem włączył na nowo motor. Lucy odstąpiła o krok. Machali do siebie rękami, kiedy Oliver oddalał się w stronę hotelu.

Lucy stała pod drzewem i patrzyła, jak samochód znika za laskiem na zakręcie drogi. Westchnęła i wróciła do saloniku. Usiadła ciężko na krześle z ciemnego drzewa. Rozejrzała się wokoło i pomyślała, że nawet ta masa kwiatów nie może przesłonić szpetoty okropnego wnętrza. Przypominała sobie warkot samochodu oddalającego się wąską, piaszczystą drogą. Siedziała w brzydkim, pachnącym kwiatami pokoju i myślała: „Kłęska, kłęska. Ja zawsze tylko przegrywam. W końcu to ja muszę zawsze powiedzieć: Przepraszam.”

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Przejeżdżali solidnym buickiem przez białe miasta stanu Vermont. Patterson rozsiadł się wygodnie na przednim siedzeniu, obok Olivera. Był zadowolony z wszystkiego: z tego, że Oliver tak sprawnie i precyzyjnie prowadzi wóz, z pogody, ze swojego weekendu, ze wspomnień o pani Wales, jakie uwoził ze sobą, z przyjaźni z

Crownami, z tego, że Tony wraca do zdrowia; zadowolony był z obrazu Lucy, jaki zachował w pamięci - Lucy z obnażonymi nogami, w białym swetrze zarzuconym niedbale na kostium kąpielowy, przystającej na chwilę w blasku słońca, by oparłszy się o ramię Olivera, wytrząsnąć kamyk, który uwiązał jej między palcami a drewnianą podeszwą.

Spojrzał spod oka na Olivera siedzącego swobodnie przy kierownicy. Twarz przyjaciela była surowa, inteligentna, promieniowała wyrazem powściągliwej, nikomu niepotrzebnej odwagi, staroświeckiego, niemal żołnierskiego junactwa, który

Patterson zauważył już wtedy, gdy pili razem whisky na trawniku przed domem.

„Święty Boże! - pomyślał doktor. - Gdyby go choć trochę obchodziły inne kobiety, byłoby na co popatrzeć. śebym to ja tak wyglądał jak on...” Uśmiechnął się do swoich myśli. Przymknął oczy i znowu wywołał z pamięci obraz Lucy oblanej słonecznym blaskiem na ścieżce wiodącej od jeziora. Kiedy się schyliła nad smukłą, obnażoną nogą, włosy zsunęły jej się na twarz. „No cóż - pomyślał - gdyby Lucy

Crown była moją żoną, to i ja nie obejrzałbym się za inną.”

Czasami, kiedy wypił trochę za dużo albo kiedy mu było smutno, myślał, że gdyby tylko był sobie na to pozwolił, zakochałby się w Lucy Crown, wówczas jeszcze

Lucy Hammond, zaraz pierwszego wieczoru gdy ją poznał, na miesiąc przed jej ślubem z Oliverem. A któreś nocy, na dansingu w podmiejskim klubie, omal że nie powiedział o tym jej samej. Właściwie, może nawet powiedział. Płatał się i mówił prędko, orkiestra hałasowała, tylko przez chwilę trzymał Lucy w ramionach, a potem już jej nie było. No i nie było wątpliwości, że tamtej nocy wypił o wiele za dużo.

Po raz pierwszy Patterson spotkał Lucy koło roku tysiąc dziewięćset dwudziestego, kiedy Oliver przywiózł ją do Hartford, aby ją przedstawić rodzinie.

Patterson był starszy od Olivera, ożenił się przed rokiem i właśnie zaczynał praktykować w Hartford. Rodzina Crownów mieszkała tam od czterech pokoleń, a stary Crown był właścicielem drukarni dziedziczonej z ojca na syna, która od pięćdziesięciu lat zapewniała Crownom wygodne, dostatnie życie. Stary Crown miał dwie córki, obie starsze od Olivera i już zamężne, oraz jeszcze jednego syna, który zginął w katastrofie lotniczej w czasie wojny. Oliver także szkolił się na pilota, ale przybył do Francji bardzo późno i nie zdążył już odbyć ani jednego lotu bojowego.

Po wojnie i po powrocie z Francji osiedlił się w Nowym Jorku, gdzie wraz z dwoma innymi kombatantami założył małą, eksperymentalną spółkę lotniczą. Stary

Crown pokrył w tej spółce udział pieniężny Olivera i trzech młodzi ludzie uruchomili niedużą wytwórnię samolotów w pobliżu Jersey City, która przez parę lat pozwalała im jakoś wychodzić na swoje.

Patterson znał Olivera od czasów, kiedy ten był w college'u na pierwszym roku i starał się zorganizować drużynę baseballową, a Patterson był tak zwanym seniorem w wyższej uczelni. Już wtedy, mimo że Oliver nie mógł mieć więcej niż

czternaście, piętnaście lat, Patterson zazdrościł wysokiemu, dobrze ułożonemu chłopcu tej godności i spokojnej pewności siebie, jakie cechowały jego sposób bycia.

Zazdrościł też łatwości, z jaką Oliver zbierał najlepsze stopnie na swoim roku, organizował najrozmaitsze drużyny i zespoły i czarował najładniejsze dziewczęta w szkole. Potem Sam Patterson zazdrościł mu wojny, Francji, Nowego Jorku, wytwórni samolotów i dwóch wesołych, zapijaczonych dryblasów, jego współników, a kiedy poznał Lucy, zaczął jej zazdrościć Oliverowi. Gdyby ktokolwiek zapytał Pattersona lub Crowna o ich wzajemny stosunek, każdy z nich odpowiedziałby bez wahania, że są najlepszymi przyjaciółmi na świecie. Patterson był przekonany, że Crown nikomu niczego nie zazdrości.

Lucy miała wówczas około dwudziestu lat i od momentu gdy Oliver zapoznał ich z

sobą, Pattersona zaczęło nawiedzać niewyraźne, a pełne melancholii uczucie straty. Lucy była wysoką dziewczyną o jasnych, puszystych włosach, z dużymi, szarymi oczami o cętkowanej tęczówce. Jej twarz miała w sobie coś niepokojąco orientalnego. Bardzo prosty, nieco szeroki nos łączył się równą linią z szerokim, niskim czołem. Oczy Lucy były jak gdyby odrobinę skośne, a górna warga, dziwnie odwinięta, wydawała się nieco zbyt gruba i opadała ostrym, prostokątnym zarysem ku kącikom ust. Znacznie później, kiedy znali się już od dawna, Patterson chciał ją kiedyś określić i powiedział, że wygląda tak, jakby pochodziła z rodu samych blondynek, między które wśliznęła się ukradkiem, może tylko na jedną noc, jakaś prababka, która była tancerką z wyspy Bali. Lucy miała niezdecydowane usta o pełnych wargach, mówiła niskim, jakby lekko zdyszonym i urywanym głosem;

zdawało się, że nie jest pewna, czy ludzie zechcą jej wysłuchać do końca. Nigdy nie była modnie ubrana, ponieważ jednak moda tego roku była po prostu szkaradna, wychodziła na tym raczej dobrze. Robiła takie wrażenie, jakby jej ideałem był bezruch, zwłaszcza jeśli chodziło o ręce, które, siedząc, trzymała złożone na kolanach, a kiedy stała, opuszczała równo wzdłuż boków jak grzeczna, dobrze ułożona dziewczynka. Oboje rodzice Lucy nie żyli i nie miała ona żadnych innych krewnych prócz mitycznej ciotki w Chicago, o której Patterson nigdy nie mógł się dowiedzieć nic więcej ponad to, że była tego samego wzrostu co Lucy i przysyłała jej fatalne suknie, kiedy już sama nie chciała ich dłużej nosić. Będąc znacznie starszym i bardziej skłonny do rozmyślań, Patterson doszedł kiedyś do wniosku, że to lekkie wrażenie dziwaczności i zaniedbania, którego źródłem były ciotczyne suknie, właściwie dodawało Lucy uroku wyróżniając ją spośród innych dziewcząt i młodych kobiet, z których żadna nie dorównywała jej urodą, i budząc ciepłe opiekuńcze uczucie litości dla jej ubóstwa i młodzieńczej nieporadności.

Lucy pracowała wówczas na uniwersytecie Columbia jako asystentka u pewnego badacza-naukowca, który, według relacji Olivera, tkwił po uszy w morskich roślinach jednokomórkowych. Było to nieprawdopodobne zajęcie dla dziewczyny o takiej urodzie, a jeszcze bardziej nieprawdopodobne było to, że wyraźnie oznajmiła

Oliverowi o swoim zamiarze kontynuowania pracy po ślubie, zdobycia stopnia doktorskiego i starania się potem o stanowisko wykładowcy, nie rezygnując z własnych planów badawczych. Oliver uśmiechał się pobłaźliwie na myśl o tym, że jego przyszła żona jest takim zawziętym naukowcem, że od rana do wieczora zaabsorbowana jest swoimi algami, jak je uparcie nazywał, i dopóki była taka prześliczna, dopóki jej zamierzenia pozwalały na pozostawanie z nim razem w

Nowym Jorku, na razie nie protestował.



O ile Patterson mógł się zorientować, byli oboje bardzo zakochani w sobie, chociaż Lucy w towarzystwie zachowywała się dyskretnie i powściągliwie, znowu jak grzeczna dziewczynka, którą nauczono, że wszelkie zwracanie na siebie uwagi należy do złego tonu. Jeśli chodzi o Olivera, to jego sposób bycia odznaczał się zawsze

żartobliwą swobodą i opanowaniem, a pod wpływem obcowania na co dzień z lotnikami oraz przejęcia się ich stylem życia cechy te utrwaliły się jeszcze. Toteż

jedynie dzięki temu, że Patterson znał go tak dobrze, potrafił dosłuchać się w stosunku Olivera do Lucy nieustannie wibrującej nuty czułości i uwielbienia.

Krótko mówiąc, była to para wysokich, wspaniałych, niewinnych młodych ludzi i jeśli nawet później, z perspektywy lat, okazało się, że nie byli wcale aż tak wspaniali, to jednak wtedy, gdy oboje stali poważnie przed ołtarzem (w Nowym

Jorku, bo Oliver twierdził, że nie chce zapisać swego małżeństwa zawierając je w Hartford), Patterson był święcie przekonany, że jest to najwspanialszy związek spośród wszystkich, jakie w tym samym dniu czerwcowym zawierano w Stanach Zjednoczonych.

W czasie uczty weselnej, kiedy Pattersonowi szumiało już trochę w głowie od szampana przechowanego przez starego Crowna od czasów poprzedzających prohibicję, powiedział on w pewnym momencie lustrując nieco złośliwym spojrzeniem gości zgromadzonych przy stole:

- Niesamowite wesele! Nie ma ani jednego gościa, który by mógł się pochwalić, że kiedyś spał z panną młodą.

Ci, którzy słyszeli te słowa, śmiali się do rozpuku. Umocniła się jego reputacja jako kawalarza i jako człowieka, któremu niebezpiecznie jest zanadto się zwierzać.

Wracając nazajutrz pociągiem do Hartford razem ze swoją żoną Catherine, siedział oparty bezwładnie o okno i czuł, jak mu ciąży głowa. Czuł także, że jego małżeństwo, które liczyło sobie trzynaście miesięcy, było pomyłką. Nie można było nic na to poradzić, Catherine nie była temu winna i Patterson wiedział, że nic nie przedsięwzięmie w tej sprawie, a tylko będzie dokładać starań, aby jak najmniej cierpień zadawać Catherine z tego powodu. Siedział z zamkniętymi oczami, ostatnie opary weselnego szampana wietrzały mu z głowy. Wiedział, że jego pomyłka będzie trwać długo, spokojnie, w głębokim ukryciu. W owej epoce był cynikiem i pesymistą, toteż uważał za rzecz zupełnie normalną uświadomienie sobie w wieku dwudziestu siedmiu lat, że człowiek się pomylił i że do końca życia nie rozstanie się z tą swoją pomyłką.

Po powrocie z podróży poślubnej Oliver i Lucy żyli przez jakiś czas dokładnie tak, jak

sobie przedtem uplanowali. Mieli mieszkanie w Murray Hill, z dużym salonem, w którym najczęściej rojno było od ambitnych młodych ludzi, napływających w tym czasie masowo do Nowego Jorku. Oliver jeździł co rano do małej wytwórni samolotów w pobliżu Jersey City i od czasu do czasu rozbijał się na łąkach lub na słonych równinach w jednym z samolotów, które produkował razem ze swoimi współnikami. Lucy wybierała się pięć razy w tygodniu koleją podziemną do swego laboratorium i do alg w dzielnicy Morningside Heights, a po powrocie do domu przygotowywała obiad dla nich obojga, urządziła przyjęcie dla gości albo szła do teatru, rzadziej zaś zasiadała do swojej pracy doktorskiej. Nie nosiła już starych sukien po ciotce, ale okazało się, że w sprawach ubrania miała gust niezdecydowany lub może rozmyślnie surowy, co wynikało z jakiegoś dziewczęcego pojęcia skromności. Dość na tym, że nigdy nie wyglądała na prawdziwą mieszkankę Nowego

Jorku.

Patterson przyjeżdżał do stolicy, jak mógł najczęściej, i jeśli tylko się dało -

bez Catherine. Miał zawsze swoją kwaterę w mieszkaniu Crownów i do długiej listy rzeczy, których zazdrościł Oliverowi, przybyło jeszcze to mieszkanie i znajomi, którzy w nim bywali. W tym okresie przyszło Pattersonowi na myśl, że Lucy, chociaż

się wydawała spokojna i szczęśliwa, robiła jednak takie wrażenie, jak gdyby była gościem w swoim małżeństwie, a nie pełnoprawnym partnerem. Przyczyną tego musiała być w pewnej mierze jej nieśmiałość, której nie zdołała się jeszcze pozbyć, jak również zdolność OHvera do opanowywania każdego towarzystwa, w którym się znalazł, i kierowania nim, oczywiście - zawsze na wesoło, uprzejmie i bez wysiłku, a często nawet bez chęci ku temu.

Po powrocie Pattersona z jednej z takich wizyt w Nowym Jorku Catherine zapytała go, czy - jego zdaniem - Lucy jest szczęśliwa. Zawahał się przez chwilę, po czym odpowiedział:

- Tak, myślę, że tak. W każdym razie - prawie szczęśliwa. I spodziewa się, że z czasem będzie szczęśliwsza...

Ojciec Olivera utonął w morzu w pobliżu Watch Hill, a Lucy w tym samym roku urodziła syna. Oliver pojechał do Hartford, przejrzał książki rachunkowe zakładów drukarskich, przeprowadził rozmowy z matką i z kierownikiem drukarni, po czym wrócił do domu i powiedział Lucy, żeby się zabrała do pakowania, ponieważ

będą musieli się przenieść do Hartford na dłuższy okres.

Jeśli było mu trudno rzucić wytwórnię samolotów i rozstać się z Nowym

Jorkiem, to przełknął i zdusił w sobie żal w drodze powrotnej z Hartford i nigdy nie wspominał o tym Lucy ani Pattersonowi, ani też - o ile Patterson mógł się orientować

- nikomu innemu. Lucy spakowała notatki zawierające materiały do pracy doktorskiej, której nie miała nigdy napisać, umówiła się na pożegnalne śniadanie ze swoim szefem, który badał jednokomórkowe organizmy morskie, zamknęła drzwi od nowojorskiego mieszkania i wiernie idąc za mężem przeprowadziła się do obszernego domu Crownów w Hartford, gdzie Oliver się urodził i wychował i skąd od tak dawna usiłował się wyrwać.

Patterson cieszył się samolubnie, że miał teraz Lucy i Olivera pod bokiem, o kilka ulic od siebie. Ich dom tworzył ognisko wesołości i ożywienia, jakiego

Pattersonowie nigdy nie potrafili rozniecić. Patterson, jako stary przyjaciel i lekarz domowy, wpadał do Crownów po trzy i cztery razy w tygodniu, zasiadał z nimi do improwizowanych posiłków, bywał zapraszany na wszystkie przyjęcia, pełnił przy małym synku funkcję nie tylko lekarza, ale i oficjalnie mianowanego wujka, był powiernikiem i doradcą (tylko w stosunku do Lucy, bo Oliver nigdy nikogo nie prosił o radę), brał udział w planowaniu wakacji i weekendów, był murowanym czwartym do brydża i naczelnym filozofem w rodzinnym kółku. Dom Crownów stał się z biegiem czasu miejscem spotkań towarzyskich większości bardziej interesujących młodych małżeństw w Hartford i właśnie na przyjęciach w tym domu Patterson poznał w różnym czasie dwie piękne panie, z którymi później nawiązał bliższe stosunki.

Nie mógł się zorientować, czy Oliver i Lucy wiedzieli o tych dwóch paniach i o innych jego sekretnych i mniej sekretnych związkach, które w tym środowisku towarzyskim w latach dwudziestych i na początku trzydziestych były właściwie nieuniknione i powszednie. Śadnie z nich nie plotkowało ani nie zachęcało innych do plotek i w ciągu całego tego czasu żadne ani na jedną sekundę nie objawiło zainteresowania prywatnymi sprawami innych osób. Jeśli chodzi o Olivera, było to trochę zaskakujące, ponieważ przed ślubem czuł się on dobrze dopasowanym i godnym kompanem lotników oraz innych wesołych drabów, z którymi był na wojnie.

Wyglądało jednak na to, że z każdym rokiem znajdował coraz większe zadowolenie w wyłącznym przywiązaniu do żony. Nie było w tym uczuciu sentymentalnej lepkości, lecz tylko szczere, męskie oddanie i ufność, wobec których małżeństwo Pattersona, kiedy o nim pomyślał (czynił to, jak się dało najrzadziej!), wydawało się jałowe i pozbawione sensu.

Co do Lucy, to przeprowadzka do mniejszego miasta i zajęcie się dzieckiem uczyniły ją jak gdyby bardziej dojrzałą i pewną siebie. Teraz już tylko czasami, na dużych przyjęciach, kiedy Oliver jak zwykle królował w towarzystwie, ona zaś siedziała prawie zapomniana w kąci, Patterson przypominał sobie wrażenie, jakie na nim kiedyś sprawiała - że nie jest pełnoprawnym partnerem, lecz gościem w swoim małżeństwie.

Mieli tylko to jedno dziecko. Tony był bystrym i ładnym chłopczykiem, bardzo dobrze wychowanym. Jedynym ujemnym śladem faktu, że był jedynakiem, wydawało się jego nieco przesadne przywiązanie do matki. Jeżeli po powrocie ze szkoły nie zastał jej w domu albo jeżeli Lucy długo nie wracała z wyprawy po sprawunki, miał zwyczaj siadać na jej łóżku i czekać, a także telefonować z aparatu stojącego na szafce nocnej do rozmaitych znajomych, u których - jak przypuszczał -

mogła się zasiedzieć. W wielu zaprzyjaźnionych domach znano dobrze jego cichy, poważny głos mówiący przez telefon:

- Halo, tu mówi Tony Crown. Czy moja mama jest może u państwa? Dziękuję bardzo. Nie, nic się nie stało.

Oliverowi, rzecz jasna, nie podobały się te obyczaje i na pół z czułością, na pół z niezadowoleniem nazywał chłopca „Telefonistą”.

Patterson twierdził, że Tony ma tylko takie wady, z których łatwo mogłoby go uleczyć towarzystwo paru braciszków lub siostrzyczek. Ale Lucy z jakiegoś powodu nie zachodziła w ciążę i kiedy Tony miał dziesięć lat, Crownowie stracili nadzieję, aby mogli mieć więcej dzieci.

Patterson miał później cofać się myślą do tych lat jako do najlepszych w swym życiu. Przyczyną tego nie byli, oczywiście, tylko Crownowie ani nawet przede wszystkim Crownowie. W tym okresie osiągał on stabilizację życiową, powodziło mu się i zdawał sobie sprawę, że otwierają się przed nim szersze i pewne horyzonty.

Jednakże dom Crownów z zawsze otwartymi dla niego drzwiami, ze swoją bezceremonialną swobodą, z przyjaźnią Olivera i powściągliwą serdecznością Lucy, wreszcie z przywiązaniem małego chłopca, podwójnie rozczulającym dla bezdzietnego mężczyzny, ten dom dawał sukcesom Pattersona barwne tło i oprawę, których nie mógłby znaleźć gdzie indziej. Uczucie, jakie żywił do Lucy i które od czasu do czasu określał jako miłość (tylko wobec samego siebie i zawsze z ironicznym uśmieszkiem), sprawiało, że za każdym razem, kiedy naciskał dzwonek u drzwi Crownów, rozpalala się w nim na nowo iskierka oczekiwania i tajemnej radości.

Siedzieli w wygodnym buicku i mknęli z szybkością pięćdziesięciu mil na godzinę w strumieniu innych aut, wracających do miasta w niedzielny wieczór.

Patterson znowu spojrzął spod oka na Olivera.

„Ciekaw jestem - zastanawiał się z lekką złośliwością - jak by on się zachował, gdyby wiedział, o czym przed chwilą myślałem. Jakie to cudowne, że człowiek nie potrafi czytać w myślach przyjaciół.”

Sam... - odezwał się Oliver nie odrywając spojrzenia od szosy.

No?

Jak myślisz, mógłbyś się wybrać jeszcze raz nad jezioro tego lata?

Postaram się - odparł Patterson.

Ale zrobisz coś dla mnie?

Co takiego?

Daj spokój tym razem pani Wales.

Co ci znowu do łba strzeliło? - zaczął Patterson, doskonale, jak mu się zdawało, naśladowując zdumienie.

Oliver uśmiechał się, pochylony lekko nad kierownicą.

No, no, Sam... - mitygował go łagodnie. Patterson roześmiał się.

Okej - powiedział. - Zrezygnuję tym razem z pani Wales.

Mnie tam nic do tego - rzekł Oliver. - Ale Lucy wytoczyła wielką armatę.

Aa, to Lucy...

Patterson poczuł, że czerwienieje, zrobiło mu się gorąco i w tej samej chwili postanowił, że nie pojedzie już nad jezioro w tym roku, ani sam, ani z panią Wales.

- Ochotniczy Związek Zawodowy śón występuje w obronie swych członkiń - powiedział Oliver.

Przejechali w milczeniu kilka mil, po czym Oliver znowu odezwał się pierwszy:

Sam, jak ci się wydał ten chłopak? Wiesz, ten Bunner? Okej. Myślę, że będzie dobry dla Tony'ego.

Jeżeli wytrzyma - zauważył Oliver.

Co chcesz przez to powiedzieć?

Lucy obrzydzi mu życie - zaśmiał się Crown półgłosem. - Założę się, że za tydzień dostanę od niej list, w którym mi napisze, że przez Bunnera Tony omal nie utonął, że Bunner nauczył go brzydkich wyrazów i że wobec tego musiała go odprawić. O Boże! - westchnął i pokręcił głową. - Wychować jedynaka to wcale nie takie proste. I jeszcze w dodatku chorego jedynaka. Czasami, kiedy na niego patrzę, dreszcz mnie przechodzi na myśl, co z niego może jeszcze wyrosnąć.

- Wyrośnie jak najlepiej. - Patterson stanął w obronie Tony'ego, wierząc zresztą we własne słowa. - Za bardzo się tym przejmujesz.

Oliver mruknął coś niezrozumiale.

- Czego ty właściwie chcesz? - pytał Patterson. - żeby ci dać gwarancję, że

Tony zostanie wybrany na gubernatora stanowego albo że wygra mistrzostwa świata

w wadze ciężkiej? Czym on ma być według ciebie?

Oliver zamyślił się i zgarbił trochę nad kierownicą.

Cóż - powiedział po chwili zwalniając nieco - nie mam na myśli nic określonego. - Uśmiechnął się i dokończył: - Chcę po prostu, żeby wyrósł na takiego człowieka, któremu się w życiu powodzi.

Nie bój się - uspokoił go Patterson. - Z taką matką i takim ojcem musi chłopak mieć szczęście w życiu. To już jest rodzinne.

Oliver uśmiechnął się, ale doktor był pewien, że ten uśmiech wyrażał ironię i gorycz.

- Cieszę się, że jesteś tego zdania - powiedział krótko. „Co tu można wiedzieć? - pomyślał doktor przypominając sobie nagle swoje olśnienie tam, na trawniku, przed kilku godzinami, kiedy mu się wydało, że Oliver jest człowiekiem zawiedzionym w swoich nadziejach. - Ma tak dużo i mimo to uważa, że mu się nie powiodło w życiu. Czegóż on się, u diabła, spodziewa od tego życia?”

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Pod koniec pierwszego tygodnia po wyjeździe męża Lucy napisała do Olivera, że młody Bunner sprawia się bardzo dobrze i że potrafił sobie pozyskać Tony'ego, pozostawiając mu sprytnie inicjatywę we wszystkich wspólnych poczynaniach. Pisała dalej, że Bunner jest bardzo wesoły i wykazuje dużą pomysłowość, jeśli chodzi o powstrzymanie Tony'ego przed zbytnim wysiłkiem. Na koniec donosiła, że nawet w dni deszczowe Tony czuje się szczęśliwy w towarzystwie młodego opiekuna.

Pod koniec drugiego tygodnia Lucy nie wiedziała właściwie, co ma napisać mężowi, ponieważ Jeff zdążył już wyznać, że ją kocha.

Z początku śmiała się z niego odgrywając z pewnym zakłopotaniem rolę ubawionej tym zdarzeniem starszej kobiety, do czego nigdy przedtem nie miała okazji. Potem postanowiła napisać do Olivera i zapytać go, co ma z tym zrobić, ale odwlekała pisanie obawiając się, że Oliver będzie sobie z niej kpił, że mogła coś podobnego traktować poważnie. W końcu, nastrojona niemal że opiekuńczo, pozwoliła się pocałować Jeffowi, aby mu dowieść, że nie może to mieć najmniejszego znaczenia ani dla niej, ani dla niego. I wtedy zrozumiała, że cokolwiek by nastąpiło, nie napisze o tym do Olivera.

Przez trzy dni unikała pozostawania sam na sam z Jeffem i dziesięć razy w ciągu tych dni już-już miała mu powiedzieć, że powinien wyjechać, ale i tego także nie zrobiła.

Lucy była jedną z tych kobiet, które zachowują niewinność w małżeństwie.

Nigdy nie zdawała sobie w pełni sprawy z potęgi, jaką dawała jej piękność, ani z wrażenia, jakie wywierała na mężczyznach. Mimo że niezwykle ponętna, zachowywała jednak tak wyraźnie nieprzystępną postawę, że mało kto próbował do niej się zbliżyć.

Jedynym godnym uwagi wyjątkiem był Sam Patterson, który pewnej nocy - na dansingu w klubie podmiejskim, kiedy dobrze podpity znalazł się z nią we dwójkę na tarasie - wziął ją niespodziewanie w ramiona. Nie bronila mu tego, gdyż w pierwszej chwili wzięła jego podniecenie miłosne za zwykłą serdeczność przyjaciela.

- Lucy, kochanie! - wyszeptał. - Chciałem ci coś powiedzieć.

Ja cię...

Natychmiast zorientowała się po jego głosie i zrozumiała, że cokolwiek miał jej do powiedzenia, lepiej było tego nie słyszeć. Wywinęła się zręcznie z jego objęć i śmiejąc się pobłażliwie spytała:

- Słuchaj no, Sam, ileś ty dzisiaj wypił?

A on stał zawstydzony i wyzywający zarazem, nieomal tragiczny.

- Picie nie ma z tym nic wspólnego - powiedział, ale zostawił ją i wrócił prędko na salę.

Ona zaś pomyślała wówczas: „To przecież tylko Sam, wszyscy wiedzą, jaki on jest w tych sprawach.” Znalazłszy się z powrotem na sali zaczęła się rozglądać i liczyć z humorem kobiety, z którymi Sam Patterson romansował. Były tam trzy, co do których miała całkowitą pewność, dwie, których była prawie że pewna, i jedna, którą tylko podejrzewała. Nie wspomniała Oliverowi ani słówkiem o zajściu, bo na cóż by się to zdało? Oliver na pewno zareagowałby ostro i zerwałby stosunki z Pattersonem, na czym wszyscy by tylko stracili. Patterson nigdy nie napomknął o owej nocy na tarasie, ona także nie poruszała tej sprawy, a zresztą było to już tak dawno, chyba w pięć lat po ślubie, że teraz zdawało się jej czasami, jakby nic podobnego w ogóle się nie zdarzyło.

Wierność Lucy miała źródło nie tyle w jej moralności, ile w mieszaninie miłości, wdzięczności i lęku w stosunku do Olivera. Uważała, że Oliver uratował ją od niepewnej, trudnej młodości, i pamięć o tym ocaleniu (bo tak na to patrzyła!)

kazała jej odpychać od siebie niemal automatycznie wszelkie przelotne pokusy, jakich mogła w ciągu tych lat doznawać w zetknięciu z innymi mężczyznami.

Mimo swobodnego sposobu bycia Jeff był na tyle niedoświadczony, że wszystkie kobiety wydawały mu się mniej więcej jednakowo przystępne czy nieprzystępne. Co dziwniejsze, ten przystojny chłopak był jak najbardziej skromnego mniemania o sobie i kiedy siedzieli we dwójkę na trawie po obiedzie, od razu wyjechał z całą tą historią. Byli sami, gdyż

Tony odprawiał swoją godzinę drzemki, która stanowiła nieodmienną część codziennego programu.

Nad jeziorem wisiała południowa cisza, zamarł poranny wietrzyk i zdawało się, że nawet owady poszły spać. Lucy miała na sobie kretonową sukienkę w kwiaty.

Siedziała oparta plecami o drzewo, z nogami skrzyżowanymi i wyciągniętymi przed siebie, z otwartą książką na kolanach, odwróconą do góry okładką. O parę stóp od niej Jeff klęczał na jednym kolanie, podobny do piłkarza, który odpoczywa w czasie przerwy. W ustach trzymał źdźbło trawy, oczy miał spuszczone i od czasu do czasu zrywał łodyżkę koniczyny, przyglądał się jej uważnie i odrzucał od siebie. W cieniu drzewa panował miły chłód, skóra Lucy zachowała jeszcze od rannego pływania wspomnienie łagodnego dotknięcia wody w jeziorze. Siedząc teraz na trawie czuła, że oto przeżywa niezmaconą, cudowną chwilę, którą pragnęłaby zatrzymać i przedłużyć w nieskończoność.

Jeff był ubrany w spłowiałe niebieskie bawełniane spodnie i białą koszulkę z kwadratowym wycięciem u szyi, z krótkimi rękawkami. W migotliwym cieniu padającym z góry od poruszających się liści skóra jego odcinała się od białości koszuli barwą ciemnego mahoni. Miał nie owłosione, lecz muskularne ramiona.

Lucy zwróciła uwagę, jak delikatnie poruszały się pod cienką skórą ścięgna powyżej przegubu, kiedy zrywał łodyżki koniczyny. Był bosy, stopy miał trochę kanciaste i o wiele jaśniejsze od reszty ciała, a przy tym - tak się przynajmniej Lucy wydawało - po dziecinnemu wrażliwe.

„Gdzieś po drodze - przemknęło jej przez myśl - zapomniałam, jak wyglądają młodzi mężczyźni.”

Jeff zmrużył oczy i przyglądał się listkowi, który trzymał w ręku.

Przez całe życie na nią polowałem - odezwał się nagle - i nie udało mi się znaleźć ani jednej.

Czego znaleźć?

Czterolistnej koniczyny - odparł rzucając listek na trawę. - Czy nie uważa pani, że to ma swoją wymowę?

Bardzo głęboką wymowę.

Ja także jestem tego zdania.

Oszczędnym, zwinnym ruchem złożył się jak scyzoryk i usiadł po turecku.

„Młodzi mężczyźni są tacy wąscy i gięty w biodrach” - pomyślała Lucy.

Potrząsnęła głową, podniosła z kolan książkę i zabrała się znowu do czytania.

„Nic im się nie udawało - czytała. - W Arles były komary, a kiedy dojechali do



Carcassonne, okazało się, że zamknięto dopływ wody na całe popołudnie.”

Muszę znać przyczynę - odezwał się Jeff.

Czytam teraz.

Dlaczego pani mnie unikała przez te trzy dni? - pytał uparcie.

Umieram z ciekawości, jak się skończy ta książka - oświadczyła Lucy. - Oboje są bogaci, młodzi i piękni, podróżują po całej Europie, ale zdaje mi się, że ich małżeństwo musi się rozlecieć.

Pytałem panią o coś.

Był pan kiedy w Arles?

Nie - odparł Jeff. - Nigdzie nie byłem. Chce pani ze mną pojechać do Arles?

Odwróciła kartkę.

- Właśnie dlatego unikałam pana przez te trzy dni - powiedziała. - Jeśli pan nie przestanie mówić mi takich głupstw, to naprawdę lepiej, żeby pan stąd wyjechał.

Wymawiając te słowa zdawała sobie sprawę, że jej myśli układają się zupełnie inaczej. „Jak to przyjemnie - myślała - siedzieć pod drzewem i słuchać głupstw, które opowiada ten chłopak: Chce pani pojechać ze mną do Arles?”

Powiem pani coś o pani samej - oznajmił Jeff.

Mam ochotę poczytać. Niech pan nie będzie niegrzeczny.

Pani pozwala wymazywać się z życia.

Co takiego? - zapytała odkładając w zdumieniu książkę.

Tak, przez swego męża. - Jeff wstał i mówił dalej patrząc na nią z góry. - On panią zamknął, zepchnął w kąt, zamurował, zdusił...

Pan sam nie wie, co pan opowiada - oburzyła się Lucy, tym gwałtowniej, że od czasu do czasu zarzucała Oliverowi niemal to samo i mniej więcej w tych samych słowach. - Przecież pan go nawet nie zna.

Znam go, właśnie że znam! A jeżeli nie jego samego, to znam ten typ. Mój ojciec ma przynajmniej dziesięciu takich przyjaciół jak on, mogłem się im przyglądać u nas w domu od urodzenia. Cnotliwi, wyżsi ponad to, zawsze przemawiający łagodnym głosem, wszechwiedzący panowie świata ze znaczkim Ligi Moralności w klapie marynarki.

Nie ma pan zielonego pojęcia o tym, co pan mówi - upierała się Lucy.

Czyżby? Nie mam zielonego pojęcia? - Jeff zaczął defilować przed nią nerwowymi krokami tam i z powrotem. - Obserwowałem was w sierpniu zeszłego roku. Siedziałem za wami w kinie, kręciłem się koło kiosku, kiedy przychodziliście kupować lody. Udawałem, że

wybieram jakieś pismo ilustrowane, kiedy wymienialiście książki w czytelni. Trzy razy na dzień przepływałem kajakiem koło waszego domku. Już wtedy patrzyłem tylko na panią, tylko na panią. - Głos Jeffa przeszedł w zawodzenie. - Jak pani myśli, po co tu przyjechałem w tym roku?

Cicho. Robi pan naprawdę za dużo hałasu.

Nic nie mogło ujść mojej uwagi - oświadczył Jeff melodramatycznym tonem. - Nic absolutnie. Czy pani mnie wcale nie zauważyła?

Nie - odparła Lucy.

No, widzi pani! - zawołał głośno, jak gdyby zaliczał sobie wygrany punkt. - To on pani założył końskie okulary na oczy. Oślepił panią. Już pani sama nie potrafi niczego dostrzec, wszystko widzi pani tylko przez jego zimne oczy, obojętne jak fiszka w kartotece.

No, no - próbowała go uspokoić rozsądnymi słowami. - Nie zdaje mi się, żeby w tym było coś nadzwyczajnego, jeżeli kobieta zamężna w moim wieku nie zwraca specjalnej uwagi na dziewiętnastoletnich chłopców, którzy się kręcą koło kiosku z lodami.

Proszę mnie nie nazywać dziewiętnastoletnim chłopcem! - wybuchnął rozpaczliwie. - I niech pani nie mówi o sobie: Kobieta zamężna w moim wieku.

Nie, naprawdę jest pan okropnie trudnym chłopcem - rzekła Lucy i podniosła na nowo książkę. - Teraz mam zamiar czytać - oświadczyła stanowczo.

Proszę bardzo, niech pani czyta - odparł krzyżując ramiona na piersi i spoglądając na nią z góry płonąącym wzrokiem. - Mnie wszystko jedno, czy pani będzie słuchała tego, co chcę powiedzieć, czy nie. Tak czy inaczej, mam zamiar to powiedzieć. Chodziłem za panią i śledziłem, bo pani jest najcudniejszą kobietą, jaką widziałem w życiu...

„Za Carcassonne - czytała Lucy donośnym, melodyjnym głosem - zatrzymała ich powódź. Doszli do wniosku, że Hiszpania i tak okazałaby się zapewne nudna, wobec czego zawrócili na północ, w kierunku...”

Jeff schylił się ze zdławionym okrzykiem i wyrwał jej z rąk książkę. Rzucił ją z rozmachem daleko na trawę.

- Dobrze - rzekła Lucy wstając. - Dość już tego. Co innego być nieodpowiedzialnym, zabawnym chłopcem, a zupełnie co innego zachowywać się jak impertynencki i zarozumiały gbur. Teraz proszę się stąd wynosić.

Jeff stał przed nią z zaciśniętymi ustami.

Proszę mi przebaczyć - wyrzekł ochryplym głosem. - Ja nie jestem zarozumiały. Nie ma na świecie człowieka mniej zarozumiałego ode mnie. Ale nie mogę zapomnieć tego pocałunku i...

Musi pan to całkiem wykreślić z pamięci - przerwała mu ostro. - Pozwoliłam się pocałować, bo pan się napraszał jak małe szczenię, a dla mnie znaczyło to tyle, co pocałować siostrzeńca na dobranoc.

W chwili gdy to mówiła, odczuwała zadowolenie z samej siebie, że potrafi tak mądrze z nim postępować.

Nie kłam - wyszeptał. - Wszystko, tylko nie kłam.

Prosiłam, żeby pan sobie poszedł. Patrzył na nią płonąącym wzrokiem.

„Gdyby ktoś nas w tej chwili obserwował przemknęło jej przez myśl - byłby przekonany, że Jeff właśnie oświadcza mi swoją nienawiść.”

Nagle odwrócił się i wyprostowany, bosi, poszedł w kierunku miejsca, gdzie leżała rzucona książka. Podniósł ją, wygładził zgniecione kartki i powoli wrócił pod drzewo.

- Proszę - rzekł oddając jej książkę. - Przyznaję, że jestem dureń. Wszystko przyznaję. - Uśmiechnął się nieśmiało. - Przyznaję nawet, że zeszłego roku miałem dziewiętnaście lat. I nie będę pamiętał o niczym, jeżeli pani tak chce. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek powiedział, że pani jest cudowną kobietą, i nie przypominam sobie, żebym mówił o panu Crown inaczej, jak tylko o wzorze do naśladowania przez innych mężczyzn. A przede wszystkim nie pamiętam, żebym kiedykolwiek panią całował. Uniżam się przed panią w najbardziej wschodni, orientalny, poniżający sposób i przysięgam, że będę pokorny i unizony od tej chwili aż do samego Święta

Pracy.

Zatrzymał się oczekując, że się może uśmiechnie, ale Lucy nie uśmiechała się.

Szukała w książce miejsca, w którym jej przerwał.

Jestem pokorny jak robak - podjął na nowo Jeff przyglądając się jej uważnie. - Jestem pełen uszanowania jak kamerdyner w domu milionera i zupełnie bezpłciowy, niczym siedemdziesięcioletni eunuch w tureckim przytułku dla starców...

Nareszcie! - zawołał triumfalnie. - Roześmiała się pani.

Niech będzie - rzekła Lucy siadając znowu na trawie. - Może pan zostać.

Ale pod jednym warunkiem.

Pod jakim? - zapytał podejrzliwie.

Musi pan obiecać, że nie będzie pan więcej poważny.

- Będę taki frywolny - zapewniał z powagą - że niemowlęta będą się ode mnie odwracać z obrzydzeniem.

Z obozu chłopców na tamtym brzegu jeziora zabrzmiała trąbka, a Jeff, jakby to był sygnał dla niego, zsalutował sztywno, zamaszycie i powiedział wykonując na pięcie zwrot

w tył z iście wojskową precyzją:

- Na razie opuszczam panią. Idę poświęcić życie pogoni za czterolistną koniczynką.

Oddalał się powoli, ze spuszczoną głową, z oczami utkwionymi w ziemi.

Systematycznie przeszukiwał trawnik zatrzymując się od czasu do czasu i schylając się, by uszczknąć małą roślinkę. Lucy siedziała oparta plecami o drzewo, z przymkniętymi oczami, świadoma bliskości tej postaci w białej koszuli, snującej się w południowym upale po słonecznym trawniku, na tle lśniącego srebrzyście jeziora i bladobłękitnych gór.

„Przyglądał mi się przez całe lato - myślała sennie. - No, więc co z tego?”

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ależ, Lucy, musisz sobie przypomnieć, gdzie go położyłaś - mówił Oliver przez telefon tonem, który tak dobrze znała. Tonem nabrzmiałym pełną znużenia łagodnością, maskującą zniecierpliwienie, tonem, który wprawiał jej mózg w stan odrętwienia i całkowitego zaniku pamięci. - Pomyśl tylko dobrze.

Przecież myślę - odparła czując, że mówi jak nadąsane dziecko, ale nie mogła nic na to poradzić. - Jestem pewna, że zostawiłam wszystkie rachunki w moim biurku.

Telefon był w saloniku i rozmawiając z mężem Lucy patrzyła na Tony'ego i

Jeffa, którzy w świetle lampy grali w szachy przy dużym stole pośrodku pokoju. Obaj grali w skupieniu, z głowami pochylonymi ku sobie nad szachownicą, Tony bowiem uparł się wygrać koniecznie, a Jeff był dobrze wychowany i nie chciał, by go posądziła o podsłuchiwanie rozmowy, którą prowadziła o parę kroków od niego.

- Lucy, kochanie! - W głosie Olivera znużenie i łagodność brzmiały jeszcze bardziej napiętym tonem. - Dwa razy przeszukałem twoje biurko. Tam nie ma tego rachunku. Są rachunki z trzydziestego drugiego roku, są różne przepisy na zupę rybną i zaproszenie na ślub tej pary, która się rozwiodła trzy lata temu, ale rachunku z garażu nie ma. Powtarzam - mówił dobitnie, tym głosem doprowadzającym do szału -

rachunku za garaż w biurku nie ma.

Miała ochotę się rozplakać. Za każdym razem kiedy Oliver wytykał jej nieudolność w prowadzeniu rachunków domowych, wpadała w popłoch, ogarniało ją tragiczne uczucie, że współczesny świat jest dla niej zanadto skomplikowany, że jacyś nieznani ludzie skorzystali z jej chwilowej nieobecności, by zakraść się do pokoju i ograbić ją z najważniejszych papierów, że w końcu Oliver uważają z wszelką pewnością za idiotkę i żałuje, że się z nią ożenił. Gdyby nie Tony i Jeff, rozplakałaby się na pewno, co miałyby ten dobry skutek, że Oliver dałby jej

spokój i powiedział:

„No, mniejsza z tym. Ostatecznie, to nie jest takie ważne. Jakoś to już załatwię.”

Mimo że ani Tony, ani Jeff nie patrzyli na nią, nie mogła się oczywiście rozplakać.

Zdobyła się na powiedzenie:

Jestem pewna, że zapłaciłam. Jestem zupełnie pewna.

Jenkins twierdzi, że nie zapłaciłaś - odparł Oliver. Jenkins był właścicielem garażu.

Lucy gardziła nim, ponieważ

miał zwyczaj przestawiania się jak za naciśnięciem guziczka z gorliwej uprzejmości do jazgotliwych wymówek, jeśli klient nie zapłacił mu należności punktualnie na piątego każdego miesiąca.

A ty komu masz zamiar uwierzyć? - zapytała. - Jenkinsowi czy mnie?

Ale przecież nie ma tej sumy w książeczce czekowej. - Lucy omal nie zawyła, tak ją świdrował ten nieubłagany, daleki głos. - Nie mogę także znaleźć pokwitowania, a dzisiaj, kiedy wstąpiłem po benzynę, Jenkins był bardzo nieprzyjemny. Wiesz, Lucy, to naprawdę niemiła sytuacja, kiedy taki facet podchodzi do ciebie i powiada, że od trzech miesięcy jesteś mu winien siedemdziesiąt dolarów.

A ja byłem przekonany, że zapłacone.

Bo jest zapłacone - upierała się, mimo że nie pamiętała nic absolutnie.

Lucy, powtarzam ci, że musimy mieć ten rachunek.

- Więc co chcesz, żebym zrobiła?! - zawołała podnosząc głos mimo woli. - Mam przyjechać i szukać sama? Jeżeli tak, to wsiodam w pociąg jutro rano.

Na te słowa Jeff uniósł na sekundę wzrok znad szachownicy, ale natychmiast spuścił znowu powieki.

Pilnuj swojej królowej - ostrzegł Tony'ego.

Mam morderczy plan - odparł chłopiec. - Radzę, niech pan uważa!

Ależ nie, nie - Oliver uspokajał żonę zmęczonym głosem. - Pogadam z nim jeszcze.

Nie myśl już o tym.

Kiedy Oliver mówił: „Nie myśl już o tym”, Lucy wiedziała, że zapadł na nią wyrok. Taki mały, powtarzający się, narastający, potępiający wyrok.

- Co tam u was słyhać? - pytał Oliver, ale głos jego brzmiał teraz chłodno, jak gdyby ściągał jej cugle. - Jak Tony się czuje?

- Gra teraz w szachy z Jeffem. Chcesz z nim porozmawiać?

- Tak, proszę cię.

Lucy odłożyła słuchawkę.

- Tony, ojciec chce z tobą mówić - powiedziała do chłopca.

Kiedy Tony zawołał: „Serwus, tatuś!”, Lucy już nie było w pokoju. Czuła, że Jeff jej się przyglądał, gdy wychodziła na ganek, i zdawało jej się, że wyglądała na zdenerwowaną i upokorzoną.

- Widzieliśmy dzisiaj jelenia - opowiadał Tony Oliverowi. - Przyszedł nad jezioro, żeby się napić.

Lucy poszła przez trawnik nad jezioro. Nie miała ochoty rozmawiać jeszcze raz z Oliverem. Świecił księżyc w pełni, wieczór był ciepły, nad wodą wstawał leciutki, mleczny opar. Z przeciwległego brzegu dolatywał dźwięk trąbki. Chłopiec grający na trąbce dawał co wieczór krótki koncert. Dzisiaj były to francuskie marsze kawaleryjskie. Grał bardzo dobrze, a skoczne, obce melodie nasycaly krajobraz -

miękkie, niemal zatarte przez wstającą mgłę brzegi jeziora - dziwnie melancholijnym nastrojem.

Lucy stała osłaniając dłońmi nagie ramiona, bo lekki chłód ciągnął brzegiem wody. Blask księżycy i melodia płynąca nad jeziorem łagodziły jej rozdrażnienie przemieniając je w litość nad samą sobą.

Usłyszała ze sobą kroki, ale nie odwróciła się, a kiedy Jeff otoczył ją ramionami, nie miała wcale wrażenia, że jest kobietą, którą młody mężczyzna prześladowuje swoją miłością. Czuła się jak dziecko, którym zaopiekował się ktoś dorosły. Wprawdzie, gdy się obróciła i Jeff ją pocałował, uczucie to zmieniło się w coś całkiem innego, lecz mimo to zdawało jej się, że została skrzywdzona i że teraz ktoś gładzi i opatruje bolące miejsce. Czuła na obnażonych plecach jego dłonie -

gładkie i twarde, delikatne, szukające, domagające się. Oderwała usta od jego ust i ciągle w jego objęciach, oparła mu głowę o ramię.

- O Boże! - wyszeptał Jeff.

Ujął ją pod brodę i próbował unieść jej głowę, ale ona opierała się i mocniej przywierała twarzą do jego flanelowej koszuli.

Nie - powiedziała. - Więcej nie...

Później - szepnął. - Jestem sam w całym domu. Siostra wyjechała na tydzień do miasta.

Przestań.

Byłem taki grzeczny - błagał Jeff. - Już dłużej nie mogę. Lucy...

Mamo! - rozległ się od strony domu przenikliwy dziecinny głos. - Mamo!

Lucy wyrwała się i pobiegła przez trawnik.

Jestem, Tony! - zawołała dobiegając do ganku.

Tatusz pyta, czy będziesz z nim jeszcze rozmawiać.

Zatrzymała się i oparta o kolumnę ganku usiłowała uspokoić oddech.

Nie, chyba że tatuś chce mi coś specjalnego powiedzieć - odpowiedziała mu przez otwarte okno.

Mama mówi, że nie, chyba że chcesz jej coś specjalnego powiedzieć - powtarzał Tony do telefonu.

Czekała. Przez chwilę było cicho, a potem chłopiec powiedział:

- Okej! Będę. Do widzenia.

Usłyszała lekki trzask odkładanej słuchawki. Tony podniósł żaluzję i wystawił głowę przez okno.

Mamo! - zawołał.

Jestem tutaj - odezwała się z mroku, w którym tonął ganek.

Tatusz kazał ci powiedzieć, że nie może do nas przyjechać na tę niedzielę, bo będzie jakiś pan z Detroit, z którym się musi spotkać.

Dobrze. - Widziała, jak Jeff wraca powoli przez trawnik zalany księżycową poświatą. - Ale słuchaj, jeżeli chcesz spać na ganku, to już czas, żebyś sobie szykował poślanie.

Nie skończyliśmy partii - zaprotestował Tony. - Przycisnąłem Jeffa okropnie do muru.

Możecie skończyć jutro. Przecież jutro Jeff będzie tak samo przyciśnięty do muru.

No dobra - zgodził się Tony i cofając głowę spuścił z łoskotem żaluzję.

Jeff wszedł na ganek i stanął przed Lucy. Już wyciągał do niej ramiona, ale odsunęła się i zapaliła lampę stojącą na trzcinowym stole, obok długiego, rozsuwanego fotela, na którym Tony miał spać.

Lucy - wyszeptał idąc za nią - nie uciekaj ode mnie.

Tamtego wcale nie było - powiedziała z naciskiem. Nerwowym ruchem wepchnęła do stojącego na stole koszyczka koszulę Tony'ego, do której po południu przyszywała guziki. - Niczego nie było. Niech pan o tym zapomni. Proszę. Niech pan zapomni.

Nigdy - odparł stojąc tuż przy niej. Wyciągnął rękę i dotknął palcami jej warg. - Twoje usta...

Usłyszała swój jęk i zdziwiła się tym ogromnie. Miała uczucie, że traci panowanie nad najprostszymi gestami, nad ruchami rąk, nad głosem w krtani.

- Nie - rzekła twardo i przeszła obok Jeffa pocierając mocno wargi grzbietem dłoni.

Tony wszedł na ganek obładowany pościelą i zwałił ją na fotel.

- Jeff - zwrócił się do swego opiekuna - ale musi pan coś obiecać. Nie wolno patrzeć na szachownicę aż do jutra rana.

Co? - spytał Jeff odwracając powoli głowę w jego stronę.

Bo gra musi być przecież uczciwa. Przyrzeka pan?

A, tak, przyrzekam - odparł Jeff uśmiechając się blado. Schylił się, podniósł teleskop leżący pod krzesłem i zaczął przecierać soczewkę rękawem koszuli. Zdawał się całkowicie pochłonięty tą ważną czynnością. Lucy patrzyła na Tony'ego, który zabrał się do rozścielania prześcieradła i kołdry na zaimprovizowanym łóżku.

Naprawdę chcesz spać tutaj, na dworze? - zapytała myśląc równocześnie, że jeśli odda się troskom matczynym, to prędzej odzyska równowagę. - Nie będzie ci zimno?

Wcale nie jest zimno, mamusiu - odparł wesoło Tony. - Miliony ludzi śpią w lecie na dworze, prawda, Jeff?

Tak, miliony ludzi - potwierdził Jeff nie przestając przecierać soczewki.

Siedział teraz na schodkach z pochyloną głową, tak że Lucy nie mogła widzieć jego twarzy.

śolnierze, myśliwi, alpiniści - wyliczał Tony. - Napiszę do tatusia i poproszę, żeby mi przywiózł śpiwór. Wtedy będę mógł spać na dworze, choćby był śnieg.

Masz na to jeszcze dosyć czasu - odezwał się Jeff wstając ze schodów.

Lucy przyjrzała mu się uważnie. Twarz miał spokojną, wcale nie zmienioną, malował się na niej zwykły wyraz przyjaznej i sceptycznej pobłażliwości w stosunku do Tony'ego.

„Muszę być z nim ostrożna - pomyślała. - Zanadto jest elastyczny. Okazuje się, że młodzi mężczyźni są gięcy nie tylko w biodrach.”

- Tak, Tony, masz masę czasu - powtórzył Jeff niedbale. - Aż do dwunastej wojny światowej.

- Co za bzdury! - zachnęła się Lucy.

Podeszła do Tony'ego i zaczęła mu pomagać w szykowaniu posłania.

- *Pardon* - poprawił się Jeff. - Do piętnastej wojny światowej..

- Nie złość się na niego, mamó - powiedział Tony. - Ja mam z Jeffem taką umowę. Rozmawia ze mną tak, jakbym miał już dwadzieścia lat.

- Nie będzie ani dwunastej, ani piętnastej, ani żadnej wojny światowej - oświadczyła Lucy.

Na myśl o wojnie ogarniało ją przerażenie. Nie chciała czytać komunikatów z

Hiszpanii, gdzie przez rok toczyła się wojna domowa, i udało jej się uprosić Olivera, aby nie kupował Tony'emu, gdy ten był jeszcze mały, ołowianych żołnierzy ani działek



przeciwlotniczych. W gruncie rzeczy, temat ten nie byłby dla niej do tego stopnia przykry, gdyby jakimś sposobem mogła uzyskać gwarancję, że jeśli wojna wybuchnie, to w takim czasie, kiedy Tony będzie albo jeszcze za młody, albo już za stary, aby wziąć w niej udział. Gdyby ktoś ją zmusił do ujawnienia swego stanowiska, powiedziałaaby, że patriotyzm jest dobry dla ludzi mających dużo dzieci.

Mówcie o czym innym - zaproponowała.

Tony, mówimy o czym innym - powtórzył posłusznie Jeff.

Oglądał pan dzisiaj księżyc? - zapytał Tony. - Prawie pełnia. Można wszystko zobaczyć.

Księżyc... - powiedział Jeff w zamyśleniu.

Położył się na wznak na deskach, wziął krzesło i obróciwszy je do góry nogami, ścisnął mocno kolanami. Oparł teleskop o poprzeczkę krzesła, zmrużył jedno oko i wpatrywał się w niebieski firmament.

Co pan tam robi? - spytała Lucy niemal podejrzliwie.

Tony mnie tego nauczył - odparł Jeff poprawiając teleskop. - Trzeba mieć nieruchome pole widzenia, prawda, Tony?

Bo inaczej gwiazdy się zamazują - wyjaśnił Tony majstrując przy łożku.

A jedyna rzecz, której tu sobie nie życzymy - ciągnął Jeff - to zamazane gwiazdy. - Przekręcił pierścień jeszcze o ćwierć obrotu. - Spójrzmy oto na czysty, nie zamazany Księżyc. - Uderzył nagle w ton profesorski. - Bardzo interesujący cel wycieczek, jeżeli ktoś lubi podróże. Można żeglować w kamiennej łodzi przez *Marę Crisium*... Tony, jak to jest po angielsku?

- Morze Kryzysowe - odpowiedział Tony bez chwili namysłu.

- Kryzysy... - westchnął Jeff. - Nawet na zimnym, martwym księżycu.

„Nie mógł mówić poważnie o tamtych rzeczach - myślała Lucy z goryczą. - Po prostu próbował, a nuż się uda. Bo jeżeli teraz może się bawić z Tony’em w taki sposób...”

A trochę na południe - wywodził Jeff - jest przyjemniejsze miejsce. *Marę Foecunditas*.

Morze Płodności - skwapliwie przetłumaczył Tony.

Na wszelki wypadek zanurzymy cię parę razy w tym morzu - obiecał Jeff z uśmiechem. Leżał ciągle na plecach, z teleskopem wycelowanym w niebo.

Jeff - rzekła Lucy ostrzegawczym tonem.

Morze Spokoju, Trzęsawisko Snu, Jezioro Marzeń - wyliczał Jeff, jakby jej wcale nie słyszał. Jego niski młodzieńczy głos z lekkim akcentem bostońskim wyśpiewywał te nazwy

niby zaczarowaną melodię. - Kto wie, czy w naszym stuleciu nie dotrzemy ostatecznie na księżyc. Kiedy się urodziłeś, Tony?

Dwudziestego szóstego marca - odparł chłopiec układając wymyślny, szpitalny kant z kołdry i prześcieradła na końcu materaca.

Konstelacja Barana - zawyrokował Jeff. Odstawił teleskop i przez chwilę leżał z głową na podłodze. Oczy miał zamknięte, jak gdyby zatopiony w jakiejś wewnętrznej wizji nasłuchiwał nieziemskich głosów i czekał na omen z nieba. - Znak

Barana - powiedział wreszcie. - Rogate zwierzę na firmamencie. Czy wiesz, Tony, skąd się tam wziął ten baran?

Pan wierzy w tę bujdę? - zapytał Tony przerywając na chwilę swoje zajęcie i spoglądając na Jeffa.

We wszystko wierzę - odparł Jeff nie otwierając oczu i nie zmieniając uroczystego, liturgicznego tonu. - Wierzę w Zodiak i w szczęście, w wędrówki dusz i ofiary, w tajną dyplomację, do której się dochodzi tajnymi ścieżkami.

Ofiary z ludzi? - W głosie chłopca brzmiało niedowierzanie. - Czy naprawdę kiedyś składali takie ofiary?

Oczywiście.

Aż dokąd? Do jakiego czasu? - dociekał Tony z nutką sceptycyzmu.

- Aż do wczoraj, do godziny piętnastej piętnaście. Tylko taki rodzaj ofiary jest skuteczny - zapewniał go Jeff. - Zaczekaj, aż sam tego spróbujesz parę razy, wtedy dopiero zrozumiesz, co mam na myśli.

No, Jeff, dosyć już tego na dzisiaj - wmieszała się Lucy myśląc równocześnie: „On mnie umyślnie prowokuje, po prostu mści się na mnie.” - Tony, patrz, jeszcze tutaj niedobrze.

Frixus i Helle - podjął Jeff swoją opowieść, jakby Lucy wcale się do niego nie odzywała - synowie króla Tesalii, byli bardzo źle traktowani przez swoją macochę...

Czy to jest takie pouczające? - zapytała, zdecydowana zachować spokój.

Niesłuchanie pouczające.

A jak ona się nazywała? - dopytywał się Tony.

Kto?

No, ta macocha.

O tym będzie na następnej lekcji. Więc Merkury zlitował się nad chłopcami i posłał złotorunego barana, żeby im ułatwić ucieczkę. Baran niósł obu braci na grzbiecie, wysoko nad ziemią, i wszystko szło jak najlepiej aż do chwili, kiedy się znaleźli nad cieśniną oddzielającą Europę od Azji. Tam Helle spadł z barana i utopił się, wobec czego do

dzisiejszego dnia cieśnina nazywa się Hellespont. A kiedy Frixus dostał się do Kolchidy, która przy dobrej pogodzie była zupełnie miłym miastem, z wdzięczności dla bogów złożył im w ofierze barana. Jowisz, w uznaniu zasług skrzydlatego barana w służbie królewicza Tesalii, usadowił biedne, nieżywe zwierzę pośród gwiazd. Lucy rzuciła zaciekawione spojrzenie na Jeffa.

Czy pan wiedział to wszystko już przedtem, zanim pan poznał Tony'ego?

Nie, ani be, ani me - odparł Jeff. - Co wieczór, kiedy wracam do siebie, zabieram się do książek, żeby Tony mógł mnie uważać za najmądrzejszego człowieka na świecie. - Uśmiechnął się. - Chciałbym, żeby Tony po tych wakacjach rozczerował się do wszystkich nauczycieli, żeby ich wcale nie słuchał i żeby nabrał obrzydzenia do nauki. Tyle przynajmniej mogę dla niego zrobić. - Zerwał się gwałtownie i usiadł na podłodze. W świetle padającym od lampy jego twarz miała naiwny i otwarty wyraz, oczy błyszczały szczerością. - Tony! - zawołał. - Pokaż mamie, jak potrafisz oddychać przy pływaniu.

- O, tak - zademonstrował Tony wysuwając w przód głowę i wykonując ramionami pływackie ruchy. - Odepchnąć się nogami, raz, dwa, trzy, cztery, ODETCZNAĆ!

Przechylił głowę w bok, szeroko otworzył usta tylko z jednej strony, jakby miał jeden policzek zanurzony w wodzie, i wciągnął powietrze z głośnym, wilgotnym mlaśnięciem.

Nie można tego robić trochę wytworniej, bez takiego mlaskania? - spytała

Lucy, a myśl jej tymczasem była zajęta czym innym. „Już minęło niebezpieczeństwo - uspokajała samą siebie. - Wszystko jest znowu po dawnemu.”

Nie - odparł Jeff siedząc na podłodze ze skrzyżowanymi nogami. - To ja go tak nauczyłem. - Nagle obrócił się do Tony'ego: - Jak myślisz, Tony, czy twój ojciec będzie coś miał z tych pieniędzy, które na mnie wykłada?

- Czyja wiem? - przekomarzał się Tony. - Chyba coś niecoś będzie miał.

Nabujaj mu trochę w następnym liście, dobrze? Z przyjaźni dla mnie. - Jeff podniósł się i wziął z podłogi teleskop. Przyłożył go do oka i z odległości dziesięciu stóp zaczął się przyglądać Tony'emu. - Pierwszy raz będziesz się musiał ogolić -

oznajmił proroczym tonem - dokładnie za trzy lata, dwa miesiące i czternaście dni.

Tony parsknął śmiechem i potarł sobie podbródek.

- Chciałem ci zadać jedno pytanie, młody człowieku - ciągnął Jeff podchodząc do przygotowanego posłania i opierając się o poręcz fotela. - Czy nie uważasz, że to byłby zupełnie niezły pomysł, gdybyśmy po Świącie Pracy wrócili razem do twojego domu i byli ze sobą przez całą zimę? Mógłbym cię jeszcze trochę doszlifywać.

- A pan mógłby się tak urządzić? - zapytał skwapliwie chłopiec, jakby ta myśl

ogromnie mu przypadła do smaku.

- Nie, Tony, nic podobnego - odezwała się Lucy. - Jeff tylko żartował. Musi przecież wracać do swojej uczelni i zachowywać się rozsądnie aż do przyszłych wakacji. Jeff, niechże pan przestanie huśtać się na poręczy, bo całe to łóżko się rozleci, a wcale nie tak łatwo je rozstawić.

- Jedna rzecz mi się nie podoba z tymi wakacjami - zauważył Tony filozoficznie. - Pod koniec zaczynają mijać o wiele za prędko. Jeff, czy my się naprawdę zobaczymy w zimie?

- Jasne, że tak. Namów swoją mamę, żeby przyjechała z tobą do Dartmouth.

Na rozgrywki piłki nożnej albo w karnawale, na zabawę.

Mamo, pojedziemy?

Może pojedziemy - odparła Lucy nie chcąc, aby ten temat urósł do zasadniczego problemu. - żeby tylko Jeff nie zapomniał nas zaprosić.

- Tony! - zawołał Jeff. - Jutro zatnę się nożem w rękę i własną krwią wypiszę zaproszenie, a wtedy to już będzie umowa na mur. Trochę poczarujemy, postaramy się i twoja mama zostanie Królową Karnawału. Posadzą ją na wielkiej kuli ze śniegu, sfotografują i wszyscy będą mówili: „Jak babcię kocham, jeszcześmy czegoś takiego nie mieli w New Hampshire!”

Lucy rzuciła niespokojne spojrzenie na syna. „Gdyby był o rok starszy - pomyślała - zorientowałby się na pewno. Może nawet już...”

- Niech pan da temu spokój - powiedziała ryzykując, że rozbudzi czujność Tony'ego. - Proszę nie stroić sobie ze mnie żartów.

- Ja wcale nie żartuję - odparł powoli Jeff. - Podeszedł do krawędzi schodów i znowu zaczął obserwować firmament. - Oto Mars - wyrzekł głębokim, dramatycznym tonem. - Złowróźbna, krwawoczerwona planeta. Wisi nisko i ani mrugnie. To jest twoja planeta, Tony, bo urodziłeś się pod znakiem Barana. Sprzyja wszelakiej rzezi i sztuce wojennej. Wiesz, Tony, zostań wojskowym. Zdobędziesz ze sto miast i zanim dojdiesz do dwudziestu trzech lat, będziesz co najmniej podpułkownikiem.

Nie, Jeff, naprawdę - wtrąciła się Lucy - chyba już dosyć tych bzdur.

Bzdur? - powtórzył zdziwiony. - Tony, czy ty także uważasz, że mówię bzdury?

Tak - odparł Tony, chcąc być sprawiedliwym. - Ale to jest bardzo ciekawe.

Przez pięć tysięcy lat ludzie kierowali się w życiu tym, co mówiły im gwiazdy. Władcy Egiptu... Lucy - rzekł nagle Jeff, a głos jego drżał teraz nutką chłopięczej, wyzywającej zuchwałości. - Kiedy pani się urodziła?

Bardzo dawno temu.

Tony, kiedy są urodziny twojej mamy?

Dwudziestego piątego sierpnia - odpowiedział wesoło chłopiec i zwrócił się zaraz do matki: - Przecież to ci nic nie zaszkodzi.

Dwudziestego piątego sierpnia - zastanawiał się Jeff. - *Virgo*. Znak Dziewicy...

Mamo... - Tony spojrzał pytająco na Lucy.

Wytłumaczę ci to kiedy indziej.

W okolicach Eufratu - mówił Jeff tonem profesorskim, szybko i wcale nie modulując głosu - nie odróżniano jej od Wenus, smutnej i doskonałej, którą wielbili zakochani. Planetą rządzącą losem jest Merkury, najjaśniejsza gwiazda, stale obrócona tą samą półkulą do Słońca, po jednej stronie mroźna, a rozpalona po drugiej.

Ludzie urodzeni pod znakiem Dziewicy są nieśmiali, boją się rozbłysnąć...

No, dobrze - przerwała Lucy czując, że Jeff posunął się dostatecznie daleko - skąd pan wyciągnął te wszystkie dyrdy-małki?

Z dzieła Madame Vietcha pod tytułem *Księga gwiazd* - przyznał się Jeff z rozbijającym uśmiechem. - Można je dostać za jedno trzydzieści pięć centów w każdej księgarni albo w kiosku u lodziarza. Ludzie spod znaku Dziewicy boją się zakłócenia ładu i utraty czystości, są skłonni do owrzodzeń przewodu pokarmowego.

Jeśli kochają, to namiętnie, i przywiązują ogromną wagę do wierności...

- A jak to z panem wygląda? - przerwała mu znowu, nieomal wrogo, zapominając na chwilę o Tony'm i rzucając Jeffowi wyzwanie. - Jaki jest pański horoskop?

- Ach! - westchnął Jeff odkładając teleskop i żałośnie kiwając głową. - To za smutne, żeby opowiadać. Jestem w opozycji do moich gwiazd. Siedzą sobie tam w górze - machnął smutnie ręką w kierunku nieba - pomrugują i pokpiwają ze mnie.

„Nie masz żadnej szansy, człowieczku” - powiadają. Ja chciałbym przewodzić, a one każą mi słuchać. Ja chciałbym być odważny, one przykazują ostrożność. Ja pragnąłbym zostać wielkim człowiekiem, one obiecują, że może w innym wcieleniu.

Ja mówię: „Miłość”, one odpowiadają: „Kłęska”. Jestem bohaterem, który zgubił swój znak Zodiaku.

Wtem zachręściły kroki na zwirowanej uliczce koło ganku i w chwilę później ukazała się podrastająca dziewczynka w niebieskich spodniach w prążki i w luźnym sweterku. Lucy nie poznała jej na pierwszy rzut oka, zaraz jednak przypomniała sobie, że jest to córka niejakiej pani Nickerson, którą poznała w hotelu przed kilku godzinami. Tony przestał

majstrować przy swoim łóżku i przypatrywał się dziewczynce.

- Halo! - rzuciła na powitanie wstępując po schodach na ganek.

Była to pulchna i przedwcześnie rozwinięta dziewczynka. Niebieskie spodnie opinały się ciasno na jej korpulentnym tyłeczku. Lucy zauważyła z pewnym zgorszeniem jaśniejsze pasma, w jej włosach, które nie były na pewno dziełem natury.

Halo! - powiedziała panna Nickerson jeszcze raz, stojąc już na ganku z szeroko rozstawionymi nogami i z rękami wepchniętymi głęboko w kieszenie.

Rozglądała się wcale nie zmieszana, przeciwnie, tak pewna siebie jak pogromca w cyrku. - Jestem Susan Nickerson - oznajmiła, i gdyby ktoś usłyszał te słowa mając zamknięte oczy, byłby przekonany, że wymówiła je dojrzała i niezbyt miła niewiasta.

- Poznałyśmy się dziś po południu.

Oczywiście, Susan - odparła Lucy. - To jest mój syn, Tony.

Bardzo mi przyjemnie - rzekła Susan oschle. - Dużo o tobie słyszałam.

Jeff zrobił obrzydliwą minę.

- Mama przysłała mnie do pani, żeby zapytać, czy pani zagra dzisiaj w brydża na czwartego.

Jeff strzelił szybkim spojrzeniem w kierunku Lucy, po czym pochylił się i podniósł krzesło, ustawione na podłodze do góry nogami jako podpórka dla teleskopu.

Lucy zawahała się. Stała jej przed oczami hotelowa weranda z rządkiem przywiedłych słomianych wdówek.

Dzisiaj niestety nie mogę - odpowiedziała. - Proszę bardzo podziękować mamusi, ale czuję się zmęczona i chciałabym wcześniej pójść spać.

Okej - zgodziła się Susan obojętnie.

Brydż wyrządził nam jeszcze więcej złego niż prohibicja - zawyrokował Jeff.

Susan przyjrzała mu się z chłodną uwagą. Miała zimne, jasnoniebieskie oczy, okrągłe jak dwie monety.

- Słyszałam już o panu - oświadczyła.

Miała taki sposób mówienia, że najzwyczajniejsze słowa brzmiały w jej ustach jak oskarżenie.

„Bardzo to będzie do niej pasowało, jeżeli zechce zostać policjantką” - pomyślała Lucy zauważywszy tę szczególną właściwość.

Jeff roześmiał się i powiedział:

Myślę, że powinnaś zachować dla siebie to, co o mnie słyszałaś.

Pan jest ten chłopak z Dartmouth. Moja mama uważa, że pan jest bardzo przystojny.  
Jeff skinął poważnie głową na znak zgody.

A jakie jest twoje zdanie? - zapytał.

Owszem, dlaczego nie - odparła ze wzruszeniem ramion, które wywołało falisty, pulchny ruch pod luźnym sweterkiem. - Ale do filmu na pewno by pana nie przyjęli.

Właśnie tego samego się obawiałem. Jak długo tu jeszcze zostaniesz?

Mam nadzieję, że już niedługo - odparła dziewczynka. - Wolę Nevadę.

Dlaczego?

Bo tam się przynajmniej coś działo. A tutaj prawdziwy cmentarz.

Nieprawidłowy dobór grup wieku. Nawet kina nie ma, tylko w soboty i niedziele. Co wy tutaj robicie wieczorami?

Obserwujemy gwiazdy - odparł Tony, który przez cały czas wpatrywał się w nią jak urzeczony.

- Uhm... - Na Susan nie zrobiło to większego wrażenia.

„Nie może mieć chyba więcej niż czternaście lat - myślała Lucy z niesmakiem, lecz jednocześnie ubawiona - a zachowuje się w taki sposób, jakby tylko najbardziej wyrafinowane zboczenie mogło zająć jej uwagę dłużej niż przez pięć minut.”

Tony podszedł do Susan i podał jej teleskop proponując uprzejmie:

- Może chcesz trochę popatrzeć?

Znowu wzruszyła ramionami.

- Nic mnie to nie obchodzi.

Ale wzięła teleskop i ze znudzoną miną podniosła go do oka.

Patrzyłaś już kiedy przez takie coś? - zapytał Tony.

Nie.

- Przez mój teleskop można oglądać góry na księżycu.

Susan przyglądała się księżycowi krytycznie i bez życzliwości.

No, jak ci się podoba? - dopytywał się chłopak takim tonem, jakby był właścicielem księżyca.

Dlaczego nie? Dostyc - odparła oddając mu teleskop. - To jest księżyc.

Jeff parsknął śmiechem, ale zaraz spowaźniał. Susan zmierzyła go od stóp do głów spojrzeniem policjantki.

No, to już muszę iść - oświadczyła. - Mama chce wiedzieć, jak będzie z tym brydżem. - Wykonała ręką gest pełen wdzięku od siedmiu boleści, jakby udzielała zebranych błogosławieństwa, i rzuciła na pożegnanie: - Dziękuję!

Spotkamy się jutro - zaproponował Tony usiłując nadać swemu głosowi nonszalanckie brzmienie.

Lucy zauważyła ten wysiłek i uczuła, że aż potnieje ze współczucia dla syna.

- Możliwe - odparła Susan obojętnie.

„Mój biedny Tony! - westchnęła w duchu Lucy. - Więc to jest pierwsza dziewczyna, na którą zwrócił uwagę.”

- Bardzo mi było miło poznać państwa - oświadczyła Susan. - Jeszcze raz: dziękuję!

Patrzyli za nią, gdy się oddalała zwirowaną uliczką. Krągłe pośladki wypychały niebieską tkaninę spodni jak dwie piłki plażowe, dobrze napompowane powietrzem. Kiedy znikła za rogiem domu, Jeff otrząsnął się całym ciałem w sposób niesłychanie wymyślny.

Załóżę się, że jej matka to lepszy numer - powiedział. - No, proszę zgadywać do trzech razy, po co ta paniusia wybrała się zeszłego lata do stanu Nevada.

Niech pan nie próbuje plotkować - osadziła go Lucy. - Tony, przestań marudzić.

Tony wracał powoli do spraw dorosłego świata.

Zabawnie wyglądała w tych spodniach, prawda? Trochę grubawo.

Z czasem, jak się lepiej rozejrzysz - pouczał go Jeff - kobiety będą ci się wydawać coraz bardziej grubawe w spodniach.

Zarówno żart, który ocierał się z bliska o sprawy płci, jak wspomnienie oschłości i nonszalancji, z jaką ta dziewczynka potraktowała jej syna, przejęły Lucy niemiłym uczuciem. „Każdego innego dnia śmiałabym się z tego - stwierdziła w duchu odczuwając z tego powodu pretensję do Jeffa. - A dzisiaj nie mogę.”

- Tony - ponagliła chłopca - marsz do domu! Rozbierz się i włóż piżamę. A nie zapomnij umyć zębów.

Tony ociągał się z odejściem.

A poczyta mi pan, kiedy już będę w łóżku? - zapytał jeszcze Jeffa.

Jasne, że tak.

Dzisiaj ja ci poczytam - powiedziała Lucy bez zastanowienia.

Kiedy ja wolę, jak Jeff mi czyta - zaprotestował Tony zatrzymując się znowu przy drzwiach. - Bo on opuszcza wszystkie niepotrzebne opisy.

Jeff już się dosyć namęczył przez cały dzień - obstawała przy swoim, zła, że wmieszała się do tej sprawy, ale zdecydowana nie ustąpić. - Na pewno z kimś się umówił albo ma inne zajęcie.

Nie - zaczął Jeff - ja...



W każdym razie, mój Tony - przerwała Lucy tak ostro i rozkazująco, jak prawie nigdy nie odzywała się do syna - idź do domu i rozbieraj się. Ale już, zaraz!

Dobrze - odparł chłopiec z nadąsaną miną. - Przecież ja wcale nie chciałem...

Idź już! - krzyknęła histerycznie.

Zaskoczony i trochę wystraszony chłopak wszedł bez słowa do domu. Lucy krzątała się po ganku szybko i nieco nerwowo. Złożyła porozrzucane czasopisma, zamknęła porządnie koszyk do robót i postawiła teleskop na krześle przy poślaniu

Tony'ego. Przez cały ten czas czuła, że Jeff przypatruje się jej uważnie, nucąc po cichu jakąś melodię. Zatrzymała się przed nim. Stał oparty o kolumnę ganku, z głową ukrytą w mroku, tak że tylko oczy świeciły mu słabym połyskiem.

- Niech pan słucha. Nie podoba mi się sposób, w jaki pan traktuje Tony'ego.

- Tony'ego? - zapytał ze zdziwieniem i prostując się wynurzył się z mroku w światło lampy. - Z jakiego powodu? Przecież zachowuję się w stosunku do niego zupełnie naturalnie.

- Nikt nie umie się zachowywać naturalnie w stosunku do dzieci stwierdziła

Lucy zdając sobie sprawę, że jej głos brzmi sztucznie i jest trochę zdławiony. - Pan także nie umie. Wszystkie te śliskie dowcipy. I to udawanie...

Jakie udawanie?

śe pan go tak lubi. śe pan jest naprawdę mniej więcej w tym samym wieku co on. śe pan chce się z nim zobaczyć po wakacjach.

Bo tak jest naprawdę - upierał się Jeff.

Niech pan mnie przynajmniej nie okłamuje. Na Święto Dziękczynienia nie będzie pan pamiętał, jak on ma na imię. Rozbudzi pan w nim Bóg wie jakie nadzieje...

A z tego wszystkiego zostanie mu długa, długa jesień i rozczarowanie. Niech pan robi to, co do pana należy, i na tym koniec.

- O ile zrozumiałem - bronił się Jeff - moim zadaniem jest oddziaływanie w tym kierunku, aby Tony czuł się jak zdrowy, normalny chłopiec.

Rozwinął pan w nim chorobliwe przywiązanie do siebie.

Ależ, Lucy - oburzył się Jeff.

I na co to? Po co? - Teraz prawie krzyczała. - Z próżności? Czy to jest taka satysfakcja przywiązać do siebie biednego, osamotnionego i chorego chłopca? Czy to warte tych wszystkich pana sztuczek? Znak Barana, Morze Płodności, ofiary z ludzi, Dziewica i karnawał w Dartmouth... - Była zdyszana jak po długim biegu, słowa wrywały jej się z gardła między jednym a drugim spazmem szlochu. - Dlaczego pan nie wraca do siebie? Dlaczego nie zostawi pan nas nareszcie samych?

Jeff ujął ją za ręce powyżej łokci i nie puszczał. Nie próbowała się wyrwać.

Zapytał:

Czy naprawdę chcesz, żebym odszedł?

Tak. Bo nie jesteś w odpowiednim wieku. Za dorosły dla niego, a dla mnie za młody. Poszukaj sobie dwudziestoletniej dziewczyny. - Gwałtownym ruchem wyrwała się z jego uścisku. - Takiej, której nie będziesz mógł skrzywdzić - dorzuciła.

- Takiej na jedne wakacje. Takiej, o której zapomnisz we wrześniu, tak jak o nas zapomnisz.

Lucy - wyszeptał. - Przestań.

- Idź stąd - odpowiedziała prawie łkając.

Ale on trzymał ją znowu, mocno zaciskał dłonie na jej nagich ramionach.

- Co ty myślisz, jak ja się czułem w tym wszystkim? - zapytał ciągle tak samo przyciszonym głosem, aby Tony go nie mógł słyszeć. - Dzień w dzień być tak blisko ciebie. Wracać do domu i nie móc usnąć, wspominać dotknięcie twojej dłoni, kiedy pomagałem ci wsiąść z łódki. Wspominać szelest twojej sukni, kiedy przechodziłaś obok mnie idąc na obiad. Wspominać, jak brzmiał twój śmiech... I nigdy nie móc cię dotknąć, nie móc ci powiedzieć... Krzywda! - wyszeptał ochryple. - Ty przy mnie nie mów o krzywdzie.

- Jeżeli pan w ten sposób przemawia do wszystkich - rzekła Lucy - jeżeli wypracował pan sobie taką metodę i dzięki niej odnosił pan sukcesy u swoich dziewcząt... to proszę bardzo oszczędzić mi tego. Tak, proszę mi tego oszczędzić.

Poczuła, że palce Jeffa zaciskają się gwałtownie na jej ramionach, i myślała, że chce nią potrząsnąć. Ale on puścił ją po chwili. Stali blisko siebie, on zaczął mówić znużonym, matowym głosem:

Zeszłych wakacji chodziłaś w dużym słomkowym kapeluszu. Kiedy świeciło słońce, twarz wydawała się cała różowa i jakby zamglona pod tym kapeluszem. Ile razy zobaczę teraz kobietę w takim czerwonym kapeluszu ze słomy, to jakby mnie kto ścisnął za gardło...

Proszę cię, proszę ostatni raz - przerwała mu - znajdź sobie jakąś dziewczynę. Przecież jest ich dosyć. Są młode, wolne, nie potrzebują się przed nikim tłumaczyć, kiedy lato się skończy.

Popatrzył na nią i kiwnął głową, jak gdyby się zgadzał z jej słowami.

- Coś ci powiem - rzekł. - Ale musisz mi przyrzec, że nie będziesz się śmiała.

- Dobrze - odparła trochę zaskoczona. - Nie będę się śmiała.

Jeff odetchnął głęboko.

- Nie ma żadnych innych dziewcząt - wyznał jej otwarcie. - Nie było w ogóle

żadnej innej.

Lucy spuściła głowę. Spozstrzegła, że odpiął się jej środkowy guziczek u bluzki. Zapięła go starannie. A potem zaczęła się śmiać, bezradnie, niepowstrzymanie.

Przyrzekłaś - rzekł Jeff urażony.

Przepraszam. - Podniosła ku niemu twarz i usiłowała opanować drgające usta. - Nie śmieję się wcale z ciebie. To z samej siebie.

Ale dlaczego? - zapytał podejrzliwie.

Bo jesteśmy oboje takie niezdary. Jesteśmy po prostu beznadziejni. Śadnie z nas jeszcze nie wie, jak to się robi. - Teraz patrzyła mu w oczy szczerze i spokojnie. - Śmieję się, bo ostatecznie zrobimy to... - dodała.

Przez sekundę stali w milczeniu. Jeff wykonał rękami jakiś nieokreślony ruch.

Ona zbliżyła się do niego i pocałowała go w usta. Mocno.

Lucy - szepnęła i delikatnie dotknęła palcami jej karku.

A teraz, mój chłopczyku - rzekła macierzyńskim i niemal żartobliwym tonem, odpychając go lekko od siebie - wracaj do ślicznego, ciemnego i pustego domku. Usiądź sobie na ganku, patrz na księżyc i myśl o tych wszystkich kobietach, młodszych i ładniejszych ode mnie, które mógłbyś kochać tej nocy. I... czekaj na mnie.

Jeff nie poruszył się.

- Przyjdiesz... przyjdiesz tam? - zapytał niepewnie, speszony nagłą zmianą w jej zachowaniu. - Nie kpisz sobie ze mnie?

To nie żaden kawał?

- Nie, to nie kawał - odpowiedziała swobodnie. - Nie bój się, przyjdę.

Jeff chciał ją znów pocałować, ale nie dała mu się zbliżyć i z uśmiechem kręciła przecząco głową. Wówczas obrócił się na pięcie i zbiegł szybko po schodach.

Lucy patrzyła za nim, gdy oddalał się bezgłośnymi krokami po trawie pokrytej rosą, aż wreszcie znikł jej z oczu. Jeszcze raz pokręciła głową i w zamyśleniu zbliżyła się do zasłanego łóżka. Gdy w parę minut później Tony wyszedł na ganek w piżamie i płaszczu kąpielowym, niosąc ze sobą książkę, zastał ją siedzącą na łóżku, z rękami złożonymi spokojnie na kolanach, zapatrzoną w jezioro, nad którym unosiła się mgła.

Przyniosłem książkę - oznajmił zamykając za sobą drzwi.

Dobrze. - Lucy podniosła się. - Kładź się do łóżka. Ściągając płaszcz kąpielowy Tony rozejrzał się po ganku.

Gdzie jest Jeff? - zapytał.

Wzięła książkę i usiadła przy łóżku w ten sposób, że światło lampy padało prosto na

kartki.

- Musiał już iść. Przypomniawszy sobie, że się z kimś umówił.

Ach tak... - W głosie Tony'ego brzmiał zawód. Ustawił teleskop w ten sposób, aby móc łatwo do niego sięgnąć, i wśliznął się pod kołdrę. - To dziwne. Nic mi o tym nie mówił.

Nie spodziewaj się, że Jeff będzie ci wszystko mówił - rzekła spokojnie Lucy.

Otworzyła książkę. Były to *Przyczyny Hucka*. Oliver zrobił spis książek, które miała przeczytać Tony'emu w ciągu lata, a ta była trzecią z kolei na liście. Na następnym miejscu był życiorys Abrahama Lincolna.

Czy to od tego miejsca? - zapytała.

Tam, gdzie jest liść. - Tony używał klonowego liścia zamiast zakładki.

- Aha, dobrze.

Kilka wierszy przeczytała po cichu, aby sobie przypomnieć, na czym się skończyło ostatnim razem. Przez chwilę na ganku panowała zupełna cisza, tylko świerszcze cykały pracowicie w pobliskim lesie.

Tony zdjął okulary i położył je na podłodze przy teleskopie. Kręcił się pod kołdrą i wyciągał się z rozkoszą w pościeli.

Czy nie wspaniale? - zapytał. - żeby tak lato trwało przez cały rok, toby dopiero było wspaniale, prawda?

Prawda - odpowiedziała i zaczęła czytać:

„Więc poszliśmy do tego miejsca, gdzie było ukryte czółno, i Jim zaczął rozpalać ognisko na małej polance między drzewami, a ja tymczasem przyniosłem mąkę i boczek, kawę, dzbanek na kawę, patelnię, cukier i cynowe kubki. Na ten widok Jim rozdziawił gębę, bo myślał, że zdobyłem to wszystko za pomocą czarów.”

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Leżała obok niego na wąskim łóżku tuląc do piersi jego uszpiętą głowę i przyglądając mu się z bliska. Kiedy przed chwilą zauważyła, że powieki opadają mu sennie na oczy, zaprotestowała: „Nie, skądże znowu. Jakże mógłbym spać w taką noc!” Potem westchnął, głowa osunęła mu się łagodnie na jej piersi i poześlował w krainę snu. Na jego twarzy malował się wyraz triumfu, zupełnie jak u małego chłopca, któremu się udało dokonać trudnego i chwalebego wyczynu na oczach dorosłych.

Patrzyła na niego i uśmiechała się dotykając końcami palców jego czoła.

W jakimś momencie, kiedy jego wargi błędziły po jej szyi, wymamrotał: „Na zawsze!” Teraz przypomniała to sobie i pomyślała: „Trzeba być strasznie młodym, żeby móc powiedzieć: Na zawsze.”

Z początku pełen był niepewności i wahań, ale kiedy już się przewaliła nad nimi pierwsza fala niezręcznej namiętności, odnalazł w sobie łagodność i delikatność.

Musiały one być w nim uwięzione i przedtem, ale potrzebowały właśnie jej dotknięcia, aby się wyzwolić. Lucy wzruszyła się tym głęboko i w taki sposób jak nigdy dotychczas.

Teraz leżała obok śpiącego chłopca, który tulił się do niej, i czuła w całym ciele lekkość i moc. Myślała ze spokojem o chwili namiętnej rozkoszy, jak gdyby ta chwila odsunęła się już daleko w przeszłość, jak gdyby zdarzyła się raz jeden, bardzo dawno temu, i nie miała się już więcej powtórzyć. Możliwe, że od czasu do czasu będą jeszcze spędzać ze sobą nocne godziny, ale to już nigdy nie będzie to samo.

„Znak Dziewicy” - przypomniała sobie i wydało jej się, że słyszy znowu młodzieńczy, nabrzmiały swawolą głos Jeffa: „Nad Eufratem nie odróżniano go od

Wenus... Ludzie spod znaku Dziewicy są nieśmiali i boją się rozbłysnąć. Ludzie urodzeni pod znakiem Dziewicy boją się zakłócenia ładu i utraty czystości i są skłonni do owrzodzeń przewodu pokarmowego.”

Zaśmiała się cichutko, chłopak poruszył się przez sen w jej ramionach. Czoło mu się zmarszczyło, gwałtownym ruchem odrzucił głowę na poduszkę, jak gdyby chcąc uskoczyć przed ciosem. Poglądziła go po ramieniu. Było suche i ciepłe, zdawało się, że jeszcze promieniuje ciepłem słonecznym, które pieściło je w ciągu dnia. Niezrozumiały wyraz przerażenia powoli odpływał mu z twarzy, wargi się rozluźniły i znowu zanurzył się w głębinę snu.

„Która to może być godzina? - zaniepokoiła się. - Powinna bym wstać i zobaczyć. Chyba już niedaleko do świtu.”

Leżała jednak bez ruchu, miała bowiem uczucie, że już samo myślenie o godzinie jest czymś w rodzaju zdrady w stosunku do tego chłopca leżącego przy niej.

Nie miała wcale ochoty do spania. Czuła, że sen umniejszyłby doskonałość tej nocy.

Pragnęła właśnie tak leżeć w błogim spokoju i słyszeć wszystkie odgłosy - spokojny oddech Jeffa, rechotanie młodych żab nad brzegiem jeziora, pohukiwanie sowy w sosnowym lesie, od czasu do czasu szelest wiatru poruszającego zasłonę w pokoju ogołoconym z mebli i odległy dźwięk samochodowego klaksonu na szosie wiodącej w góry. Przede wszystkim jednak pragnęła tak leżeć i wsłuchiwać się w samą siebie.

Zaskoczyła ją trochę myśl, że teraz, o godzinie trzeciej nad ranem, czuje się nieskończenie więcej warta, niż się czuła choćby o godzinie dziesiątej poprzedniego wieczoru albo w którymkolwiek innym momencie swego dotychczasowego życia.

Więcej warta! Uśmiechnęła się do tych słów.

Wpatrując się w siebie z krytycznym zadowoleniem, jakiego doznaje kobieta przed lustrem, doszła do wniosku, że dopiero tej nocy poczuła się dorosła. Wydało jej się, że przedtem poświęcała znaczną część życia czynnościom i sprawom, którymi mogłoby się zajmować dziecko, gdyby mu zależało na tym, aby udawać dorosłą osobę. I w dodatku zawsze odczuwała niepokój, że ta maskarada w każdej chwili może zostać odkryta. Przyszła jej na myśl matka, która umierała mając sześćdziesiąt lat i zdawała sobie sprawę z tego, że umiera. Leżała w łóżku żółta, wyniszczona

życiem pełnym cierpień, zgryzot, ubóstwa i rozczarowań. I właśnie na łożu śmierci powiedziała:

- Nie mogę w to uwierzyć. Najtrudniej mi uwierzyć, że jestem stara. Bylebym tylko nie spojrzała na siebie w lustrze, to ciągle czuję się jeszcze tak, jakbym była szesnastolatką. Nawet teraz, kiedy doktor przychodzi do mnie z grobową miną i myśli sobie na pewno, że nie dociągnę do końca miesiąca, korci mnie, żeby mu powiedzieć:

„Nie, panie doktorze, to musi być jakieś nieporozumienie. Umieranie to przecież o wiele za trudna sprawa dla osoby, która czuje się tak, jakby miała szesnaście lat.”

„O! Iwer nic tu nie pomógł” - myślała Lucy. Był taki pewien siebie w poczuciu własnej dobroci i siły, że nawet pochwałał jej nieśmiałość i brak samodzielności. Sam decydował o wszystkim, ochraniał ją, radził sobie z wszystkimi kłopotami i tylko od czasu do czasu wytykał jej jakieś uchybienia, jak na przykład zagubienie tego rachunku z garażu, i to zawsze jakby mimochodem, z ojcowską pobłażliwością.

Przypomniała sobie, jak to na towarzyskich zebraniach Oliver czuł się wszędzie niby we własnym domu - swobodny, salonowy - nie wiedział, co to uczucie zakłopotania, i zawsze był ośrodkiem zainteresowania całego towarzystwa. W pewnej chwili orientował się, że ona siedzi w jakimś ciemnym kącie, zagubiona w wezbranym nurcie zabawy i przyciśnięta do muru przez jakiegoś nudziarza, albo że udaje wielkie zaciekawienie obrazami wiszącymi na ścianach czy książkami na półkach bibliotecznych, a w sercu żywi rozpaczliwą nadzieję, że już wkrótce będzie można wracać do domu. Wtedy porzucał natychmiast osobę, z którą właśnie rozmawiał, podchodził do niej z uśmiechem pełnym zainteresowania i zręcznie wprowadzał ją z powrotem w samo ognisko towarzyskiego ożywienia.

Rozumiała to wszystko, co robił w ciągu lat ich wspólnego pożycia, i była mu

wdzięczna. „A może właśnie nie trzeba było być wdzięczną” - myślała teraz. To, co uczyniła tej nocy, było zupełnie inne niż wszystko, co uczyniła kiedykolwiek przedtem, i dlatego zdawało jej się, że wszystko, co zdarzy się później, będzie także zupełnie inne, że odtąd nikt już nie będzie musiał jej ochraniać.

Zastanawiała się, jak by postąpił Oliver, gdyby się dowiedział. Prawdopodobnie przebaczyłby jej z tą samą dobrze wychowaną, przytłaczającą łaskawością, z jaką niewątpliwie wybaczył jej zaprzepaszczenie rachunku z garażu. Na samą myśl o tym, już z góry poczuła do niego pretensję, ale zaraz uśmiechnęła się z własnej przekorności.

Przypomniała sobie swoją rozmowę z Oliverem i Pattersonem o pewnej znajomej, która miała romans z jakimś pułkownikiem z Governor's Island.

To jest niedopuszczalne cudzołóstwo - oświadczył Sam.

Czekaj no, czekaj - zainteresował się Oliver. - A jakie jest, twoim zdaniem, dopuszczalne cudzołóstwo?

Sam przybrał uroczysty, sztywny wyraz twarzy, jak zawsze kiedy się szykował, żeby powiedzieć coś mądrego, i rzekł:

- Dopuszczalne cudzołóstwo to jest takie, które sprawia człowiekowi przyjemność.

Oliver śmiał się wtedy serdecznie. Czy teraz śmiałby się także? Nigdy nie przychodziło jej na myśl, że mógłby ją zdradzać, tak samo jak i jemu na pewno nie przychodziło na myśl wątpić o jej wierności. „Kto wie - pomyślała - czy tego właśnie nie brakowało w naszym małżeństwie?”

Nie było jednak powodu zmieniać cokolwiek w tym stanie rzeczy. Oliver nie potrzebował o niczym wiedzieć. Miała taką praktykę w niewinności, że teraz, kiedy przestała być niewinna, samo przyzwyczajenie i rozpęd tylu lat będą jej pomocą. Poza tym od czasu do czasu okłamywała przecież Olivera, i zawsze z powodzeniem. Nie były to, naturalnie, bardzo poważne kłamstwa - jakieś tam wykręty, gdy przekroczyła rachunek w banku, rozmyślnie zagubione zaproszenia na przyjęcia, na które nie miała ochoty, i niby to zapomniane terminy spotkań. Małe czy duże kłamstwa Lucy w każdym razie nie zostały nigdy zdemaskowane, ona sama zaś wybaczała je sobie i usprawiedliwiała jako jeden z niezbędnych smarów, zapewniających gładkie funkcjonowanie małżeńskiej maszyny. Mimo że kłamstwo, na które miała się teraz zdecydować, dotyczyło spraw poważniejszych, była pewna, że potrafi je podtrzymać bez najmniejszego wahania i z silniejszym jeszcze przekonaniem o jego słuszności. „Dzisiaj dałabym sobie radę ze wszystkim” - pomyślała czując w całym ciele rozkoszne mrowienie od nadmiaru nagromadzonej energii.

Na pewno nie będzie to wcale takie trudne. Ostatecznie, wszystkie kobiety potrafią

sobie z tym radzić. Pani Wales urządza dyskretne weekendy w górach i parę razy na miesiąc miłe popołudnia w labiryncie Nowego Jorku. Claudia Larkin ma swojego trenera od golfa i podwała mu się doskonalić w tej grze, ale poza tym poświęca wszystkie sobotnie popołudnia Billowi Larkinowi. Edith Brown jest jedną z najgłupszych kobiet na świecie, a jednak przy każdej okazji pokazuje się z całym spokojem u boku męża, mimo że nikt z otoczenia, z wyjątkiem męża, nie ma wątpliwości co do stosunku łączącego ją z pewnym profesorem chemii z New Haven.

„Jednego jestem pewna - postanawiała Lucy lojalnie. - Nigdy nie narażę

Ohvera na coś podobnego.” Zachowa surową powściągliwość i upewni się co do dyskrecji Jeffa. Cokolwiek by się działo, Oliver nic na tym nie straci, ani w uchwytym, ani w nieuchwytym sensie. Jeśli coś w ogóle ulegnie zmianie, to tylko w tym znaczeniu, że będzie dla Oliyera lepszą żoną, niż była kiedykolwiek przedtem.

Nie była wprawdzie pewna logiki rozumowania, które ją przywiodło do tego wniosku, mimo to jednak pomyślała z zadowoleniem, że nie warto w żadnym razie przejmować się zbytnio tymi sprawami. Piętnaście lat to kawał czasu. Prawdopodobnie wśród znajomych małżeństw nie ma ani jednego, w którym by ta czy inna strona po dwa razy krótszym okresie pożycia nie pozwoliła sobie na jakiś skok w bok.

A jeśli chodzi o Jeffa... Popatrzyła na ciemne, bujne włosy przyciśnięte do jej piersi.

Powiedział jej: „Na zawsze!” „No tak - pomyślała z pobłażliwością” - z tym to już czas najlepiej sobie poradzi.”

Leżała spokojnie i czuła się zadowolona z siebie. „Niczego jeszcze nie przemyślałam tak dokładnie i mądrze jak tej sprawy - stwierdziła w duchu. - Nigdy nie panowałam tak całkowicie nad sytuacją.”

„A na drugi raz - napawała się nowo odkrytą rozkoszą występku - na drugi raz, kiedy młody mężczyzna będzie się we mnie wpatrywał przez całe lato, na pewno go zauważę.”

Jeff poruszył się nagle w oplocie jej ramion, wyprężył się, zadrżał. Szarpnął gwałtownie głową, która opadła na poduszkę obok jej głowy, i otworzył usta jak do spazmatycznego krzyku. Pocałowała go w policzek. Obudził się.

- Co takiego? - szepnęła. - Co ci się stało?

Patrzył na nią. Przez chwilę zdawało się, że nie ma pojęcia, gdzie się znajduje, i że jej nie poznaje.

- Co ci jest, maleńki? - powtórzyła cicho, tuląc go mocniej do siebie. Jego napięte mięśnie rozluźniły się.

- Nic, nic - odpowiedział. Uśmiechnął się, poprawił się na poduszce i leżał na wznak



patrzając w sufit. - Pewnie coś mi się śniło.

- Ale co?

Zawahał się.

Nic - powtórzył i powoli przeczesał palcami jej włosy. - W każdym razie dziękuję ci, żeś mnie obudziła.

Co ci się śniło? - dopytywała się ciekawie.

Wojna - odparł wpatrując się uporczywie w mroczny sufit.

Jaka wojna? - Była zdumiona, Jeff nie mógł mieć przecież więcej niż dwa lata, kiedy się skończyła wojna światowa.

Ta, w której mnie zabijają - odpowiedział po prostu.

Nie, nie!

„Więc młodzi mężczyźni śnią dzisiaj o takich rzeczach? - myślała Lucy. - A ja leżałam przy nim i zachwyciałam się sobą!”

Ciągle mi się śni ten sam sen, cholerny sen - skarżył się Jeff. - Jakieś miasto, którego nigdy nie widziałem, i napisy na wystawach sklepowych w jakimś dziwnym języku, którego nie mogę rozpoznać. Biegnę, biegnę ulicą i nie mogę zrozumieć, skąd się biorą te kule, a one gwizdzą coraz bliżej i coraz gęściej. I wiem, że jeżeli się zaraz nie obudzę, to któraś kula mnie trafi...

To straszne - szepnęła Lucy.

- No, nic takiego. Zawsze jakoś mi się udaje obudzić na czas.

Uśmiechał się w ciemności. Ale dla Lucy ta noc w jednej chwili odmieniła się całkowicie, nabrzmiała złym przeczuciem, spochmurniała od snów, a chłopiec leżący obok niej na posłaniu wydawał się teraz obcy i zarazem boleśnie potrzebny. Pochyliła się nad nim i pocałowała go.

- Nie wolno ci już więcej śnić o takich rzeczach - powiedziała i po raz pierwszy deklarując swoje prawa do niego dorzuciła: - To nielojalnie.

Zaśmiał się cicho. Lucy poczuła, że uratowała go przynajmniej na jakiś czas.

Masz rację. Będę się powstrzymywał od snów.

Muszę zobaczyć, która to godzina - przypomniała sobie siadając na łóżku. - Gdzie jest twój zegarek?

Na stole koło okna.

Wstała i otulona przyćmionym blaskiem księżyca przeszła bosą po zimnej, gołej podłodze. Odnalazła zegarek i podniosła go do oczu. Miał nafosforyzowaną tarczę, więc dojrzała, że było już niedaleko do czwartej.

Muszę iść - powiedziała schylając się po swoje buty. Jeff siedział na łóżku i przyglądał się jej.

Jeszcze nie - prosił. - Nie tak zaraz.

Kiedy muszę.

A zrobisz coś dla mnie? - zapytał.

No, co? - Stała przed nim w wyczekującej postawie.

- Przejdź jeszcze raz przez tę księżycową poświatę - powiedział cicho.

Ostrożnie postawiła buty z powrotem na podłogę, postąpiła chwilę bez ruchu, a potem przeszła powoli przez pokój - wysoka, naga, lśniąca bladym odbiciem księżycowego blasku.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Tony'ego obudziło pohukiwanie puszczyka. Poza tym skopał z siebie kołdrę, bo spał niespokojnie, i teraz było mu zimno. Sięgnął w dół ręką i wciągnął z powrotem kołdrę na łóżko. Pościel piętrzyła się na nim w bezładnym stosie, on zaś drżał z chłodu i czekał, aż się znowu zagrzeje. Nasłuchiwał wołania puszczyka. Teraz były już dwa. Jeden blisko, zaraz za domem, a drugi gdzieś nad jeziorem, nie dalej niż

o sto pięćdziesiąt jardów. Pohukiwały do siebie w ciemnościach, raz za razem, monotonnie i jakby z pogroźką, niby Indianie porozumiewający się przed ostatecznym atakiem na siedzibę białych.

Tony nie lubił puszczyków. Nie lubił stworzeń, które hałasują po nocy. A

jeżeli już miały sobie tyle do powiedzenia, to dlaczego nie zdecydowały się wyfrunąć naprzeciw i spotkać się w połowie drogi? Ale nie. One wołały siedzieć schowane gdzieś na drzewach i pohukiwać do siebie z ukrycia. Nie podobał mu się także ich sposób latania. Uważał, że w locie puszczyka jest coś tłustego i podejznanego, a poza tym mógłby się założyć, że sowy i puszczyki śmierdzą, kiedy się do nich blisko podejdzie.

Księżyc już zaszedł i było bardzo ciemno. Tony żałował trochę, że nie śpi w swoim pokoju. Nie dlatego, żeby się bał ciemności. Gdyby nie puszczyki, nic by mu to nie przeszkadzało. Ale to ponure hukanie sprawiało, że - otoczony ze wszystkich stron nieprzeniknioną ciemnością - czuł, jak narasta w niej coś złego, jak się zbliża...

Miał ochotę wstać i pójść do pokoju, aby zobaczyć, która jest godzina.

Musiał już być po czwartej, wiedział przecież, że księżyc miał dzisiaj zajść o trzeciej pięćdziesiąt siedem. Mógłby się założyć, że żaden chłopak w tym obozie za jeziorem nie wie, o której godzinie księżyc dzisiaj zachodzi.

Gdyby poszedł zobaczyć, która godzina, zajrzyłby także na chwilę do pokoju mamy i trochę by na nią popatrzył. Tylko że mogłaby się obudzić, a wtedy co by jej powiedział? że się boi ciemności? Z mamą to jeszcze pół biedy, ale mogłaby o tym napisać ojcu, a ojciec pewno by przysłał sążnistą epistołę i nabijał się z tych strachów.

Tony nie miał właściwie nic przeciwko żartom i kpinom, ale wołał, żeby z pewnych rzeczy ludzie nie pokpiwali.

Kto powiedział, że mama musi się obudzić? Kiedyś wszedł przecież w środku nocy do jej pokoju, a ona spała tak mocno, że nie słychać było, jak oddychała. Leżała nieruchomo i nawet kołdra nie poruszała się od jej oddechu. Wtedy przeszła go straszna myśl: „Ona nie śpi. Ona umarła!” Nie mógł tego wytrzymać. Podszedł do łóżka, pochylił się nad nią i palcami uniósł jedną powiekę. Nie poruszyła się wcale.

Wprawdzie to ona leżała na łóżku, ale to nie było jej oko. Było to coś pustego, nie widzącego, coś, co nie miało w sobie odrobiny światła. Była to najokropniejsza rzecz, jaką widział w życiu. Nigdy nie wyobrażał sobie, że coś może być równie martwe.

Przestraszył się bardzo i puścił powiekę, która opadła z powrotem na oko. Wtem mama poruszyła się i zaczęła mocniej oddychać. Znowu była jego matką. Wszedł po cichutku z pokoju i wrócił do swojego łóżka. Wiedział, że już nigdy więcej nie zrobi takiej rzeczy. I nic jej o tym nie powiedział. Mnóstwo było takich rzeczy, o których nie mówił nikomu. Na przykład o tym, co to jest śmierć. Ile razy wchodził do pokoju, gdy oni mówili o tym - na przykład kiedy w sąsiednim domu umarł stary Watkins - od razu urywali rozmowę i zaczęli opowiadać coś o pogodzie, o szkole albo o jakichś innych głupstwach. Udawał, że się w niczym nie orientuje, ale orientował się bardzo dobrze. Kiedy miał cztery lata, umarła babcia w Haverford, u cici. Zawieźli go do dużego, starego domu z oranżerią od tyłu, żeby się pożegnał z babcią. Zapamiętał dwa zapachy z tamtego domu. Zanim babcia zaczęła umierać, w starym domu pachniało szarlotką z jabłek i plackiem z dynią albo z anansem, a potem był zapach umierania -

zapach lekarstw, jacyś ludzie na dole palili papierosy i biegali z wystraszonymi minami. W ostatniej chwili babcia zdecydowała się umrzeć bardzo prędko, tak że nie zdążyli go nawet wyprawić do hotelu. Cały dom był zapchany ludźmi, położyli go zatem spać w małym pokoiku przy hallu, skąd słyszał doskonale, jak przez całą noc chodzili, rozmawiali przyciszonymi głosami i płakali. Przypomina sobie, że ktoś wtedy powiedział: „Ona już odpoczywa w pokoju wiecznym.”

Rozmyślał o tym dużo, ale nie odzywał się ani słowem, wiedział bowiem, że nikomu by się nie podobało, gdyby zaczął mówić o takich sprawach. Doszedł do wniosku, że babcia

dlatego zdecydowała się umrzeć tak późno w nocy, że w dzień ludzie mogliby się przyglądać, a ona bardzo by się tego wstydziła. Przez długi czas

Tony był przekonany, że tak się to właśnie dzieje: człowiek postanawia umrzeć i umiera. A jeżeli nie postanowił umrzeć, to żyje dalej. Myślał, że człowiek może robić, co chce, z samym sobą. Ale zdarzyła się dziwna rzecz, która wpłynęła na zmianę jego poglądów. Złamał sobie palec u ręki, kiedy chciał chwycić piłkę baseballową. Musiał mieć wtedy z osiem lat. Od tej pory palec pozostał skrzywiony, wygięty dziwacznie w ostatnim stawie. Wprawdzie w jakiś czas po złamaniu przestał go boleć, ale był ciągle skrzywiony na końcu. Można go było wyprostować przyciskając do stołu, zaraz jednak wykrzywił się z powrotem. Tony popatrzył wtedy na palec i pomyślał:

„Przecież to jest mój własny palec. Jeżeli mu powiem: wyprostuj się, to będzie musiał się wyprostować.” Ale palec mimo to pozostał krzywy. Wówczas zaczęło mu świtać w głowie, że choćby człowiek mówił swojemu ciału: „Nie umieraj!”, nic to mu nie pomoże i tak czy owak, będzie musiał umrzeć.

Jest cała masa rzeczy, o których nie można nikomu powiedzieć. Na przykład, szkoła. Ojciec go zapytał, czy ma ochotę wyjechać od jesieni do szkoły, a Tony odpowiedział, że tak, bo wiedział, że ojciec pragnie usłyszeć taką właśnie odpowiedź, on zaś nie chciał mu sprawiać zawodu. Ojciec, co prawda, nic nie mówi, kiedy go spotka zawód, ale i tak można to po nim poznać. To jest trochę tak jak z rozpoznawaniem zapachów. Albo kiedy ktoś szepcze w sąsiednim pokoju i nie można dokładnie zrozumieć słów, ale mimo to wie się, o co chodzi. I wtedy jest o wiele gorzej, niż gdyby coś powiedział. Już dosyć zawodu sprawił ojcu przez swoją chorobę. Tony rozumiał to obserwując Olivera, gdy ten przyglądał się innym chłopcom w jego wieku.

Wiedział, że ojciec pragnie, aby został kimś ważnym, gdy dorośnie. Toteż gdy go pytano, kim chciałby być w przyszłości, odpowiadał: „Astronomem”, bo nikomu innemu taka myśl nie wpadła jeszcze do głowy. Wszyscy inni chłopcy chcieli być lekarzami, adwokatami albo zawodowymi piłkarzami. Oliver śmiał się zawsze, kiedy

Tony mówił o swoim przyszłym zawodzie, ale Tony wiedział, że ojciec uważa to za dowód jego oryginalności nie biorąc zresztą zbyt poważnie jego zamiarów, tak że nie było mowy o żadnych dodatkowych zadaniach ani o zdobywaniu w szkole najlepszych stopni po to, aby móc się dostać do Harvard.

Ale, wracając do szkoły, będzie musiał jednak coś z tym zrobić. Niech sobie będzie szkoła, ale nie myśli się rozstawać z matką.

Gdyby powiedział to ojcu, ojciec zrobiłby znowu taką minę i zaczęłby zaraz

opowiadać, jak to wszyscy chłopcy dorastając przestają się trzymać maminego fartuszka. „Może by tak pod sam koniec wakacji - rozmyślał Tony - kiedy już będzie za późno, żeby mnie tu na długo zapakowali do łóżka, może by tak dostać jakiegoś ataku? Takiego słabego ataku. Powiem, że mi trochę ciężko oddychać i że mi latają ciemne płatki przed oczami. Jak posiedzę na słońcu przez cały dzień, to się okropnie rozgrzeję i będzie wyglądało zupełnie, jakbym miał gorączkę.”

Ostatecznie, wcale nie było tak źle chorować. Tylko na początku wszystko go bolało, bandażowali mu oczy i co pięć minut zaglądali do pokoju. Potem mama siedziała przy nim codziennie prawie przez cały dzień, czytała mu, rozwiązywała krzyżówki, śpiewała i razem z nim jadła obiad. A kiedy chłopcy przyszli go odwiedzić, on był zawsze górą, bo mógł im opowiadać, jak to o mały włos nie umarł.

śaden inny chłopiec nie mógł się pochwalić, że także o mały włos nie umarł.

Albert Barker chciał to jakoś nadrobić i zaczął opowiadać Tony'emu, jak to jest naprawdę z małymi dziećmi. Według tego, co mówił Albert Barker, kobieta i mężczyzna kładą się razem do łóżka zupełnie bez ubrania i wtedy mężczyzna wchodzi na wierzch, na tę kobietę i mówi do niej: „Rozłóż nogi”, a kobieta zaczyna tak dziwnie postękiwać (Albert Barker próbował to naśladować, brzmiało to tak, jakby ktoś stękał podnosząc ciężką skrzynię), i w jakiś czas potem robi się bardzo gruba, i wtedy rodzi się dziecko. Tony mógłby się prawie założyć, że Albert Barker zmyślił co najmniej połowę tej historii, ale nie miał czasu dokładniej go wypytać, bo właśnie wtedy weszła mama z ciastkami i mlekiem, a czuł, że o tej sprawie, tak samo jak o umieraniu, lepiej nie mówić przy dorosłych.

Albert Barker nie przyszedł już więcej do niego. Chłopcy odwiedzili go parę razy z początku, ale potem przestali, bo nie było nic specjalnego do roboty, a siedzenie ot tak w pokoju, nie sprawiało im przyjemności. Mama mówiła, że chłopcy czekają, aż on wyzdrowieje i będzie mógł się bawić z nimi na dworze, i że wtedy będą tak samo dobrymi kolegami jak dawniej.

W gruncie rzeczy nie było mu przykro, że przestali do niego przychodzić, bo przecież mama siedziała przy nim przez cały dzień. Miałby jednak ochotę zobaczyć się jeszcze raz z Albertem Barkerem, żeby wyjaśnić tamtą sprawę.

Ciekawe, czy Susan Nickerson także wie o tym? Wygląda tak, jakby wiedziała

Bóg wie co o Bóg wie ilu rzeczach. Tylko że nie bardzo zwraca na niego uwagę. Od czasu do czasu umawia się z nim na wspólne pływanie albo wstępuje na chwilę, żeby z nim porozmawiać, ale zawsze zdaje mu się, że ona szuka czegoś innego albo że czeka na jakiś telefon, a jeżeli ktoś inny się zjawia, to ona zaraz odchodzi.

Dobrze by było, żeby wakacje trwały trochę dłużej. Tak, gdyby lato było dłuższe, wymyśliłby na pewno jakiś sposób, żeby Susan Nickerson zaczęła się nim interesować. Lato jest lepsze pod tym względem od zimy. W lecie ludzie więcej ze sobą przebywają. W zimie każdy się śpieszy, odsuwa się od ludzi i ciągle ma myśl zaprzątniętą czym innym.

Jeff wyjedzie do swojej szkoły i nie będą się widzieli przez ileś miesięcy.

Może już nigdy się nie zobaczą? Nigdy. To niedobre słowo, ale czasami człowiek musi spojrzeć w twarz takim słowem. A nawet gdyby się zobaczyli, to już nie będzie to samo. Co innego kiedy się przebywa z kimś razem przez cały czas, dzień po dniu, a zupełnie co innego kiedy się go widuje raz na parę miesięcy. Po paru miesiącach ten ktoś myśli już o czym innym.

Dlatego właśnie, między innymi, nie chce wyjeżdżać do szkoły: kiedy wróci do domu, mama będzie myślała o czym innym. Dorosłym chyba to nie przeszkadza.

Na pożegnanie mówią: „Do widzenia”, ściskają sobie ręce i nic ich nie obchodzi, że nie zobaczą się przez wiele miesięcy, wiele lat - może nigdy? Dorośli naprawdę nie rozumieją, co to znaczy być przyjacielem. Nawet wtedy, kiedy babcia umarła i pochowali ją, ojciec nie bardzo się zmienił. Następnego dnia rano czytał przy śniadaniu gazetę, a zaraz nazajutrz po pogrzebie pojechał, jak zwykle, do pracy. Po tygodniu grywał już w brydża wieczorami, jakby w ogóle nic się nie stało. Tony poczuł dreszcz chłodu i spróbował się lepiej otulić. śałował, że zaczął rozmyślać o takich sprawach. Mimo wszystko, mógłby się założyć, że gdyby mama umarła, to on nie grałby w brydża w tydzień potem.

Kto wie, czy nie powinien zostać doktorem, naukowcem? Mógłby wynaleźć taką szczepionkę, żeby ludzie żyli bez końca. Zacząłby najpierw od małp. I nic by nikomu nie mówił, aż dopiero któregoś pięknego dnia zabrałby z sobą małpę do sali wykładowej. A tam już wszyscy siedzą zaciekawieni i czekają, co on im powie. A on wprowadza małpę na podium i mówi: „Proszę państwa, czterdzieści lat temu wstrzyknąłem tej małpie nie znaną nikomu moją szczepionkę QY-07. Jak państwo widzą, małpa nie ma ani jednego siwego włosa i może skakać po najwyższych drzewach.”

A potem pilnowałby dobrze, komu dać tę szczepionkę. Najpierw mama i ojciec, i Jeff, i doktor Patterson. Będzie mnóstwo osób, którym odpowie: „Bardzo mi przykro, ale w żaden sposób nie mogę. Nie wystarczy dla wszystkich.” Mogą dawać nie wiem jakie pieniądze. Nie powie, o co mu chodzi, ale sam będzie wiedział bardzo dobrze.

Zaśmiał się cichutko pod kołdrą na samą myśl o tym, jakie miny będą mieli ci ludzie, którym powie: „Bardzo mi przykro, ale nie wystarczy dla wszystkich.”

Obrócił się na bok i właśnie miał zamknąć oczy, żeby dalej rozmyślać o nieśmiertelnej

małpie, kiedy zobaczył, że ktoś idzie przez trawnik w kierunku domu.

Wstrzymał na chwilę oddech i nie poruszał się, tylko patrzył. Wtem rozpoznał, że to idzie matka w luźnym, rozpiętym płaszczu. Nad samą trawą unosił się lekki opar mgły i zdawało się, że matka płynie ku niemu przez siwe jezioro. Nie odezwał się do niej i poczekał, aż wejdzie na ganek. Stała, obróciła się twarzą ku mgłom ścielącym się nad ziemią i przez kilka sekund patrzyła gdzieś daleko przed siebie. Było bardzo ciemno, tylko wąskie pasemko światła wymykało się z wnętrza domu na ganek przez odchyloną zasłonę, lecz Tony widział dobrze, że matka się uśmiecha.

- Mamo! - zawołał szeptem, bo przecież była noc i tak ciemno.

Mimo że przemówił tak cicho, wzdrygnęła się całym ciałem. Podeszła do niego i nachyliwszy się pocałowała go w czoło.

Dlaczego nie śpisz? - spytała.

Słuchałem, jak hukają puszczyki. A gdzie ty byłaś?

Ot tak, poszłam się trochę przejść.

Wiesz, kim ja będę, jak dorosnę?

No kim, kochanie?

Doktorem. I będę robił doświadczenia z małpami. Roześmiała się, pogładziła go palcami po włosach.

Kiedy się na to zdecydowałeś?

Dzisiaj w nocy - odparł, ale nie wyjaśnił jej przyczyn tej decyzji. Przyczyny mogły jeszcze poczekać.

To bardzo ważna noc w takim razie, prawda?

Tak, bardzo ważna.

Nachyliła się jeszcze raz i pocałowała go. Owiał go ciepły zapach. Płaszcz matki pachniał igliwem, jak gdyby szła przez las i ocierała się o gałęzie młodych chojaków.

- A teraz już dobranoc, panie doktorze - powiedziała. - Śpij dobrze.

Weszła do wnętrza domu, a on zamknął oczy. Słyszał, jak się porusza ostrożnie, a potem światło zgasło i zrobiła się cisza. „Szczęście, że nie poszedłem do jej pokoju, kiedy się obudziłem - pomyślał Tony. - Pokój byłby pusty i tylko bym się wystraszył.”

Puszczyki już nie hukwały, było niedaleko do świtu. Tony zasnął.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Tony wrócił do domu po południu, o wiele wcześniej, niż się spodziewał.

Wycieczka była zaplanowana na cały dzień, mieli bowiem zjeść obiad przy skale zwanej Strażnicą, na drugim końcu jeziora, i potem zwiedzić tamtejsze groty. Obiad zjedli na trawie, jak należy, i trochę rzucili okiem na groty, ale zaraz zaczęło popadywać. Tony był rad, że Bert, który miał pod swoją opieką konie i wóz, zagonił wszystkich z powrotem. Już o godzinie drugiej wyruszyli w drogę do domu.

Wszystkie dzieci na tej wycieczce były o wiele młodsze od niego, poza tym były jakieś mamy i nianie, toteż Tony czuł się przez cały czas albo osamotniony, albo wyższy ponad to. Byłby się wcale nie wybrał, gdyby nie to, że Jeff zwolnił się na ten dzień, żeby pojechać do Rutland, do dentysty. Mama powiedziała, że będzie zajęta, a

Tony zrozumiał, że chciała, aby pojechał. Teraz było dopiero koło czwartej, w domu ani żywej duszy. Zajrzał do wszystkich pokoi, ale matki nigdzie nie znalazł. W kuchni leżała na stole kartka z wiadomością, że pojechała do miasta na film i będzie z powrotem o piątej.

Wziął jabłko i wyszedłszy na ganek chrupał je i patrzył na jezioro. Dzień był chłodny, jezioro wydawało się szare i nieżyczliwe. Śeby tak słońce chciało się pokazać, mógłby trochę popływać. Dokończył jabłko, zamachnął się prawidłowo i cisnął ogryzkiem w drzewo. Nie trafił. „Ogryzek jest za lekki, wiatr go znosi” -

zadecydował. Pomyślał, że warto by może spróbować zabrać się autobusem hotelowym do miasta i poszukać matki. Ale rozmyślił się. Ile razy udało mu się ją odszukać, w pierwszej chwili uśmiechała się i wydawała się bardzo zadowolona, ale zaraz mówiła: „Słuchaj, Tony, nie możesz mi przecież ciągle deptać po piętach.”

Poszedł do saloniku i spojrzął na zegar. Właściwie nie opłacało się jechać do miasta i szukać jej w kinie, jeżeli miała wrócić o piątej. Zresztą nie miał pieniędzy i nie wiadomo, czy mógłby się dostać do sali kinowej. Nigdy nie był w kinie. Najpierw ojciec mówił, że jest jeszcze za mały, a potem miało mu to podobno szkodzić na oczy.

Ojciec nie uznawał kina. Nie uznawał całej masy rzeczy. Powtarzał ciągle Tony’emu:

„Jak będziesz starszy, synku. Jak będziesz starszy.” Tony miał wrażenie, że kiedy dojdzie wreszcie do dwudziestu lat, będzie tak zapracowany odrabianiem i doganianiem tego wszystkiego, na co mu ojciec teraz nie pozwalał, że nie wystarczy mu nawet czasu na spanie.

Wyszedł znowu na ganek i założył płytę na adapter pożyczony od Jeffa. Była to płyta z piosenką „Dajesz mi kosza, moja miła”. Przez chwilę przysłuchiwał się krytycznie słowom piosenki, po czym puścił adapter na cały regulator, jakby na ganku odbywała się prawdziwa zabawa. Następnie poszedł do pokoju matki, wziął wysokie lustro ustawione na toalecie pod ścianą i wyniósł je na ganek. Kiedy był młodszy, a matki nie było w domu, szedł do jej sypialni, siadał na łóżku i tak czekał aż do jej przyjścia. Nie chciał się stamtąd ruszyć, dopóki



nie usłyszał, że już wróciła. Ale teraz był na to za stary.

Na ganku stał oparty o ścianę kijem baseballowy. Tony wziął go i przesunął wzdłuż niego rękę. Potem stanął przed lustrem w pozycji, lewą nogę wysunął naprzód zachowując dobrą odległość między obu stopami, tak jak mu Jeff pokazywał.

Zamachnął się kijem łagodnie, ostrzegawczo, wyczekując właściwej chwili do uderzenia i wpatrując się chłodnym, czujnym wzrokiem w swoje odbicie w lustrze.

Zręcznym, opanowanym ruchem przełożył ciężar ciała na lewą nogę i trzasnął kijem w piłkę na wysokości pasa, uginając lekko kolana i obserwując siebie uważnie w lustrze. Przepuścił dwie piłki zaciskając tylko palce na kiju, bo szły zbyt dużym łukiem. Potem machnął jeszcze z pięć razy, pamiętając dociskać do siebie napiętki, cofać się ramionami przed piłką i nie ruszać stóp z miejsca. A kiedy miał już dosyć ćwiczenia z kijem, przeszedł do drugiej drużyny, wziął rękawice i piłkę. Wymyślił sobie z Jeffem specjalną grę. Rzucali do siebie niskie i lewe piłki, a ten, kto dziesięć razy nie złapał przegrywał. Zapisywali punkty ołówkiem na drewnianym goncie na ganku. Jeff wygrał dwadzieścia dwa razy, a Tony tylko dwa. Tony ćwiczył teraz przed lustrem niskie i lewe piłki, a także taki chwyt, kiedy piłka leci balonem i trzeba przycisnąć rękawicę do brzucha. Jeff mówił, że to się nazywa chwyt koszykarski i że celuje w nim pewien obrońca z drużyny bostońskiej, Rabbit Maranville. Nie było to wcale takie łatwe, jak by się mogło wydawać, zwłaszcza jeżeli człowiek musiał równocześnie śledzić swoje odbicie w lustrze. Właśnie wykonywał ten chwyt, kiedy usłyszał, że ktoś za jego plecami wchodzi na ganek. Nie odwrócił się i dopiero po chwili zobaczył, że była to Susan Nickerson. Miała na sobie te same niebieskie spodnie i sweter, jakby to był jej mundur. Widział ją rano w hotelu, przed samym wyjazdem na wycieczkę. Zapytał, czy się także wybiera, ale ona odpowiedziała:

- Nie. Takie wycieczki są przecież tylko dla maluchów.

Jeszcze parę razy podrzucił piłkę w górę, nie za wysoko, tak, żeby ją na pewno złapać, bo czuł, że Susan mu się przygląda. Ostatecznie, to ona powinna się pierwsza odezwać.

Serwus - powiedziała, a jemu wydało się, że odniósł małe zwycięstwo.

Serwus - odparł swobodnie, nie przestając podrzucać i chwytać piłki.

Podeszła bliżej i przyglądała mu się z podejrzliwym wyrazem twarzy.

Co ty tu robisz? - zapytała.

Ćwiczenia rąk. Gracz spod bramki musi mieć przede wszystkim murowane ręce.

A po co ci to lustro?

Spojrzała w nie ponad ramieniem Tony'ego i poprawiła sobie nieznacznie włosy. Jak na dziewczynkę w jej wieku, miała włosy za długie i obcięte w ten sposób, że wydawała się o

wiele starsza.

- żeby poprawić sobie formę - wyjaśnił Tony. - Wszyscy najwięksi gracze ćwiczą przed lustrem.

Susan westchnęła, jak gdyby ten temat, podobnie jak wszystkie inne tematy, okazał się natychmiast po bliższym zbadaniu beznadziejnie nudny. Przez chwilę wpatrywała się uważnie w Tony'ego tym swoim spojrzeniem pogromczynie zwierząt.

Mogło się wydawać, że zastanawia się nad sposobem, w jaki ma sobie poradzić z tym właśnie okazem zwierzęcia i właśnie w tej chwili. Potem zaczęła krążyć powoli po ganku, wzięła do ręki jakąś książkę, przyjrzała się jej z zimnym wyrazem i odłożyła niedbale, dotknęła końcami palców jakiegoś pisma na stole, przystanęła przy adapterze i bez najmniejszej przyjemności przysłuchiwała się rozkrzyczanej melodii.

Sam jesteś? - zapytała.

No.

Ta miejscowość to istny cmentarz, prawda?

Tony wzruszył ramionami, odwrócił się od lustra i zaczął wpychać drugą rękę w rękawicę.

- Czyja wiem? - odpowiedział. - Może dla dziewczyn, tak.

Gdzie jest Jeff? - rzuciła zniechęta.

Pojechał do Rutland. Ząb go bolał.

Aha, do Rutland... - Głos Susan brzmiał teraz tak, jakby prowadziła śledztwo. Przyciszyła trochę adapter. - A gdzie twoja mama? - zapytała tonem uprzejmej pani domu, która podtrzymuje rozmowę na temat dla niej bynajmniej nie interesujący, wyłącznie ze względu na mało wyrobionego towarzysko gościa.

Wybrała się do kina. Za jakiś miesiąc ja także będę mógł chodzić do kina.

- Ach, więc wybrała się do kina - powtórzyła Susan stawiając jakby cień znaku zapytania po tych słowach.

Tak.

A co dziś wyświetlają?

Nie mam pojęcia.

To zapytaj swoją mamę, jak wróci. - Jeszcze bardziej przyciszyła adapter.

Po co mam ją pytać?

Tak sobie, z ciekawości. Może poproszę moją mamę, żeby mnie wzięła dziś na ten film. Skąd masz adapter?

To Jeffa - odparł Tony. - Dostał w prezencie od swojej ciotki, kiedy wyjeżdżał na

uniwerek. Ta ciotka jest bogata i ciągle mu daje jakieś prezenty. Jeff ma już osiemset czterdzieści pięć płyt. Zna się wspaniale na swingu.

Zdaje mu się, że jest nie wiadomo kim.

Bo on jest Kimś - powiedział Tony z naciskiem.

Gada tak, jakby miał już z pięćdziesiąt lat. - Z tonu Susan wynikało niezbitcie, że uważała to za jedno z najcięższych oskarżeń, jakie można wytoczyć przeciwko mężczyźnie.

Takiego równego chłopca jak Jeff pewno nigdy nie spotkasz - oświadczył

Tony bojowo.

To tylko ty tak uważasz.

Tony miał ochotę powiedzieć jej coś miażdżącego i ostatecznego, ale jak na złość nic miażdżącego nie przychodziło mu na myśl.

- Tak, ja tak uważam - odparł nieporadnie, zdając sobie sprawę z tej nieporadności.

Susan podeszła do adaptera i zatrzymała go. Muzyka urwała się z przykrym, oślizłym skrzypnięciem.

Dlaczego zatrzymałaś? - zapytał Tony.

Nienawidzę jazzu. Słucham tylko klasycznej muzyki. Gram sama na trzech instrumentach.

Tony zbliżył się i znowu puścił adapter.

Ale ja lubię jazz - oświadczył stanowczo. - I to jest mój dom.

Nie twój, tylko twojego ojca - poprawiła go ze ścisłością godną prawnika. - Twój ojciec za niego płaci.

To, co należy do mojego ojca, należy i do mnie.

Niekoniecznie. Ale jeżeli tak uważasz, to sobie pójdę.

Szczęśliwej drogi! - burknął opryskliwie, ale w jego głosie można było wyczuć niepewność.

Okej. Wstąpiłam tylko dlatego, że ta dziura jest taka beznadziejna.

Zaczęła powoli schodzić ze schodów poruszając tyłeczkiem, którego wypukłości przypominały dwa baloniki plażowe. Tony patrzył za nią z ukosa chmurnym wzrokiem. Wtem podniósł gwałtownym ruchem igłę i zatrzymał adapter.

- Zresztą, co mi zależy! - powiedział nonszalancko. - Nie zachwykam się specjalnie tą płytą.

Szybki, chłodny uśmiech przemknął po twarzy dziewczynki. Tak się uśmiecha policjantka, kiedy się jej uda wycisnąć w śledztwie wyznanie winy.

No, teraz to co innego - oświadczyła łaskawie i weszła z powrotem na ganek.

Na jakich grasz instrumentach? - zapytał Tony uprzejmie.

Na fortepianie, na puzonie i na wiolonczeli.

Zrobiło to na nim wrażenie, ale nie chciał się przyznać i dla wzmocnienia w jej oczach własnej pozycji wziął teleskop i zaczął się wpatrywać w niebo z bardzo fachową miną.

Pełno kumulusowych obłoków na niebie, zwanych *cirrus* - stwierdził z powagą. - Pułap około tysiąca stóp, widoczność poniżej mili.

Komu to wszystko potrzebne?

W Mount Wilson, wiesz, to jest w Kalifornii, mają taki silny teleskop, że można przez niego obserwować gwiazdy w biały dzień. Założę się, że tego nie wiedziałaś.

No dobrze, ale komu to jest potrzebne?

Z uczuciem delikatnego triumfu Tony zatrzęsął pułapkę:

A komu jest potrzebne granie na wiolonczeli?

Mnie. Bo kiedyś będę wybitną artystką.

- Kto ci to powiedział? - zapytał z powątpiewaniem.

Zrobił odkrycie, że ta mieszanina wrogości i sceptycyzmu stwarzała pomiędzy nimi most wyrównujący różnicę wieku i płci i pozwalający mu, przynajmniej w danej chwili, rozmawiać z nią mniej więcej jak równy z równym.

Pan Bradley mi powiedział - odparła Susan. - To nasz nauczyciel muzyki.

Dyryguje szkolną orkiestrą. Na meczach piłki nożnej gram w orkiestrze na puzonie, bo przecież nie mogę ciągnąć za sobą wiolonczeli. Pan Bradley mówi, że mam wybitne wrodzone zdolności. Zeszłej zimy, w szkole, chciał mnie pocałować. On próbuje z wszystkimi dziewczynkami. Zeszłego roku całował się z trzema pierwszymi skrzypaczkami po kolei.

Co mu na tym zależy? - zapytał Tony starając się nie pokazać po sobie, jak bardzo go interesuje ta rozmowa.

Susan wzruszyła ramionami.

On to lubi.

A coś ty zrobiła, kiedy cię chciał pocałować?

Pozwoliłam mu - odpowiedziała zwięźle.

Dlaczego?

A dlaczego miałam mu nie pozwolić? Ale kiedy mnie zaczął obmacywać, to powiedziałam, że pójde do dyrektorki, i dał mi spokój. On jest prawdziwym artystą, ten Bradley. Jak gra na skrzypcach, to zamyka oczy. A w kinie, jak się całują, to także zawsze zamykają oczy. Twoja mama jest teraz w kinie? - zapytała go nagle.

Mówiłem ci przecież.

Ja tylko tak, chciałam się upewnić.

Przeszła powoli dookoła ganku stąpając na czubkach palców, jak baletnica ćwicząca pas.

Całowałaś się już z jakąś dziewczyną?

Ja... ja... no pewnie, że tak - odparł Tony.

Ile razy?

Zawahał się szukając w myśli jakiejś rozsądnej liczby.

- Siedemnaście - zdecydował się w końcu.

Susan podeszła do niego blisko i zatrzymała się. Zauważył z przykrością, że jest co najmniej o dwa cale wyższa od niego.

Zobaczmy - powiedziała chłodno.

Co to ma znaczyć? - zapytał Tony grubym i szorstkim głosem, usiłując zyskać w ten sposób na czasie.

Zobaczmy - powtórzyła z nikłym uśmiechem, który przesunął się po jej twarzy nie dotykając wcale chłodnych, nieufnych oczu, podobnych do stalowych pieniążków. - Mogę się założyć, że jeszcze nigdy nie pocałowałaś żadnej dziewczynki.

A właśnie że tak - upierał się przyciśnięty do muru. Bardzo pragnął w tej chwili być wyższy przynajmniej o dwa cale.

No, to pokaz - rzuciła wyzywająco.

Okej.

Tony'emu wydało się nagle, że ma gorączkę. Westchnął z głębi serca, żeby ktoś prędko nadszedł i przeszkodził im. Ale nikt nie nadchodził. Postąpił więc ostrożnie krok naprzód i pocałował Susan. Pierwszy pocałunek spudłował, wylądował bowiem mniej więcej na brodzie. Susan ugięła lekko kolana i tym razem Tony odnalazł jej usta. Pocałował ją spieszenie, żeby tylko pokazać, że się nie boi.

No, widzisz - rzekł obejmując ją ramieniem.

Zdejmij okulary.

Tony zdjął okulary i położył je ostrożnie na adapterze. Pocałował ją jeszcze raz. Usta Susan miały miętowy smak gumy do żucia i zaczęło mu to sprawiać przyjemność.

Zadowolona ze swojego eksperymentu Susan odsunęła się od niego.

- Strasznie wymarła dziura - powiedziała niechętnie. Wyciągnęła z kieszeni niebieskich spodni lusterko i pomadkę do ust i zaczęła sobie poprawiać wargi. Tony

żałował, że nie jest co najmniej o pięć lat starszy, bo wtedy nie czułby się może tak

bardzo zgorączkowany.

- Gdybym tu miała chociaż jednego chłopca w odpowiednim wieku - mówiła Susan malując się dalej - nie zachodziłabym na pewno do ciebie.

Patrzył na nią zdumiony. Zdawał sobie sprawę, że bolą go te słowa, ale nie mógł zrozumieć, dlaczego. Roztargnionym ruchem wziął teleskop i zaczął się wpatrywać w niebo.

- Pułap się podnosi - oznajmił po chwili.

Susan obserwowała go z chłodną uwagą, niby pogromca zwierząt, który postanawia przerobić jeszcze jedną sztuczkę przed zamknięciem na noc klutek.

A wiesz, co robią dorośli, kiedy idą razem do łóżka? - zapytała.

Pewnie że wiem - odparł z fałszywą nutą w głosie.

No, co?

Przypomniał sobie, co Barker opowiadał o tych sprawach. Ale pomieszało mu się to wszystko w głowie, a przy tym Barker tak niewyraźnie mówił o konkretnych szczegółach. Tony przestraszył się, że gdyby zechciał powtórzyć to, co słyszał, zdradziłby się tylko przed Susan ze swoją beznadziejną ignorancją.

- No cóż - odparł z zakłopotaniem - wiem tylko, że...

- Więc wiesz czy nie wiesz? - nastawała nieubłaganie.

Tony sięgnął po okulary i włożył je z powrotem, aby zyskać trochę na czasie.

Jeff zaczął mi właśnie o tym mówić któregoś dnia - bąkał nieskładnie. - Powiedział, że mój ojciec go o to prosił. Coś takiego o... o nasieniu.

O nasieniu! - prychnęła pogardliwie. - Już z tego widać, że nie masz o niczym pojęcia.

A skąd ty wiesz wszystko tak dobrze? - zaatakował Tony, usiłując się w ten sposób ratować.

Bo jednej nocy podglądałam mamę i ojca. To znaczy, mojego ojczyma.

Wrócili późno do domu i myśleli, że śpię. Zapomnieli zamknąć drzwi od sypialni. A ty nigdy nie podglądałeś swoich rodziców?

Nie - odparł Tony. - Oni nigdy nie robią takich rzeczy.

Na pewno robią.

Nie, nie robią.

Nie bądźże takim naiwniakiem - powiedziała znudzonym tonem. - Przecież wszyscy to robią.

Ale nie moi rodzice! - wykrzyknął głośno.

Czuł, że musi temu zaprzeczyć ze wszystkich sił, ale nie wiedział dlaczego.

Na pewno miało to coś wspólnego z tym postępowaniem, podobnym do świńskiego chrząkania, które Albert Barker próbował naśladować.

- Ach, przestań się wyglupiać - rzekła Susan.

Bał się, że lada chwila może się rozplakać, i nienawidził jej za to, że była tutaj i że mówiła w ten sposób.

Jesteś zepsuta. Jesteś obrzydliwa dziewczucha - rzucił jej prosto w twarz.

No, no, tylko bez przezywania! - powiedziała ostrzegawczym tonem.

Obrzydliwa dziewczucha! - powtórzył.

No, to najlepiej pójdź sam i zobacz. W dodatku, wcale nie z twoim ojcem.

Kłamiesz!

Pojechała do kina! - Susan zrobiła pogardliwy ruch ręką. - Filmy wyświetlają tylko w soboty i niedziele. Mogą ci bajerować, co im ślina na język przyniesie, a ty we wszystko wierzysz, może nie? Dzieciak z ciebie. - Gwałtownym gestem wskazała za siebie. - Idź tam, do domu jego siostry, i zajrzyj przez okno, tak jak ja zajrzałam. Przekonasz się, czy kłamię.

Tony zamierzył się na nią niezdarnie teleskopem, ale Susan była zwinniejsza i silniejsza od niego. Przez chwilę szamotali się z sobą, aż w końcu wyrwała mu teleskop i z rozmachem rzuciła na podłogę. Stali naprzeciw siebie i dyszeli.

- Nie próbuj się na mnie porywać - powiedziała wreszcie odpychając go pogardliwie. - Maluch! Głupi maluch! A nie zapomnij wziąć swoich okularów.

Obróciła się na pięcie i odeszła kołysząc biodrami, na których opinały się ciasno niebieskie spodnie.

Tony patrzył za nią i gryzł wargi, aby powstrzymać łzy. Potem, nie zdając sobie sprawy, dlaczego to robi, poszedł do pokoju matki i usiadł na łóżku. W pokoju pachniało perfumami i specjalnym gatunkiem mydła, które Lucy sprowadzała sobie z

Nowego Jorku. Nagle zerwał się i znowu wyszedł na ganek. Na dworze było spokojnie, chmury opuściły się jeszcze niżej, a jezioro wydawało się jeszcze bardziej szare i nieprzychylne niż przedtem. Stał przez chwilę w tej ciszy i spokoju, potem zeskoczył z ganku i zaczął biec wzdłuż brzegu jeziora, przez las, w stronę domu, w którym mieszkała siostra Jeffa.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zmierzchało już, kiedy Lucy i Jeff zbliżali się do domu. W rozdarciu między chmurami widać było słońce zachodzące za góry. Ostatnie promienie padały niemal poziomo i, pozbawione już ciepła, malowały jezioro na ołowianoróżowy kolor. Ponad wodą niosły się

z drugiego brzegu dźwięki trąbki. Zdawało się, że dolatują z większej odległości niż zwykle, tak chwiejnie brzmiały, stłumione i osmętniałe w ten chmurny wieczór. Lucy miała na sobie płaszcz od deszczu uszyty w ten sposób, że spadał jej z ramion, jak peleryna, sztywnymi, dostojnymi fałdami, które poruszały się w rytm powolnych kroków. Jeff szedł nieco z tyłu. Zmierzali przez trawnik w kierunku domu.

Lucy weszła na schody prowadzące na ganek i zatrzymała się na drugim stopniu, nasłuchując melodii z tamtego brzegu. Zaczęła zdejmować płaszcz, Jeff pomógł jej, położył okrycie na krześle i obrócił ją powoli twarzą ku sobie. Skuliła się trochę w ramionach i uśmiechnęła się do niego przechylając w bok głowę. Ukośne promienie słońca zdawały się wyczarowywać z twarzy Jeffa kilka rozmaitych wyrazów naraz, jak gdyby on sam nie był pewien, czy jest w tej chwili zwycięzcą czy zwyciężonym, czy jest szczęśliwy chowając w sobie wspomnienie tego popołudnia, czy też pełen rozpaczy, że oto już minęło. Dźwięki trąbki zamierały ostatnim echem na wodzie.

Lucy zbliżyła się do stołu i wzięła paczkę papierosów.

- Gdziekolwiek się znajdę - zaczął Jeff podsuwając jej ogień - ile razy usłyszę granie trąbki, zawsze sobie przypomnę o tym...

- Ciicho - ostrzegła go półgłosem:

Odrzucił zapalnik i zapatrzył się w Lucy. Jej szare, podłużne oczy były wpół przymknięte, uśmiechały się, kryły w sobie jakąś niezrozumiałą aluzję do Wschodu i miały taki wyraz, jak gdyby strzegły tajemnicy, której nie wyjawia nigdy nikomu. Jeff patrzył na jej miękko zarysowane, pełne usta, które teraz, bez szminki, zlewały się z opalenizną na twarzy i wydawały się prawie bezbarwne.

- O Boże! - wyrzekł ściszym głosem. Nie wziął jej w ramiona, tylko powoli, delikatnie przesunął dłoń wzdłuż jej boku, a potem pieszczotliwie zatrzymał rękę na brzuchu. - Taki cudowny zakątek - wyszeptał.

Lucy zaśmiała się i powtórzyła ostrzegawczo:

- Ciicho.

Chwyliła jego rękę, podniosła do ust i ucałowała wewnątrz dłoni.

- Dziś w nocy... - upomniał się.

Pocałowała go w czubki palców z zabawnym cmoknięciem, tak jak się całuje rączkę dziecka.

- Nie, już dosyć - powiedziała stanowczo. Puściła jego rękę i otworzyła drzwi do wnętrza domu. - Tony! - zawołała. - Tony, gdzie jesteś?

Nie było odpowiedzi, więc wróciła do Jeffa. On podniósł z podłogi rękawicę i piłkę,



które Tony porzucił tu przed godziną, i zaczął podbijać piłkę, ćwicząc najrozmaitsze chwytów lewą ręką.

Pewnie jeszcze nie wrócił z wycieczki - powiedział. - Nie niepokój się. Na pewno wróci na kolację.

Mam ochotę pójść do pokoju i przebrać się.

Jeff położył z powrotem rękawicę i piłkę na podłodze.

Nie, nie odchodź jeszcze - poprosił. - Zostań tutaj. Przecież nie musisz się przebierać. Przepadam za tą twoją sukienką. - Dotknął nakrochmalonej tkaniny, która odstawała sztywno na biodrze. - Okropnie się do niej przywiązałem.

No, dobrze - zgodziła się. - Wszystko robimy tak, jak ty chcesz, bo...

Nie dokończyła.

Bo co?

Bo masz dwadzieścia lat.

Do diabła z takim uzasadnieniem!

Nie ma żadnego innego, mój chłopczyku - rzekła Lucy pogodnie.

Położyła się na rozsuwanym fotelu, z nogami spuszczone na podłogę. Jeff stał nad nią i patrzył, jak leżała z głową odrzuconą na poduszki, mrużąc oczy przed dymem z papierosa.

O Boże! - wymamrotał.

Przestań mówić: O Boże!

Dlaczego?

Bo to wywołuje zupełnie niepotrzebne skojarzenia. Doprowadzisz do tego, że będę się czuła winna, a ja nie chcę się czuć winna. No i usiądź. Przecież nie musisz być ciągle nade mną.

Usiadł na podłodze opierając się plecami o fotel, z głową blisko jej łona.

Kiedy ja bardzo lubię być nad tobą - powiedział.

Ale tylko w ściśle określonych godzinach. - Końcami palców musnęła z tyłu jego głowę, tuż ponad karkiem. - Rozkoszne... - szepnęła. - Nie wolno ci nosić dłuższych włosów.

Okej.

Przesunęła dłoń po jego głowie.

Masz mocną, twardą czaszkę.

Okej.

Włosy pachną ci tak jak Tony'emu. Pachną latem. Tak sucho, słonecznie.

Włosy mężczyzn nabierają z wiekiem innego zapachu. Papierosy, kłopoty, zmęczenie,

fryzjerzy...

- A jaki jest zapach zmęczenia? - zapytał Jeff.

Zastanowiła się.

- Taki sam jak smak aspiryny - odparła po chwili. - Gdybym była mężczyzną, kochałabym tylko siedemnastoletnie dziewczątka, takie lśniące, jędrne, świeżutkie.

- A ja, gdybym był mężczyzną, kochałbym tylko ciebie.

Roześmiała się.

Masz rycerskie maniery. Ale teraz, mów, prawdę. Ile miałeś dziewcząt?

Jedną.

O, to znaczy, że razem ze mną dwie.

To znaczy, że razem z tobą... jedną.

Jesteś naprawdę rycerski. Oczywiście, nie wierzę ci ani trochę - rzekła

Lucy.

No, więc dobrze, zaraz się wypowiadam. Jestem uwodzicielem. Odkąd skończyłem piętnaście lat, z pół tuzina kobiet popełniło z mojego powodu samobójstwo. Poza tym jestem bigamistą. W dziesięciu stanach sądy poszukują mnie pod różnymi nazwiskami. Uwiodłem najukochańszą przyjaciółkę mojej rodzonej babki, kiedy miałem zaledwie cztery lata, i od tego czasu nie próżnowałem. Jestem na czarnej liście we wszystkich przyzwoitszych szkołach żeńskich na Wschodzie. Moja książka pod tytułem „Jak zdobyć, zatrzymać przy sobie i pozbyć się kobiety?” została już wydana w dwunastu krajach, z tego w kilku takich, gdzie mówi się tylko językami wymarłymi dwa tysiące lat temu.

No, dosyć już, dosyć. Zrozumiałam - przerwała mu ze śmiechem. - Jesteś dziwny. Myślałam, że młodzi mężczyźni są dzisiaj strasznie... wiesz, rozpuszczeni.

- Jeżeli o mnie chodzi, to raczej odwrotnie.

Lucy uniosła głowę z poduszki i przyglądała mu się z zaciekawieniem. Nie odwrócił się ku niej.

Wierzę ci - powiedziała.

Czekałem.

Na co?

Na ciebie - odparł bez namysłu.

Nie błaznuj.

Ja wcale nie błaznuję. Czekałem na coś... - Zawahał się. - Na coś porywającego. Nie uznaję takich przypadkowych, nieważnych, niedoskonałych historii. A te dziewczęta, które znałem dotychczas? Były ładne albo sprytne, albo zabawne. Ale ani jedna nie była

porywająca.

Coś podobnego! - zdumiewała się. - Ależ ty jesteś romantyk.

Albo się kocha romantycznie - stwierdził mentorskim tonem - albo można równie dobrze pójść poćwiczyć na boisku sportowym.

Roześmiała się na te słowa.

Naprawdę, jesteś dziwny. - Usiadła i zapytała już poważniejszym tonem: - Więc uważasz, że ja jestem porywająca?

Tak.

No wiesz, pierwszy raz w życiu ktoś o mnie myśli w ten sposób.

A twój mąż?

Nie wiem - odparła ostrożnie. - Przypuszczam, że jest mu ze mną wygodnie.

To niedużo.

Niedużo? - Ton Lucy pełen był rezerwy. - Dotychczas tak właśnie było.

A teraz?

Odrzuciła nie dopalony papieros i paru umiejętnymi ruchami rąk wygładziła suknię.

- A teraz mam ochotę przejść się do baru i napić się czegoś - rzekła wstając.

Jeff cofnął ramię i nie odwracając się popchnął ją delikatnie z powrotem na fotel.

Jakie... jakie jest to twoje małżeństwo? - zapytał.

Na co ci ta wiadomość?

Muszę wiedzieć. Chcę wiedzieć o tobie wszystko. Chcę zobaczyć twoje fotografie, kiedy byłaś małą dziewczynką. Chcę wiedzieć, jakie jest twoje panięskie nazwisko.

Hammond.

Hammond - powtórzył za nią. - Lucy Hammond. Doskonale. Chcę wiedzieć, jakie książki czytałaś, kiedy miałaś czternaście lat.

*Wichrowe wzgórza, Kapital* Marksa i *Małe kobiety*.

Doskonale. Chcę wiedzieć - mówił dalej - jak zamierzałaś ułożyć sobie życie, zanim wyszłaś za mąż. Chcę wiedzieć, o czym rozmawiasz z mężem w domu, przy stole.

I po co ci to?

Bo chcę, żebyś do mnie należała. Chcę mieć twoją przeszłość i cały ten czas, kiedy nie byłaś ze mną, i twoją przyszłość.

Oj, ostrożnie! - przerwała mu ostrzegawczym tonem.

- Nie chcę być wcale ostrożny. Więc jak jest z tym twoim małżeństwem? Z

twoim prawomocnym, zbudowanym na opoce małżeństwem?

- Zawsze uważałam - odparła rzeczowo - że jest zupełnie udane.

A teraz jak uważasz?

Od połowy września będę znów uważała, że jest zupełnie udane.

Jeff podniósł się, przeszedł przez ganek i oparł się o słup podtrzymujący daszek, spoglądający w dal, na jezioro.

Lucy - odezwał się nagle.

Co takiego?

Kiedy on tu przyjedzie... - Mówił stłumionym głosem. - Ten Crown...

będziesz z nim spała? - Odwrócił się i patrzył jej prosto w twarz.

Lucy zerwała się z fotela i chwyciła swój płaszcz.

- Już najwyższy czas, żebyśmy poszli się czegoś napić - oznajmiła stanowczo.

Odpowiedz na moje pytanie.

To nie ma nic wspólnego z naszą sprawą. Włożyła płaszcz i zaczęła go zapinać.

Musisz mi coś obiecać - powiedział nie ruszając się z miejsca.

Ale co?

Przyrzeknij mi, że nie będziesz współżyła z mężem, dopóki...

Dopóki?

Dopóki będziemy ze sobą razem.

Lucy zapięła już płaszcz i podniosła kołnierz.

- To znaczy, jak długo?

Jeff przełknął ślinę i bąknął z nieszczęśliwą miną:

Nie wiem.

Powiedz dokładnie - domagała się Lucy. - Dwa dni? Tydzień? Do końca lata? Czy przez pięć lat?

Podszedł blisko, ale nie dotykał jej.

- Nie złość się na mnie - wyrzekł zgnębionym głosem. - Ja po prostu nie mogę znieść tej myśli... Słuchaj, możemy się stale widywać. Będę przyjeżdżał do ciebie przynajmniej raz na miesiąc. A oprócz tego święta: Dziękczynienie, ferie gwiazdkowe. Prawie na każdy weekend mogę przyjeżdżać do Bostonu.

Lucy potakiwała, na pozór biorąc to wszystko bardzo poważnie.

- Aha, do Bostonu. W jakim hotelu uważasz, że mogłabym się zatrzymywać?

U Ritza czy u Copleya? A może w którymś z tych hotelików dla komiwojażerów? W „Touraine”? Albo u Statlera? A co z obrączką? Jak myślisz, może lepiej ją zdjąć?

Jeff podniósł ręce, jak gdyby chciał się zasłonić od ciosu.

Lucy! - prosił w udręce. - Lucy, przestań!

A jak mam cię przedstawiać w Bostonie? - znęcała się nad nim. - Jako mojego syna czy siostrzeńca? Może jako starego przyjaciela?

Nie ośmieszaj naszego stosunku - rozgniewał się.

Jak radzisz, co mam powiedzieć mężowi? ę pewna osoba, której nazwiska nie mogę ujawnić, ma zastrzeżenia co do...

Przestań. Jest tysiąc sposobów na przeprowadzenie takiej rzeczy.

Naprawdę? - zapytała z przyjemnym zdziwieniem. - Może wystosujesz notę. Jako kandydat na dyplomatę. Na pewno ci się to przyda później, kiedy będziesz musiał przesłać notę protestacyjną premierowi Iranu albo ostre ostrzeżenie pod adresem węgierskiego ministra spraw zagranicznych. Drogi Panie! Doszło do naszej wiadomości, że istnieje kilka wzajemnie sprzecznych roszczeń odnośnie ciała

Pańskiej małżonki...

Nie naśmiewaj się ze mnie - powiedział z posępną miną. - Co chcesz, żebym zrobił? Lucy, kochana moja, dotychczas było przecież cudownie. Czy masz mi za złe, że chcę, żeby dalej było tak samo?

Cudownie. - Lucy potakiwała ironicznie. - Miłość ich była cudowna. W czasie ferii, w taniutkim hoteliku, a młody człowiek zawsze potrafił zdążyć z powrotem na pierwszy poniedziałkowy wykład. To jest dla ciebie cudowne, prawda?

O Boże! - jęknął Jeff. - Czuję się jak w matni. Gdybym był starszy, na jakimś stanowisku, gdybym miał trochę własnych pieniędzy...

To co? - prowokowała go Lucy.

Moglibyśmy razem wyjechać. Pobrać się. żyć razem. Przez chwilę wahała się, w końcu zaś rzekła cichym, łagodnym głosem:

Bądź zadowolony, że nie jesteś starszy ani na stanowisku, że nie masz pieniędzy.

Dlaczego?

Bo nie wyjechałabym z tobą.

Nie, Lucy, nie mów tak!

I wtedy musiałbyś szukać winy w sobie, zamiast w swojej młodości czy w braku pieniędzy. Na pewno o wiele więcej by cię to bolało. A tak będziesz mógł wrócić na jesieni do swojej uczelni i przechwalać się w chłodne wieczory przed kolegami w sypialni, jakie to miałeś urozmaicone wakacje u siostry w górach. Wydaje mi się, że słyszę, jak o tym opowiadasz, i wybaczam ci z góry. I nawet trochę ci zazdroszczę tej przyjemności. Możesz im powiedzieć: „Nie wiem, co to takiego we mnie siedzi, że wszystkie mężatki w pewnym

wieku - tutaj mrugniesz do swoich koleżków - po prostu lecą na mnie.”

Lucy, do czego ty właściwie zmierzasz? - zapytał.

Do tego, żebyś zrozumiał, że lato to jest lato. Ścieżki potem zamykają hotele, a w letniskowych domkach zabijają deskami okna przed śniegiem. Śnieg jezioro zamarza i ptaki odlatują na południe. Dzieci wracają do szkoły, a dorośli do... do robienia sprawunków, do brydża, do przyziemnej, pewnej rzeczywistości...

W chłodnych promieniach słońca twarz Jeffa miała wyraz zgnębiony, zdruzgotany.

- Nie kochasz mnie - rzekł cicho.

Lucy podeszła do niego uśmiechając się miękko.

- Iz tym także nie jest zupełnie tak. - Ujęła go lekko pod brodę i pocałowała. - Nie rób takiej smutnej miny, mój mały - powiedziała odwracając się zaraz od niego. - Mamy jeszcze przed sobą dwa tygodnie lata.

Postąpił krok za nią, ale zatrzymał się, dostrzegł bowiem Tony'ego, który wynurzył się z mroku drzew i siedł przez trawnik w stronę domu. Lucy zobaczyła go w tej samej chwili i zeszła z ganku na spotkanie chłopca. Tony stanął. Patrzył na matkę i na Jeffa tak, jakby ich wcale nie widział. W zapadającym zmierzchu wydawał się zmęczony i blady.

Halo, Tony - powitała go Lucy. - Gdzieżeś się tak długo podziewał?

Nigdzie specjalnie - odparł wymijająco. Kiedy wchodzili na ganek, starał się trzymać jak najdalej od matki.

Jak się udała wycieczka? - zapytał go Jeff.

Okej. - Tony oparł się o ścianę i przyglądał się uważnie Jeffowi. - A jak pana ząb?

Okej - odpowiedział Jeff.

Dobrze się bawiłaś w kinie? - zwrócił się Tony do matki. - Jaki film wyświetlali?

Ja... ja nie byłam w kinie. Okazało się, że kino jest czynne tylko w soboty i w niedziele.

Ach, tak? - zdziwił się Tony. - I co zrobiłaś?

Trochę pochodziłam po sklepach. Po antykwariatach.

Kupiłaś co?

Nie, nic - odparła Lucy. - Wszystko jest takie drogie. Tylko obejrzałam trochę. Wybierałam się właśnie z Jeffem do hotelu, żeby się czegoś napić. Chcesz, to pójdziemy razem? Możesz sobie zamówić coca-colę.

Nie chce mi się pić.

No, to możesz pójść i bez picia.

Nie, nie chce mi się pić - powtórzył Tony.

Lucy podeszła do niego i przyłożyła mu dłoń do czoła.

- Dobrze się czujesz? - spytała niespokojnie.

Chłopiec uchylił głowę i odsunął się od niej.

- Nic mi nie jest. Trochę się tylko zmęczyłem - wyjaśnił niechętnie. - To przez tę wycieczkę. Nie spałem po południu. Mam ochotę położyć się na kwadrans.

W tym momencie pomyślał z przestachem, że matka zacznie się zaraz krzątać koło niego, więc uśmiechnął się z obłudną szczerością i powiedział:

- Te wycieczki to niezła zaprawa. No, do widzenia.

Wszedł do domu i położył się w swoim pokoju na łóżku. Leżał bez ruchu, z otwartymi oczami, a kiedy usłyszał kroki matki i Jeffa na ścieżce za swoim oknem, zaczął liczyć powoli do pięciuset, aby się upewnić, że oddalili się już dostatecznie w kierunku hotelu, po czym wstał, przeszedł do saloniku i zatelefonował do Hartford, do ojca.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Gdy samochód zatrzymał się przed domkiem, był cały obryzgany błotem, a wycieraczki zostawiły na przedniej szybie dwa rozmazane półksiężycy, lśniące mglistym światłem reflektorów, odbitym od mokrych drzew. Oliver wyłączył motor i przez chwilę siedział jeszcze bez ruchu, aby wytchnąć po długiej jeździe w nieustającym deszczu. W domu paliło się światło, ale nie było widać, aby ktoś się tam ruszał. Oliver wysiadł zabierając ze sobą płaszcz od deszczu i mały neseserek, który umieścił w tyle wozu. Wszedł do domu. W saloniku nie było nikogo. W zupełnej ciszy szemrały tylko krople deszczu kapiące z gałęzi klonu, które zwieszały się nad tą częścią domu. Na stole pośrodku pokoju rozrzucone były zeszyty czasopism, a na tapczanie leżała otwarta książka, obrócona do góry okładką. Na szachownicy stało kilka pionków, parę spadło i poniewierało się na podłodze. Z piwonii stojących w wazonie na kominku opadło na dywan kilka płatków.

Rozglądając się po pustym pokoju Oliver pomyślał, że gdziekolwiek Lucy pobędzie choćby pięć minut, zaraz stwarza tam pewien nieład, niewielki zresztą i wcale nieważny. Czasami, kiedy znalazł się w takim pokoju świadczącym o przelotnej obecności Lucy, doznawał miłego uczucia zażyłości i pobłażliwego zrozumienia. Ale dzisiaj, po długiej podróży samochodem, ten widok go drażnił.

Zdjął kapelusz i zaczął trzeć ręce, aby je trochę rozgrzać. Na kominku nie było ognia.

Rzucił okiem na zegar stojący na półce nad kominkiem. Były dwie minuty po ósmej.

Oliver przyjechał, jak zawsze, dokładnie o zapowiedzianej godzinie. Wszedł do

kuchni w poszukiwaniu butelki z whisky, która zwykle stała w kredensie nad lodówką. W zlewie zauważył naczynia nie zmyte po podwieczorku. Trzy filiżanki, trzy spodki i parę talerzy z okruszynami czekoladowego lukru. Wyjął butelkę i nalał whisky do szklaneczki.

Nie chciało mu się dolewać wody, wrócił do saloniku i usiadł znużony. Popijał czystą whisky i czekał. Po chwili usłyszał czyjeś kroki na ganku. Drzwi się otworzyły i wszedł Tony w czapeczce baseballowej na głowie. Zatrzymał się w progu. Zdawało się, że nie ma ochoty wejść do środka.

Halo, Tony - powitał go Oliver z uśmiechem.

Tatusi... - powiedział Tony.

Zbliżył się do ojca, aby go pocałować, ale nie zrobił tego i stanął w pewnej odległości. Oliver zdjął mu z głowy czapkę i pieszczotliwym ruchem zburzył mu lekko włosy.

Jesteś bardzo tajemniczy, mój Tony - powiedział żartobliwie. - Nie mówisz przez telefon, co się stało. Chcesz koniecznie, żebym przyjechał punktualnie o ósmej.

I zapowiadasz, żebym nie telefonował do mamy.

Na pewno nie rozmawiałeś z mamą? - zapytał Tony podejrzliwie.

Nie, nie rozmawiałem.

Nie było celu wspominać chłopcu o tym, że próbował telefonować do Lucy z drogi, z Waterbury. Linia musiała być gdzieś uszkodzona z powodu deszczu i nie mógł dostać połączenia.

Więc ona nie wie, że jesteś tutaj? - upewniał się Tony.

Nie. Przyjechałem od innej strony, tak jak mówiłeś i w porze kolacji. Tony - zapytał z łagodnym uśmiechem - czy ty aby nie czytasz za dużo kryminałów?

W ogóle nie czytam kryminałów - odparł chłopiec.

Bo, widzisz, martwiłem się przez cały dzień.

Bardzo mi przykro, tato.

Chodź tutaj, usiądź koło mnie. - Oliver wskazał mu krzesło. Tony podszedł ociągając się trochę i usiadł obok ojca. Oliver łyknął odrobinę whisky. - No więc, o co chodzi? - zapytał.

Tatusiu - wyrzekł Tony po cichu - ja chcę wracać do domu.

Aha. - Oliver patrzył w zamyśleniu na szklaneczkę. - A dlaczego?

Tony wykręcał niespokojnie palce.

Bo... bo mam już dosyć siedzenia tutaj.

Ten pobyt bardzo dobrze ci zrobił - zauważył Oliver. - Wyglądasz zdrowo, opaliłeś się, a mama pisze, że...



Chcę już wrócić do domu - powtórzył Tony bez żadnych wyjaśnień.

Oliver westchnął.

Mówiłeś o tym z mamą?

Nie. Nie ma sensu mówić jej o tym.

Oliver pobłażliwie pokiwał głową.

Aha, posprzeczałeś się trochę z mamą?

Nie.

Oliver znowu łyknął whisky.

- Może z Jeffem? - domyślał się.

Tony przez chwilę nie odpowiadał.

- Z nikim się nie posprzeczałem! - wybuchnął wreszcie. - Czy to człowiek nie może raz jeden chcieć wrócić do swojego domu, ze swoim rodzonym ojcem, żeby zaraz wszyscy na niego nie napadli?

Ależ, Tony, nikt przecież na ciebie nie napada - uspokajał go Oliver. - Tylko, widzisz, nie powinieneś się dziwić, że cię pytam o to i owo, skoro aż

telefonowałaś do mnie do Hartford i dawałaś mi różne tajemnicze instrukcje. Postaraj się być rozsądny, Tony.

Jestem rozsądny - odparł chłopiec przyciśnięty do muru. - Chcę wracać do domu, bo nie chcę być razem z mamą i z Jeffem.

Oliver postawił szklaneczkę na stole i zapytał bardzo cicho:

Coś ty powiedział, Tony?

Nie chcę tu zostać dłużej z mamą i Jeffem.

Dlaczego?

Nie mogę ci powiedzieć.

Oliver przyjrzał się chłopcu uważnie. Tony siedział ze spuszczoną głową, wpatrzony w swoje buty, z rękami wciśniętymi w kieszenie. Na jego twarzy malowało się skrepowanie i zawziętość.

Słuchaj, Tony, przecież zawsze byliśmy ze sobą szczerzy, prawda?

Tak.

Zawsze mówiłem ci o tym, co mnie martwi, a ty także dotychczas mówiłeś mi o swoich zmartwieniach. Czy dobrze mówię?

Tak, dobrze.

Może ci kiedyś coś obiecywałem i potem nie dotrzymałem? -  
pytał Oliver.

Nie.

A jeżeli mnie o coś pytałeś, czy powiedziałem ci kiedy nieprawdę?

Nie.

Zeszłego lata zacząłeś opowiadać różne zmyślane historie - mówił dalej

Oliver - na przykład, że potrafisz przepłynąć przez jezioro na drugi brzeg, chociaż wtedy jeszcze w ogóle nie umiałeś pływać, albo że stary pan Norton zaprosił cię na miesiąc na swoją farmę w stanie Wyoming i ma ci dać konia wyłącznie do twojej dyspozycji...

To były takie dziecinne bzdury - przerwał mu Tony.

Tak, wiem o tym - zgodził się Oliver. - Przecież mówiłem ci wtedy, że wiem i rozumiem. Bardzo dobrze, że opowiadałeś te historyjki mnie i nikomu poza tym, bo ja wiedziałem, że to tylko taka zabawa, że gimnastykujesz sobie wyobraźnię.

Ale ktoś inny, kto by cię nie znał tak dobrze, mógłby sobie pomyśleć, że nie można ci wierzyć i że po prostu kłamiesz.

Teraz już nie opowiadam żadnych historii - zapewnił Tony. - Nikomu.

Naturalnie. Ale wtedy, nawet o swoich oczach... Parę razy z samego początku strasznie trudno było z tego powodu powiedzieć ci, jak sprawy stoją i jakie masz szanse wyzdrowienia. Kiedy sam będziesz ojcem, zrozumiesz, co wtedy czułem.

- Zamilkł na chwilę. - Ale w końcu powiedziałem ci, prawda?

Tak.

Czy wiesz, dlaczego to zrobiłem?

Chyba wiem - odparł Tony niemalże szeptem.

Bo chciałem, żeby wszystko pomiędzy nami było jasne i szczerze - ciągnął

Oliver. - Bo niezależnie od tego, jak ci się poza tym życie ułoży, chcę, żebyś mógł powiedzieć kiedyś, kiedy będziesz miał tyle lat, ile ja teraz, że między ojcem i tobą wszystko było zawsze uczciwie i honorowo.

Oliver przechylił się i poklepał Tony'ego po kolanie. Potem wstał, zbliżył się do drzwi wiodących na ganek i spoglądał przez szybę w dżdżystą ciemność.

Tony uniósł głowę i z drżącymi ustami przyglądał się ojcu, który stał odwrócony do niego plecami. Cekał, że Oliver jeszcze coś powie, ale on nie odzywał się więcej. Tony wstał, przeszedł przez pokój i stanął obok ojca.

- Nie wiem, jak to powiedzieć - zaczął szeptem. - Mama i Jeff... Oni robią coś złego. Robią ze sobą tak jak dorośli, kiedy się ożenią. Ja chcę już wrócić do domu.

Oliver na jedną sekundę zamknął oczy. Kiedy Tony do niego telefonował,

Oliver nie wiedział, czego ma się tutaj spodziewać, ale tego się nie spodziewał.

Siedząc przez cały dzień przy kierownicy i wpatrując się w strugi deszczu spływające po szybie, mówił sobie, że to na pewno jakaś dziecinna tragedia, która minie, zanim on zdąży dojechać na miejsce. Właściwie byłby w ogóle nie przyjechał, gdyby nie to, że w tym tygodniu niewiele było do roboty w drukarni. „A teraz - myślał - to wygląda zupełnie inaczej. To tak, jakby ktoś usłyszał krzyki w dziecinnym pokoju i spodziewając się, że trzeba będzie rozdzielić dzieci tłukące się poduszkami lub zabawkami, wszedł tam i zaraz od progu zobaczył jedno dziecko w kałuży krwi na podłodze, a drugie nad nim z nożem w ręku.”

Kto ci to powiedział? - zapytał syna.

Susan.

Co za Susan?

Mieszka w hotelu ze swoją mamą. Nazywa się Susan Nickerson. Ma już czternaście lat. I ma trzech ojców. Jej mama rozwiodła się dwa razy. Ona wie różne rzeczy.

I dlatego chciałeś, żebym tu przyjechał. Tylko z tego powodu? Tony zawahał się.

Tak - odparł po chwili.

Słuchaj, Tony - zaczął Oliver dobierając starannie słowa. - W takich letniskowych miejscowościach spotyka się często kobiety rozleniwione, złe kobiety, które nie mają nic do roboty poza brydżem i wymyślaniem rozmaitych historii o swoich sąsiadach. Ale przyzwoici ludzie nie powinni nawet słuchać tych plotek. Takie czternastoletnie dziewczynki, co to zaczynają się już interesować chłopcami, podsłuchają nieraz kawałek jakiejś rozmowy, wcale nie przeznaczonej dla ich uszu, i zaraz robią z igły widły, zmyślają bajdy nie z tej ziemi. A już zwłaszcza taka dziewczynka, której matka zmienia mężów jak rękawiczki.

Uderzyłem ją - oświadczył Tony. - Jak mi to powiedziała, to ją uderzyłem.

Oliver uśmiechnął się.

Nie zdaje mi się, żebyś dobrze postąpił. Ale za to uważam, że nie powinieneś był słuchać tego, co ci mówiła. Tony, zrobisz coś dla mnie?

Co? - zapytał chłopiec ostrożnie.

Nie mów nic mamie na ten temat. Ani Jeffowi. Będziemy po prostu udawać, że ja zorientowałem się w ostatniej chwili, że mogę sobie pozwolić na święto, więc wsiadłem w samochód i przyjechałem. Jak uważasz, to chyba dobry pomysł?

Tony poruszył się, jak gdyby go dręczył jakiś ukryty ból.

Nie - odpowiedział zwięźle.

Dlaczego?

- Bo to nie tylko Susan. Oliver otoczył chłopca ramieniem.

- To, że dwie czy trzy, czy choćby nawet sto osób plotkuje - zaczął mu tłumaczyć - nie znaczy jeszcze, że te osoby mówią prawdę. Czy wiesz, co to jest plotka?

Tak, wiem.

To jedna z najokropniejszych rzeczy na świecie. To jest taka choroba dorosłych. A porządny człowiek w pewnym znaczeniu pozostaje dzieckiem do końca życia, bo sam nie plotkuje i nie słucha plotek.

Tony wyrwał się nagle z ojcowskich objęć. - Kiedy to ja! - zawołał. - Ja sam!

Wczoraj poszedłem do domu jego siostry i zajrzałem przez okno, i widziałem to na własne oczy.

Odwrocił się gwałtownie, przebiegł przez pokój i rzucił się na fotel wciskając twarz w oparcie, by ukryć ją przed Oliverem. Płakał, ale naprężał wszystkie mięśnie udając, że nie płacze.

Oliver znużonym ruchem przesunął ręką po oczach, podszedł do fotela i usiadł na poręczy.

- No, już dobrze, już dobrze - rzekł gładząc syna po włosach. - Słuchaj, Tony, strasznie mi przykro, że muszę tak postąpić. Ale nie widzę innego wyjścia. Jesteś jeszcze bardzo młody. Nie orientuję się, co już wiesz, a czego jeszcze nie wiesz.

Mogłeś zobaczyć coś, co ci się wydało bardzo złe, ale to mogło być zupełnie niewinne. Musisz mi powiedzieć dokładnie, co widziałeś.

Chłopak zaczął mówić nie odwracając głowy wtulonej w załom fotela:

- Powiedziała, że się wybiera do kina. Ale Susan miała rację. Ona wcale nie była w kinie. Poszedłem do domu jego siostry. Ona wyjechała na tydzień i w domu nie ma nikogo. W oknach są takie żaluzje. Ale nie dochodzą do samego dołu. Zostaje wąska szpara i można przez nią zajrzeć do pokoju. Leżeli razem w łóżku i... i nie byli wcale ubrani. A mama całowała... - Tony odwrócił się szybko i spojrzał na ojca. - Ja chcę wracać do domu! Ja chcę wracać do domu!

Nie usiłował już ukrywać, że płacze. Płakał rozpaczliwie. Oliver siedział na poręczy fotela, skamieniały, sztywny, i patrzył na szlochającego syna.

- Przestań - powiedział ochryłym szeptem. - Nigdy nie płakałeś, chyba kiedy byłeś zupełnie mały. - Wstał i wyciągnął Tony'ego z fotela. - A teraz idź, umyj sobie twarz - dodał bezbarwnym głosem.

Co ty zrobisz? - zapytał Tony. Oliver potrząsnął głową.

Jeszcze nie wiem.

Ale nie odejdziesz stąd, prawda?

- Nie. Posiedzę tu trochę. No, idź już, Tony. Masz oczy czerwone jak królik.

Chłopiec poszedł do łazienki niechętnie, powoli ciągnąc za sobą nogi. Oliver patrzył za nim i kręcił głową. Przeszedł się ciężkim krokiem, bez żadnego celu, po wyziębionym pokoju. Lucy zostawiła na krześle koszyczek, a na nim szalik jaskrawopomarańczowej barwy. Zatrzymał się przy tym krześle, wziął szalik do ręki.

Przyłożył go do twarzy i wdychał znajomy zapach perfum. Schylił się, otworzył koszyczek i zaczął w nim przewracać. Znalazł puderniczkę, otworzył. Lusterko było całe zasypane pudrem. Położył puderniczkę na stole, po czym wyjął z koszyczka po kolei wszystkie inne drobiazgi i z pedantyczną starannością poukładał je także na stole. Flakonik perfum, klucze i grzebień. Jakiś wycinek z gazety z przepisem kucharskim. Przepis na placek biszkoptowy. Wyjął niedużą portmonetkę. Otworzył ją, wysypał bilon i ułożył w porządku słupek. Było tego razem siedemdziesiąt osiem centów. Teraz zaczął systematycznie, jedną po drugiej, wkładać wszystkie rzeczy z powrotem do koszyczka. Usłyszał koło domu głosy Lucy i Jeffa, a potem ich kroki na ganku, przybrał więc zwykły wyraz i obrócił się twarzą do drzwi właśnie w tym momencie, gdy się otwierały. Najpierw weszła Lucy, a za nią Jeff. Była roześmiana.

Kiedy spostrzegła Olivera stojącego pośrodku pokoju, czoło jej zmarszczyło się na ułamek sekundy. Potem zawołała tonem przyjemnego zdziwienia: „Oliver!”

podbiegła do niego, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała. Jeff stał dyskretnie przy drzwiach czekając na koniec przywitania. Oliver pocałował żonę w policzek.

Halo, Lucy - powiedział serdecznie.

Skąd się tu wzięłeś? - trzępała gorączkowo. - Dlaczego nie telefonowałeś?

Długo możesz zostać? A jadłeś obiad? Co za miła niespodzianka! Widziałeś już

Tony'ego?

Oliver roześmiał się dobrodusznie.

Powoli, powoli - odparł. - Każda rzecz po kolei. Halo, panie Bunner.

Dobry wieczór panu - rzekł Jeff z młodzieńczą uprzejmością, wyprostowany jak struna.

Lucy wzięła Olivera za rękę i podprowadziła go do tapczana.

- Usiądźmy tutaj - powiedziała. - Wyglądasz zmęczony. Może ci dać coś do zjedzenia? Trochę whisky? Kanapkę?

- Nie, dziękuję za wszystko. Jadłem w drodze.

Jeff spojrział na zegarek.

- Zrobiło się późno - skonstatował. - Myślę, że już czas na mnie.

Ależ nie. Proszę, niech pan zostanie - rzekł Oliver. Zdawało mu się, że

Lucy rzuciła na niego niespokojne spojrzenie. - Chciałem z panem pomówić o pewnych sprawach. Chyba że się pan gdzieś umówił?

Nie, nigdzie się nie umawiałem.

Widziałeś już Tony'ego? - spytała ponownie Lucy.

Tak - odparł Oliver. - Tony jest w domu. W łazience.

Prawda, że wspaniale wygląda?

Tak, wspaniale. - Kiwnął potakująco głową.

- A wiesz, że w tym tygodniu przepłynął sto jardów?

Oliver miał wrażenie, że Lucy mówi szybciej niż zwykle. Jak pianista, który - odczuwając okropną treść przed audytorium - próbuje brawurować i w trudnych partiach zaczyna grać prędko, coraz prędej.

Wypląnął daleko, daleko na jezioro - mówiła nerwowo. - Jeff płynął za nim łódką. Serce stało mi w gardle, ale...

Rozmawiałem z nim tylko chwilę - rzekł Oliver i zwrócił się uprzejmie do

Jeffa. - A pan jada teraz wszystkie posiłki w hotelu?

Tylko w tym tygodniu - wtrąciła Lucy, zanim Jeff zdążył odpowiedzieć. - Siostra Jeffa wyjechała na jakiś czas i biedak został z dwiema puszkami łososia, więc ulitowaliśmy się nad nim.

Ach, tak - uśmiechnął się Oliver. - Wyglądacie oboje tak, jakby lato dobrze wam służyło.

Było zupełnie nieźle - odparła Lucy - chociaż dużo padało. No, ale teraz opowiadaj o sobie. Jak ci się udało wyrwać z drukarni? Może ci cudowni ludzie nagle wszyscy zastrajkowali?

Nie, nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego. Po prostu udało mi się ukraść trochę czasu.

W mieście musi być teraz okropnie, prawda?

No, nie tak bardzo.

Lucy poklepała go lekko po rękę. - Tak nam cię było brak. Tony dopytywał się, kiedy przyjedziesz. Ale teraz zostaniesz trochę dłużej z nami?

Nie wiem. To zależy.

Och! „To zależy” - powtórzyła kapryśnie i przeszła do małego przedpokoiku, prowadzącego do pokoi sypialnych. - Tony, Tony! - zawołała na syna.

Nie wołaj go. Chciałem z tobą pomówić, Lucy.

Jeff, który ciągle stał przy drzwiach, odchrząknął zażenowany.

W takim razie - odezwał się - może lepiej, żebyśmy ja...

Z panem też, jeśli to panu nie robi różnicy - dokończył Oliver z miłym uśmiechem. - Chyba nie weźmie pan tego za złe, jeżeli poproszę, żeby pan zechciał poczekać chwilę nad jeziorem? Zdaje się, że deszcz już ustał. Chciałbym najpierw pomówić z żoną, a potem, jeśli to panu odpowiada, poproszę pana.

- Oczywiście - odparł skwapliwie Jeff. - Proszę się nie spieszyć.

- Dziękuję - rzekł Oliver, gdy Jeff był już prawie na ganku.

Lucy poczuła suchość w ustach. Pragnęła krzyknąć za Jeffem:

„Zostań! zostań! Daj mi czas zebrać myśli.” Patrzyła jednak w milczeniu, jak wychodził z pokoju, potem przełknęła ślinę usiłując zwilżyć usta i gardło i przewyciężając się podeszła do Olivera. Była niemal pewna, że ma uśmiech na twarzy, kiedy obejmowała go ramionami. „W tej chwili najważniejsza rzecz -

pomyślała - żeby się zachowywać normalnie.” Ale co to znaczy: normalnie? Ogarnął ją nagle paniczny lęk, bo nie mogła sobie uprzytomnić, co to znaczy: normalnie się zachowywać.

- Tak się cieszę, że znowu jesteśmy razem - powiedziała. - Bardzo mi się dłużyło.

Normalnie...

Aby się czymkolwiek zająć, aby jakoś zyskać na czasie, zaczęła się przyglądać uważnie twarzy Olivera. Podłużna, mocna, znajoma twarz. Jasne, mądre oczy, takie wszystkowiedzące. Stanowcze, blade usta, takie zdumiewająco miękkie, kiedy ją całował. Jędrna i gładka skóra. Końcami palców dotknęła ciemniejszych kręgów pod jego oczami.

Wyglądasz bardzo zmęczony - powtórzyła.

Przestań mówić, że wyglądam zmęczony. - Po raz pierwszy w głosie

Olivera brzmiało zniecierpliwienie.

Odsunęła się. „Cokolwiek teraz zrobię - pomyślała - wszystko będzie źle.”

Przepraszam - powiedziała cicho. - Mówiłeś, że nie wiesz, czy będziesz mógł zostać. Śe to zależy... Od czego zależy?

Od ciebie.

- O! - Lucy mimo woli zacisnęła dłonie. - Ode mnie?

Nagle wydało jej się, że w pokoju jest o wiele za jasno, że widać wszystko zanadto wyraźnie: kanciasty, brzydki zarys stołu, obrzydliwe, żółte zasłony w oknach i wytarte miejsca na poręczach fotela. Wszystko jest kanciaste i kłujące, a czas gna niby pociąg pędzący z góry, u której stóp zajeje otwór tunelu. Jak by to było cudownie, gdyby mogła

zemdleć, uratować dla siebie trochę czasu w ciemności i przygotować się w ciepłym, bezpiecznym zamroczeniu do trudnej przeprawy, jaka ją czekała. „Tak nie powinno być - myślała w popłochu. - Przecież to najważniejsza chwila w moim

życiu, a oni nie pozwolą mi nawet zebrać myśli.”

- Wiesz, na co mam ochotę? - powiedziała swobodnie, wciąż prawie zupełnie pewna, że ma uśmiech na ustach. - Chciałabym się czegoś napić i...

Oliver wziął ją za rękę.

- Chodź tutaj - powiedział i zaprowadził ją znowu do tapczana. - Usiądź koło mnie.

Usiedli blisko siebie. „Już chyba milion razy tak siedzieliśmy” - przemknęło jej przez myśl. Roześmiała się poddając się biegowi rzeczy, nie usiłując już nimi kierować.

Ależ jesteś dzisiaj poważny - zauważyła beztrąsko.

Tak, bardzo poważny.

Naprawdę? - Teraz mówiła przymilnie, po domowemu, usprawiedliwiającym się tonem. - Może wydałam za dużo pieniędzy? Znowu przekroczyłam rachunek?

„To mi się dosyć udało - stwierdziła w duchu. - Niech to się samo przewali.”

- Lucy - zapytał Oliver - masz tu jakiś romans?

Niech się samo przewali. Zachowywać się zupełnie normalnie. Siedział obok niej jak nauczyciel i zadawał pytania, oceniał. Nagle uświadomiła sobie, że bała się go przez piętnaście lat, bała się w każdziutkiej minucie tych piętnastu lat.

- Co takiego? - spytała, dumna z nuty wesołego niedowierzania, brzmiącej wyraźnie w jej głosie.

„To tylko na razie - myślała równocześnie. - Później, kiedy będziemy mieli więcej czasu, pomówimy o tym poważnie. Później będzie między nami już tylko prawda.”

- Romans - powtórzył Oliver.

Lucy zmarszczyła czoło i zrobiła zdziwioną minę, jak gdyby Oliver zaskoczył ją dając do rozwiązania zagadkę, ona zaś była gotowa wziąć udział w zabawie, skoro już domyśliła się jego intencji.

Ale z kim? - zapytała.

Z Bunnerem.

Przez chwilę zdawało się, że oniemiała. A potem zaczęła się śmiać. „Gdzieś w środku - przemknęło jej przez myśl - siedzi we mnie doskonały wzorzec niewinnej

żony i wydaje właściwe odgłosy, odpowiada na pytania tak jak należy. Muszę tylko dokładnie naśladować tamtą.”

- Boże drogi! - zawołała. - Z tym dzieciakiem?



Oliver wpatrywał się w nią bacznie, już prawie przekonany, tyle w nim było gotowości do tego, by dać się przekonać.

Powinnaś się odzwyczaić od traktowania jak dzieci wszystkich mężczyzn, którzy nie mają jeszcze pięćdziesiątki - powiedział miękko.

Biedny Jeff - śmiała się Lucy. - Byłby okropnie dumny, gdyby to usłyszał. - Czuła, jak twarz jej zastyga w trudnym skurczu mięśni, naśladowującym śmiech. Bez

żadnego planu zaczęła nagle zmyślać. - Przecież ostatniej zimy chodził na potańcówki z dziewczynką, która jest jeszcze w szkole, w Bostonie. Komenderuje zastępem podżegaczek, które dopingują swoich piłkarzy w czasie meczu. Nosi takie krótkie spódniczki i w każdą sobotę po południu fika koziołki na szkolnym boisku. Kiedy się z sobą umawiali, to nie mogli nawet wstąpić do baru, bo żaden barman nie chciał im podać alkoholu.

Jakimś tajemnym zmysłem wsłuchiwała się w siebie, łowiła i odnajdywała właściwy ton rozbawienia zmieszanego z niedowierzaniem. „To tak, jakbym skoczyła w wodę - biegła obok jej myśl. - Jak się raz odbić od deski, to już nie ma odwrotu, choćby się nagle zdawało nie wiem jak wysoko, choćby się otwierała nie wiem jaka głębia, choćby człowiek był przerażony i okropnie żałował swojej decyzji.”

Może dlatego przyjechałeś bez uprzedzenia?

Tak - odpowiedział.

Taki kawał drogi, i w dodatku sam jeden - uzaliła się. (Połowa skoku, zawisała w powietrzu, balansuje.) - Mój biedaku! No, ale jeżeli tylko w ten sposób mogę cię tutaj ściągnąć, to mimo wszystko jestem zadowolona. - Spoważniała. - Skąd ci przyszło do głowy coś podobnego? Co się stało? Dostałeś może anonim od którejś z tych jadowitych kwok, co mieszkają w hotelu? Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego i przypuszczam, że to je złości. Widzą mnie ciągle razem z Tony'm i Jeffem, a że trudno im wytrzymać bez jakiegoś skandalu, który by mogły wałkować, więc...

Nie dostałem żadnego anonimu.

Nie? Więc co w takim razie? - zapytała wyzywająco.

Tony telefonował do mnie wczoraj wieczorem. Prosił, żebym przyjechał.

Aha. A ty nie zatelefonowałaś do mnie po tej rozmowie?

Prosił, żebym tego nie robił.

Więc to dlatego wymknął się przed końcem kolacji. I dlatego ty przyjechałeś o takiej dziwnej porze - dodała ironicznie. - Tajne spotkanie mężczyzn w sprawach rodzinnych.

Prawdę mówiąc - usprawiedliwiał się - próbowałem do ciebie telefonować z Waterbury, ale było jakieś uszkodzenie linii.

Tony nie powiedział mi przez telefon, o co chodzi. Był trochę rozhisteryzowany. Ciągłe tylko powtarzał, że musi ze mną porozmawiać w cztery oczy.

Wstyd mi - naśladowała Lucy wzór doskonałej małżonki, który nosiła w sobie. - Wstyd mi za ciebie. Za Tony'ego. Za siebie samą. I za nasze małżeństwo.

Przecież nie mogłem inaczej postąpić - tłumaczył się przygnębiony. - Gdyby Tony do ciebie zadzwonił i powiedział na przykład, że ja...

A jak postępowałam dotychczas? - przerwała mu pytaniem.

Ze mną nigdy nie było żadnych takich historii. Wiesz o tym doskonale.

Nie było? Możliwe, że nie - odparła. - Skąd mogę wiedzieć? Ja nigdy nie pytałam. Zresztą... Czy to jest jedyna ważna sprawa na świecie? Czy dla dwojga ludzi, którzy przeżyli z sobą piętnaście lat w małżeństwie, nie ma już innych wspólnych problemów? Czy skłamałam ci kiedykolwiek? Czy cokolwiek przed tobą ukrywałam?

Nie - odpowiedział znużony.

Lucy miała wrażenie, że gotów był prawie dać spokój temu wszystkiemu.

I nagle - podjęła na nowo, szybko wyrzucając z siebie słowa, aby wykorzystać chwilę przewagi - nagle wszystko się zmienia. Nastaje pora konspiracji, niespodziewanych przyjazdów, szpiegowania i wyciągania zeznań od dzieci. Jaki jest tego powód?

Dobrze, przyznaję - zgodził się Oliver. - Powinienem być do ciebie zadzwonić. Ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie. Dlaczego Tony mi to powiedział?

A skąd ja mam wiedzieć? Przecież nie wiem nawet, co ci powiedział.

Śluchaj, Lucy - rzekł Oliver cicho. - On mówi, że widział was oboje w domu siostry Bunnera.

Koniec skoku. Lucy zaczerpnęła powietrza z przeciągłym westchnieniem.

Ach, tak mówił?

Tak.

Czy powiedział wyraźnie, co widział? - zapytała bezbarwnym, martwym głosem.

Nie mogę ci tego powtórzyć.

Nie możesz mi tego powtórzyć. - Głos Lucy był zupełnie bezdźwięczny.

Tak, ale niestety było to dostatecznie przekonujące.

- Och, jakie to okropne! - Lucy schyliła głowę i Oliver, nie widząc jej twarzy, był przekonany, że teraz wyzna mu wszystko. - Okropne ze względu na Tony'ego - dodała po chwili.

Omyliła się. Skok w wodę jeszcze się nie skończył. Bo to nie jest wcale prawdziwy skok. Śni jej się tylko, że spada, wiruje, chwyta garściami powietrze.

Słuchaj, Oliverze - rzekła trzeźwym, spokojnym tonem. - Musisz się dowiedzieć pewnych rzeczy o naszym synu. Nie bardzo przyjemnych. Wiesz, jak potrafi zmyślać niestworzone historie. Powiedzmy sobie otwarcie - wiesz, jak potrafi kłamać. Ile razy zwracaliśmy mu na to uwagę, gniewaliśmy się...

Dał już temu spokój.

To ci się tylko tak zdaje. Bo im jest starszy, tym sprytniej umie zmyślać.

Jego historie są teraz bardziej pomysłowe, bardziej prawdopodobne i... mniej niewinne.

Byłem pewien, że już z tego wyrósł.

Bo ty go wcale nie znasz. Widujesz go przez parę godzin w tygodniu i wtedy on się przed tobą popisuje dobrym zachowaniem. Nie znasz go tak jak ja, bo nie byłeś z nim dzień i noc przez te wszystkie lata.

„Podpalaczka! - przeraziła się w duchu samej siebie. - Już zapaliłaś zapałkę, teraz możesz tylko stać i patrzeć, jak płonie twój dom. I zaprzeczać wszystkiemu, umacniać swoje alibi.”

Tym się wszystko tłumaczy - ciągnęła dalej. - Trzeba sobie powiedzieć, że on się nie zachowuje w stosunku do mnie jak normalny chłopiec. Raczej jak zaborczy, zazdrosny kochanek. Sam to mówiłeś.

Nie mówiłem przecież na serio - obruszył się Oliver. - Może tak, żartami.

Ale to nie są wcale żarty - powiedziała z naciskiem. - Wiesz, jak się zachowuje, kiedy wraca do domu, a mnie jeszcze nie ma. Krąży po wszystkich pokojach i szuka mnie. Telefonuje po znajomych. Idzie do mojej sypialni, staje przy oknie i wyczekuje, i nie odzywa się słowem do nikogo. Widziałeś to sam Bóg wie ile razy.

No tak, i bardzo mi się to nie podobało - przyznał Oliver nachmurzony. - Uważałem, że się za bardzo tym cieszysz. Między innymi właśnie dlatego zaangażowałem Bunnera.

I powiedziałaś, żebym mniej przebywała z Tony'm - wtrąciła szybko. -

śeby spędzał więcej czasu sam. śeby go zmuszać do samodzielności. To samo zaleciłeś Jeffowi. No, więc oboje zastosowaliśmy się do poleceń. Do twoich własnych poleceń. I teraz masz rezultat.

Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Oliver zmieszany.

Zostawialiśmy go od czasu do czasu samego. Staraliśmy się, żeby wszystko nie kręciło się tylko dokoła niego od rana do wieczora. Był o to wściekły. I to ma być zemsta. Ta chorobliwa, bardzo niesmaczna bajeczka.

Oliver potrząsnął przecząco głową.

Nie. śaden chłopiec w jego wieku nie potrafi wymyślić takiej historii.

Dlaczego nie? - spytała zaczepnie. - Zwłaszcza teraz. Przecież między innymi przewidziałeś dla niego kurs uświadamiający o stosunkach płciowych.

I cóż w tym złego? Chyba już czas, żeby...

Czas, żeby mógł wspomagać swoją zazdrość nowymi, bardzo interesującymi wiadomościami i żeby obrócił tę broń przeciwko nam?

Lucy, czy ty mówisz prawdę?

Odetchnęła głęboko, podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Tak, przysięgam ci - powiedziała.

Oliver odwrócił się, podszedł do drzwi prowadzących na ganek i otworzył je.

Panie Bunner - zawołał w kierunku ciemnej postaci na brzegu jeziora. - Panie Bunner!

Co ty chcesz zrobić? - zapytała Lucy.

Chcę porozmawiać z Bunnerem - odparł wracając do niej.

Nie możesz z nim o tym mówić.

Muszę - powiedział spokojnie.

Nie możesz mnie stawiać w takiej sytuacji. Ani siebie samego. Nie możesz mnie upokarzać wobec tego chłopca.

Proszę cię, Lucy, chcę z nim rozmawiać w cztery oczy.

- Jeżeli to zrobisz - zagroziła - nigdy ci nie wybaczę.

Powiedziała to nie dlatego, żeby tak myślała rzeczywiście, ale tylko dlatego, że właśnie takich słów użyłaby na pewno zautomatyzowana niewinna żona.

Oliver zrobił lekki ruch ręką, jakby ją wypraszał z saloniku.

- Proszę cię, Lucy...

Stali jedno naprzeciw drugiego wpatrując się w siebie z napięciem, kiedy

Bunner wszedł do pokoju. W końcu Oliver go zauważył.

- Ach tak, to pan - powiedział i odwrócił się znowu do żony. - Lucy... - rzekł wyczekująco.

Na patrząc na Jeffa zbliżyła się szybko do drzwi i wyszła na ganek. Po chwili Oliver opanował się już widocznie i skinął uprzejmie w kierunku

Jeffa.

- Proszę, niech pan usiądzie.

Jeff zawahał się, po czym usiadł na krześle. Oliver, mówiąc, przechadzał się po pokoju tam i z powrotem.

Przede wszystkim - zaczął - chcę panu podziękować za listy z tygodniowymi raportami o postępach Tony'ego.

Cóż... - odparł Jeff. - Skoro pan nie mógł tu przyjeżdżać, myślałem, że będzie panu przyjemnie wiedzieć, jak sobie z Tony'm radzimy.

Cieszyłem się z tych listów. Bardzo inteligentne listy. Zawsze miałem wrażenie, że pan się dobrze orientuje w tym, co się dzieje z Tony'm, i że go pan naprawdę lubi.

To bardzo wdzięczny chłopiec - stwierdził Jeff.

Wdzięczny? - zastanowił się Oliver, jak gdyby zobaczył nagle syna w jakimś nowym świetle. - Tak, rzeczywiście. A poza tym dowiedziałem się sporo o panu z tych listów.

Jeff roześmiał się, trochę zakłopotany.

Naprawdę? Mam nadzieję, że nie bardzo się skompromitowałem.

Wprost przeciwnie - rzekł Oliver. - Wyrobiłem sobie o panu przekonanie jako o wybitnie inteligentnym i przyzwoitym młodym człowieku. Zacząłem już nawet przemyśliwać o tym, że po skończeniu studiów, gdyby pan miał przypadkiem zmienić swoje zamiary co do kariery dyplomatycznej, mógłbym dla pana coś znaleźć w moim przedsiębiorstwie.

To bardzo miło z pana strony. - Jeff był wyraźnie zakłopotany. - Oczywiście, będę o tym pamiętał.

Ale, ale - przypomniał sobie Oliver, jak gdyby uważał za niewłaściwe przystępować zbyt wcześnie do zasadniczej sprawy i szukał na chybił trafił innych tematów rozmowy. - Co się dzieje z pana dziewczyną, z tą, o której pan wtedy opowiadał, w dniu naszego poznania? Pamiętam doskonale, co mi pan wówczas mówił. Ja zapytałem, czy pan ma jaką dziewczynę, a na to pan odpowiedział, że tak, że tak jakby. Więc ona chodzi jeszcze do szkoły w Bostonie?

Do szkoły? - zdziwił się Jeff.

No tak. Przecież jest główną podżegaczką w dopingach w szkolnej drużynie piłki nożnej?

Jeff zaśmiał się niepewnie.

- Nie znam żadnej uczennicy w Bostonie. A już na pewno żadnej podżegaczki w dopingach. Ta dziewczyna, o której panu mówiłem, jest na pierwszym roku w Vassar i właściwie przechwalałem się tylko. Widuję ją wszystkiego kilka razy do roku.

Dlaczego pan o to pyta?

- Musiało mi się widocznie pokręcić - rzekł Oliver swobodnie. - Może to Tony pisał mi o czymś takim. W jego bazgrołach trzeba się nieraz domyślać sensu. - Wzruszył ramionami. - To zresztą nie ma znaczenia. A zatem, żadnych podżegaczek?

- Ani jednej - zapewnił Jeff.

Oliver milczał przez chwilę.

- A jak tam z trochę starszymi paniami? - zapytał pogodnie. - Z mężatkami na przykład?

Jeff spuścił oczy.

Nie przypuszczam, żeby pan oczekiwał naprawdę odpowiedzi na to pytanie

- odparł cicho.

Może i nie. - Oliver wyjął z kieszeni książeczkę czekową i pióro. - Czy moja żona płaciła panu regularnie co tydzień?

Tak.

Ale za ten tydzień jeszcze nie zapłaciła? - Oliver trzymał w ręku otwartą książeczkę.

Nie. Ale proszę, niech pan chwilę zaczeka...

Dziś mamy piątek - mówił spokojnie Oliver. - Umawialiśmy się na trzydzieści dolarów tygodniowo, to znaczy za siedem dni, prawda? A więc pięć siódmych od tej sumy, no, powiedzmy dwadzieścia jeden dolarów, żeby było okrągło.

Nie przeszkadza panu, że płacę czekiem? Mam przy sobie niedużo gotówki.

Jeff podniósł się z krzesła.

- Nie wezmę tych pieniędzy - oświadczył.

Oliver uniósł brwi ze zdziwieniem i zapytał:

- Dlaczego? Przecież brał pan co tydzień od mojej żony.

- Tak, ale...

- Dlaczego w tym tygodniu ma być inaczej? - Głos Olivera brzmiał dobrodusznie i przekonująco. - Czy dlatego, że będzie o dwa dni krótszy?

- Nie wezmę tych pieniędzy - powtórzył Jeff uparcie.

Oliver udawał, że nie rozumie, o co chodzi.

W tej sytuacji nie sądzi pan chyba, że mógłby pan tu dłużej pozostać?

Nie - wymamrotał młody człowiek tak cicho, że Oliver ledwie go dosłyszał.

Naturalnie, że nie - powtórzył ojcowskim tonem i podał

Jeffowi czek. - O, proszę. Zapracował pan na to. Pamiętam, że kiedy byłem w pańskim wieku, nigdy nie miałem zmartwienia o to, co zrobić z dwudziestu dolarami.

Chyba dzisiaj niewiele się zmieniło pod tym względem?

Jeff popatrzył z nieszczęśliwą miną na czek, który trzymał w ręku, po czym ruszył ku drzwiom. Nagle zawrócił.

- Powiniennem chyba powiedzieć, że mi przykro, że się wstydzę albo coś w tym

rodzaju. Może to by panu sprawiło pewną ulgę.

Oliver uśmiechnął się ciepło.

Nie, to nie jest konieczne.

Bo ja się wcale nie wstydzę i wcale mi nie jest przykro - powiedział Jeff wyzywająco. - To jest najwspanialsze zdarzenie w moim życiu.

Oliver kiwnął głową potakująco.

Tak. To zawsze tak bywa, kiedy się ma dwadzieścia lat.

Pan nie wie - zaczął Jeff chaotycznie. - Pan jej nie zna.

Możliwe - zgodził się Oliver.

Ona jest czysta. Subtelna. Niech pan jej nie potępia. To ja do tego doprowadziłem. Tylko ja jestem winien.

Nie chcę panu bynajmniej ujmować chwały - rzekł Oliver z miłym uśmiechem - ale muszę powiedzieć, że kiedy trzydziestopięcioletnia kobieta zaczyna się zadawać z dwudziestoletnim chłopcem, to nie mogę jemu przypisać innej zasługi poza tym, że w ogóle jest.

Pan... - uniósł się Jeff w bezsilnej goryczy wobec dojrzałego od siebie mężczyzny. - Pan jest taki pewien siebie. Ja wiem o panu wszystko. Ona mi powiedziała. Siedzi pan na wyniosłym stolcu. Mówi pan każdemu, co ma robić i co ma myśleć. Tym, co na pana pracują. I własnemu dziecku. I żonie. Wszystko musi być tak, jak pan chce. Uprzejmy, lodowaty i bezwzględny. O Boże, przecież i teraz nie raczy pan nawet wpaść w gniew. Przyjeżdża pan, dowiaduje się pan, że kocham pańską żonę, i co pan robi? Wypisuje pan czek.

Melodramatycznym gestem zgniótł w rękę czek i cisnął go na podłogę. Na twarzy Olivera malował się ten sam wyraz pobłażliwego rozbawienia.

To, co pan zrobił w tej chwili - powiedział spokojnie - jest potwierdzeniem jednego z argumentów, które się zawsze wysuwa przeciwko angażowaniu do pracy synów zamożnych rodzin. Nie umieją szanować pieniędzy.

Mam nadzieję, że ona pana porzuci - odpowiedział mu Jeff. - A wtedy ja się z nią ożenię.

Panie Bunner - Oliver stłumił uśmiech - niech się pan nie gniewa, ale zachowuje się pan jak dureń. Jest pan sentymentalny. Używa pan wielkich słów:

miłość, małżeństwo, subtelność, czystość i czyja wiem co jeszcze. Jestem właściwie zachwycony panem z tego powodu. Nie jest pan zwykłym bydlakiem. Chce pan mieć szacunek dla samego siebie. Chce pan siebie uważać za człowieka zdolnego do wielkich namiętności i w ogóle wyjątkowego. W porządku, to wszystko jest dosyć naturalne i nie

potępiam pana za to. Ale muszę panu powiedzieć, że to wcale nie odpowiada faktom.

A cóż pan może wiedzieć o faktach?

Oto co wiem. Nie przeżył pan miłości. Przeżył pan żłudę wyobraźni. Mocą wyobraźni stworzył pan sobie kobietę, która w rzeczywistości nie istnieje, i uczucie, które też nie istnieje.

Niech mi pan tylko nie wmawia... - spróbował mu przerwać Jeff.

Pozwoli pan, że skończę. - Oliver powstrzymał go ruchem ręki. - Dostał pan rzecz powszednią i nietrwałą, naszpikował ją pan różami i blaskiem księżycy.

Wziął pan jedno króciutkie lato za całe życie, aż do zgonu. Brak skrupułów ze strony niemądrej i dziecinnej kobiety wziął pan za namiętność i, koniec końców, pan, nie kto inny, będzie z tego powodu najbardziej poszkodowany.

Jeżeli taki jest pański stosunek do niej - oświadczył Jeff jękając się pod naporem gniewu i zamętu myśli - to nie ma pan w ogóle prawa o niej mówić. Pan nie ma dla niej szacunku, pan jej nie uwielbia, nie kocha...

Oliver westchnął.

- Kiedy pan będzie trochę starszy, przekona się pan, że miłość bardzo często nie ma prawie nic wspólnego z szacunkiem i uwielbieniem. No, aleja nie przyjechałem tutaj aż z Hartford po to, żeby mówić o sobie. Jeff - zwrócił się do młodego człowieka bardzo bezpośrednio - chcę pana o coś prosić, o dosyć trudną rzecz. Niechże pan spojrzy na te sprawy bez żadnych okularów, niech je pan zobaczy takimi, jakie są naprawdę. To jest lato, Jeff. Niech pan popatrzy na różne hotele, podobne do tutejszego. Na wszystkie te tekturowe pałace z cienkimi ścianami, z podłgą orkiestrą i jeziorem z pocztówki. Niech pan popatrzy na te rozleniwione, bezmyślne kobiety, spędzające z dala od mężów upalne wakacyjne miesiące. Wylegują się na słońcu przez cały dzień, nudzą się, same już nie wiedzą, czego chcą, za dużo piją, szukają jakiejś rozrywki i znajdują ją w towarzystwie komiwojażerów, kelnerów, płatnych trenerów, trębaczy z orkiestry i młodych studentów. To jest całe plemię tanich, dostępnych mężczyzn, za którymi przemawia tylko ich męskość. I jeszcze to, że bez żadnego kłopotu ulatniają się z nastaniem chłodniejszej pory. Ale, ale... -

zapytał Oliver tonem towarzyskiej rozmowy. - Czy rozmawiał pan z moją żoną na temat małżeństwa?

Tak, rozmawiałem.

No, i co ona powiedziała?

Śmiała się ze mnie - przyznał Jeff.

Oczywiście. - Głos Olivera brzmiał przyjaźnie i współczująco. - Kiedy miałem



dwadzieścia lat, tak jak pan, spotkała mnie taka sama przygoda. Tyle, że tamto było na statku, w drodze do Francji. Właściwie było nawet bardziej romantycznie niż tu. - Ruchem ręki wskazał na domek, jezioro i okoliczne lasy. - Wie pan, jak to bywa na statku, a poza tym Francja, ta Francja” zaraz po wojnie... Piękna pani była dostatecznie mądra, żeby zostawić dzieci w domu, a może miała większą wprawę w tych rzeczach niż pani Crown. To była bardzo gorąca miłość. Czego tam nie było? Dwutygodniowa wycieczka nad włoskie jeziora i sąsiadujące ze sobą kabiny na starym, pocziwym „Champlainie”, i przemowy, które wygłaszałem do niej na pokładzie, w drodze powrotnej do Ameryki. Wyobrażam sobie, że były bardzo podobne do przemów, które pan musiał wygłaszać tutaj w księżycowe noce. W

dodatku, miałem więcej szczęścia niż pan. Mąż nigdy się o tym nie dowiedział. I

pokazał się dopiero wtedy, kiedy nasz statek zawinął do portu. Ale mimo to... - Tu

Oliver zaśmiał się cicho do swoich wspomnień. - Odprawa celna trwała dwie godziny, a kiedy w końcu znaleźliśmy się już za bramą, nie bardzo mogła sobie przypomnieć, jak mi na imię.

Dlaczego chce mi pan to wszystko obrzydzić? - zapytał Jeff. - Co pan przez to zyskuje?

Nie obrzydzić - poprawił go Oliver. - Tylko pokazać, że to jest rzecz powszednia. Bardzo przyjemna - tak, to lato w Europie pozostało dla mnie jednym z najmiłszych wspomnień - ale powszednia. Niechże pan się nie czuje nieszczęśliwy dlatego, że w pewnym wieku przeżył pan to samo, co inni młodzi mężczyźni przeżywali przed panem. - Schylił się i podniósł z podłogi zmięty czek. - Naprawdę nie chce pan przyjąć tego czeku? - zapytał wyciągając rękę w kierunku Jeffa.

Nie.

Jak pan chce. Będzie pan starszy, to nauczy się pan, oprócz innych rzeczy, więcej dbać o pieniądze. - Wyglądził czek palcami, popatrzył na niego z roztargnieniem i nagle, gwałtownym ruchem cisnął go do kominka. - A propos, ten adapter jest pana własnością, prawda?

Tak - odparł Jeff.

Myślę, że powinien pan go stąd zabrać. No, tak. I wszystkie inne pańskie rzeczy, jeśli są tutaj.

Nie mam tu nic poza tym.

Oliver podszedł do adaptera i wyciągnął wtyczkę. Okręcił porządnie sznur wokół pudła i zatknął wtyczkę pod przewodem.

- Sądzę, że będzie lepiej, jeżeli pan przestanie się tutaj pokazywać - zwrócił się do

Jeffa.

- Nic panu nie przyrzekam.

Oliver wzruszył ramionami.

- Mnie to nie robi różnicy. Myślałem raczej o spokoju pańskiego ducha. - Stuknął palcami w adapter. - No, to by było wszystko.

Stał wyczekująco, z uprzejmym uśmiechem na ustach. Jeff zbliżył się do niego ze ściągniętą twarzą, wziął adapter pod pachę i zwrócił się ku wyjściu. Gdy dochodził do drzwi, otworzyły się i ukazała się w nich Lucy.

Po wyjściu z domu Lucy poszła na oślep w kierunku jeziora. Stała na brzegu i patrzyła daleko na wodę. Chmury rozproszyły się nieco, blade, wilgotne światło księżyca wydobywało z ciemności gałązki drzew, pale na końcu hotelowej przystani i maszt jednej z małych żaglówek, zacumowanych w odległości kilku stóp od pali.

Nad samą wodą było zimno, Lucy poczuła dreszcze. Nie wzięła swetra, a teraz nie mogła wracać po niego do domu.

Zaczęła rozmyślać o tym, co mogli sobie mówić dwaj mężczyźni tam, w saloniku. Próbowwała odtworzyć w wyobraźni ich rozmowę, ale nie udawało jej się. W

dawnych czasach i w innych krajach mężczyzna w takiej sytuacji zabijał rywala. Nie tylko w dawnych czasach. Przypomniała sobie historię, o której czytała w gazecie zaledwie przed miesiącem. Pewien marynarz, wróciwszy niespodziewanie do domu, zastał żonę z innym mężczyzną i na miejscu zastrzelił oboje. A na koniec sobie wpakował kulę w łeb. Przez dwa dni tylko o tym pisali na pierwszych stronach dzienników.

No tak, ale tutaj nikt nie ma zamiaru strzelać do nikogo. Może właśnie w tym tkwi coś złego. Coś, co źle świadczy o nich trojgu. Może tego rodzaju sprawa wtedy jest coś warta, wtedy tylko coś znaczy, kiedy ludzie gotowi są strzelać do siebie.

Odwróciła się i popatrzyła na dom. Wyglądał zupełnie tak samo jak przez całe lato i jak w lecie ubiegłego roku. Światło sączyło się spokojnie, może trochę zbyt jasne, przez szczeliny w zasłonach okiennych w saloniku i lśniło na mokrym gazonie przed domem. O parę okien dalej świeciło się w pokoju Tony'ego, ale tutaj blask był przyćmiony, widocznie paliła się lampa na biurku. Co Tony może teraz robić? Czyta? Rysuje swoje ulubione konie, żagłówki, sportowców? Może się pakuje, przygotowuje się do ucieczki? A może podsłuchuje?

Zadrzała. Nagle uprzytomniła sobie, że najgorszą rzeczą będzie spojrzenie w oczy

Tony'emu, niezależnie od tego, czy podsłuchiwał, czy nie. Odwróciła się plecami do domu i spojrzała znowu na wodę. Jak by to było łatwo - po prostu wyjść sobie z domu i iść,

iść coraz dalej w ciemność, w zwyczajną ciemność... Tak, ale wiedziała przecież, że tego także nie zrobi.

Wsluchiwała się w plusk wody uderzającej lekko o pale, cichy, jednostajny i taki znajomy, dokładnie taki sam jak zeszłego lata, jak co roku. Och, gdyby to było lato zeszłego roku! Gdyby to był którykolwiek dzień przed dniem dzisiejszym! Można by jeszcze wszystko odrobić, ułożyć lepiej i mądrzej, bez obłąkanego, pośpiesznego zmyślenia, bez żadnych skoków w wodę i sennych majaczeń, bez automatycznego powtarzania nie swoich słów. Albo - gdyby to mogło być już przyszłe lato, kiedy wszystko się jakoś ułoży, wszystko zostanie ukarane i zapomniane.

Gdyby mogli cofnąć się chociaż o pół godziny, wrócić do tej chwili, kiedy weszła do domu i zobaczyła Olivera stojącego pośrodku pokoju. Kiedy zrozumiała, że czeka ją coś złego, i przestraszyła się męża, ale równocześnie doznała tego samego uczucia ciepła i zadowolenia, jakiego zawsze doznawała na jego widok po dłuższym rozstaniu. Uczucia zakorzenienia, zażyłości i przynależności, subtelnego, miłego uczucia, że oto zrzuca z ramion odpowiedzialność za swoją samotność. Czy będzie mogła kiedykolwiek wytłumaczyć Oliverowi to uczucie, przekonać go, że doznawała go naprawdę, mimo że równocześnie romansowała z innym mężczyzną i okłamywała męża udając przed nim obrażoną niewinność?

W tym momencie gdy Oliver wyprawił Jeffa z pokoju i rzucił jej w twarz oskarżenie, powinna była wstać i powiedzieć: „Proszę cię, zostaw mnie samą na piętnaście minut.

Muszę sobie wszystko ułożyć w głowie, to jest zbyt ważna rzecz, żeby robić cośkolwiek bez zastanowienia.” Potem powinna była pójść do swojego pokoju, przemyśleć w samotności całą tę sprawę, wrócić i prosić go o przebaczenie.

Tak, ale nie zrobiła tego. Poszła ślepo za głosem instynktu, zachowała się niby dziecko, które coś przeszkrobało, miotła się, uciekała się w podnieceniu do głupich, kobiecych sztuczek, myśląc jedynie o tym, żeby się wybronić w tej chwili, niezależnie od strat, jakie później będzie musiała ponieść z tego powodu. „Głos instynktu... -

myślała z ironią. - W takim razie mój instynkt niewiele jest wart.”

Wracała do domu z mocnym postanowieniem, że wszystko to odrobi i naprawi.

Będzie spokojna, rozsądna, powie Oliverowi: „Proszę cię, zapomnij o tym, co ci przed chwilą mówiłam. Naprawdę to było tak...”

Przyrzeknie mu, że już nigdy nie zobaczy się z Jeffem. Dotrzyma przyrzeczenia. Nie będzie to wcale trudne. W tej samej chwili gdy zobaczyła Olivera i Jeffa razem, w jednym pokoju, Jeff przestał dla niej istnieć, stał się po prostu niczym. Był z powrotem tylko miłym

chłopakiem, którego zaangażowali na kilka letnich tygodni, żeby uczył Tohy'ego pływać i strzegł go przed zbyt dużym wysiłkiem.

„Ach, gdyby Oliver nie był taki uparty - pomyślała w nagłym odruchu złości przeciwko niemu. - Gdyby wtedy, w lipcu, zabrał mnie z sobą do domu, tak jak prosiłam, nie byłoby tego wszystkiego. Gdyby tamtego wieczoru nie męczył mnie przez telefon o rachunek z garażu...” Niechże i on przyjmie na siebie część winy.

Niech zrozumie, że jeśli ciągle zmusza ludzi, żeby robili wszystko tak, jak on chce, to musi ponosić konsekwencje. Niech zrozumie, że ona jest także człowiekiem, a nie manekinem, którego się popycha to tu, to tam, że nie jest bryłą surowego tworzywa, której można nadać kształt wedle woli, że jej uczucia to drogowskazy, sygnały alarmowe, to wołania, których nie wolno lekceważyć.

„Kto wie - myślała w przypływie optymizmu - czy to wszystko, ten... ten wypadek nie obróci się właśnie na dobre? Może dzięki takiemu wstrząsowi nasze małżeństwo przybierze właściwy, ostateczny kształt? Może od tej chwili nastąpi jakiś sprawiedliwszy rozdział praw, przywilejów i decyzji?”

Dojrzała cienie poruszające się za zasłoną w oknie oświetlonego saloniku. Co też o niej mówią ci dwaj mężczyźni, który z nich ją obwinia, który staje w jej obronie? Jak ją tam osądzają, jakich dokonują odkryć, co jej wytykają, jakie plany układają dla niej na przyszłość? Nagle wydała jej się nie do zniesienia myśl, że tamci dwaj rozprawiają z sobą o niej, obnażają ją, postanawiają o jej losach. „Cokolwiek ma się stać -

zdecydowała stanowczo - musi się stać w mojej obecności.”

Przebiegła przez mokry trawnik i weszła do domu.

Otworzywszy drzwi do pokoju zobaczyła Jeffa z adapterem pod pachą, gotowego do wyjścia. Wydawał się mały, zwyciężony i bez znaczenia. Zrozumiała natychmiast, że

Oliver wyciągnął z niego wszystko, o co mu chodziło.

Oliver stał w głębi pokoju, opanowany, uprzejmy. Lucy rzuciła szybkie spojrzenie na Jeffa, po czym zwróciła się do męża:

Już skończyliście?

Sądzę, że tak.

Lucy... - zaczął Jeff.

Wyjdź już, Jeff - powiedziała trzymając drzwi otwarte. Miał bardzo zgnębiony wyraz twarzy, ale usłuchał i wyszedł niezgrabnie, przyciskając ramieniem nieporęczny adapter.

Oliver patrzył za nim przez chwilę. Potem zapalił powoli papierosa. Czuł, że

Lucy, która stała sztywno przy drzwiach, śledzi uważnie każdy jego ruch.

- Bardzo przyjemny chłopak - odezwał się w końcu. - Bardzo przyjemny.

„Nie dam rady - pomyślała bezsilnie. - Nie dzisiaj. Nie mogę, kiedy on tak sobie stoi z ubawioną miną. Taki protekcyjny i niewzruszony.” Czuła, że cała drży, i nie mogła sobie przypomnieć, co postanowiła tam, nad jeziorem. Wiedziała tylko jedno: musi jakoś przetrwać przez następne minuty, wszystko jedno jak, aby przetrwać.

- No i co? - zapytała.

Oliver uśmiechnął się z wyrazem znużenia.

Zdaje się, że jest bardzo... przywiązany do ciebie.

Co powiedział?

Och, zwykle rzeczy - odparł Oliver. - Źe ja cię nie rozumiem. Źe jesteś czysta i subtelna. Źe to wyłącznie jego wina. Cieszy się, że to wszystko się stało. To jego najwspanialsze przeżycie. Chce się z tobą ożenić. Bardzo rycerski chłopak.

śladnych niespodzianek.

On kłamie - rzekła Lucy.

No, Lucy... - Oliver wykonał jakiś zniechęcony, zmęczony ruch ręką.

On kłamie - powtórzyła z uporem. - Ten chłopak jest zwariowany. Był tutaj zeszłego lata. Nawet go nie zauważyłam. Ale on wszędzie za mną chodził, obserwował mnie. I nigdy nie odezwał się słowem. Tylko patrzył. Przez całe lato. - Rozpędziła się, mówiła bardzo prędko, chcąc oszołomić Olivera i nie dać mu dojść do słowa. - W tym roku przyjechał tutaj, bo się dowiedział, że znowu mam tu spędzić wakacje. Któregoś wieczoru zrobiłam głupstwo. Przyznaję się. To było idiotyczne.

Pozwoliłam się pocałować. I wtedy wszystko mi powiedział. Źe się we mnie zakochał od pierwszego wejrzenia. Źe chodził za mną krok w krok. Źe przez zimę wypisywał do mnie listy całymi tuzinami, ale ich nie wysyłał. Nie mógł znieść myśli, że nie jest blisko mnie. Same takie dziecinne bzdury i szaleństwa. Miałam zatelefonować do ciebie i powiedzieć o wszystkim. Ale ciągle mi się zdawało, że jeśli ci powiem, to będziesz niezadowolony. Albo zrobisz mi scenę. Albo pomyślisz, że to jest podstęp z mojej strony, żeby się go pozbyć. Albo że będziesz ze mnie pokpiwał, że nie potrafię sobie sama dać rady z takim smarkaczem. Albo powiesz, że to właśnie do mnie podobne, że zawsze potrzebuję czyjejs pomocy i nie umiem sobie radzić z własnymi sprawami jak wszyscy inni ludzie na świecie. Powtarzałam sobie bez przerwy, że to sześć tygodni, tylko sześć tygodni. Trzymałam go z daleka od siebie. Używałam wszelkich wybiegów, jakie tylko znałam. Ośmieszałam go. Nudziło mnie to, złościłam się na niego, radziłam, żeby się zajął jaką młodą dziewczyną. Ale on ciągle za mną chodził. Ciągle mówił, że może kiedyś... I nic między nami nie zaszło. Nic.

On mówił mi co innego - stwierdził Oliver ze spokojem.

Nie, to nieprawda. On chce po prostu wywołać awanturę. Sam mi to mówił.

Kiedyś nawet powiedział, że napisze do ciebie, że jestem jego kochanką. Wtedy ty mnie wypędzisz z domu i będę musiała do niego przyjść. Co mam zrobić, żebyś mi wierzył?

Nie możesz nic zrobić. Bo kłamiesz od początku do końca.

Nie! - zawołała. - Nie mów tak!

Kłamiesz. Brzydzę się tobą.

Wszystkie linie obronne padły. Nagle zaniechała wszelkiego udawania i wyciągnąwszy przed siebie ręce szła ku niemu jak ślepiec.

- Nie, nie... Proszę cię, Oliverze...

- Nie zbliżaj się do mnie. To jest właśnie najgorsze. Te kłamstwa. Tego nie można przebaczyć. Możliwe, że po jakimś czasie potrafiłbym zapomnieć o twoim wakacyjnym romansie ze studentem. Ale te kłamstwa! Zwłaszcza to, coś mi naopowiadała o Tony'm. Na miłość boską, do czego ty chciałaś doprowadzić? Co za kobieta z ciebie? Lucy padła na krzesło i spuściła głowę.

- Sama nie wiedziałam, co robię - rzekła głucho. - Tak się boję, tak okropnie się boję. Tak chcę uratować nas oboje i nasze małżeństwo.

- Do diabła z takim małżeństwem! Leżysz w jego ramionach i naśmiewasz się ze mnie, uskarżasz się. Opowiadasz mu w przerwach między pocałunkami, jaki to ze mnie zimny tyran. A twój syn stoi za ścianą i zagląda przez okno, bo wam tak pilno było wskoczyć do łóżka, że nawet nie sprawdziliście, czy żaluzja jest dobrze spuszczone.

Nie, to nie było tak - jęknęła Lucy. Stał teraz nad nią i trząsał się z wściekłości.

Tak ci zależy, żeby ratować takie małżeństwo?

Ja cię kocham - szepnęła nie podnosząc głowy i nie patrząc na niego. - Ja cię kocham.

Uważasz, że to wystarczy, żebym zmiękł. Spodziewasz się, że teraz już powiem: „Nic nie szkodzi, żeś mnie okłamywała przez piętnaście lat, nic nie szkodzi, że będziesz mnie okłamywać przez następnych piętnaście”? Tylko dlatego, że kiedy cię nakryłem, zdobywasz się na czelność i mówisz mi, że mnie kochasz?

To pierwszy raz! - zawołała z rozpaczą. - Nigdy cię przedtem nie okłamywałam. Przysięgam. Nie wiem, co mi się stało. Nie powinieneś był zostawiać mnie samej. Prosiłam cię, żebyś mnie nie zostawiał. Mówiłeś, że będziesz przyjeżdżał, a nie przyjechałeś ani razu. Powiedziałam mu, że nie będę się z nim więcej widywać. Możesz sam go zapytać.

Wtem Oliver wziął z krzesła swój kapelusz, płaszcz i neseser. Spojrzała na niego

wystraszona.

Dokąd idziesz? - spytała.

Nie wiem. Chcę się stąd wyrwać.

Lucy wstała i wyciągnęła do niego rękę błagalnym gestem.

Przyrzeknę ci, co zechcesz - powiedziała. - Zrobię wszystko, co zechcesz.

Ale nie porzucaj mnie. Nie porzucaj mnie.

Jeszcze cię nie porzucam. Muszę wyjechać, muszę być sam, dopóki nie postanowię, co zrobić.

Zatelefonujesz do mnie? Wrócisz tutaj?

Zobaczymy - powiedział.

Był wyczerpany przejściami tego wieczoru. Wyszedł na ganek, a po chwili

Lucy usłyszała, jak rusza samochód. Stała pośrodku pokoju, oczy miała suche, twarz ściągniętą, wsłuchiwała się w warkot silnika. Wtem drzwi od korytarza otworzyły się gwałtownie i Tony wpadł do saloniku.

Gdzie tatuś? - zapytał zmienionym głosem. - Słyszałem samochód. Dokąd on pojechał?

Nie wiem - odpowiedziała.

Wyciągnęła rękę, by dotknąć ramienia chłopca, ale on uchylił się i skoczył na ganek. Słyszała, jak biegnąc drogą wołał głośno za ojcem, wołanie oddalało się coraz bardziej, warkot samochodu stawał się coraz cichszy, aż w końcu rozplynął się w przestrzeni.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

W ciągu następnych dziesięciu dni i tyluż nocy Oliver starał się być jak

„najwięcej sam, w biurze spędzał nie więcej czasu, niż bezwzględnie musiał, i unikał znajomych. W domu dał urlop czarnej służącej wyjaśniając, że i tak ma zamiar jadać na mieście, wobec czego wyjechała do rodziny w Wirginii, on zaś pozostał sam w pustym mieszkaniu.

Co wieczór po powrocie z biura przyrządzał sobie obiad i zjadał go w stołowym pokoju, przestrzegając pedantycznie wszelkich form przy samotnym posiłku. Po jedzeniu zmywał porządnie naczynia, przechodził do saloniku, siadał w fotelu przed kominkiem i siedział tak do pierwszej, czasem do drugiej godziny w nocy. Nie czytał, nie włączał radia, po

prostu - siedział wpatrując się w wyiębły, czysto wymieciony komin, aż poczuł, że jest dostatecznie zmęczony, by pójść do łóżka.

Nie telefonował ani nie pisał do Lucy. Chciał, zanim ją znowu zobaczy, wiedzieć dokładnie, jak dalej postąpi. Nigdy w swoim dotychczasowym życiu nie śpieszył się z powzięciem decyzji, zawsze zostawiał sobie czas do namysłu i zbadania sprawy. Nie był zarozumiały, ale też nie był przesadnie skromny i wierzył w swoją inteligencję, w zdolność formułowania wniosków, które potrafią wytrzymać próbę

życia. Teraz trzeba było dojść do jakiegoś wniosku, i powziąć postanowienie w sprawie żony, syna i siebie samego, toteż dla sprostania temu zadaniu musiał zapewnić sobie czas i samotność.

Zadanie okazało się znacznie trudniejsze i wymagało więcej czasu, niż przypuszczał, zamiast bowiem rozumowo rozważyć całą sprawę, nieustannie wyobrażał sobie tych dwoje razem, Lucy i Jeffa, szmer ich stłumionych głosów, cichy śmiech w przyściemnym pokoju i gesty miłosne, których okrucieństwo wydawało się nie do zniesienia. Sam w pustym domu odczuwał w takich chwilach pokusę napisania do Lucy i powiedzenia jej, że to koniec, że nie chce jej więcej widzieć. Nie pisał jednak. Może za tydzień, za dwa napisze to samo, ale wtedy jego postanowienie będzie rezultatem sumiennego przemyślenia, nie zaś wewnętrznej udręki. Zostawiał sobie czas, by odzyskać panowanie nad sobą. Z chwilą kiedy je całkowicie odzyska, zacznie działać.

Zazdrość, jeżeli było to rzeczywiście to uczucie, męczyła go bardziej, niż mogłaby męczyć w podobnych okolicznościach innego mężczyznę, który już do niej przywykł. Zazdrosny mężczyzna w głębi serca wierzy w to, że jest zdradzany.

Przeżywa jak gdyby stan obłączenia i wie, że gdzieś, w jakiś sposób musi powstać wyrwa w murach obronnych, więc z góry przygotowuje się z całym pesymizmem do chwili, gdy stanie twarzą w twarz z klęską. Oliverowi dotychczas nigdy nie powstało w myśli, że mógłby być zdradzony, nie był zatem przygotowany do tego i przez kilka pierwszych dni czuł się bezbronny, pognębiony.

Zastanawiał się nad tym, jak inni mężczyźni postępowali w podobnych okolicznościach. Ostatecznie, była to dosyć pospolita sytuacja. Jakże to mówi

Leontes?

...Byli już przede mną, Albo się mylę, byli już rogacze.

I dziś, i teraz właśnie, kiedy mówię, Mąż jest niejeden, co żony dłoń trzyma, Nie myśląc, biedny, że może przed chwilą

Staw jego spuścił i ryby mu wybrał



Sąsiad...

Nie mógł sobie przypomnieć dalszego ciągu tyrady, ale pamiętał, że była bardzo a propos. Wstał, wziął z półki gruby tom ze sztukami Szekspira i otworzył go na *Zimowej powieści*. Przerzucał kartki, aż w końcu znalazł właściwy ustęp. Czytał uważnie:

Gdyby rozpaczał każdy mąż zwiedziony, Każdy dziesiąty człowiek już by wisiał. Nie ma lekarstwa: nierządny planeta Potężnym wpływem rozwiewa zarazę...

Oliwer zamknął książkę. Tym razem, mimo wszystko, Szekspir uprościł sprawę. Poeta nazwał ziemię poetycznie „nierządny planetą” i zadowolili się tym wyjaśnieniem. Ale po piętnastu latach małżeństwa słowa te nie mogły wyjaśnić

Oliwerowi postępku Lucy. Próbował sprecyzować, co właściwie myślał o swojej żonie. Powściągliwa, oddana, pełna umiaru, starała się przypodobać mu i zyskać jego uznanie. Na ogół posłuszna (uśmiechnął się gorzko do echa odległej formułki ślubowania), można jej było zarzucić tylko drobne grzechy, jak sentymentalizm, niezaradność i brak śmiałości.

Była mu potrzebna. „Dziesięć dni dumania - pomyślał z gryzącą ironią - i tylko tyle: potrzebna!”

„Zbyt lekko traktowałem to, że ją posiadam - rozmyślał tak, jak się myśli o przyjacielu, który umarł i którego wartość ocenia się właściwie dopiero wtedy, gdy jest już za późno. - Za mało się o nią troszczyłem.”

Zastanawiał się, jak by to było, gdyby pozostali w domu we dwóch, Tony i on.

Tony z oczami matki, z jej delikatnymi kośćmi policzkowymi, z tyłu matczynymi gestami, którym jego męskość przydaje nieco szorstkości, a chłopięca niezręczność - surowości i może nawet komizmu. „Wszystko mi jedno, co będzie z innymi sprawami - pomyślał Oliwer - tego nigdy nie zniosę.”

Próbował sobie wyobrazić, jak oni się czują tam, nad jeziorem, od owego dżdżystego wieczoru przed dziesięciu dniami. Tony i Lucy dzień i noc razem, co dzień muszą patrzeć na siebie. Zdawało mu się, że powinien był wtedy, ze względu na

Tony'ego, zabrać go ze sobą do domu. Gdyby nie miotał się jak ranny byk na arenie, może byłby tak właśnie zrobił. Ale wówczas byłoby mu jeszcze o wiele trudniej powziąć właściwą decyzję.

„No cóż - dodawał sobie otuchy - lepiej niech się pomęczy przez tydzień czy dwa tygodnie. Na dalszą metę nam wszystkim wyjdzie to tylko na dobre, jeżeli będę mógł spokojnie wszystko obmyślić.”

Wstał z fotela, aby pójść spać. Zgasił światło i poszedł na górę do sypialni, która była

ich wspólną sypialnią, jego i Lucy. Był to duży pokój z oknem w wykuszu, wyglądającym poprzez listowie rosłego dębu na spokojną ulicę w dole. Co rano

Oliver zaścielał łóżko od razu tak, żeby było gotowe na noc. W pokoju był teraz większy porządek niż kiedykolwiek za obecności Lucy i właśnie z tego powodu nagle wydał mu się on sztuczny i obcy.

Na toalecie Lucy pozostawiła swoje przybory oprawne w srebro i zaraz pierwszego ranka, robiąc porządki, Oliver poukładał wszystkie te rzeczy w geometryczny wzór na szklanej płycie - szczotki, grzebienie, pilniki do paznokci i rzeźbione ręczne lusterko.

Wyglądały teraz jak przedmioty wystawione na sprzedaż przez właściciela sklepu, który nie grzeszył nadmiarem wyobraźni. Oliver podszedł do toaletki i wziął do ręki lustro. Było ciężkie, srebrna rączka chłodziła mu dłoń. Przypominał sobie, jak setki razy przypatrywał się Lucy, kiedy się ubierała do wyjścia i trzymając wysoko lustro wykręcała głowę, by sprawdzić, czy włosy są z tyłu ułożone jak potrzeba.

Pamiętał nieznaczące, subtelne, nieokreślone ruchy jej ręki, gdy poprawiała nieposłuszne kosmyki. Pamiętał skomplikowane uczucie czułości, irytacji i rozbawienia, z jakim się jej przyglądał, zadowolony z jej urody, zły, że marnuje tyle czasu i że przez nią spóźnią się tam, dokąd się wybierali, że te wahające się, niezdecydowane ruchy nie dają przecież żadnego rezultatu.

Niebale odłożył lustro na szklaną płytę zmieniając surowy, geometryczny układ. Zgasił światło i długo siedział w ciemności na krawędzi łóżka.

„Powściągliwa, oddana, pełna umiaru - przypominał sobie własne określenia. - To ja tak o niej myślałem. Szekspir byłby na pewno innego zdania. A co ona sama o sobie myśli?” Przez tyle lat leżała obok niego knując coś w ukryciu, pełna niechęci, drwiła sobie z jego opinii o niej, pieściła w sercu inne możliwości, przesłaniała oczy powiekami i leżąc w tym samym łóżku, potajemnie odchodziła od niego -

niespokojna, nienasycona mieszkanka „nierządnej planety”.

„Gdybym był inny, niż jestem - snuła mu się po głowie znużona myśl, gdy tak siedział ubrany na brzegu łóżka, w ciemnym pokoju - nie tkwiłbym tutaj sam i nie męczyłbym się tak strasznie. Piłbym teraz albo znalazłbym sobie inną kobietę, albo jedno i drugie. Nasyciłbym się, doznałbym odprężenia, a wtedy, okrężną drogą i bez takich cierpień, doszedłbym do jakiejś decyzji.”

Przyszło mu na myśl, żeby wsiąść w samochód, pojechać do Nowego Jorku i pójść do hotelu. Nietrudno będzie znaleźć jakąś kobietę, a zresztą miał w Nowym

Jorku parę znajomych, które dawały mu wyraźnie do zrozumienia, że wystarczy, żeby

poprosił. Jednakże, zanim zdążył się zastanowić nad tym pomysłem, wiedział już, że nie odezwie się do żadnej znajomej. Wątpił nawet, czy byłby zdolny posiadać inną kobietę. Był namiętny, zdawał sobie sprawę, że odczuwa głód zmysłów o wiele silniej niż inni mężczyźni w jego wieku, ale jego pragnienie spłynęło bez reszty w jeden nurt. „Katastrofalna sytuacja dla takiego zaprzysiężonego monogamisty” - pomyślał.

Była mu potrzebna.

Co za przeklęte lato! Wstał, rozebrał się w ciemności i położył się do łóżka.

Nazajutrz rano nadszedł list od Lucy. W momencie kiedy się zjawił listonosz, Oliver właśnie wychodził z domu. Zatrzymał się przy drzwiach i stojąc w ciepłym blasku porannego słońca obracał w rękę kopertę. Widział, jak sąsiedzi wychodzą do pracy, jak się żegnają z dziećmi, jak spieszą, żeby złapać tramwaj albo autobus, idą szybko wśród drzew, przez zieleńce obrzeżone pasami kwietników, idą w pogodny letni ranek, mężczyźni już trochę posiwiali. „To pewnie od siedzenia w ciemnych fabrykach i biurach, które na nich co dzień czekają” - przewinęło się OHverowi przez myśl.

Nie od razu otworzył kopertę. Przyglądał się dobrze znajomemu charakterowi pisma.

Pochylone w tył, dziecinne litery, jakby ręka niezupełnie panowała nad piórem, i jak zawsze, trochę trudne do odczytania. Gdzież on to słyszał, że takie pismo pochylone do tyłu jest oznaką tłumienia prawdziwych uczuć, obłudy i braku pewności siebie?

Nie mógł sobie dokładnie przypomnieć. Może to chodziło o inny rodzaj pisma, a jemu pomieszało się w głowie? Musi któregoś dnia poszukać książki na ten temat i sprawdzić.

Rozdarł kopertę i zaczął czytać. List był krótki, nie zawierał żadnych usprawiedliwień. Lucy pisała tylko, że zamierza odejść, bo nie mogłaby żyć pod jednym dachem z Tony’em i z nim, Oliverem. A na końcu nie było ani „Całuję cię”,

ani „Kochaję”, nic, tylko po prostu: „Lucy”.

Ani słówkiem nie wspominała o Tony’em, nie pytała o niego samego ani o to, co postanowił, nie objawiała żadnego wahania, nie wysuwała żadnych propozycji. List ten nie przypominał w niczym jej dawniejszych listów i gdyby nie charakter pisma,

Oliverowi trudno byłoby uwierzyć, że to naprawdę Lucy go napisała.

Po południu zadzwonił do Sama Pattersona i zaprosił go na obiad wieczorem do restauracji. Z Samem było o tyle wygodnie, że bez żadnych ceremonii można było umówić się z nim nie prosząc jego żony. Sam mówił żonie po prostu, że nie będzie tego dnia w domu na obiedzie, i na tym koniec. „Może Sam zna tajemnicę - myślał

Oliver. - Może właśnie do niego najlepiej się zwrócić w małżeńskich tarapatach?”

Jedli obiad w hotelu, zamówili butelkę wina. Oliver spostrzegł, że wino mu smakuje i

że po dziesięciu dniach samodzielnego kucharzenia je z apetytem. W ciągu całego obiadu rozmawiali o tym i owym używając swojego rodzaju skrótów telegraficznych, którymi posługują się między sobą przyjaciele znający się od lat. Dopiero kiedy uprzątnięto talerze i kelner postawił przed nimi kawę, Oliver rzekł:

- Słuchaj, Sam, prosiłem cię, żebyś się ze mną spotkał, bo trzeba mi twojej rady. Mam kłopoty, muszę się na coś zdecydować i może ty będziesz mógł mi pomóc.

Popijając kawę i nie podnosząc oczu na Pattersona Oliver opowiedział mu całą historię. O tym, jak Tony do niego zatelefonował, o swoim przyjeździe do domku nad jeziorem, o tym, jak Lucy wszystkiemu zaprzeczała i oskarżała syna, o wyznaniu

Bunnera, o wszystkim.

Mówił powoli, spokojnie, nie unosząc się ani nie przyciemniając obrazu.

Systematycznie przedstawił Pattersonowi wszystkie fakty, niby sumienny świadek składający zeznanie o wypadku ulicznym, niby lekarz podający specjalście zaproszonemu na konsylium objawy rzadkiego i trudnego przypadku.

Patterson słuchał w milczeniu, z nic nie mówiącym wyrazem twarzy. „Nie znam drugiego człowieka - rozważał w duchu - który by potrafił opisać tak głęboki życiowy wstrząs w formie równie suchego, ścisłego i dobrze skonstruowanego sprawozdania.

W jego ustach opowieść o miłości, żądzy i zdradzie brzmi jak referat w Towarzystwie Historycznym na temat mało ważnego traktatu z osiemnastego wieku.”

Równocześnie, słuchając z takim spokojem, Patterson nie mógł się obronić przed ukłuciem małostkowej zazdrości. „Jeśli już w końcu chciała sobie znaleźć kogoś innego - pomyślał z zalem - to dlaczego nie mogła mnie wybrać?”

Uczucia jego, gdy słuchał Olivera, zaprawione były ponadto jakąś jałową satysfakcją.

Ten Oliver, który dotychczas nigdy nikogo nie prosił o pomoc ani o radę! Oli ver, najbardziej zamknięty w sobie i samowystarczalny człowiek, przychodzi oto w chwili zwątpienia i bólu, aby prosić o pomoc jego, Pattersona. Po raz pierwszy Patterson poczuł się w towarzystwie Olivera kimś ważnym, a to wyznanie zdawało się wyzwalać w nim nowe źródło sympatii i współczucia dla przyjaciela. „Koniec końców - rozmyślał - nie ma co gadać o przyjaźni, dopóki przyjaciel nie przyjdzie do ciebie w chwili rozpacz.”

Siedzieli w rogu sali restauracyjnej, przy stoliku odsuniętym dosyć daleko od innych.

Patterson przysłuchiwał się uważnie temu, co mówił przyjaciel, jego pełnej umiaru, wytwornej wymowie. „Muszę widzieć zupełnie jasno wszystkie fakty - myślał z takim niemal napięciem uwagi, jak gdyby miał iść za chwilę na salę operacyjną, gdzie najmniejsza niedokładność czy niezrozumienie może stanowić o życiu lub śmierci człowieka. - Tym

razem nie wolno mi powiedzieć ani zrobić nic takiego, co mogłoby się potem okazać błędem.”

- Nigdy mi przez myśl nie przeszło - mówił Oliver - że coś podobnego może się kiedyś zdarzyć i nam. To jest po prostu nie do wiary.

Patterson uśmiechnął się w duchu, ale na jego twarzy nie widać było nawet cienia uśmiechu. „Ach, bracie - myślał czerpiąc mądrość z własnych, odmiennych doświadczeń - te rzeczy nigdy nie są nie do wiary.”

- Iw jaki sposób to wszystko się stało - ciągnął Oliver. - W jaki cholernie pospolity sposób. Z dwudziestoletnim korepetytorem! To zakrawa na którąś z tych historyjek, jakie się słyszy w palarni.

„Muszę przestrzec Lucy - pomyślał Patterson z sarkastycznym humorem - żeby następnym razem postarała się być bardziej oryginalna. Niech sobie wyszuka jakiegoś garbusa albo gubernatora któregoś z południowych stanów, albo takiego

Murzyna, co bije w bęben. Pan małżonek ma obrzydzenie do rzeczy najprostszych i zrozumiałych.”

Kiedy kobieta już dojrzeje do tego, żeby sobie wziąć kogoś - powiedział głośno - wybiera z tego, co jest do wyboru. Precedensy w literaturze mają z tym bardzo niewiele wspólnego. W takich okolicznościach żadna nie myśli o tym, że może się stać bohaterką pieprzonego kawału.

Co to znaczy: Dojrzeje do tego, żeby sobie wziąć kogoś? - zapytał Oliver ochryłym głosem. - Czy przychodziło ci kiedy na myśl, że Lucy dojrzała do tego, żeby sobie wziąć kogoś?

Nie - odparł Patterson uczciwie. - Dotychczas jeszcze nie.

A teraz...

Teraz, kiedy to się już stało, uważam, że nie ma w tym nic dziwnego.

Co masz na myśli? - W głosie Olivera brzmiała wyraźna wrogość.

Widzisz - Patterson próbował mu łagodnie wyjaśnić - dla Amerykanki z mieszczańskiej warstwy społecznej cudzołóstwo jest formą ujawniania własnej osobowości.

Przez chwilę wydawało się, że Oliver jest bardzo zły. W końcu jednak roześmiał się.

Widzę, że nie mogłem trafić pod lepszy adres - powiedział. - Okej, filozofie. Mów dalej.

Dobra. Postaraj się przez minutę popatrzeć na to z jej stanowiska. Co dla niej zrobiłeś od dnia waszego ślubu?

Co dla niej zrobiłem? Ależ... do diabła i trochę! - wybuchnął Oliver. - Przez

piętnaście lat ani na sekundę nie przestawałem się o nią troszczyć. Może to brzmi gruboskórnie i na pewno jej nigdy bym tego nie powiedział, ale przecież żyła sobie tak, że trudno lepiej, nie potrzebowała się o nic kłopotać, chociaż czasem bywało mi bardzo ciasno z pieniędzmi, nigdy jej nawet o tym nie wspominałem. Cóż,

u Boga Ojca, przecież ona jest chyba jedyną kobietą w Stanach, która prawie nie zauważyła, że w ogóle był kryzys. Do dzisiejszego dnia nie potrafi porządnie prowadzić książeczki czekowej i nie pamięta, żeby zapłacić na czas za elektryczność.

Chcesz wiedzieć, co dla niej zrobiłem? Wziąłem na siebie pełną odpowiedzialność za nią. - Wypowiedział te słowa lak gniwnym tonem, jak gdyby Patterson był adwokatem Lucy i stawał w jej obronie. - Ma już trzydzieści pięć lat, ale nie ma najlżejszego pojęcia o tym, jak ciężko jest wyżyć człowiekowi w dwudziestym wieku.

Przez piętnaście lat żyła jak pensjonarka na wakacjach. Nie pytaj mnie lepiej, co dla niej zrobiłem. No, i dlaczego tak kiwasz głową?

Właśnie - rzekł Patterson. - Właśnie tak, jak mówiłem.

Co to ma znaczyć? Co takiego mówiłeś? - zapytał Oliver nieco podniesionym głosem.

Na mnie nie masz się o co złościć - odrzekł pogodnie Patterson. - Przecież ja nie spałem z żadnymi studentami.

Dosyć kiepskawy dowcip.

Słuchaj no - powiedział Patterson - to przecież ty chciałeś, żebym ci pomógł, tak czy nie?

No, tak. Tak, oczywiście.

Otóż nie widzę innego sposobu, żeby ci pomóc, jak tylko starać się zrozumieć, dlaczego ona to w końcu zrobiła.

Ja wiem dlaczego - przerwał mu popędliwie Oliver. - Ona jest... - Urwał i potrząsnął głową, a potem dokończył z westchnieniem: - Nie, wcale nie jest. Mów dalej. Będę już cicho siedział.

Podejmowałeś sam wszystkie decyzje - zaczął doktor. - Odciągnąłeś ją od jej pracy...

Jej praca! - mruknął Oliver lekceważąco. - Bełtała tam coś, nie wiadomo co, w śmierdzącym laboratorium dla starego idioty, Stubbsa. Słyszałeś może coś o takim?

Nie.

Bo nikt o nim nie słyszał. Gdyby z nim pracowała przez dwadzieścia lat, to może wysmażyliby razem jedną rozprawę dowodzącą niezbitcie, że algi są zielone.

Patterson roześmiał się dobrodusznie.

Ty się śmiejesz - rzekł Oliver - ale to prawda. Co, u diabła, przecież nie oderwałem Galileusza od teleskopu. Ludzkość żyłaby dalej zupełnie tak samo, niezależnie od tego, czy ona chodziłaby pięć razy w tygodniu do tego laboratorium, czy nie. Nie różniła się znowu tak bardzo od innych dziewcząt. Coś sobie tam dłubała i w oczekiwaniu na męża udawała kobietę z fachem. W każdym mieście pełno jest takich.

No, a druga sprawa - podjął Patterson - to, że ona bardzo nie chciała Wyjeżdżać z Nowego Jorku. Rozmawiałem z nią o tym.

Gdyby każda kobieta, która nie może mieszkać w Nowym Jorku, uważała, że musi z tego powodu zdradzać męża... - Oliver nie dokończył zdania. Pokręcił gniewnie głową i wypił resztkę wina z kieliszka. - A ja to co? - zapytał. - Myślisz, że ja miałem ochotę sprowadzić się tutaj? Myślisz, że miałem ochotę brać sobie na kark tę drukarnię? To był najpodlejszy dzień w moim życiu, kiedy tu przyjechałem po śmierci ojca. Rozejrzałem się w księgowości i zrozumiałem, że wszystko się zawali, jeżeli nie wezmę tego w swoje ręce. Przez dziesięć lat, ile razy wchodziłem w bramę naszych zakładów, czułem, że po prostu drętwieję z nudy i obrzydzenia. Ale przecież

nie mściłem się za to na żonie...

Cała różnica polega na tym - wtrącił łagodnie Patterson - że to ty powziąłeś decyzję. Ona musiała się dostosować.

Na miłość boską! Przecież to było dziesięć lat temu.

Przez dziesięć lat można nazbierać sporo żalów. Można się czuć przez dziesięć lat zupełnie bezużyteczną.

Bezużyteczną! - Oliver kręcił kuleczki z chleba i ciskał nimi z pasją w butelkę z winem. - Zajmowała się przecież dzieckiem, domem...

A ty, czy byłbyś zadowolony, gdybyś się zajmował przez całe życie tylko małym chłopcem i gospodarstwem domowym?

- Ja nie jestem kobietą.

Patterson uśmiechnął się złośliwie.

- Więc co, twoim zdaniem, mąż ma na to poradzić? - zapytał Oliver. - Założyć

Biuro Projektów Rozrywkowych dla Kobiet? Interesujące możliwości - recytował z ironią - dla kobiet, które nie wiedzą, co robić od trzeciej do piątej po południu. - Spojrzał podejrzliwie na Pattersona. - A skąd ty tak dużo wiesz? Może ci się zwierzała?

Nie. Nie potrzebowała się zwierzać.

No, a twoja żona? - zaatakował Oliver. - A jak jest z Catherine?

Patterson zawahał się.

Catherine to spokojna, zrezygnowana dusza - powiedział w końcu. - Wyrzekła się wszelkich nadziei, kiedy miała lat dziewiętnaście. A może się nie wyrzekła. Może wcale jej nie znam. Może pisze na strychu pornograficzne powieści albo ma szereg kochanków, długi jak stąd do cieśniny Long Island. Nie współżyjemy ze sobą dostatecznie blisko, abym mógł się czegoś domyślać. To zupełnie inny gatunek małżeństwa - dorzucił jak gdyby z żalem, usiłując ukryć przed przyjacielem zawiść, jaką czuł w stosunku do niego. - Widzisz, cokolwiek by któreś z nas zrobiło, ona czy ja, druga strona w żadnym razie nie potrafiłaby się rozgniewać z tego powodu. - Uśmiechnął się kwaśno i dorzucił: - Ani nawet lekko się zaniepokoić.

Dlaczego w takim razie tkwisz w tym tyle czasu? Dlaczego nie odszedłeś?

Patterson wzruszył ramionami.

- Zdawało mi się, że szkoda kłopotu - odparł niemal zgodnie z prawdą.

- Mój Boże - westchnął Oliver. - Małżeństwo!

Siedzieli przez dłuższą chwilę w milczeniu, zasępieni, pogrążeni w rozpamiętywaniu zawiłości życia, zmarnowanych okazji i sprzecznych dążeń. Patterson pozwolił swoim myślom oderwać się od Olivera i jego spraw.

Wspominał inne sprawy, z którymi zetknął się tego samego dnia w toku swojej powszedniej pracy, w lekarskim gabinecie. Pani Sayers miała trzydzieści trzy lata i pięcioro dzieci, cierpiała na uporczywą anemię i czuła się nieustannie zmęczona. Tak okropnie zmęczona, jak opowiadała, że co dzień, kiedy trzeba było się zrywać o wpół do siódmej, żeby zrobić śniadanie i zająć się dziećmi, miała wrażenie, że wspina się na krzyż swojej męki. Tak mówiła i nie kłamała na pewno. A Patterson nie widział

żadnego sposobu, żeby jej pomóc. Pan Lindsay był mechanikiem, ale miał ręce tak pokręcone przez artretyzm, że ledwie mógł w nich utrzymać narzędzia. Tak strasznie się wysiłał, by ukryć przed majstrem swoje kalectwo, że wchodząc do warsztatu już

oblewał się potem i jeszcze długo po powrocie do domu pot perlił mu się na twarzy. I nic nie można było na to poradzić. A ta kobieta w trzecim miesiącu ciąży, która przyszła do Pattersona i powiedziała, że mąż jest od sześciu miesięcy w Panamie.

Cała ta powszednia, pozbierana na chybił trafił nędza, wszystkie te udręki, które ludzie wylewają przypadkowo na biurko lekarza, co dzień, przez okrągły tydzień. O

jeden krok od tego - gazetowe tragedie: ci, którzy się bili w Hiszpanii i którzy jutro wieczorem będą już wśród umarłych lub okaleczonych, ci, których szcuto i mordowano w całej Europie...

„W stosunku do każdej obiektywnej skali - rozmyślał Patterson - cierpienie



Olivera musi się wydać znikome i bez znaczenia. Tylko że człowiek nie przyrównuje własnej męki do żadnej obiektywnej skali, a śmierć tysiąca ludzi na innym kontynencie, jeśli ją zważyć na prywatnej wadze, może ważyć mniej niż własny bolący ząb.

Nie, to nie jest w porządku - poprawił samego siebie. - Trzeba jeszcze uwzględnić sprawę wytrzymałości na ból. Próg cierpienia ma niezmiernie szerokie granice. Jeden człowiek może znieść amputację ze stoickim stęknieniem, podczas gdy inny może dostać szoku przytrzasnąwszy palec. Możliwe, że Oliver ma niski próg cierpienia, jeśli chodzi o ból zadany przez zdradę.”

Ujawnianie swojej osobowości - powtórzył Oliver w zamyśleniu, przypatrując się swoim dłoniom na białym obrusie.

Co takiego? - zapytał Patterson nie pamiętając, o co chodzi.

No, ta twoja teoria.

Aha, tak - uśmiechnął się doktor. - Oczywiście, nie zapominaj, że to tylko teoria, a ja nie sprawdzałem jej naukowo...

Mów dalej - rzekł Oliver.

No cóż. Taki człowiek jak ty, co się upiera, żeby zawsze za wszystkich decydować...

To wcale nie dlatego, że chcę - zaprotestował Oliver. - Byłbym w siódmym niebie, gdyby inni zechcieli wziąć na siebie odpowiedzialność. Ale ludzie lubią się tylko próżniaczyć.

Tak, oczywiście - zgodził się Patterson z uśmiechem. - Ale wydaje mi się, że po kilku latach takiego życia kobieta zaczyna czuć, że jej największym pragnieniem i po prostu musem jest powzięcie choćby raz jeden jakiejś ważnej decyzji na własną rękę. Odebrałaś jej wszystkie inne możliwości decyzji, powiedziałaś, że będzie tu i tu mieszkać, że ma tak i tak żyć i tak, a nie inaczej wychowywać waszego syna. Do licha, przypominam sobie, że mówiłaś jej nawet, co ma być na obiad.

Mam różne swoje gusty, jeżeli chodzi o jedzenie - bronił się Oliver. - Nie rozumiem, dlaczego miałbym nie jeść w swoim domu tego, co mi smakuje.

Patterson roześmiał się, a po sekundzie Oliver mu zawtórował.

Wyobrażam sobie, że muszę mieć dobrą reputację w mieście - zauważył.

To prawda. Masz opinię człowieka, który wie, czego chce.

Jeżeli miała mi aż tyle do zarzucenia - podjął Oliver - to dlaczego nigdy nie odezwała się na ten temat? W naszym domu nikt przecież nie jest skazany na milczenie.

Może bała się o tym mówić. A może nie wiedziała dotychczas, że ma ci coś do zarzucenia.

Aż dopóki nie zjawił się dwudziestoletni chłopak - uzupełnił posępnie

Oliver - który nie potrzebuje się golić częściej niż dwa razy w tygodniu i nie ma nic lepszego do roboty, jak tylko wałęsać się nad jeziorem przez całe lato i zabawiać się z mężatkami.

Może i tak - odparł powściągliwie Patterson.

śeby to przynajmniej była wielka namiętność! śeby była w nim zakochana, żeby była gotowa ponieść dla niego jakąś ofiarę! Ale on sam mi mówił, że go wyśmiała, kiedy jej proponował małżeństwo. To wszystko jest takie obrzydliwie płytkie.

Na to nic nie mogę poradzić - oświadczył doktor. - Ale z czasem będziesz prawdopodobnie rad, że to było takie płytkie.

Oliver zabębnił niecierpliwie palcami po stole i rzekł:

A na dodatek musiała tak idiotycznie się urządzić. śeby chłopiec mógł ją podpatrzeć!

Oo, dzieci widują gorsze rzeczy. Widzą przecież, jak ich rodzice postępują tchórzliwie, bezlitośnie albo podstępnie.

Dobrze ci mówić - obruszył się Oliver. - Ty nie masz syna.

Wyślij go na parę lat do jakiejś szkoły - poradził Patterson pomijając milczeniem słowa Ólivera. - Zobaczysz, że zapomni. Dzieci wszystko zapominają.

Tak sądzisz?

Oczywiście - wywinął się gładko Patterson.

Ja także będę musiał sporo rzeczy zapomnieć - westchnął Oliver.

Dorośli także potrafią o wszystkim zapomnieć.

Wiesz dobrze, że to nieprawda.

Tak - uśmiechnął się doktor.

Więc po co opowiadasz mi takie bzdury?

Bo jestem twoim przyjacielem - odparł Patterson rzeczowo. - Wiem, że chcesz ją mieć z powrotem u siebie, więc staram się wyliczyć ci wszystkie powody, dla których powinieneś tak właśnie postąpić, choćby nawet te powody były całkiem do bani.

Pamiętaj - rzekł Oliver z pobłażliwą ironią - kiedy ty sam będziesz w kłopotcie, przychodź do mnie po radę.

Na pewno przyjdę.

No więc, jak myślisz, co powinienem zrobić? Ale tak konkretnie.

Pojedź tam jutro i zachowaj się wspaniałomyślnie - odparł Patterson bez wahania. - Przebacz jej. Przyjmij ją z powrotem na swoje łono. Powiedz, że jesteś pewien, że odtąd będzie wzorem dla wszystkich żon. Powiedz, że od jutra pozwolisz jej obmyślać menu

według własnego gustu...

Daj spokój z dowcipami - przerwał mu Oliver.

I już więcej nie wysyłaj jej samej na lato.

Nie chciała tam sama zostać - przypomniało się Oliverowi. - Prosiła, żebym ją zabrał z powrotem. Gdybym tylko na to pozwolił, wisałaby mi u szyi przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

A widzisz - mruknął Patterson.

Wszystko to jest cholernie skomplikowane. Co mam powiedzieć

Tony'emu?

Powiedz, że to był wypadek. że takie wypadki zdarzają się dorosłym, że on jest jeszcze za młody, żeby móc to zrozumieć. Powiedz, że wytłumaczysz mu wszystko, kiedy będzie miał dwadzieścia jeden lat. I żeby się dobrze sprawował w szkole, żeby już więcej nie zaglądał przez okna.

On nas znienawidzi - powiedział Oliver wpatrując się w filiżankę. - Będzie się coraz bardziej zaciął w nienawiści do nas obojga.

Na to nie można było nic odpowiedzieć, toteż Patterson nawet nie próbował.

Przez chwilę jeszcze siedzieli w milczeniu, po czym Oliver skinął na kelnera, aby przyszedł z rachunkiem.

- Nie, to już z mojego konta - powiedział, kiedy Patterson wyciągnął rękę po rachunek. - To honorarium za fachowe usługi.

Wracając z hotelu wysłał do Lucy telegram, w którym prosił, aby się spakowała i była gotowa, gdyż przyjedzie po nią nazajutrz po południu.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

„Przyjadę jutro koło godziny trzeciej - brzmiał telegram. - Proszę, spakuj się i bądź gotowa do natychmiastowego wyjazdu. Chcę wracać o ile możliwości za dnia.

Oliver.”

Lucy odczytała ten telegram chyba sześć razy. Miała ochotę zatelefonować do

Olivera, ale zdecydowała w końcu, że tego nie zrobi. „Niech przyjedzie - pomyślała. - Załatwimy to przynajmniej raz na zawsze.”

Od owego wieczoru, kiedy Oliver przyjechał z Hartford, Lucy poruszała się w domku nad jeziorem jak odrętwiała i zmuszała się do podtrzymywania zwykłego trybu wakacyjnego życia z Tony'm. Z początku wyczekiwała na coś, na jakąś wiadomość, jakieś zdarzenie, które

by ją popchnęło w tym albo innym kierunku i stało się punktem kulminacyjnym tego lata, katastrofą, brutalną porażką - wszystko jedno czym, byle stało się momentem przełomowym jej życia, zamykającym jedną jego część i wyznaczającym perspektywę drugiej.

Ale nic się nie działo. Oliver nie telefonował ani nie pisał. Jeff znikł. Dnie następowały jeden po drugim, słoneczne, długie, zwyczajne. Chodziła z Tony'm na posiłki do hotelu, przerabiała z nim ćwiczenia wzrokowe, pływali razem, czytała mu i czuła, że wszystko, co robi, jest nierzeczywiste, że robi to nie dlatego, żeby w tym był jakiś sens, tylko dlatego, że tak przywykła. Zupełnie jak stary, schorowany człowiek, wlokący się co dzień do swego biura, aby popracować nad rachunkami, które już

dawno zostały zamknięte, bo przyzwyczał się do tego w ciągu długich lat życia i nie może wymyślić nic innego dla zabicia czasu.

Śledziła uważnie Tony'ego i zdawało jej się, że pod osłoną powszednich form obcowania i poufałości chłopiec z każdym dniem staje się dla niej coraz bardziej nieprzenikniony. Gdyby nagle wskoczył na krzesło i oskarżył ją wobec gości zgromadzonych w hotelowej jadalni, gdyby obudziwszy się w nocy zobaczyła go nad sobą z nożem w ręku, gdyby uciekł od niej na zawsze do lasu, musiałaby przyznać się przed samą sobą: „Ależ tak, spodziewałam się właśnie czegoś takiego.”

Był uprzejmy, posłuszny, powściągliwy, lecz czuła, że z każdym dniem napięcie pomiędzy nimi wzrasta. Miała takie wrażenie, jakby co wieczór, kiedy gasiła światło w jego pokoju i mówiła: „Dobranoc, Tony”, ktoś gdzieś obracał powoli zębate koło, na którym rozpięte było jej życie, i naciągał je o jeden ząb mocniej.

Minęło dziesięć dni. Goście z hotelu już powyjeżdżali, noce stawały się chłodne, hotelowa orkiestra zapakowała swoje instrumenty i wróciła do miasta. Po

Tony'm nie można było poznać, czy jest mu dobrze, czy też czuje się nieszczęśliwy.

Szarmancka otwierał przed nią drzwi, kiedy wchodzili do sali jadalnej na obiad, a gdy zawołała do niego: „Zziębniesz za bardzo, chodź lepiej wyschnąć trochę na słońcu!”,

natychmiast wychodził z wody. Nie zadawał jej żadnych pytań i nie wysuwał żadnych propozycji.

Jeśli udało jej się niespodziewanie uchwycić jego spojrzenie, miała takie uczucie, jakby śledziły ją oczy dorosłego mężczyzny - zawzięte, nieubłagane, oskarżycielskie. Pod koniec owych dziesięciu dni z trudem mogła sobie przypomnieć, jaki Tony był na początku wakacji. Nie mogła wprost uwierzyć, że tak niedawno jeszcze uważała go za małego chłopca, przywiązanego do niej, dziecinnego i łatwego do prowadzenia. Teraz siedzieli razem na trawniku w tak sztywnej atmosferze, jak gdyby mieli pozować do zdjęcia pod tytułem:

„Matka i syn na wakacjach”; czuła się w jego obecności roztrzęsiona nerwowo, niezręczna i z każdym dniem miała silniejszy żal do niego. Byli jak dwoje obcych sobie rozbitków płynących na tratwie przez ocean, którzy liczą zawistnie każdy łyk słodkiej wody ze wspólnej blaszanki i śledzą podejrzliwie każdy ruch współtowarzysza niedoli. Wkrótce rezerwa Tony’ego wydała jej się otwartą niechęcią, a jego chłodna uprzejmość - chorobliwą i przedwczesną mściwością w stosunku do niej. „Ostatecznie - myślała - jakież on ma prawo zachowywać się tak, jakby był moim sędzią?” Nerozumnie godziła się w duchu na to, by go uważać nie za dziecko, lecz za dojrzałego, nieprzejednanego przeciwnika, i zmagła się z nim w milczeniu: „Czy to jemu zrobiłam coś złego?”

Wśród takich myśli i uczuć pogłębiała się coraz bardziej pretensja do Olivera.

Gorzka pretensja o to, że pozostawiał ją przez dziesięć dni sam na sam z Tony’em, wskutek czego - tak to przynajmniej odczuwała - każdy z nich wygrywał osobę drugiego, aby ją ukarać.

W końcu Lucy napisała do Olivera, że chce od niego odejść. Pisała bez podniecenia, bez żadnych tłumaczeń i nie odsłaniała swoich planów na przyszłość.

W rzeczywistości nie miała żadnych planów na przyszłość. Co rano budziła się ze świadomością, że przez następnych czternaście godzin będzie musiała znosić badawcze spojrzenie syna, i to zadanie wyczerpywało całą jej energię, zabierało jej wszystkie siły.

Pisząc do Olivera zmusiła się do powzięcia pewnych decyzji co do swojej osoby, ale nawet w chwili podejmowania tych decyzji czuła, że są one prowizoryczne, że wystarczyłby jeden uśmiech Tony’ego czy jedno słówko Olivera, aby je całkowicie obalić. „Muszę od Ciebie odejść - napisała w tym liście. - Nie mogę mieszkać z

Tony’em pod jednym dachem.” Takie było istotnie jej postanowienie, ale czas mijał i przestawała już niemal wierzyć w to, co napisała, tak jak skazaniec po wielu miesiącach oczekiwania w więziennej celi wierzy w końcu mocniej w wiecznotrwałość zakratowanych okien, twarzy dozorców, regularnych i jednostajnych posiłków oraz godzin spaceru niż w słowa wyroku, które o jakiejś odległej, na razie niewyobrażalnej godzinie nagle go uśmiercą.

Nadszedł telegram i zmaćił przykry wprawdzie, ale już znajomy i ustalony tryb życia, uderzył w poczucie bezwolnego płynięcia z prądem, zawieszenia w czasie, możliwości odwlekania do bliżej nieokreślonego terminu decyzji, które odmienia jej życie.

Powiedziała Tony’emu, aby się przygotował do wyjazdu, i pomogła mu się spakować. Jego rzeczy czekały już ułożone porządnie na ganku. Teleskop, kij baseballowy i wędka, owe szczątki i symbole zarazem chłopięcego wieku i lata, ustawione były w rogu, oparte o ścianę.

Swoich rzeczy nie spakowała. Wiedziała, że

Tony to zauważył, ale nic nie powiedział na ten temat i był, jak zawsze, milczący.

Dochodziła już trzecia, Lucy siedziała beczynnie na ganku i czekała spoglądając co parę chwil na rzeczy Tony'ego. Dzień był piękny, słoneczny, pachniało jesienią, a jezioro mieniło się chłodniejszym niż zwykle błękitem w oczekiwaniu zimy.

Tony wyszedł na ganek. Miał na sobie to samo ubranie, w którym przyjechał z

Hartford, ale po dwóch miesiącach wydawało się już za małe dla niego. Wyniósł małą walizkę i ustawił ją obok innych rzeczy.

To już wszystko? - spytała Lucy.

Tak.

A czy rozejrzałeś się dobrze? Wszystko zabrałeś ze swojego pokoju?

Tak.

Na pewno nic nie zostało?

Na pewno - odparł Tony.

Lucy patrzyła na niego przez chwilę, po czym przeniosła spojrzenie na gładkie jezioro i dalekie, zamglone góry.

- W oczach nadchodzi jesień - powiedziała wzdrygając się od lekkiego dreszczu. - Nigdy nie lubiłam tej pory roku. To dziwne - mówiła dalej usiłując nawiązać choćby najwątlejszą nić porozumienia z synem - to dziwne, że już nie słychać trąbki, prawda?

Tony nie odpowiedział. Spojrzał na zegarek.

O której tatuś przyjedzie?

Powinien tu być lada minuta - odparła, jeszcze raz pokonana. - Telegrafował, że przyjedzie koło trzeciej.

Pójdę zaczekać na niego przy bramie - rzekł Tony ruszając ku schodom.

Tony - zatrzymała go nagle. Przystanął.

Co takiego? - zapytał chłodno.

- Chodź no tu do mnie - wabiła go prawie kokieteryjnie. - No, proszę, chodź.

Zawrócił niechętnie i stanął przed nią.

Czego chciałaś?

Chciałam ci się przypatrzeć, jak wyglądasz w miejskim ubraniu. Wydajesz się taki dorosły. Rękawy są już za krótkie. - Dotknęła jego ramienia. - A tutaj okropnie ciasno, prawda? Musiałeś podskoczyć o parę cali w ciągu, tego lata. Jak tylko wrócisz do domu, będziesz musiał dostać nową wyprawkę do szkoły.

- Pójdę teraz do bramy - powtórzył Tony.

Zdobyła się na ostatni wysiłek.

- Tony - rzekła z drżącym uśmiechem czując, że to ostatnia szansa, że są oto sami, nie ma naokoło żywego ducha, tylko jezioro i wzgórza cicho zanurzające się w jesień. - Tony, pocałujesz mnie?

Stał przed nią obojętny, nawet nie wrogi, i przez chwilę wpatrywał się uważnie w jej twarz. Potem odwrócił się i nie okazując wzruszenia ani niechęci ruszył znowu w kierunku schodów. Lucy poczerwieniała.

- Tony! - krzyknęła ostro.

Zatrzymał się jeszcze raz, spojrzął na nią i zapytał cierpliwie:

Czego chciałaś? Zawahała się.

Nie, już nic.

Na ścieżce rozległ się odgłos kroków i zza rogu domu pokazał się Jeff. On również był ubrany tak jak do miasta, miał brązowy wełniany garnitur i starannie związany krawat. Pod pachą niósł adapter. Lucy z trudnością powstrzymała wybuch histerycznego śmiechu. „Ten chłopak - pomyślała z humorem - zawsze wkracza na scenę i schodzi ze sceny z adapterem pod pachą!” Jeff zbliżał się niepewnie. Wydawał się o wiele bledszy niż dwa tygodnie temu, jak gdyby przez cały ten czas nie wychodził na dwór. Zatrzymał się nie wchodząc na ganek.

- Halo, Tony - powiedział. - Lucy...

Tony nie odezwał się w odpowiedzi na powitanie. Lucy czuła się zaskoczona.

Już od dawna nakazem woli wykluczyła Jeffa z kręgu swoich myśli. A teraz, patrząc na niego, doznawała dwoistego uczucia, w którym pamięć minionej rozkoszy splatała się ze świeżym niezadowoleniem. Ukryła to niezadowolenie pod płaszczkiem sztucznej swobody.

Halo, Jeff - odpowiedziała beztrąsko. - Nie wiedziałam, że pan tu dotychczas siedzi.

Przyjechałem po raz drugi - wyjaśnił skrępowany - żeby pomóc siostrze przy pakowaniu. Powiedziano mi, że pani tu jeszcze jest, więc pomyślałem sobie... - Zatrzymał wzrok na walizkach ustawionych na ganku. - Już dzisiaj wyjeżdżacie?

Czego pan tutaj chce? - zapytał Tony nie odpowiadając na pytanie Jeffa.

Przyszedłem się pożegnać.

Staranny ubiór miejski i wyraźne skrępowanie w sposobie bycia sprawiały, że

Jeff wydał się Lucy jakiś mniejszy i cofnął się w jej oczach do okresu młodości nieporadności. „Gdyby chodził w tym ubraniu przez całe lato - pomyślała przypominając sobie jego białe koszule z kwadratowym wycięciem u szyi i białe stopy

- nie dotknęłabym go na pewno.” Postawił adapter na skraju ganku i uśmiechnął się

zachęcająco do Tony'ego.

Pomyślałem sobie, że może chciałbyś to mieć. Tak niby w prezencie.

Wcale nie najgorszy adapter. Wiem, że lubisz muzykę, więc myślałem... - Urwał speszony nieruchomym spojrzeniem Tony'ego.

Strasznie miło z pana strony - wmieszała się Lucy, poruszona zakłopotaniem Jeffa - ale, naprawdę, to za duża ofiara.

Cóż pan sam będzie robił w New Hampshire w chłodne zimowe wieczory, kiedy wiatr wyje za oknami przysypanymi śniegiem? - Mówiła nienaturalnym tonem uprzejmej pani domu, spoglądając przy tym z przesadnym zachwytem na adapter. - To prześliczna maszynka, prawda, Tony?

Chłopiec nie poruszył się. Stał na szeroko rozstawionych nogach i zdawał się górować nad Lucy i Jeffem.

Daje mi pan na własność ten adapter? - zapytał Jeffa.

Tak.

Dlaczego?

Jak to: dlaczego? - Jeff uczuł się przyciśnięty do muru tym pytaniem. - No, nie wiem dlaczego. Dlatego, że było nam ze sobą niezłe przez tych parę tygodni.

Dlatego, że chciałbym, żebyś o mnie pamiętał.

Tony, podziękujże Jeffowi - napomniała go Lucy.

Więc ten adapter jest teraz mój? - pytał Tony nie patrząc nawet na matkę i zwracając się tylko do Jeffa. - Mogę z nim zrobić, co mi się podoba?

Jasne - odparł Jeff. - Możesz go zabrać z sobą do internatu i trzymać w swoim pokoju. Jak będzie jakaś zabawa, możecie przy tym tańczyć i...

Jeff nie dokończył zdania. Wpatrywał się z napięciem w Tony'ego, który podszedł do adaptera i zaczął mu się przyglądać, dotykając go z obojętnym wyrazem twarzy. Potem podszedł do kąta, w którym stał oparty o ścianę kij baseballowy. Wziął go, wrócił do instrumentu i wolną ręką z rozmachem strącił go na trawnik. A potem z całym rozmysłem zaczął walić kijem w adapter.

Tony! - krzyknęła Lucy i zerwała się, by go powstrzymać, ale Jeff chwycił ją w tej samej chwili za ramię.

Nie, zostaw go - powiedział schrypniętym głosem.

W milczeniu przyglądali się, jak Tony z zimną systematycznością rozbija w drzazgi adapter.

Po paru minutach dał temu spokój i stał dysząc głośno. Obrócił się do matki i



Jeffa z wyrazem okrutnego, dojrzałego triumfu. Niedbale odrzucił kij na trawę.

Macie! - rzucił im krótko.

Postąpiłeś brutalnie, obrzydliwie - stwierdziła Lucy. - Wstyd mi za ciebie. - Zwróciła się do Jeffa: - Przepraszam za Tony'ego.

Tylko ty za mnie nikogo nie przepaszaj - zaprotestował Tony. - Nigdy i za nic.

- Okej, Tony - odezwał się Jeff spokojnie. - Jeżeli tobie to ulżyło, to dla mnie może tak być. Okej.

Chłopiec oderwał wzrok od szczątków adaptera i spojrzał najpierw na matkę, a potem na Jeffa.

- Nie - powiedział - wcale mi nie ulżyło. Chcecie pewnie ze sobą porozmawiać, zanim ojciec przyjedzie. Obiecałem Bertowi, że się z nim pożegniam przed wyjazdem. Za pięć minut będę z powrotem - dodał tonem pogroźki i odszedł w kierunku przystani.

Lucy i Jeff patrzyli za nim, póki nie znikł im z oczu. Wtedy Jeff podszedł do rozbitego adaptera, z zalem trącił go końcem buta i powiedział:

- Moja ciotka zrobiłaby zdziwioną minę, gdyby się dowiedziała, jaki los spotkał jej prezent. - Wrócił na ganek i zbliżył się do Lucy. - Te ostatnie tygodnie były koszarne, prawda?

„Koszmarne - zanotowała sobie Lucy. - To pewnie w tym roku najmodniejsze słowo w Dartmouth.” Zawahała się przez sekundę. „Nie, nie dam się już w to wciągnąć - pomyślała. - Skończę z nim na dobre.”

Tak? - zdziwiła się lekko. I roześmiała się.

Z czego się śmiejesz? - zapytał podejrzliwie.

Z tego, co mi się przypomniało, kiedy Tony rąbał kijem twój nieszczęsny adapter.

Co ci się przypomniało?

Jak sumiennie się nad nim męczyłeś - odparła Lucy. - Jak go uczyłeś machać tym samym kijem. - Zaczęła naśladować Jeffa: - „Tony, lewa noga w przód.

Uważaj na piłkę. Nie wysuwaj zanadto stopy.” Dobrze skorzystał z twoich nauk.

To wcale nie jest takie zabawne.

Ale też wcale nie takie poważne. - Lucy mówiła z nonszalancją. - Powiedz ciotce, że ci skradziono ten adapter. Zobaczysz, na Gwiazdkę dostaniesz nowy.

Nie o to chodzi. Tony mnie nienawidzi.

Mnóstwo ludzi będzie cię jeszcze nienawidzić. I co z tego?

A ty? - zapytał Jeff.

Czy ciebie nienawidzę? - Zdobyła się znowu na uśmiech. - Oczywiście, że nie.

Zobaczymy się jeszcze?

Oczywiście, że nie - powtórzyła.

Przepraszam - powiedział wpychając ręce w kieszenie. Wydawał się drobniejszy niż kiedykolwiek przedtem. - Widzę, że nie powinienem był dzisiaj przychodzić.

Nie, dlaczego? Cieszę się, że przyszedłeś. To ładnie i wspaniałomyślnie z twojej strony. A nawet dosyć odważnie. - Teraz przybrała ton macierzyński i

żartobliwy. - Nie spuszczaaj nosa na kwintę. Przeżyłeś miłą, pouczającą przygodę. Coś jakby kurs wakacyjny dla studentów trzeciego roku, w skróconym terminie, obowiązujący dla kandydatów na stopień magistra: wybór instruktora.

Jak możesz traktować tę sprawę tak lekko? - Na twarzy Jeffa malowało się głębokie zdumienie.

Instruktora?... - powtórzyła Lucy z powątpiewaniem. - Nie, to trzeba koniecznie w rodzaju żeńskim. Instruktorci. Tak, instruktorci, to nawet lepiej brzmi.

Narobiłem ci masę kłopotu, prawda?

Zrobiła minę, która miała wyrażać, że jej zdaniem, Jeff przeceniał wagę swojej osoby.

Zawsze trzeba coś tam zapłacić za chwilę zabawy - odpowiedziała.

Zabawy? - oburzył się.

Nie rób takiej zgorszonej miny. To przecież była dobra zabawa. Byłoby mi okropnie przykro, gdybyś powiedział, że nie miałeś z tego żadnej radości. Śe robiłeś to tylko z obowiązku.

To było cudowne - oświadczył Jeff uroczyście. - Wstrząsające... To było jak trzęsienie ziemi.

No, no, no! - Lucy zamachała rękami trzepotliwie, po dziewczęcemu. - Już za późno, żeby się drapać z powrotem pod obłoki.

Na twarzy Jeffa widać było wyraźnie cierpienie.

Jesteś dzisiaj zupełnie inna - powiedział. - Dlaczego?

Bo to już koniec lata.

Podeszła do walizek Tony'ego i zaczęła im się przyglądać ze zmarszczonym czołem udając, że sprawdza w pamięci, czy są wszystkie.

Wracasz? - zapytał Jeff. - Wracasz do niego? Udała, że nie rozumie.

Do kogo?

Do męża.

Myślę, że tak - odparła bardzo rzeczowym tonem, odwracając się znowu ku niemu. Nie miało sensu mówić mu o liście, który wysłała do Olivera. - Przecież żony zwykle wracają

do mężów. To jeden z głównych powodów, dla którego dziewczęta wychodzą za mąż. Chcą mieć kogoś, do kogo można wracać.

Lucy! - zawołał błagalnie. - Co się z tobą stało?

Zbliżyła się do krawędzi schodów i spojrzała daleko, na jezioro.

Zdaje się - rzekła powoli - że jestem nareszcie duża. Zupełnie dorosła.

Nabijasz się ze mnie - mówił Jeff z goryczą. - Nie mam ci tego za złe.

Zachowałem się jak wiejski gamoń. Ledwie mnie zapytał, od razu wszystko wyśpiewałem. I wyniosłem się jak niepyszny z tym zakichanym adapterem pod pachą, zupełnie jak smarkacz wywalony ze szkoły za to, że się dał przyłapać z papierosem.

Na twoim miejscu nie martwiłabym się takimi drobiazgami. Właściwie jestem zadowolona, że się o wszystkim dowiedział.

Zadowolona? - zapytał niedowierzająco.

Oczywiście. Jako kłamczuch jestem po prostu do niczego. To za duży wysiłek dla mojej niemądrej głowy. - Nagle ton jej się zmienił, powiedziała poważnie, niemal groźnie: - Doszłam do wniosku, że to nie dla mnie. Już nigdy, nigdy!

Lucy! - Jeff starał się uratować cośkolwiek z tego lata. - Jeżeli się kiedyś spotkamy, jak będziesz o mnie myśleć?

Odwróciła się i zaczęła mu się przyglądać w zamyśleniu. A gdy nareszcie przemówiła, głos jej brzmiał bardziej żartobliwie niż przedtem.

- Pomyślę sobie: „Cóż to za wzruszający chłopiec! Czy to nie dziwne, że kiedyś, przez krótki czas, zdawało mi się, że jestem w nim trochę zakochana?”

Stali naprzeciw siebie - Lucy nieugięta, nielitościwie płocha, Jeff nieszczęśliwy i bardzo młodzieńczy. Właśnie w tej chwili Oliver, którego przyjazdu nie słyszeli, wyszedł zza rogu ganku. Był ubrany jak do podróży, twarz miał znużoną i zmiętą po długiej jeździe, a ruchy powolne, jakby niewiele w nim pozostało energii.

Spostrzegłszy Lucy i Jeffa zatrzymał się.

- Halo! - powiedział.

Oboje odwrócili się w jego stronę.

Dzień dobry, Oliverze - powitała go Lucy bez serdeczności. - Nie słyszałam samochodu.

Ja tylko przyszedłem się pożegnać - wyjaśnił Jeff z zakłopotaniem.

Tak? - rzekł Oliver wyczekująco.

- Chciałem powiedzieć, że bardzo mi przykro...

Oliver skinął głową.

- Uhm, rzeczywiście? - mruknął niewyraźnie. Przeszedł przez ganek i spojrzał na zdruzgotany adapter leżący na trawniku. - Co tu się stało? - zapytał.

Tony... - zaczął Jeff.

To wypadek - przerwała mu Lucy. Oliver nie okazywał zainteresowania.

Wypadek? - powtórzył obojętnie. - To pan już skończył tutaj? - zwrócił się do Jeffa.

Tak, wszystko skończone - rzekła Lucy. - Właśnie miał odchodzić. - Wyciągnęła rękę do Jeffa. - Do widzenia. - Zmusiła go do uściśnięcia jej dłoni. - A

teraz odejść i uszy do góry! Trzeba porządnie przysiąść fałdów i uczyć się, żeby w tym roku były dobre stopnie.

Jeff chciał coś powiedzieć, ale nie mógł. Wyrwał rękę z jej dłoni, okręcił się na pięcie i dał nura z ganku, znikając za rogiem domu. Lucy patrzyła za nim i chciało jej się płakać. Nie dlatego, że Jeff odchodził i że nie miała go już więcej zobaczyć, nie dlatego, że przez jakiś czas był jej bliski, a teraz to się zepsuło. Chciało jej się płakać dlatego, że był tak bardzo nieporadny, że wiedziała, jak cierpi z tego powodu, i że to ona była temu winna.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Kiedy Jeff odszedł, Oliver zwrócił się do Lucy:

Gdzie jest Tony?

Za chwilę będzie z powrotem.

Aha. - Przyjrzał się walizkom ustawionym na ganku. - A gdzie są twoje rzeczy? - zapytał. - W pokoju?

Nie pakowałam się.

Prosiłem cię przecież w telegramie, żebyś była gotowa na trzecią. - W głosie Olivera drżała nutka dawnej, domowej irytacji z powodu jej niezaradności. - Nie chcę jechać przez całą drogę po ciemku.

Nie mogę wrócić do domu - powiedziała. - Nie dostałeś mojego listu?

Dostałem - rzekł niecierpliwie. - Pisałaś, że musimy sobie wiele rzeczy nawzajem wyjaśnić. Równie dobrze możemy to zrobić w domu. Nie chcę się tutaj zatrzymywać dłużej, niż koniecznie potrzeba. Idź się spakować, Lucy.

- To nie jest takie proste - powiedziała.

Oliver westchnął.

Słuchaj, Lucy. Przemyślałem to wszystko. I postanowiłem zapomnieć o tym, co się stało.

Ach tak, ty postanowiłeś - rzekła dziwnie twardo.

Zadowolę się twoim przyrzeczeniem, że to się już więcej nie zdarzy.

Ach tak, zadowolisz się. - Głos Lucy stwardniał jeszcze bardziej, stał się metaliczny i prawie bezdźwięczny. - I będziesz mi wierzył, jeżeli przyrzeknę?

Tak.

Przed dwoma tygodniami nie chciałeś wierzyć żadnemu mojemu słowu.

Bo wtedy kłamałaś - powiedział Oliver.

- Skąd wiesz, czy nie będę znów kłamać?

Oliver usiadł na krześle. Zmęczenie wyłobilo bruzdy i zmarszczki na jego twarzy. Opuścił głowę na piersi i powiedział:

Nie dręcz mnie, Lucy.

Odpowiedz na moje pytanie - domagała się ostro. - Skąd wiesz, czy nie będę znów kłamać?

Bo muszę ci wierzyć - odparł prawie niedosłyszalnie. - Siedziałem w domu i myślałem, jak by to było, gdybym spróbował żyć na zawsze bez ciebie. I nie mogłem się na to zdobyć - powiedział po prostu. - Nie mógłbym tego wytrzymać.

Mimo że kłamię, a ty nienawidzisz kłamstwa? - pytała stojąc nad nim. - Mimo że się mną brzydzisz?

Staram się zapomnieć, że mówiłem ci takie rzeczy.

Ale ja<sup>o</sup> nie mogę zapomnieć. Miałaś rację. Tak, to było naprawdę obrzydliwe. Ja sama brzydziłam się sobą.

Oliver podniósł głowę i spojrzał na nią wyczekująco.

Ale teraz będziesz już inna?

Inna? - zastanowiła się. - Tak, będę inna. Ale może nie taka, jak ty myślisz.

Lucy, czy ty mnie kochasz? - Po raz pierwszy zadawał jej to pytanie.

Popatrzyła na niego z namysłem.

Tak - odpowiedziała powoli. - Kocham cię. W ciągu tych dziesięciu dni ja także myślałam o tobie. O tym, że ci tyle zawdzięczam. że jesteś mi taki potrzebny.

że tyle dla mnie zrobiłeś. że byłeś taki mocny, tak mi było przy tobie bezpiecznie.

Dobrze, że tak mówisz - ucieszył się.

Zaczekaj - powstrzymała go. - Nie tak prędko. Zrobiłeś jeszcze coś więcej.

Wychowałeś mnie. Nawróciłeś.

Nawróciłem cię? - zapytał zdumiony. - Co chcesz przez to powiedzieć?

Zawsze tak dużo mówiłeś o swoich zasadach - ciągnęła Lucy. - O prawdzie.

O tym, że trzeba wszystko jasno widzieć i nie oszukiwać samego siebie. Tego lata napisałeś nawet długi list do Tony'ego na ten temat, kiedy niepokoiłeś się o jego oczy.

Tak, napisałem. Ale jaki to ma związek?

Jestem teraz twoją uczennicą - powiedziała Lucy. - I bardzo zła ze mnie uczennica. Bo pierwszą osobą, której zawierzyłam, byłeś ty.

O czym ty mówisz? - zapytał Oliver.

Nie znosisz żadnych kłamstw, prawda? - Mówiła spokojnie, rzeczowo, jak gdyby wyjaśniała równanie matematyczne.

Tak, nie znoszę - odpowiedział tym razem ostrożnie, jakby się obawiał zasadzki.

Każde oszustwo, ktokolwiek by je popełnił, wzbudza w tobie uczucie obrzydzenia? - pytała dalej tonem nauczycielki.

Tak - odparł Oliver.

I sam w to wierzysz?

Tak.

I sam kłamiesz - powiedziała.

Oliver gniewnym gestem szarpnął w tył głowy.

Nie opowiadaj takich rzeczy.

Kłamiesz wobec mnie - mówiła Lucy - ale przede wszystkim wobec samego siebie.

Nie, ja nie kłamię - oświadczył z przekonaniem.

Mam ci tego dowieść? - zapytała przyjaznym i nieco bezosobowym tonem.

- Mam ci dowieść, że twoje życie opiera się w dużej mierze na kłamstwie?

Nie możesz tego dowieść, bo to nieprawda.

Czyżby? Zapomnijmy na chwilę o nas - zaproponowała. - Kto jest twoim najlepszym przyjacielem?

Do czego ty właściwie zmierzasz?

Sam, oczywiście poczciwy Sam Patterson. Znasz go od dwudziestu lat. Nie ma tygodnia, żeby on albo jego żona nie byli u nas. Grywasz z nim w golfa.

Pożyczałeś mu pieniądze. Ufasz mu. Nie byłabym zdziwiona, gdybyś mu nawet opowiedział o... o tym nieporozumieniu pomiędzy nami.

Tak się złożyło, że mu powiedziałem - przyznał się Oliver. - Musiałem z kimś o tym pomówić. Sam jest nie tylko moim przyjacielem. Twoim także. Radził, żeby do ciebie wrócić.

Lucy pokiwała głową.

Tak, mój przyjaciel - powiedziała. - I twój przyjaciel. A co ty wiesz o naszym wspólnym przyjacielu, doktorze Pattersonie?

śe jest inteligentny, lojalny. Jest poza tym pierwszorzędnym lekarzem.

Wyciągnął przecież Tony'ego.

Lucy znowu skinęła głową.

Tak, wszystko się zgadza. Ale chyba wiesz o nim jeszcze i inne rzeczy, prawda? Na przykład o jego stosunkach z kobietami?

No, w tych sprawach nigdy się nic nie wie na pewno - odparł.

Teraz znów kłamiesz - zauważyła łagodnie. - Rozumiesz, o co mi chodzi?

Wiesz przecie o jego stosunku z panią Wales. Wiesz o Evelyn Muller. Wiesz dobrze o jego romansie z Charlotte Stevens, bo to się u nas zaczęło dwa lata temu i od tego czasu wszyscy znajomi bez ustanku o tym mówili, nawet w naszym domu przy stole.

No, dobrze - przyznał Oliver przyciśnięty do muru. - Wiem o tym.

A teraz powiem ci jeszcze coś - podjęła Lucy tym samym, łagodnym tonem. - Ze mną także próbował. Bo to jest taki gatunek mężczyzny. Widzi kobietę drugi raz w życiu i już nie może wytrzymać, żeby z nią nie spróbować. O tym chyba musiałeś też wiedzieć.

W to nie uwierzę - oburzył się Oliver.

No tak, naturalnie. Setki razy bywałeś w jego domu, zapraszałeś go do nas.

Zapraszałeś i innych ludzi. śony i mężów. Tych przywiązanych do siebie i tych rozwiedzionych, znudzonych i wypatrujących czegoś nowego, rozwiązłych... O nich wszystkich dobrze wiedziałeś. I byłeś dla nich uprzejmy, przyjacielski, a gdy rozmowa schodziła na te sprawy albo kiedy w gazecie opisali skandal, śmiałeś się tak samo jak wszyscy nasi znajomi. Ale kiedy to się zdarzyło w twoim własnym domu, wcale nie miałeś ochoty się śmiać. Okazało się, że cała ta tolerancja, cała cywilizacja i poczucie humoru nie nadają się na domowy użytek.

- Przestań - powiedział Oliver.

Ale Lucy była nieubłagana.

Myślałam o tym wszystkim przez dziesięć dni - mówiła dalej - i doszłam do wniosku, że miałeś słuszność. W każdym razie słuszne było to, co mówiłeś, chociaż sam riie potrafiłeś tak żyć.

Będziemy żyć tak, jak zechcesz - oświadczył. - Zerwiemy stosunki, z kim zechcesz. Zaczniemy na nowo, z zupełnie nowymi ludźmi.

Wcale tego nie powiedziałam. Lubię naszych znajomych. Jeżeli przez tyle lat uważałam się za szczęśliwą, to w dużym stopniu im to zawdzięczam.

Zmartwiłabym się, gdybym miała więcej ich nie widywać.

Oliver podniósł się z krzesła, twarz mu poczerwieniała.

No, więc czego ty w końcu chcesz, u Boga Ojca?! - krzyknął zdenerwowany.

Chcę żyć tak - odpowiedziała spokojnie - żeby już nikt nigdy nie mógł mi powiedzieć, że kłamię. Tak, żebym nie mogła sama sobie tego powiedzieć.

Dobrze - powiedział schrypniętym głosem. - Jeżeli poważnie tak myślisz, to rad jestem z całej tej historii.

Zaczekaj, nie tak prędko. Jak zwykle, spieszno ci zadowolić się połową prawdy. Tą ładniejszą połową. Tą, którą możesz publicznie wyznawać. Tą pociągającą połową. Tą, która ci daje poczucie własnej szlachetności i zadowolenia z siebie. Ale druga połowa, ta prywatna, ukryta, nieprzyjemna, ta bolesna połowa -

przecież ona także istnieje, Oliverze. Odtąd będziesz je musiał przyjmować razem, obie połowy prawdy...

Jeżeli masz ochotę się przyznać jeszcze do kogoś innego - rzekł Oliver - do jakichś innych studentów, doktorów czy gości, którzy u nas bywają, albo może do jakiegoś mężczyzny poznanego przygodnie w pociągu, proszę cię, oszczędź mi tego.

Twoja przeszłość mnie nie interesuje. Nie chcę nic o tym wiedzieć.

A ja nie chcę ci wyznawać niczego z przeszłości - rzekła cicho. - Tam nie ma nic do wyznania.

Więc co może być innego?

Chcę ci wyznać, co będzie w przyszłości. Oliver patrzył na nią uważnie.

Był zły i speszony.

Grozisz mi? - zapytał.

Nie, nie grożę. Chcę się tylko upewnić, że jeśli kiedykolwiek wrócę do naszego wspólnego domu, wejdę na jego próg z czystym rachunkiem. Jeżeli ostatecznie wrócę, to musimy zacząć od nowa nasze małżeństwo. Chcę, żebyś to zrozumiał.

Nikt po piętnastu latach nie zaczyna małżeństwa od nowa - zauważył Oliver.

Dobrze, może i nie - zgodziła się łatwo. - W takim razie to będzie drugie, inne małżeństwo. Dotychczas odnosiłeś się do mnie tak, jakbym była ciągle tą samą dziewczyną, którą poznałeś ileś lat temu. Jakbym ciągle miała dwadzieścia lat, jakby wciąż trzeba było na mnie chuchać, osłaniać i kierować mną. A w końcu, przy pierwszej lepszej ważniejszej okazji, nie liczyć się ze mną. Dotychczas zawsze się na to zgadzałam, bo... Czyja wiem, dlaczego się na to zgadzałam? Bo byłam leniwa. Bo tak było najłatwiej. Bo się bałam ciebie rozgniewać. Ale teraz... Teraz rozgniewałeś się na mnie tak bardzo, że już nie potrzebuję się bać niczego więcej. Nasze małżeństwo jest rozbite. Może je skleimy z powrotem, a może nie.



Tak czy inaczej, wiem, że to przeżyję. Więc... teraz... ja się już na ciebie nie zgadzam.

Co to ma znaczyć? - zapytał.

To znaczy, że dopóki mi z tobą będzie dobrze, dopóty wszystko w porządku. Zgadzam się na ciebie. A z chwilą kiedy będzie inaczej, pójdę własną drogą.

Ależ to obrzydliwe! - oburzył się. - Zachowujesz się po prostu jak ścierka.

Lucy podniosła ostrzegawczo rękę.

Proszę cię, nie używaj tego rodzaju słów.

Wszystko jedno, jakich słów będę używał. Popełniłeś zbrodnię, przestępstwo... Na miłość boską, jakie może być na **to** delikatne słowo? I teraz ty, właśnie ty stawiasz warunki?

Tak - odpowiedziała Lucy. - Bo twoje warunki przestały być aktualne.

Przez dziesięć dni starałam się zrozumieć, dlaczego to zrobiłam, po tylu latach...

No i dlaczego?

Nie będzie ci się podobała moja odpowiedź - uprzedziła go.

Skończ z tym - powiedział z goryczą. - Wylej dzisiaj wszystką truciznę, żebyśmy mogli zacząć zapominać w drodze do domu.

Nie potrafimy o tym zapomnieć. Ani ty, ani ja. Pod wielu względami byłeś dobrym mężem. Byłeś hojny w stosunku do mnie. W zimie było mi ciepło, miałam dobre jedzenie, pamiętałeś o moich urodzinach, dałeś mi ładnego synka, którego bardzo kochałam...

I co jeszcze? - przerwał jej szorstko. - Co jeszcze chcesz mi powiedzieć?

Tak długo traktowałeś mnie niby dziecko - mówiła powoli - że kiedy nagle zbliżałeś się do mnie jak do kobiety, kiedy chciałeś mnie posiąść, reagowałam jak dziecko. Byłam znudzona, skrupowana, nieudolna, odczuwałam wstręt.

Kłamiesz - zaprzeczył Oliver.

Mówiłam ci, że już nikt nie będzie mi mógł powiedzieć tego słowa.

Przecież zawsze wydawałaś się...

Najczęściej to było udawanie - wyznała cicho. - Nie zawsze, ale najczęściej.

Przez tyle lat? - zapytał głucho, z niedowierzaniem.

Tak.

Ale dlaczego? Dlaczego to robiłaś? Dlaczegoś nic nie mówiła?

Bo zdawało mi się, że gdybym powiedziała, trudno by ci było to znieść - odparła Lucy.

A teraz?

A teraz chodzi mi chyba więcej o samą siebie niż o ciebie. To ty mnie tak odmieniłeś tamtego wieczoru, dziesięć dni temu.

Nie mam zamiaru dłużej tego słuchać! - krzyknął Oliver w nagłym porwywie złości. - Od pięciu tysięcy lat kobiety, kiedy chcą się wybielić ze swoich grzeszków, użalają się na to, że mają starych mężów albo zanadto zapracowanych, albo nie dość namiętnych, zęby je zaspokoić. Może zechcesz mnie zaszczytować czymś bardziej oryginalnym.

Nie myśl - rzekła Lucy - że chcę zwalić całą winę na ciebie. Możliwe, że gdybyś był inny, gdybyśmy byli oboje inni, nie zdarzyłaby się ta cała historia. Nic by się nie zdarzyło. Ale to było nie tylko to - wyjaśniła uczciwie. - Ja go pragnęłam.

Długo nie chciałam się przyznać przed samą sobą. Ale kiedy już doszło do tego, żałowałam, że byłam taka głupia i tak długo czekałam.

Co ty mi chcesz powiedzieć? - zapytał Oliver. - Masz zamiar dalej się z nim widywać?

O, nie - odparła lekceważąco. - On ma też swoje... niedoskonałości. Jest za młody. Jeszcze przez jakieś dziesięć lat będzie bez znaczenia. Spełnił pożyteczne zadanie, ale teraz... dzieci niech wracają do szkoły.

Pożyteczne zadanie! - powtórzył Oliver sarkastycznie.

A tak. Dzięki niemu poczułam, jaka to jest cudowna rzecz być znowu kobietą. On sam był dla mnie niczym, ale przez niego zrozumiałam w trzydziestym piątym roku życia, jaką przyjemność mogą mi dawać mężczyźni.

To jest filozofia pierwszej lepszej kurwy.

Naprawdę? - Lucy wzruszyła ramionami. - Ja tak nie uważam i nie wierzę, żebyś ty tak myślał. W każdym razie właśnie tak to odczuwam i sędzę, że powinieneś się w tym orientować.

Co mi chcesz przez to powiedzieć?

Chcę powiedzieć, że to się może powtórzyć.

Nie mówisz tego poważnie. To tylko takie gadanie. Mścisz się po prostu na mnie.

Mówię poważnie - oświadczyła Lucy.

Zobaczmy - powiedział z rozpaczą. - Zobaczmy.

Nic nie zobaczmy. Dlaczego jesteś taki zgorzony? Bywasz w barach, palarniach, gabinetach. Przecież tam się o niczym innym nie mówi. A gdybyś mógł podsłuchać jakąś rozmowę na damskim lunchu albo herbatce... Cała różnica polega na tym, że mnie dopiero po piętnastu latach mąż zmusił do powiedzenia prawdy o mnie -

i jemu, i samej sobie.

śadne małżeństwo nie mogłoby się w tych warunkach utrzymać -  
powiedział Oliver.

Możliwe - zgodziła się. - To byłoby rzeczywiście okropne.

Skończysz jako samotna, zapomniana przez wszystkich, stara kobieta.

Może. Ale teraz uważam, że warto za to tyle zapłacić.

Po prostu nie wierzę sobie samemu - powiedział Oliver. - Tak się zmieniłaś. Nie jesteś już tą samą kobietą, którą byłaś przed dwoma tygodniami.

Masz rację. Zmieniłam się. I to nie na lepsze. Mówię uczciwie.

Zdecydowanie na gorsze. Ale teraz to jestem ja, a nie twoje odbicie. Nie jakaś nieważna, onieśmielona, bezbarwna i z góry wiadoma jedna piąta twojego życia. To ja, bez żadnych obłonek. Pani samej siebie. Ja sama.

W porządku - przerwał jej szorstko - Idź się spakować i wyjeżdżamy. Pójdę odszukać Tony'ego. Powiem mu, żeby był gotów.

Lucy westchnęła i niespodziewanie roześmiała się.

Wiesz,- kochanie - powiedziała z uśmiechem - tak się przyzwyczaiłeś nie słuchać tego, co do ciebie mówię, że gdybym powiedziała, że pali się na tobie ubranie, to nie zwróciłbyś wcale uwagi, aż póki by się nie spaliło do szczytu.

Do czego znowu zmierzasz?

Pisałam ci, że nie wrócę do domu razem z Tony'm - powiedziała bardzo poważnie. - Chyba przeczytałeś ten list?

Oliver zrobił niecierpliwy ruch ręką.

Przeczytałem, przeczytałem. List był bez sensu. Musiałaś być bardzo zdenerwowana, kiedy pisałaś, i dlatego...

Oliver... - przerwała ostrzegającym tonem.

Tak czy inaczej, to przecież tylko na kilka dni. W końcu miesiąca wyjedzie do szkoły i wtedy będziesz mogła odzyskać równowagę. Nie zobaczysz go aż do Dnia

Dziękczynienia i...

Nie chcę go widzieć przez tych kilka dni - przerwała mu znowu. - Nie chcę go widzieć na Dziękczynienie. Nie chcę go widzieć na Boże Narodzenie. Nie chcę...

Lucy! - krzyknął brutalnie. - Skończ z tą diabelską litanią. I nie bądź idiotką.

Przymknęła znużone powieki, zrobiła lekki, odpychający ruch ręką.

Dlaczego nie wyjeżdżacie stąd obaj? - zapytała. - Dlaczego nie zostawicie mnie samej?

Przecież uzgodniliśmy tę sprawę.

Nic nie uzgodniliśmy. Powiedziałeś, że chcesz, żebym wróciła, a ja odpowiedziałam, że także chcę wrócić. Ale na określonych warunkach. Jednym z tych warunków jest to, że

odtąd nie będę miała nic wspólnego z Tony'm.

Jak długo? - zapytał zdławionym głosem.

Nigdy.

To jest melodramat - oświadczył Oliver. - W tym już nie ma żadnego sensu.

A teraz słuchaj mnie dobrze - rzekła Lucy stając na wprost Olivera i usiłując zapanować nad głosem. - Wszystko, co powiedziałam i co ci jeszcze powiem, każde słowo traktuję poważnie. On mnie nienawidzi. Jest moim wrogiem.

Trzynastoletni chłopiec...

On będzie świadczyć przeciwko mnie - mówiła dalej. - On tego nigdy nie zapomni i ja też nie zapomnę. Ile razy na mnie spogląda, patrzy przez tamto okno, w tamto deszczowe popołudnie. Patrzy i sądzi mnie, prześladowuje, wydaje na mnie wyrok...

Lucy, nie histeryzuj! - Ujął obie jej ręce i ścisnął w swoich. - On zapomni.

Nie zapomni. Zapytaj go. Sam go zapytaj. Przecież nie mogę żyć pod jednym dachem z moim sędzią. Przecież to niemożliwe, żebym dwadzieścia razy na dzień czuła się winowajczynią. - Głos jej drżał i załamywał się, była bliska płaczu.

Musisz spróbować, Lucy.

Już próbowałam - wyszeptowała cicho. - Robiłam, co tylko mogłam, żeby to zagoić. Nawet wtedy, kiedy do ciebie pisałam, że nie mogę wrócić z nim razem, ciągle jeszcze miałam nadzieję. Nie wierzyłam w to naprawdę, nawet pisząc ten list.

Ale dzisiaj on zrobił to... - Wyrwała ręce z uścisku Olivera i pokazała palcem zgruchotany adapter. - Kijem baseballowym. Myślisz, że chciał zniszczyć adapter?

Nie. Mnie chciał zniszczyć. Mnie mordował! - Krzyczała teraz jak w obłądnie: - Morderstwo!

Oliver chwycił ją za ramiona i mocno potrząsnął.

- Dostyc! Przestań. Opanuj się.

Szlochając, nie próbując się uwolnić z jego rąk, Lucy mówiła:

- On wszystko zatruje. Co z nas będzie po pięciu latach takiego życia? Na jakiego człowieka on sam wyrośnie w takich warunkach?

Oliver puścił ją, ręce mu opadły. Przez chwilę stali obok siebie bez ruchu. W

końcu Oliver potrząsnął przecząco głową.

- Nie, nie mogę tego zrobić - powiedział.

Lucy wciągnęła powietrze z głębokim westchnieniem. Pochyliła głowę, bezwiednym gestem skrzyżowała ręce na piersi i zaczęła gładzić palcami ramiona w tych miejscach, gdzie czuła jeszcze ucisk rąk Olivera. Kiedy się odezwała, głos jej brzmiał martwo.

W takim razie zostaw mnie samą. Zabierz go ze sobą, a mnie zostaw. Na zawsze.

Tego także nie mogę zrobić.

Tym samym martwym, bezdźwięcznym głosem, nie przestając gładzić leciutko swoich ramion, Lucy powiedziała:

- Będziesz musiał zrobić jedno albo drugie, Oliverze.

Odszedł w stronę schodów i stanął na skraju ganku, odwrócony do niej plecami. Wsparłszy się o słup ganku patrzył na ciche jezioro. „A ja byłem pewien, że wszystko zaplanowałem jak najlepiej” - pomyślał z goryczą. Czuł się pokonany, niezdolny do nowych planów ani do decyzji. „Trzeba było tamtego wieczoru - przeżuwał niewczesne żale - zapakować wszystkich w samochód i wracać razem do domu. Teraz każde z nas zdążyło się wgryźć zbyt głęboko.”

Usłyszał jakiś ruch za swoimi plecami i odwrócił się prędko. To Lucy otwierała drzwi, aby wejść do domu.

- Dokąd idziesz? - zapytał nieufnie.

- Tony nadchodzi - odparła wskazując ręką w stronę hotelu. Istotnie, Tony szedł szybko w kierunku domu. - Myślę, że będzie lepiej, jeżeli z nim porozmawiasz.

Weszła do wnętrza domu. Drzwi z żaluzją zamknęły się za nią z cichym kołataniem, Oliver patrzył na rozplywający się w mroku cień jej postaci.

Potrząsnął głową i zanim się obrócił ku nadchodzącemu synowi, przywołał uśmiech na twarz. Wyszedł na trawnik na jego spotkanie. Tony zbliżał się bez pośpiechu, z poważnym, czujnym wyrazem twarzy. Zatrzymał się w pewnej odległości od ojca. - Halo, tato - powiedział wyczekująco, nie ruszając się z miejsca.

Oliver podszedł do niego, otoczył go ramieniem i pocałował w policzek.

Halo, Tony - przywitał chłopca serdecznie. Wciąż obejmując go ramieniem wrócił z Tony'm na ganek.

Jestem już gotów - rzekł chłopiec wskazując na swoje walizki. - Czy mogę wynosić rzeczy do samochodu?

Oliver nie odpowiedział. Puścił syna i powoli podszedł do trzcinowego fotela.

Opadł na niego tak ciężko, jakby był starym człowiekiem, i milcząco patrzył na chłopca.

Podobno mieliśmy stąd wyjechać o trzeciej? - zapytał Tony.

Podejdź tu do mnie bliżej.

Ociągając się, jak gdyby w obawie kary. Tony przeszedł przez ganek i zatrzymał się przed fotelem, na którym siedział ojciec.

Gniewasz się na mnie, tato? - zapytał po cichu.

Nie, wcale. Za cóż miałbym się gniewać?

Za ten telefon, wtedy - odparł Tony wpatrując się w podłogę. - Za to, że powiedziałem ci o tym... o tym, co zobaczyłem.

Oliver westchnął.

Nie, to nie była twoja wina.

Przecież musiałem ci powiedzieć. Prawda, że musiałem? - usprawiedliwiał się chłopak.

Tak - przyznał Oliver po chwili milczenia.

Patrzył na syna i zastanawiał się, co też Tony zachowa w pamięci z tego dnia.

Patterson mówił, że dzieci o wszystkim zapominają. Mówił także, że dorośli potrafią wszystko zapomnieć. Ani jedno, ani drugie nie było prawdą. Tony będzie pamiętał wyraźnie, dokładnie i boleśnie, całe jego życie zostanie zbudowane na fundamencie tego wspomnienia. Byłoby prościej i mniej boleśnie prześliznąć się obok tej chwili, dać chłopcu jakie bądź wyjaśnienie faktu, że zabiera go do domu samego i wyprawia samego z domu do szkoły. Byłoby łatwiej zbyć go na razie byle czym, gdyby zapytał o

Lucy, a potem odpowiadać mu mgliście i wykrętnie, gdyby pisał ze szkoły, że chce przyjechać na ferie do domu. W końcu, po pewnym czasie, zrozumiałby sam, że został wykluczony z rodziny. Tak byłoby prościej i mniej boleśnie, ale kiedyś Tony, jako dorosły mężczyzna, pogardziłby nim za to i miałby słusność.

Oliver ujął chłopca za rękę, przyciągnął go do siebie, posadził na kolanach i przytulił jego głowę do swego ramienia, tak jak dawniej, kiedy Tony był jeszcze mały.

Łatwiej mu było mówić, gdy czuł ciężar wspartego na nim chłopięcego ciała i twarde ucisk chudych nóg, gdy syn nie patrzył na niego.

- Słuchaj uważnie, co ci powiem, Tony. Dałbym wiele, żeby to się nie stało. A jeżeli już musiało się stać, to dałbym wiele, żebyś ty o tym nie wiedział. Ale stało się. I dowiedziałeś się o tym. I musiałeś mi o tym powiedzieć.

Tony milczał. Uwięziony w ramionach ojca, siedział z napiętymi mięśniami całego ciała.

- Tony - mówił Oliver. - Chciałem cię zapytać o jedną rzecz: Czy ty nienawidzisz mamy?

Poczuł, że ciało chłopca jeszcze bardziej sztywnieje w jego objęciu.

Dlaczego? Co ona ci mówiła?

Odpowiedz na moje pytanie.

Nagłym ruchem chłopiec wyrwał się z ramion Olivera i stanął przed nim ściskając i rozwierając dłonie.

Tak - zawołał z wściekłością. - Tak, nienawidzę jej!

Tony... - stęknął boleśnie Oliver.

Nie będę z nią rozmawiał. - Mówił teraz prędko, wysokim, dziecinnym, piskliwym głosem. - Niech ona sobie mówi, co jej się podoba. Może czasem odpowiem „tak” albo „nie”, kiedy już będę musiał, ale nie myślę z nią rozmawiać.

A co byś na to powiedział, gdybyś jej nie miał już nigdy zobaczyć?

Dobrze.

Tony stał” pochylony w ramionach, z brodą wysuniętą zapalczywie do przodu, jak chłopiec, który rzuca koledze wyzwanie, by przekroczył linię narysowaną przed nim na ziemi.

Ona nie czuje do ciebie nienawiści - powiedział Oliver cicho. - Bardzo cię kocha.

Nic mnie nie obchodzi, co ona mówi.

Ale ona się ciebie boi...

Nie wierz jej. Nie wierz temu co mówi. - Głos Tony’ego nie brzmiał teraz dziecinnie.

A ponieważ się ciebie boi - brnął dalej Oliver, usiłując sumiennie, chociaż bez cienia nadziei, doprowadzić do końca, każdy swój argument - powiedziała, że nie chce, żebyś wracał razem z nami do domu. Nie chce mieszkać z tobą pod jednym dachem.

Przez sekundę Oliver miał wrażenie, że Tony się rozplacze. Skulił się, schował głowę w ramionach i zaczął nerwowo pocierać dłońmi o uda. Po chwili jednak uniósł głowę i spojrzał ojcu prosto w oczy.

Mnie to nie szkodzi - odpowiedział. - I tak wyjeżdżam do szkoły.

To nie tylko przed szkołą - tłumaczył Oliver z naciskiem. - Mama mówi, że nie chce cię nigdy widzieć. Nie chce, żebyś przyjeżdżał do domu. Ani na Gwiazdkę, ani na wakacje. Nigdy.

Aa... - Głos Tony’ego zabrzmiał tak cicho, że Oliver nie był pewien, czy chłopiec w ogóle się odezwał. - A co by było, gdybyś ty powiedział: „To jest mój dom i mogę przyjąć, kogo mi się podoba”?

Wtedy mama odeszłaby ode mnie - odparł Oliver otwarcie. - Jeszcze dzisiaj.

Aa - Tony zmierzył ojca uważnym spojrzeniem. - A ty nie chcesz, żeby ona odeszła?

Nie, nie chcę.

Dlaczego?

Oliver westchnął, a kiedy zaczął mówić, nie patrzył na syna, lecz ponad jego głowę, na chłodny błękit nieba tchnący przestrogą jesieni.

- Wiesz, Tony, trudno wytłumaczyć trzynastoletniemu chłopcu, co to... co to jest małżeństwo. Ście mężczyzna i kobieta z czasem stają się ze sobą... związani.

Przeliczyłem się co do siebie, Tony. Czy wiesz co to znaczy?

Tony zastanowił się. Potem skinął głową.

Wiem - powiedział. - Zdawało ci się, że jesteś taki, a okazało się, że naprawdę to jesteś inny.

Zdawało mi się, że jestem taki - powtórzył Oliver. - I okazało się, że to była pomyłka.

Więc dobrze - zapytał Tony zdławionym głosem - co chcesz, żebym zrobił?

Chcę, żebyś sam zdecydował. Jeżeli powiesz słowo, poproszę tutaj matkę i powiem jej, że zostaniesz przy mnie. Pożegnamy się z nią i sprawa będzie skończona.

Tony'emu zadrżały nerwowo usta.

A jak ty będziesz się wtedy czuł? - zapytał.

Ja... Ja będę się czuł tak, jakbym umierał.

A jeżeli powiem, że od was odejdę?

To pojedziemy do domu we dwóch, urządzę cię w szkole, a potem przyjadę tu z powrotem po matkę. - Mówiąc to Oliver patrzył ciągle ponad głową Tony'ego w chłodne, błękitne niebo. - Na święta będę do ciebie przyjeżdżał, a w lecie moglibyśmy się wybierać gdzieś razem. W Góry Skaliste albo do Kanady, może nawet do Europy.

Ale do domu nie będę mógł już nigdy przyjechać? - dopytywał się Tony, tak jak podróżny na stacji kolejowej pyta urzędnika w okienku o wszystkie możliwe połączenia, aby się upewnić, że wsiądzie do właściwego pociągu.

Nie - odpowiedział szeptem Oliver. - Przez dłuższy czas... nie.

Nigdy? - nalegał chłopiec.

Może za jakiś rok, dwa. Teraz mama jest rozstrojona nerwowo, ale z czasem, jestem przekonany...

Okej! - Tony odwrócił się plecami do ojca. - Co mi na tym zależy?

- Co chcesz przez to powiedzieć, Tony?

Oliver wstał, zbliżył się do syna, ale nie śmiał go dotknąć.

Zawołaj ją tutaj. Powiedz, że po nią wrócisz.

Na pewno, Tony?

Chłopak obrócił się szybko i spojrzał ojcu w twarz z wyrazem goryczy.

Przecież ty tak chcesz, prawda?

To zależy tylko od ciebie.

Przecież ty tak chcesz! - krzyknął Tony tracąc panowanie na sobą.



Tak - szepnął Oliver. - Ja tak chcę.

Okej - rzekł Tony zuchowato - Więc na co jeszcze czekamy? - Podbiegł do drzwi, otworzył je i zawołał głośno: - Mamo! Mamo! - Potem podszedł do ojca. - Ty będziesz z nią rozmawiał. - Pośpiesznie, zaczepiając niezręcznie rękami, zaczął chwytać swoje walizki. - Wyniosę rzeczy do samochodu.

Zaczekaj. - Oliver wyciągnął rękę, aby go zatrzymać. - Musisz się pożegnać. Nie możesz tak odjechać. Może w ostatniej chwili mama się rozmyśli...

Nie chcę, żeby się dla mnie ktoś rozmyślał! - krzyknął Tony. - Gdzie mój teleskop?

Drzwi się otworzyły i Lucy wyszła na ganek. Była błada, ale opanowana, jej spojrzenie pobiegło od Olivera do Tony'ego i z powrotem do męża.

Oliverze...

Zabieram teraz Tony'ego - przerwał jej siląc się na zwyczajny, rzeczowy ton. - Zatelefonuję do ciebie. Wrócę tutaj w przyszłym tygodniu.

Skinęła głową nie spuszczając wzroku z Tony'ego.

Najlepiej będzie wyjechać zaraz - mówił Oliver z nerwowym ożywieniem.

- Już i tak zrobiło się późno. Czy to są wszystkie twoje rzeczy? - zapytał syna wskazując na walizki.

Tak - odparł Tony. Unikając uparcie wzroku matki wziął kij baseballowy, teleskop i wędkę. - Ja to zaniosę - powiedział.

Oliver podniósł obie walizki i zwrócił się do niego:

- Zaczekam na ciebie w samochodzie.

Głos miał zduszony i głuchy. Chciał coś powiedzieć Lucy, ale żadne słowo nie wydobyło się z krtani. Odszedł prędko z dwiema walizkami.

Tony odprowadził go spojrzeniem, po czym, w dalszym ciągu nie patrząc na matkę, rozejrzał się dokoła, jakby chcąc się upewnić, czy czegoś nie zapomniał.

- Zdaje się, że już wszystko zabrałem - powiedział.

Lucy podeszła do niego. Miała łzy w oczach, ale nie płakała.

Nie chcesz się ze mną pożegnać? - spytała cicho. Tony starał się opanować drżenie warg.

Dlaczego? - odburknął szorstko. - Do widzenia. Lucy stała tuż przy nim, ale go nie dotknęła.

Tony, życzę ci, żebyś wyrósł na wspaniałego człowieka. Tony krzyknął jak dziecko, kiedy je coś bardzo zabolilo, upuścił rzeczy na podłogę i rzucił się w ramiona matki. Przez długą chwilę trwali w mocnym uścisku, ale wiedzieli oboje, że to tylko ich pożegnanie i że

nic im już nie pomoże. Lucy opanowała się pierwsza i odstąpiła od syna.

Czas już jechać. Twarz Tony'ego stężała.

Tak - odparł:

Schylił się, podniósł kij, teleskop i wędkę i zbiegł z ganku w stronę samochodu. Zatrzymał się na rogu domu, a Lucy zrozumiała, że już na całe życie zachowa go w pamięci właśnie takiego - w ubraniu, z którego wyrósł w ciągu jednego lata, ze stężoną twarzą, trzymającego w obu rękach symbole swego dzieciństwa, na tle błękitnego, lekko zmarszczonego jeziora.

- Jak się kiedyś spotkamy - zapytał z daleka - no wiesz, tak przypadkiem, w pociągu albo na ulicy, to... to co sobie wtedy powiemy?

Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

Myślę... myślę, że powiemy sobie: „Halo!” Tony skinął głową.

Tak, halo - powtórzył z namysłem.

Jeszcze raz skinął głową, jakby go zadowolila ta odpowiedź, i znikł za ścianą domu.

Lucy stała bez ruchu. Po chwili usłyszała warkot motoru i samochód odjechał.

Nie poruszyła się. Stała wpatrzona w jezioro, a u jej stóp leżały na trawniku szczątki adaptera.

Takie było to lato.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- No cóż, panie Crown - mówił dyrektor - jak zwykle, kiedy chodzi o chłopców w tym wieku, znajdzie się to i owo do powiedzenia, wszystkiego po trochu.

Dyrektor podniósł w górę butelkę sherry spoglądając pytająco na Olivera, ten jednak potrzęsnał przecząco głową. W jego szkole dyrektor na pewno przed lunchem nie częstował sherry ojców swoich uczniów. Oliver widział w tym oznakę pewnego rozluźnienia zasad wychowawczych w porównaniu do jego własnych chłopięcych czasów, poza tym jednak rozumiał, że gdyby przyjął drugą szklaneczkę sherry, dyrektor zapisałby to sobie w pamięci jako drobny minus na koncie rodziny

Crownów.

Dyrektor uroczyście odstawił butelkę. Nazywał się Hollis, był zadziwiająco młody i poruszał się w miłym pokoju, urządzonego jak biblioteka, z taką ostrożnością, jak gdyby pragnął uspokoić rodziców chłopców powierzonych jego opiece, że ich młodym, rozkwitającym duszom nie grozi żadna krzywda z powodu jakiegoś nagłego, nie obliczonego

odruchu z jego strony.

Chcę przez to powiedzieć - ciągnął Hollis z młodzieńczym uśmiechem, wprawnie usuwając żądło poprzednich słów - że syn pański ma swoje problemy, tak jak my obaj w jego wieku mieliśmy na pewno swoje.

Kiedy byłem w jego wieku - rzekł Oliver umyślnie lekkim tonem, aby przez to uniknąć dalszych pouczeń - jedynym problemem było dla mnie to, że mogłem się podnieść na rękach tylko czterdzieści trzy razy. A postanowiłem za wszelką cenę, że na swoje szesnaste urodziny dojdę do pięćdziesięciu.

Hollis uśmiechnął się z grzeczności, z taką miną, jak gdyby znał już wiele pokoleń ojców.

- Naturalnie - powiedział - nie wolno nie doceniać strony fizycznej. Pański syn nie może brać udziału we wszystkich grach razem z innymi chłopcami, to znaczy w grach zespołowych, bo słyszę, że gra dosyć dobrze w tenisa. To zapewne pogłębiło jego... hm... jego skłonność do samotności, do chodzenia własnymi drogami. Co prawda, lekarz szkolny jest zadowolony z jego fizycznego stanu. Wie pan, Tony przechodzi co miesiąc gruntowne i bardzo staranne badanie. Właściwie, lekarz powiedział mi prywatnie, że gdyby Tony sam chciał, mógłby śmiało brać o wiele

żywszy udział w grach zespołowych.

Może po prostu zespół mu nie odpowiada - zauważył Oliver. - Może w innym zespole trudno by go było oderwać od tych gier.

Możliwe - odparł Hollis uprzejmym, łagodzącym tonem, ale jego powieki zmrużyły się chłodno nad bystrymi, przejrzystymi niebieskimi oczami. Wprawdzie mamy tu bardzo przyjemny zespół chłopców. Już jeżeli ja to panu mówię... Bardzo dobrany zespół.

Przepraszam pana - rzekł Oliver uznając w duchu, że zachował się nazbyt szorstko wobec tego nieszkodliwego, sumiennego człowieka, a to wszystko dlatego, że nie mógł mu przecież nic wytłumaczyć. - Jestem przekonany, że to wina Tony'ego.

Nie, nie - Hollis wyciągnął ręce przebaczącym gestem. - Wina to zbyt mocne słowo. Może skłonność, upodobanie. Na pewno z wiekiem to się zmieni.

Chociaż, czym skorupka za młodu nasiąknie... - Wzruszył ramionami i uśmiechnął się równocześnie, udzielając w tej samej chwili ostrzeżenia i czulej pieczyoty. - W

jednym kierunku jest wybitnie zdolny - mówił dalej uszczęśliwiony, że może odsłonić taki skarb. - Rysuje najdowcipniejsze karykatury do szkolnej gazetki. Nie mieliśmy od wielu lat chłopca z takim talentem. Jego karykatury są zdumiewająco dojrzałe. Dosyć złośliwe, muszę powiedzieć... - Znowu miły, przepraszający uśmiech, który owijał nieprzyjemną

prawdę w gładki opłatek uprzejmości. - Słyszałem od paru osób pewne

żale z powodu ciętości tych karykatur. Ale przecież Tony musiał je panu przesyłać, pan sam je na pewno oglądał.

Nie - oświadczył Oliver. - Nie znam ich. Nie wiedziałem, że Tony rysuje.

Aa...? - Hollis spojrzał z zaciekawieniem na Olivera. Potem pochylił głowę i szukał czegoś wśród papierów rozłożonych na biurku. Nagle zaczął mówić prędko, oddalając się od drażliwego tematu. - Całkiem dobrze radzi sobie z biologią i chemią.

To, oczywiście, bardzo ważne, skoro zamierza się zapisać na wstępny kurs medycyny.

Obawiam się, że... zaniedbuje się w większości pozostałych przedmiotów, chociaż podobno czyta dużo na własną rękę. Niestety - tu znowu wyrozumiały, wypraktykowany grymas dyrektorski - ta lektura nie ma prawie nic wspólnego z programem nauki w klasie. A jeżeli za dwa lata będzie się chciał dostać do jakiejś dobrej uczelni... - Hollis nie dokończył zdania ostrzegając łagodnie, lecz znacząco, podobnie jak w cichy, pochmurny dzień ostrzega pierwszy, delikatny podmuch wiatru.

- Pomówię z nim na ten temat - zapewnił Oliver podnosząc się z krzesła. - Bardzo panu dziękuję.

Hollis wstał także i wyciągnął rękę. Za jego plecami widać było przez okno szare gotyckie zabudowania szkoły, lśniące łagodnie w promieniach jesiennego słońca. Ten energiczny, inteligentny młody człowiek w miękkiej, niebieskiej koszuli potrafił dobrze reprezentować solidną tradycję zakletą w szarym kamieniu, ożywiając ją dyskretnie tchnieniem postępu. Dwaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, a Hollis powiedział:

Pan zapewne przyjechał, żeby zabrać Tony'ego do Hartford na święta?

Nie mieszkamy już w Hartford.

Ach tak? - zdziwił się Hollis. - Zdawało mi się...

Przenieśliśmy się blisko rok temu. Mieszkamy w stanie New Jersey, w

Orange. Nadarzyła mi się okazja sprzedania naszej drukarni w Hartford i kupienia większej, bardziej nowoczesnej w New Jersey - wyjaśniał Oliver podając same nieprawdziwe powody.

Woli pan New Jersey? - zapytał uprzejmie Hollis.

O tak, znacznie wolę.

Oliver nie powiedział, że wolałby od Hartford każde inne miejsce na kuli ziemskiej, każde miasto, do którego on i Lucy przybyliby jako obcy, w którym nie mieliby znajomych ani przyjaciół dopytujących ciekawie o Tony'ego i milknących wymownie, gdy rozmowa schodziła niespodziewanie na temat dzieci. Nie powiedział także, że przez ostatnie pół roku w

Hartford Lucy nie chciała widzieć nikogo z dawnych znajomych, z wyjątkiem Sama Pattersona. Patterson wiedział prawie wszystko, co było do wiedzenia, wobec czego nie trzeba było przed nim kłamać. Jeśli chodzi o wszystkich innych, to nieustanne zmyślanie stało się w końcu ciężarem nie do zniesienia. „Już dłużej nie wytrzymam - oświadczyła mu kiedyś Lucy. - Po takim wieczorze w towarzystwie mam wrażenie, że siedziałam z gromadą kryptografów, którzy pocili się do siódmego potu nad rozwiązaniem szyfru. A ten szyfr to jestem ja.

Mam tego dosyć. Jeżeli chcesz się z nimi spotykać, to możesz chodzić sam.”

Do Orange nie jest daleko - powiedział Hollis. - Chce pan dzisiaj zabrać Tony'ego?

Nie - odparł Oliver. - Tym razem wybieramy się z żoną na Dzień

Dziękczynienia do Południowej Karoliny. To jedyna szansa, żeby choć trochę pograć w golfa, zanim się zacznie zima. Wpadłem tutaj, żeby tylko pójść z Tony'm na lunch.

Ach, tak. - Nic nie mówiące mrugnięcie chłodnych, akademickich oczu. - Urządzą tak, żeby Tony mógł być u nas na obiedzie w Dniu Dziękczynienia.

Porozumiem się z żoną.

Dziękuję panu. Czy dużo chłopców pozostanie na święta?

- Tak, może kilku - odparł powściągliwie Hollis. - Jeden ma rodziców w

Indiach, no, a poza tym jest zawsze paru takich, których rodziny... których rodziny są rozbite. - Pokiwał głową z przepaszającym uśmiechem, ubolewając nad obyczajami współczesnego świata i rozgrzeszając je równocześnie. - Chociaż zwykle większość chłopców, którzy mieszkają zbyt daleko albo z jakichkolwiek powodów nie wyjeżdżają do domu, korzysta z zaproszenia swoich kolegów. - Zrobił odpowiednią pauzę, aby Oliver miał czas zrozumieć, że jego syn nie należy do tego rodzaju chłopców, których koledzy chętnie zapraszają. - Ale proszę się nie martwić - zapewnił serdecznie - Tony użyje u nas na dobrym jedzeniu.

Odprowadził Olivera aż do drzwi wychodzących na dwór i stał na zimnym jesiennym wietrze, który szarpał jego kolorowym krawatem, patrząc, jak Oliver wsiada do samochodu i rusza w kierunku hotelu, gdzie miał się spotkać z Tony'm.

Oliver poszedł do baru, zamierzając tam zaczekać na syna. Zamówił whisky, aby się pozbyć smaku sherry, i zaczął rozmyślać o tym co mu mówił dyrektor. O jego łagodnych ostrzeżeniach, krytycznej ocenie, o delikatnym powstrzymywaniu się od wszelkich komentarzy na temat dziwnego faktu, że matka chłopca ani razu w ciągu dwóch lat jego pobytu w szkole nie zjawiała się tutaj. No cóż, od tego właśnie, między innymi, jest

pedagogiem, żeby ojcu pokazać syna w takim świetle, w jakim go widzą inni, żeby go przygotować do tego, jaki będzie prawdopodobnie jego syn jako dorosły mężczyzna. Oliver wpatrywał się pośepnie w swoją szklaneczkę, zdawał sobie bowiem sprawę, że dyrektor próbował w jak najogłędniejszy sposób dać mu do zrozumienia, że Tony jego zdaniem, wyrośnie na samotnego i nie lubianego człowieka, bez większego zamiłowania czy kwalifikacji do pracy, na człowieka traktującego swoje otoczenie z przykrym, złośliwym szyderstwem. Popił whisky i pomyślał z niechęcią o dyrektorzce, o jego zaufaniu do własnego sądu i proroczych talentów. „Wszyscy ci ludzie najczęściej nie mają racji - bronił się Oliver przed smutnymi myślami. - Właśnie dlatego poszli na nauczycieli.” Kiedy on sam był w wieku Tony’ego, nauczyciele przepowiadali mu nieokreśloną wprawdzie, ale wspaniałą przyszłość. Był wysokim, przystojnym chłopcem, łatwym w obejściu, nie potrzebował się prawie wcale uczyć, a mimo to dostawał najlepsze stopnie w klasie, przewodził we wszystkich sportach, był kapitanem drużyn, przewodniczącym klubów i klas, był wreszcie wczesnie rozbudzonym, pełnym wdzięku kawalerem młodziutkich dam. „Tak - rozmyślał ponuro, zgarbiony nad swoją whisky - niechby teraz przyszli na mnie popatrzeć.”

Powrócił myślą do Hollisa i zaczął się zastanawiać co mogło być przyczyną jego pewności siebie. Czy to, że miał przed sobą skromny, wyraźnie określony i osiągalny cel, który wcześniej zdobył? Czy to, że żył w otoczeniu bezbarwnych, niewiele wymagających półbankrutów, z których zwykle składało się ciało profesorskie w niewielkich szkołach poza miastem. że władał z życzliwą surowością setkami chłopców, którzy znikali z jego pola widzenia, zanim zdążyli na tyle dorosnąć, aby móc się mu przeciwstawić poważnie, i których późniejsza opinia nigdy do niego nie docierała? A może to, że zawsze żył według wygodnego i bezpiecznego planu, który z roku na rok ulegał tylko nieznacznym zmianom: tyle a tyle godzin na łacinę, tyle na sport, tyle na skromną młodzieńczą modlitwę oraz na obmyślanie przepisów wzorowego i nabożnego zachowania? Będziesz czcił ojca twego i matkę swoją, będziesz się uczył rozpoznawać *ablatus absolutus*, nie będziesz oszukiwał na egzaminach, będziesz się przygotowywał do Harvard. Ponadto, na dodatek do tak solidnych fundamentów i bezpiecznych pasażów, miał ładną, hożą i młodą żonę, która wniosła do ich wspólnego domu pewną sumkę własnych pieniędzy i która go widziała zawsze tylko na stanowisku władcy. A że ze względu na rodzaj jego zajęć współpracowała z nim na co dzień i niemal bez przerwy, ich wzajemne uzależnienie stawało się z każdym rokiem milsze, bardziej korzystne i poufałe. Kto wie, czy za następnym razem, gdy Oliver znajdzie się znowu w miłym gabinecie i uściśnie jego

życzliwą rękę, Hollis nie powie mu przyciszonym głosem, z miną Pytii delfickiej:

„Proszę pomyśleć o Leontesie...”

„Czy u pana wszystko w porządku, panie profesorze? - uśmiechnął się Oliver do własnych trywialnych myśli. - No, to spróbuj pan wysłać żonę w góry chociaż na jedno lato!”

Właśnie miał zamówić jeszcze jedną whisky, kiedy przez otwarte drzwi baru zobaczył, że Tony wszedł do westibulu.

Tony na razie nie spostrzegł ojca, więc Oliver mógł mu się przyglądać przez kilka sekund. Chłopak miał okulary i z charakterystycznym grymasem krótkowidza rozglądał się po hallu. Był bez płaszcza, w tweedowej marynarce z wyrośniętymi rękawami i dosyć niezdarnie trzymał pod pachą dużą, kwadratową deskę do rysowania. Wydał się Oliverowi wyższy niż ostatnim razem, chociaż widział go zaledwie przed sześciu tygodniami. Był chudy, wyglądał na niedożywionego i przejętego do szpiku kości zimnym listopadowym wiatrem. W przeciwieństwie do wszystkich innych, krótko ostrzyżonych uczniów, których Oliver widział na terenie szkoły, Tony miał długie, falujące włosy, a w całej jego postaci było coś nerwowego i wyzywającego. Miał dużą głowę, zbyt dużą w stosunku do szczupłych ramion, rysy mu się wyostrzyły, a nos wydawał się za długi. Oliver miał wrażenie, że patrzy na dziwaczного ptaka, ni to nieśmiałego, ni to groźnego, na samotnego, nastroszonego ptaka, który sam nie wie, czy ma się ratować ucieczką, czy też atakować.

Patrzył na syna i rozpoznawał w nim dziwne, podwójne odbicie. Długi nos, jasne włosy i duże, szare oczy, mimo że przesłonięte okularami, odziedziczył po

Lucy, a szerokie, lekko cofnięte czoło i duże, stanowcze usta przypominały mu niewyraźnie własne fotografie ze szkolnych czasów. Ale wszystko to jakoś nie trzymało się razem. Wyzywający i niemal podejrzliwy wyraz właściwy Tony’emu zdawał się nie dopuszczać do stopienia się w jedno poszczególnych rysów twarzy i postaci.

Wtem Tony zauważył go i zamachał ręką. Kiedy podszedł i uścisnął dłoń

Olivera, jego bliskość zatarła wrażenie poprzedniej obserwacji. Był to po prostu Tony, poważny, grzeczny, tak dobrze znajomy.

Zasiedli razem do lunchu. W ciągu pierwszych dziesięciu minut mówili o tym, co każdy z nich miałby ochotę zamówić, Oliver pytał, jak zwykle, o zdrowie

Tony’ego i jak mu idzie nauka, i czy mu czego nie trzeba. Tony zaś odpowiadał tymi samymi słowami co zawsze. I, jak zawsze, chwile milczenia stawały się coraz dłuższe, coraz trudniejsze do zniesienia. Oliver był przekonany, że gdyby przestał odwiedzać syna, zarówno on, jak i Tony czuliby się z tym lepiej. Ale to nie wchodziło w rachubę, mimo że trudno byłoby wytłumaczyć dlaczego.

Oliver nieznacznie obserwował Tony’ego. Zauważył, że chłopiec je ładnie, nic nie

rozlewa, a ruchy jego rąk są zręczne i precyzyjne. Przez cały czas posiłku miał oczy spuszczone, lecz parę razy, kiedy Oliver odwrócił na chwilę głowę i potem szybko spojrzał znowu na syna, przychwycił wzrok Tony'ego, który mu się przyglądał w zamyśleniu pozbawionym zarówno złości, jak i cieplejszego uczucia.

Spotkawszy się ze spojrzeniem ojca Tony spuszczał oczy bez specjalnego pośpiechu i spokojnie jadł dalej w milczeniu. Dopiero przy deserze Oliver uświadomił sobie, co w wyglądzie chłopca drażniło go i męczyło od chwili, kiedy się z nim przywitał. Gęsty, długi i jasny puch pokrywał górną wargę i brodę Tony'ego, a na jego policzkach rosły pojedynczo kępki delikatnych, kędzierzawych włosków. Wydawał się przez to kosmaty i zaniedbany, jak szczeniak po wyjściu z kałuży.

Przez dłuższą chwilę Oliver nie odrywał oczu od nierównego, delikatnego zarostu na twarzy syna, ale nic nie powiedział na ten temat. „Oczywiście! - pomyślał. - Przecież ma już prawie szesnaście lat.”

- Pan Hollis mówił mi - odezwał się w końcu - że chce cię zaprosić do siebie na jutrzejszy świąteczny obiad.

Tony skinął głową nie okazując szczególnego zapału.

Jeżeli będę miał czas, to pójdę - powiedział.

Dosyć przyjemny gość ten pan Hollis - podchwycił Oliver, rad, że znalazł temat rozmowy. Czując się winnym, wolał nie pytać Tony'ego, jakie plany mógł on poza tym mieć na jutrzejsze święto. - Obserwuje cię dosyć uważnie. Twierdzi, że masz talent. Te karykatury do szkolnej gazetki...

Rysuję je przeważnie na jego lekcjach - wyjaśnił Tony, zgrabnie wybierając łyżeczką lody czekoladowe. - Inaczej zaraz bym usnął.

Czego on was uczy? - zapytał Oliver unikając bardziej dociekliwych pytań co do opinii Tony'ego o panu Hollisie.

Historii europejskiej. Jest stuknięty na punkcie Napoleona. Ma tylko pięć stóp i cztery cale wzrostu, więc ubóstwia Napoleona.

„Czy i ja byłem taki złośliwy - zastanawiał się Oliver - taki niezyczliwie podpatrujący, kiedy miałem piętnaście lat?”

Chciałbym bardzo zobaczyć coś z twoich rysunków - powiedział. - Oczywiście, jeżeli masz je pod ręką.

Nic nie warte. - Tony wyjadał starannie lody ze szklanej czarki. - Gdyby przyszedł do szkoły jakiś gość naprawdę z talentem, to na moje rysunki nikt by nawet nie spojrzał.

„Jedno, co ten chłopak na pewno potrafi - pomyślał Oliver z uczuciem żalu -



to zdusić każdą rozmowę.” Rozejrzał się po sali, aby móc nie patrzeć na kielkującą brodę syna, która, nie wiadomo dlaczego, zaczynała mu działać na nerwy. Przy innych stolikach siedziało kilku chłopców w towarzystwie swoich rodziców, a na wprost tego stolika, przy którym jedli Oliver i Tony, siedziała jakaś przystojna blondynka, nie wyglądająca na więcej niż trzydzieści pięć lat. Miała na obu rękach złote bransolety, które dzwoniły głośno przy każdym ruchu. Naprzeciw niej siedział wysoki, grubokościsty chłopak, najwidoczniej jej syn, miał bowiem taki sam prosty nos i taki sam bezpośredni, szczęśliwy wyraz istoty zdrowej i starannie pielęgnowanej. Syn miał bardzo krótko ostrzyżone, jasne włosy i kształtną głowę osadzoną na mocnej, grubej szyi, która wyrastała z szerokich ramion atlety. Oliver zauważył, że chłopak jest uprzedzająco grzeczny dla matki, co chwila się do niej uśmiecha i słucha z zaciekawieniem, podsuwa jej masło, to znów nalewa wodę i bezwiednie przytrzymuje jej dłoń na obrusie, podczas gdy rozmawiają ze sobą przyjaźnie i po cichu. „Oto reklama amerykańskiego młodzieńca” - pomyślał Oliver.

Wyobraził sobie z przykrą wyrazistością, jakie wręcz przeciwne wrażenie muszą sprawiać na ludziach oni dwaj. Tony ze swoimi długimi, niemodnie obciętymi włosami, z wąskimi ramionami, w okularach, z cienką szyją, ze szczenięcym puchem na brodzie i policzkach. On sam zaś - sztywny i najwyraźniej skrępowany. Cała sala widzi na pewno, że daremnie usiłuje nawiązać rozmowę z mrukowatym, niechętnym synem. Podczas gdy przyglądał się matce i synowi siedzącym pod przeciwległą ścianą, przystojna blondynka zauważyła go i obdarzyła ciepłym uśmiechem, pełnym rodzicielskiej solidarności. Miała lśniące, białe i równe zęby, a kiedy się uśmiechała, wyglądała na znacznie mniej niż trzydzieści pięć lat. Oliver odpowiedział uśmiechem i lekkim pochyleniem głowy. Jeszcze raz skinął głową, gdy chłopak, zauważywszy milczące pozdrowienie matki, spostrzegł Olivera, wstał i z poważną miną złożył mu dyskretny, pełen szacunku ukłon.

- Kto to taki? - zapytał Oliver z zaciekawieniem.

Tony rzucił okiem na tamten stolik.

To Saunders ze swoją matką - powiedział. - Jest kapitanem hokejowej drużyny. Ale to świnia.

Po co mówisz takie rzeczy? - Oliver czuł, że musi zaprotestować, mimo że nie był pewien, kogo bierze w obronę, tamtego chłopaka czy jego matkę.

-

Sam widziałem - oświadczył Tony. - To świnia. Wszyscy dobrze wiedzą. Ale on jest najbogatszy w szkole.

-

Tak, najbogatszy? - Oliver spojrział jeszcze raz na tamtych dwoje i uważniej zatrzymał wzrok na złotych bransoletach. - Co robi jego ojciec?

Ugania za girlsami.

Tony!

Wszyscy o tym wiedzą - powtórzył Tony wskrobując dokładnie resztkę lodów. - Jego ojciec nie jest wcale taki bogaty. To nie stąd. Saunders sam robi pieniądze.

Naprawdę? - Oliver przyglądał się rosłemu, ładnemu chłopcu z jeszcze większym uznaniem. - A w jaki sposób?

Pożycza pieniądze na procent - wyjaśnił Tony. - A poza tym ma ostatni rozdział *Ulisses* i wypożycza go po dolarze za noc. Jest przewodniczącym szóstej klasy.

Oliver milczał przez chwilę. Ożyło w nim niejasne wspomnienie tych czasów, gdy Tony miał sześć lat i kiedy on sam czytał mu głośno *Alicję w krainie czarów* oraz *Takie sobie bajeczki*. Co wieczór jeden rozdział. Tony był już gotów do spania -

wykąpany, po kolacji, w płaszczyku kąpielowym i rannych pantoflach, cały pachnący mydłem. Siedział na poręczy fotela z nogami spuszczoneymi na kolana ojca, bo w ten sposób mógł oglądać obrazki w świetle padającym od lampy.

Dlaczego ostatni rozdział? - zapytał Oliver, przekonany, że to było ze strony Tony'ego jakieś dziecinne nieporozumienie albo chęć wywołania efektu.

No, bo wiesz - tłumaczył cierpliwie Tony - pani Bloom leży w łóżku, tenor i żołnierz w Gibraltarze. Tak, tak, wszystkie te historie.

Czytałeś to?

Oczywiście. Opłaci się za jednego dolara.

Co za paskudna szkoła! - wyrwało się Oliverowi, który po raz pierwszy w ciągu tego wspólnego lunchu zapomniał o skrępowaniu utrudniającym prowadzenie rozmowy. - Zastanawiam się, czy nie powinienem powiedzieć o tym panu Hollisowi?

Co za różnica? - wzruszył ramionami Tony. - Do tej pory cała szkoła zdążyła już przeczytać.

Oliver patrzył zgnębiony na syna, który siedział tak blisko niego, o dwie stopy zaledwie. Był kosmaty na twarzy usianej pryszczami świadczącymi o wieku dojrzewania, oczy jego spoglądały chłodno, bez lęku, taksująco. Był daleki i tajemniczy, nie można go było ukarać.

- No, dobrze - oświadczył Oliver głośniejszym głosem, niż było trzeba. - Ale jedną rzecz zrobimy na pewno, zanim stąd wyjadę. Zgolimy ci tę wredną brodę.

Kiedy opuszczali salę jadalną, pani Saunders znowu obdarzyła ich promiennym

uśmiechem, podzwaniając złotymi bransoletami. Jej olbrzymi syn z gładkimi policzkami i byczym karkiem powstał ze swego miejsca i uśmiechając się z powagą młodego senatora złożył wytworny, dyskretny ukłon.

Wstąpili do drogerii, gdzie Oliver kupił maszynkę do golenia w złotej oprawce, najdroższą, jaka była w sklepie, i tubkę kremu. Tony stał z nieporęczną deską do rysowania pod pachą i przyglądał się temu obojętnie, nie zadając żadnych pytań. Od czasu do czasu rzucał okiem na okładki ilustrowanych czasopism, rozłożonych przy aparacie z wodą sodową. W końcu wyszli i skierowali się w stronę budynku szkolnego, w którym Tony miał swój pokój. Szli obok siebie, jak inni ojcowie z synami, deptając umierającą trawę, której chłód i wilgoć Oliver czuł przez cienkie podeszwy swoich miejskich półbutów. Niektórzy ojcowie przechodząc uchylali kapelusza, Oliver odpowiadał tym samym, ale zauważył, że pozdrowienia, jakie Tony wymieniał z innymi chłopcami, idącymi w towarzystwie rodziców lub też

samotnie, były nieodmiennie bardzo pobieżne i pozbawione entuzjazmu. „O Boże! - westchnął w duchu wstępując za synem po schodach i patrząc na jego wąskie plecy. - Co ja mam z tym zrobić?”

Tony miał oddzielny pokój, ponurą klatkę o zielonkawych ścianach, z jednym oknem, której umeblowanie składało się z wąskiego łóżka, niewielkiego biurka i dobrze podniszczonej szafy. W pokoju tym panował surowy porządek. Na biurku stało podłużne drewniane pudło bez pokrywy, a w nim widać było mnóstwo papierów, równiutko pospinanych. Książki stały również na biurku w porządnym rzędzie, podtrzymywane z dwóch końców podpórkami z granitu. Łóżko zasłane było bez jednej zmarszczki, nigdzie ani śladu porzuconych niedbale części garderoby.

Mimo woli przyszło Oliverowi na myśl, że powinien tu przysłać Lucy, żeby się nauczyła, jak utrzymywać w domu porządek.

Nad łóżkiem wisiała na ścianie mapa świata, w którą powpinane były tu i ówdzie szpilki z kolorowymi łebkami. Przed szafą wisiał na sznurze umocowanym u sufitu poźółkły ludzki szkielet, skulony jakiś i pokręcony, któremu brakowało kilku ważnych kości. Na biurku stał stary teleskop Tony'ego.

Oliver znalazł się pierwszy raz w pokoju syna, toteż patrzył zaskoczony na szkielet i mrugał powiekami. Na razie nic nie powiedział pocieszając się w duchu nieco nerwowo, że jest to prawdopodobnie godny pochwały dowód pilności, z jaką chłopak przygotowuje się do studiów medycznych.

Myślałem, że chłopcy mieszkają tutaj po dwóch w jednym pokoju -

zauważył rozpakowując maszynkę do golenia i zakładając żyletkę.

W zasadzie tak - odparł Tony stojąc pośrodku pokoju i wpatrując się z uwagą w mapę wiszącą na ścianie. - Ja też z początku spałem razem z jednym, ale wystraszyłem go kaszlem.

Kaszlesz? - zaniepokoił się Oliver. - Nie wiedziałem o tym.

Wcale nie kaszlę - uśmiechnął się Tony złośliwie. - Przeszkadzał mi, więc chciałem się go pozbyć. Co noc budziłem się o drugiej nad ranem i kaszlałem przez całą godzinę. Wytrzymał trochę dłużej niż miesiąc.

„Chryste Panie - pomyślał Oliver z rozpaczą. - Ten Hollis ciężko zarabia na swoje pieniądze. Mieć w szkole takiego chłopaka!”

- Zdejmij koszulę, bo się zamoczysz - powiedział otwierając tubkę z kremem.

Nie odrywając oczu od mapy Tony zaczął powoli rozpinać koszulę. Oliver spojrzał uważniej na mapę. Jedna szpilka tkwiła w tym punkcie, gdzie Paryż, druga w

Singapurze, trzecia w Jerozolimie, następne w Asyżu, Istambule, Kalkucie, Awinionie i wreszcie w Bejrucie.

Co oznaczają te szpilki? - zapytał ciekawie.

Jak skończę medycynę - odparł Tony rzeczowo - będę mieszkał po kolei w każdym z tych miast po trzy miesiące. Przez dziesięć lat będę lekarzem okrętowym.

Zdjął koszulę, podszedł do szafy i otworzył ją odpychając na pokój szkielet, który się rozkołysał klekocząc kośćmi sucho i nieprzyjemnie. Tony powiesił koszulę, porządnie na wieszaku i zamknął szafę.

„Lekarz okrętowy - rozważał Oliver. - Więc takie są jego życiowe ambicje. - Nie patrzył na Tony'ego i dalej studiował mapę. - Paryż, Kalkuta, Bejrut. Aby jak najdalej!”

A skąd masz ten szkielet? - zapytał głośno.

Z lombardu w Ósmej Alei. Z Nowego Jorku.

Pozwalają ci jeździć samemu do Nowego Jorku?

Oliver zaczynał odczuwać beznadziejność swoich wysiłków, by dotrzymać kroku planom i aktualnym poruszeniom syna.

- Nie - odparł Tony dotykając w zamyśleniu szkieletu. - Mówię, że jadę na weekend do domu.

- Aa... - bąknął Oliver. - Rozumiem.

Na chwilę ujrzał w wyobraźni żonę i syna, którego nie zna, nieznanymi sobie nawzajem. Oto stoją na przeciwległych rogach tej samej ulicy czekając na zmianę świateł, przechodzą przez jezdnię, mijają się w tłumie tak blisko, że mogliby się dotknąć i... nie

dotykają się. Spojrzał z uczuciem odrazy na Tony'ego, który stał obnażony do pasa, w zamyszeniu przebierając palcami po żebrach szkieletu.

Ile to kosztowało? - zapytał.

Osiemdziesiąt dolarów.

Co? - Oliver nie potrafił ukryć zdumienia. - Skąd wzięłeś tyle pieniędzy?

Wygrałem w brydża - odparł Tony spokojnie. - Grywamy regularnie. Ja wygrywam trzy razy na cztery.

- Czy pan Hollis wie o tym?

Tony roześmiał się lekceważąco.

- On w ogóle o niczym nie wie. - Podniósł rękę i dotknął podstawy czaszki szkieletu. - Kość potylicowa - powiedział. - Znam nazwy wszystkich kości.

Oliver pomyślał, że bardziej normalny ojciec pochwaliłby bardziej normalnego niż Tony syna za taki dowód pilności. Ale widok nagiego, gładkiego torsu młodzieńca - tak wrażliwego i smukłego, o harmonijnym, czystym rysunku - tuż

obok pożółkłych gnatów szkieletu kupionego w lombardzie wydał mu się nagle nie do zniesienia.

- Chodź tutaj - powiedział ostro, podchodząc do umywalki w rogu pokoju. - Skończmy już raz z tą brodą. Muszę być w Nowym Jorku o szóstej.

Tony jeszcze raz klepnął z czułością szkielet, który znowu zastukał, tak jak stukają rzucając na stół kości do gry. Potem podszedł posłusznie do umywalki i stanął przed ojcem.

- Najpierw umyj twarz - powiedział Oliver.

Tony zdjął okulary, puścił wodę i umył sobie twarz. Robił to sumiennie, z drobiazgową dokładnością. Następnie wytarł ręce i odwrócił się do OHvera. Włosy na jego twarzy pociemniały od wody i przygłnęły do skóry.

Nacierając starannie kremem twarz Tony'ego Oliver wyczuwał końcami palców ostre, delikatne zarysy kości policzkowych. Tony stał cierpliwie, nieruchomo, bez mrugnienia powieką. „Zupełnie jak stara, zblazowana szkapa, kiedy ją podkuwają” - pomyślał Oliver.

Manipulował maszynką niezupełnie pewnie, krótkimi, nieśmiałyymi pociągnięciami. Nigdy jeszcze nie golił kogoś innego, była to całkiem inna sprawa, niż ogolić samego siebie. Przy tym zajęciu przypomniał mu się z całą wyrazistością dzień, gdy jego ojciec golił go po raz pierwszy w życiu. Było to w lecie, miał czternaście lat, mieszkali w dużym domu w Watch Hill, okna wyglądały na ocean.

Ojciec przyjechał na weekend i przez parę godzin, nic nie mówiąc, przyglądał mu się spod oka, tak samo jak on w czasie lunchu przyglądał się Tony'emu. Tylko że w końcu jego

ojciec wybuchnął głośnym śmiechem, potargał mu włosy szorstkim ruchem ręki i zaprowadził go do starej, wykładanej mahoniem łazienki zwołując po drodze przez hall całą rodzinę, aby przyszła popatrzeć.

Starszy brat Olivera nie przyjechał na tę niedzielę, ale matka i siostry, jedna dwunasto, a druga dziesięcioletnia, trochę zaniepokojone niezwykle hałaśliwym zachowaniem się ojca, otworzyły drzwi do łazienki, gdzie Oliver stał obnażony do pasa i uśmiechał się zawstydzony, podczas gdy ojciec starannie ostrzył na pasku brzytwę z rączką z kości słoniowej.

Oczyszczając ostrożnie wąskie ścieżki w spienionym kremie na policzku

Tony'ego, Oliver po prostu miał w uszach równomierny, płaski, przyjemny i rytmiczny odgłos ostrzenia brzytwy o skórzany pasek, który wisiał przy marmurowej umywalce w tamtej łazience nad morzem, w roku tysiąc dziewięćset dwunastym.

Pamiętał cierpki zapach mydła do golenia, dotknięcie pędzla z borsuczej sierści, zmieszaną woń laurowej wody kolońskiej używanej przez ojca i matczynej wody lawendowej, której nikłe, tajemnicze wspomnienie snuło się zawsze w łazience.

Pamiętał szorstkość morskiej soli na nagich ramionach, nie obmytych po porannym pływaniu, niebieską organdynową suknię matki i obie siostry stojące w drzwiach łazienki na bosaka, z poważnymi minami.

- Wejdźcie, wejdźcie - zachęcał je ojciec. - Przyjrzyjcie się, moje damy, jak wygląda pasowanie na prawdziwego mężczyznę.

Matka i siostry, stojąc w drzwiach, patrzyły, jak ojciec namydła mu policzki, ale kiedy wziął brzytwę i przejechał nią kilka razy po swojej dłoni, matka poklepała dziewczynki po plecach i powiedziała: - To nie jest miejsce dla nas, panienek. To sprawa mężczyzn naszego rodu.

Uśmiechała się wówczas, ale był to dziwny uśmiech, jakiego Oliver nigdy przedtem nie widział na twarzy matki. Stanowczym gestem wyprowadziła dziewczynki i zamknęła za sobą drzwi, zanim ojciec zdążył po raz pierwszy dotknąć brzytwą policzka Olivera. Kiedy drzwi się zamknęły, ojciec przez długą chwilę wpatrywał się w niego poważnie, w milczeniu. Potem zaśmiał się i ująwszy Olivera jedną ręką za brodę, zaczął go golić - szybko, dokładnie i pewnie. Oliver pamiętał jeszcze dotknięcie ojcowskich palców na szczęce, stanowcze, silne, łagodne i - jak zrozumiał o wiele później, już po śmierci ojca - pełne miłości i żalu.

Dotykając ręką podbródka swojego syna i zdając sobie sprawę z niepewności własnych ruchów w porównaniu z ruchami ojca w czasie owej odległej, a tak podobnej ceremonii, Oliver doznawał niejasnego uczucia przygnębienia z powodu powtarzania się tego samego rytuału, wypełnionego jednak odmiennym ładunkiem miłości i wesela. Po raz

pierwszy od wielu lat wspominał dawno minione wakacje, zapomniane już prawie rodzeństwo, nie odwiedzane pokoje i krzepkiego ojca o pewnej ręce, którego już nie było na świecie. Myślał o tym, że gdy z kolei Tony obejrzy się wstecz z wyniosłości męskiego wieku na tę na pół komiczną, na pół uroczystą scenę w nagim, schludnym pokoiku internatowym, z rozklekotanym szkieletem i z mapą poznaczoną kolorowymi punktami zbawczej ucieczki, będzie mógł słusznie uskarżać się na swego ojca.

Oliver był pewien, że jego twarz nie zdradzała nic z owych myśli i uczuć, kiedy zeszkrobywał sumiennie grubą warstwę białego kremu z policzków i brody

Tony'ego. Na zakończenie zgolił ostatnią kępkę włosów na górnej wardze i cofnął się o krok.

- No, to już koniec - powiedział. - A teraz umyj twarz.

Tony pochylił się nad umywalką, nabrał wody w złączone dłonie i zaczął energicznie parskać. Oliver przyglądał się jego schylonym, nagim plecóm. Były wprawdzie szczupłe, ale rysowały się na nich mocne mięśnie, całkiem niewidoczne pod źle skrojoną marynarką. A skóra - Oliver zauważył to dopiero w tej chwili - miała zupełnie tę samą barwę i tkankę co skóra Lucy. Była delikatna, bardzo gładka i biała, przeświecała ciepłym, zdrowym rumieńcem krwi krążącej tuż pod powierzchnią.

Tony wyprostował się, otarł twarz i spojrzał po raz pierwszy w lustro umocowane nad muszlą. Przyglądał się sobie uważnie i przesuwając palcami po policzkach poznawał ich nową, odzyskaną gładkość. Oliver stał za nim, jego wzrok spotkał się w lustrze ze spojrzeniem Tony'ego. Bez okularów oczy chłopca były takie same jak oczy Lucy: duże, szare, głębokie w cieniu rzęs, inteligentne. Obserwując w lustrze odbicie świeżo ogolonej, chudej młodzieńczej twarzy, Oliver zdał sobie nagle sprawę, że Tony wyrośnie na wybitnie przystojnego mężczyznę.

Jak gdyby odgadując myśl ojca, chłopiec uśmiechnął się do niego porozumiewawczo.

- O fajnie! Gdzie spojrzymy, tam trup - powiedział zadowolony ze swojego wyglądu i bardzo zakłopotany.

Roześmieli się obaj. Oliver poczuł, że nie potrafi zostawić Tony'ego na

Święto Dziękczynienia u Hollisów, na łasce wylewnej, opłaconej gościnności dyrektora szkoły, nie potrafi go wydać na pastwę pełnych ubolewania obaw Hollisa i wygłaszanych przed żoną ponurych prorocत्व co do przyszłości, jaką przewidywał dla młodego Crowna. Nie zdobędzie się na to, aby go pozostawić w towarzystwie opuszczonych chłopców, którzy mieli rodziców w Indiach albo którzy pochodzili z rozbitych rodzin i nie mieli szczęścia uzyskać zaproszenia na święta do domów na razie jeszcze nie rozbitych.

- Spakuj co trzeba w walizkę - rzekł Oliver z nagłą determinacją. - Zabieram cię na weekend do domu.

Tony znieruchomiał na jedną sekundę, szukając wzrokiem spojrzenia ojca w lustrze. Skinął głową bez cienia uśmiechu, włożył koszulę i nie śpiesząc się, sprawnie zapakował swoje rzeczy w walizkę.

W drodze do Nowego Jorku, kiedy zbliżali się do granic miasta, zapytał:

Jak się czuje mama?

Dobrze - odparł Oliver.

Po raz pierwszy od dwóch lat wspomnieli w rozmowie o Lucy.

Lucy weszła do baru w hotelu „Pensylwania” pięć minut przed szóstą.

Dotrzymując jakiejś niejasnej umowy, zawartej z samą sobą bez słów, była teraz niezmiennie punktualna, nigdy nie kazała Oliverowi na siebie czekać, gdy wybierali się razem albo gdy mieli się spotkać poza domem. Przy barze tłoczno było od wracających po pracy mężczyzn, którzy tu wpadali na ostatnią szklaneczkę przed odejściem pociągu do New Jersey albo do Long Island. Poza tym wisiało ogłoszenie zapowiadające, że panie bez towarzystwa mężczyzn nie będą obsługiwane przy barze.

Znalazła więc wolny stolik w rogu sali i zamówiła whisky.

Siedziała skromnie w swoim kącie czekając na męża, od czasu do czasu zaś spoglądała bez onieśmienia na mężczyzn tłoczących się wokoło baru i nie spuszczała oczu, gdy oni spoglądali na nią. Wydawali się szarzy i wymięci po całodziennym pracy, pili łączywie, jak gdyby trunek był im koniecznie potrzebny przed drogą powrotną do domu i przed czekającym ich jeszcze wieczorem. Lucy była świeżutko wykąpana, przebrała się i przygotowała na święto, toteż patrząc na tych ludzi w szarych, zatęchłych od biurowego powietrza ubraniach, czuła litość zmieszaną z pogardą. Cieszyła się na wspólny obiad z Oliverem we włoskiej restauracji w pobliżu hotelu, którą oboje lubili. A potem wspólny wieczór w pociągu. Jak dziecko, przepadała za jazdą pociągiem i czuła się bardzo ważna zasypiając w przytulnym przedziale i wsłuchując się w stukot kół. Oliver był bardzo miły w podróży, uważający i o wiele bardziej rozmowny i wesoły niż w domu.

Nagle spostrzegła go, jak lawirował w jej stronę wśród zatłoczonych stolików.

Uśmiechnęła się i pomachała mu ręką. On nie odpowiedział uśmiechem. Zatrzymał się na chwilę czekając na kogoś, kto szedł za nim. Stali obaj w wąskim przejściu pomiędzy stolikami, w odległości około trzydziestu stóp, a dym z papierosów snuł się zwiewnymi pasmami wokół ich głów.

Lucy zamrugała powiekami i potrząsnęła głową. „Nie, to niemożliwe” -



pomyślała.

Dwie męskie postacie zbliżały się ku niej. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, podniosła się z krzesła. „Dlaczego właśnie tutaj muszę go zobaczyć? -

przemknęło jej przez myśl. - Dlaczego właśnie w tym barze?”

Oliver i Tony zatrzymali się, odgradzeni od niej szerokością stolika. Stali tak naprzeciwko siebie i przyglądali się sobie w milczeniu.

Halo, mamó - odezwał się pierwszy Tony, a wymawiając te słowa sam słyszał swój zmieniony głos.

Halo, Tony! - odpowiedziała.

Jej spojrzenie wędrowało od jednej twarzy do drugiej. Tony zachowywał się ostrożnie i powściągliwie, ale nie wydawał się skrępowany ani zakłopotany. Oliver przyglądał się jej uważnie, z czujnym i jak gdyby groźącym wyrazem w oczach.

Lucy westchnęła lekko. Wyszła zza stolika, objęła syna i ucałowała w policzek. Stał z rękami opuszczonymi wzdłuż boków i pozwolił się pocałować.

„Strasznie wysoki i dorosły jak na mojego syna” - pomyślała czując, że ludzie przy innych stolikach przyglądają się tej rodzinnej scenie.

- Nie pojedziemy na Południe - oznajmił Oliver. - Wszyscy razem pojedziemy na weekend do domu.

W jego słowach było coś więcej niż oznajmienie i Lucy to zrozumiała. Było żądanie, zapytanie, stwierdzenie zmiany i ostrzeżenie. Zawahała się tylko na krótką chwilę.

- Oczywiście - przystała na zmianę dotychczasowych projektów.

Wy zaczekajcie tuta - rzekł Oliver - a ja skoczę tymczasem na drugą stronę ulicy i zwrócę bilety. Za minutę będę z powrotem.

Nie, nie - spłoszyła się Lucy na myśl, że tak nagle ma zostać sam na sam z

Tony'm. - Tu jest okropny hałas i tyle dymu. Pójdziemy wszyscy razem.

Oliver skinął głową.

- Dobrze, jak chcesz.

Na dworcu stanęła blisko przy Oliverze, który pertraktował z urzędnikiem w okienku. Mówiła i mówiła bez przerwy, chociaż jej samej zdawało się, że mówi zbyt głośno i nienaturalnie, że jej ożywienie wygląda sztucznie.

W takim razie wszystko się zmienia. Musimy zaplanować na nowo mnóstwo rzeczy. Przede wszystkim trzeba coś zdobyć do jedzenia, żebyśmy mieli jutro świąteczny obiad w domu. Wiecie, co zrobimy? Pójdziemy do tych cudownych włoskich sklepów w Ósmej Alei,”

bo jutro u nas wszystko będzie zamknięte. Kupimy sobie indyka i patatów, i borówek, i kasztanów do ubrania...

Co, u licha - mówił Oliver do kasjera w okienku. - Zwracam bilety na cztery godziny przed odejściem pociągu. To chyba dosyć wcześnie dla każdej kolei.

Bilet to przecież nie kontrakt na całe życie.

Kasjer mruknął coś niewyraźnie, po czym oświadczył, że musi porozmawiać z nocnym dyżurnym. Odszedł i widać było, jak schylony mówi do siwego mężczyzny siedzącego przy biurku; ten rzucił obojętne spojrzenie na okienko, przy którym czekał

Oliver.

Tony stał w milczeniu, słuchał gorączkowego gadania matki i wodził wzrokiem po tłumie przelewającym się przez dworzec.

- A potem pójdziemy do Schraffa - mówiła Lucy głośno i nerwowo - kupimy babkę z dynią i drugą z owocami, i chleba na kanapki z indykiem na zimno na jutrzejszą kolację. I wiesz, Oliverze, dokąd powinniśmy się dzisiaj wybrać? - Zamilkła na chwilę czekając na odpowiedź, ale Oliver pomstował właśnie na kasjera i na kierownika, więc nic jej nie odpowiedział. - Dzisiaj zjemy z Tony'm obiad u

Luigiego. Tony, lubisz włoskie jedzenie?

Chłopiec z wolna odwrócił głowę i spojrzał na nią poprzez przepaść dwóch lat, poprzez przepaść, która pochłonęła wzajemną znajomość gustów, upodobań i wstrętów.

- Tak, bardzo lubię - odparł wymawiając słowa wolniej niż zwykle, jak gdyby zdawał sobie sprawę z tego, że matka mówi nienormalnie prędko i głośno i chciał swoim opanowaniem oddziaływać na nią uspokajająco.

To świetnie! - wykrzyknęła z przesadnym zapałem. - My z ojcem najlepiej lubimy tę restaurację. - Teraz ofiarowywała ją jemu, ofiarowywała mu w tym samym zdaniu obrazek wspólnych upodobań, harmonii małżeńskiej i zażyłości. - A później, wiesz, Oliverze, dokąd według mnie powinniśmy się wybrać z Tony'm?

No, nareszcie - powiedział Oliver do kasjera, który właśnie wrócił do swojego okienka i odliczał pieniądze za zwrócone bilety.

Powinniśmy się wybrać razem do teatru - mówiła Lucy. - Lubisz teatr, Tony?

Tak, lubię.

A często bywasz w teatrze?

Od czasu do czasu.

Może nam się uda dostać bilety na jakąś komedię muzyczną. Jak myślisz, Oliverze?

Pożegnawszy kasjera nieprzychylnym mruknięciem Oliver odwrócił się od okienka.

Co takiego? - zapytał.

Właśnie mówię, że moglibyśmy wziąć Tony'ego na komedię muzyczną. - Wyrzucała z siebie słowa tak prędko, jak gdyby ten pieniaący się nieustannie strumień mógł ich uchronić przed zastanowieniem się nad sobą i nad innymi. - Przecież to już

prawie świąteczny wieczór, no i jesteśmy wszyscy razem w mieście, i...

Co ty na to? - zwrócił się Oliver do Tony'ego. - Masz ochotę na teatr?

Owszem, dziękuję bardzo. Ale jeżeli to wam nie robi różnicy, wolałbym nie na komedię muzyczną. Słyszałem, że grają taką sztukę... *Skala piorunów*.

Chciałbym to zobaczyć, jeżeli dostaniemy bilety.

*Skala piorunowi* - Lucy skrzywiła się lekko. - Słyszałam, że to jest coś w takim chorobliwym rodzaju.

Nie ma sensu marnować czasu na komedię muzyczną - oświadczył Tony dość stanowczo. - Co innego, gdybym mieszkał stale w Nowym Jorku i mógł chodzić codziennie do teatru.

Oliverze... - Lucy spojrzała pytająco na męża.

Bała się wrażenia, jakie na nich wywrze ponura sztuka, bała się chwili, kiedy wyjdą z teatru, i tak przecież pełni urazów i wzajemnie niepewni siebie, a w dodatku rozstrojeni po dwóch godzinach niesamowitych wzruszeń. A komedia muzyczna, ładniutka i bez problemów, ułatwiłaby sytuację.

- Dzisiaj jest dzień Tony'ego - powiedział Oliver kierując się w stronę schodów prowadzących do miasta. - Przede wszystkim pójdziemy do hotelu i zorientujemy się, czy mogą nam załatwić bilety.

Lucy umilkła. Szła w środku, pomiędzy mężem i synem. „Znowu zaczyna decydować za wszystkich” - pomyślała z niechęcią.

Przewodziła w wędrownce po sklepach, zatłoczonych w przededniu święta, objawiając niesłychaną, niemal histeryczną rozrzutność. Nie patrząc na nich obładowywała zakupami Tony'ego i Olivera, mówiła, mówiła bez ustanku, coraz to dodawała coś jeszcze do jutrzejszego menu, błędziła wzrokiem wśród rzędów wiszących indyków, wśród stosów pomarańcz, jabłek, mandarynek, grapefruitów, wśród rozłożonych pojedynczo melonów i ananasów z Ameryki Południowej, wśród skrzynek pełnych patatów i kasztanów. A potem zrobiło się późno, wepchnęli wszystkie sprawunki do bagażnika i pojechali prędko do restauracji. Lucy piła za dużo nie zdając sobie z tego sprawy, w końcu musieli wstać od stołu nie skończywszy obiadu, żeby zdążyć na czas do teatru. Robiąc zakupy i mówiąc bez

przerwy, a potem jedząc i pijąc w nerwowym podnieceniu, Lucy wiedziała tylko jedno: musi to odłożyć na później. Oszołomiona nagłym zjawieniem się syna, niepewna, czy to jakaś zasadzka, czy też pomoc dla niej w odzyskaniu utraconego szczęścia, za bardzo roztrzęsiona, aby móc rozpoznać, pod jakim znakiem płyną Oliver i Tony, walczyła po omacku tylko o to, aby nie być zmuszoną do powzięcia jakiegokolwiek decyzji w ciągu tych pierwszych godzin i aby im nie pozwolić na żadną decyzję.

W teatrze poczuła się senna i chwilami po prostu przestawała słuchać tego, co mówili aktorzy na scenie. W przerwie między aktami powiedziała, że jest zmęczona, i została sama, podczas gdy Oliver poszedł z Tony'm na drugą stronę ulicy, aby się napić coca-coli. W czasie długiej drogi powrotnej do domu siedziała na pół uśpiona w tyle samochodu i nie starała się słyszeć, o czym ze sobą rozmawiają Tony i Oliver w zacisznym mroku na przednim siedzeniu. W końcu zajechali przed dom. Wchodziła na schody potykając się o stopnie ze zmęczenia i oświadczyła w najzupełniejszej zgodzie z prawdą, że oczy jej się same zamykają i że musi natychmiast iść spać.

Pocałowała Tony'ego na dobranoc przelotnie i bez wzruszenia, jak gdyby te dwa lata w ogóle nie istniały, i pozostawiła Oliverowi troskę o zainstalowanie chłopca w gościnnym pokoju.

Była to ucieczka, zdawała sobie z tego sprawę i wiedziała, że w każdym razie

Oliver, a prawdopodobnie i Tony rozumieją to równie dobrze, ale była za bardzo zmęczona, żeby się tym przejmować. Gdy już leżała w łóżku i zgasiła światło, przez jej znużenie przebiło się lekkie uczucie triumfu. „Przetrwałam cały wieczór -

powiedziała sobie po cichu - i nic się nie stało. A jutro będę wypoczęta i wezmę się w garść.”

Już prawie usypiała, gdy doleciały ją zza drzwi sypialni głosy Tony'ego i

Olivera - przyciszone, przyjazne, poufale. Potem słyszała ich męskie kroki oddalające się wzdłuż korytarza, w stronę gościnnego pokoju w głębi domu. „Mają taki ciężki chód - pomyślała jeszcze. - Obaj...”

Zastanawiała się, czy Oliver przyjdzie tej nocy do jej sypialni. A jeżeli przyjdzie, to dla kogo to zrobi? Dla siebie? Dla niej? Czy dla Tony'ego?

Skrzyżowała ręce na piersiach ściskając dłońmi ramiona, bo drżała z zimna.

Kiedy Oliver wszedł do ciemnego pokoju, Lucy już spała i nie zbudziły jej jego ciche, ostrożne ruchy, gdy się rozbierał i wchodził do łóżka.

Zwykle budziła się dosyć wcześnie, lecz tego świątecznego ranka spała aż do dziesiątej, a kiedy się obudziła, miała ciężką głowę i niesmak w ustach. Myła się i czesała

powoli, ubrała się staranniej niż zwykle przed południem. „Cokolwiek o mnie myśli - pocieszała się niewesoło - w każdym razie będzie musiał przyznać, że jego matka nie jest brzydka.”

W domu panowała zupełna cisza, toteż Lucy była przekonana, że Oliver i

Tony są na dole albo w saloniku, albo w jadalni za kuchnią. Ale gdy zeszła na dół, zrozumiała, że w domu nie było nikogo. Poranne słońce zalewało blaskiem pokoje, a w zlewie kuchennym ustawione były w drucianym stojaku czysto umyte naczynia po śniadaniu na dwie osoby.

Na stole w kuchni leżała kartka napisana przez Olivera. Lucy zawahała się, zanim ją wzięła do ręki i przeczytała, ogarnął ją bowiem bezsensowny lęk, że będzie to wiadomość o jakimś odjeździe, o jakimś zdemaskowaniu, jakichś oskarżeniach.

Gdy w końcu zdecydowała się jednak przeczytać, okazało się, że Oliver zawiadamił ją tylko, że zjedli śniadanie i żał im ją budzić, a ponieważ jest taka piękna pogoda, wybierają się na mecz piłki nożnej, który zaczyna się o jedenastej. Oliver pisał dalej wyraźnym, stanowczym charakterem, że wrócą najpóźniej o wpół do drugiej i będą bardzo radzi spotkać się wtedy z pieczonym indykiem. „Ucałowania” - przeczytała na końcu.

Wdzięczna była losowi za tę nową zwłokę i zaczęła się krzątać energicznie.

Trzeba było sprawić indyka, zrobić sos borówkowy, upiec i obrać kasztany. Poruszała się szybko i sprawnie załatwiała kolejne czynności, zadowolona, że zwolniła służącą na weekend, że musi sama zrobić całą robotę i że w tym czasie nie ma nikogo w domu. Gdy w ciągu tego ranka, zarumieniona od pracy i od gorąca bijącego na nią z piekarnika, pomyślała przelotnie o Tony’ m, myśli jej były niemal beztroskie.

Wszystko wydawało się takie normalne. W iluż to domach w całym kraju syn przyjeżdżał ze szkoły na Święto Dziękczynienia i siedł z ojcem na mecz piłki nożnej, podczas gdy matka szykowała świąteczny obiad! A jeżeli Tony wczoraj wieczorem nie był rozczulająco serdeczny, to przecież nie można było oczekiwać czego innego.

Nie objawiał jednak wrogości. Jego postawę, jeśli to była świadoma postawa, można by nazwać neutralną. „Trochę nawet serdeczniejszą i miłszą niż neutralna” -

poprawiła się Lucy polewając indyka roztopionym masłem. Nuciała sobie pod nosem i krzątała się po kuchni zalanej słońcem. „Ostatecznie - myślała - dwa lata to kawał czasu, zwłaszcza dla takiego chłopca.” W ciągu dwóch lat można o tylu rzeczach zapomnieć, a w każdym razie pamięć o nich zamazuje się i traci na ostrości.

Nakrywając do stołu rozmyślała pogodnie o tym, że ona sama nie pamięta już tak dokładnie, co się zdarzyło przed dwoma laty. Wszystko to się jakoś rozwiąło i straciło moc

zadawania jej bólu. Z odległości dwóch lat trudno było sobie przypomnieć, dlaczego właściwie wszyscy zrobili z tego wówczas taką katastrofalną historię.

Popatrzyła na stół przykryty białym obrusem, na lśniące kieliszki i na chwilę zrobiło jej się żal, że tylko we trójkę zasiądą do takiego stołu. Byłoby tak przyjemnie mieć dzisiaj gości, chłopców i dziewczęta w wieku Tony'ego. Wyobraziła sobie, jak by to wyglądało: dorośli na jednym końcu stołu, a dalej pięcioro albo sześcioro młodzieży, chłopców i dziewcząt, ogolonych, wypucowanych, ubranych w najlepsze sukienki. Dziewczynka w tym cudownym, rozkosznym wieku z sekundy na sekundę się zmienia, raz jest dzieckiem, a za chwilę już młodziutką kobietą.

„Na Boże Narodzenie - postanowiła sobie - urządzę duże przyjęcie.” Stała wpatrzona w stół ślicznie nakryty i rozmyślała o Bożym Narodzeniu. Od lat nie czuła się taka szczęśliwa.

Spojrzała na zegarek i wróciła do kuchni, aby rzucić jeszcze raz okiem na wszystko. Z zadowoleniem wciągała w nozdrza ciepłe, smakowite zapachy. Potem poszła na górę i długo wybierała wśród sukien wiszących w szafie, nie mogąc się zdecydować, która będzie się Tony'emu najlepiej podobać. W końcu wybrała niebieską z miękkiej wełny, zachodzącą wysoko pod szyję, z szeroką spódnicą i długimi rękawami. „Dzisiaj sprawi mu chyba przyjemność - pomyślała wkładając tę suknię - jeżeli będę wyglądała troszkę mamusiowato.”

O1iver i Tony wrócili kwadrans przed drugą, obaj zaczerwienieni od zimna i zadowoleni z meczu. Lucy oczekiwała ich w saloniku, w swojej mamusiowatej sukni, dumna, że potrafiła wszystko tak składnie przygotować, na piętnaście minut przed oznaczoną godziną, i że ją zastaną w pięknie sprzątniętym, słonecznym pokoju, siedzącą sobie spokojnie, bez żadnego zajęcia, gotową dotrzymać im towarzystwa.

Słyszała, jak otwierali drzwi wejściowe, słyszała przyjemny, niski pomruk ich męskich głosów, a kiedy weszli do saloniku, przywitała ich z uśmiechem na ustach.

Dla nikogo nie mogło ulegać wątpliwości, że Tony był synem O1ivera, ale podobieństwo do niej było równie uderzające: to szerokie czoło, podłużne, szare oczy i te miękkie blond włosy!

- Jak tu przyjemnie pachnie! - ucieszył się O1iver.

Widać było, że dobrze spędził rano, uśmiechał się i wydawał się pełen energii, znikło gdzieś wczorajsze napięcie nerwów i posępna czujność. Spojrzał na nią tylko przelotnie, lecz mimo to czuła, że był z niej zadowolony. „Może to wszystko nie jest prawdziwe - mówiło jego spojrzenie. - Może to jest robione, taka sobie inscenizacja. Ale dobra inscenizacja!”

- Spotkaliśmy na meczu Freda Collinsa z córką - powiedział O1iver grzejąc się przy

ogniu płonącym na kominku. - Zaprosiłem ich, żeby wracając wstąpili do nas czegoś się napić. Powinni tu być lada chwila. Czy lód już wyjęty z lodówki?

Spojrzał na srebrne wiaderko do lodu stojące na kredensie, w którym urządzony był bar.

- Tak - odparła Lucy bardzo zadowolona z siebie, bo i o tym też pomyślała, bo dzisiaj myślała o wszystkim.

Uśmiechnęła się do nich. Stali przed kominkiem, obaj w tweedowych marynarkach i flanelowych spodniach. Tony był już prawie tego samego wzrostu co ojciec. Wnieśli z sobą zapach rzeńskiego świątecznego ranka. Tony wydawał się zadomowiony, jak gdyby znał każdy kąt w tym pokoju, jak gdyby mieszkał tu od dawna i poruszał się z całą swobodą, nie doznając wcale uczucia obcości.

Podobał ci się mecz? - zapytała go Lucy.

Owszem, grali dosyć dobrze. Jest tam taki jeden obrońca, który wejdzie do reprezentacji. Chyba że mu przedtem przetrąca kości.

Lubisz piłkę nożną?

- Aha... Jeżeli nie każą mi wrzeszczeć na cześć którejś drużyny.

Oliver rzucił na Tony'ego szybkie, uważne spojrzenie, a Lucy pomyślała, że nie będzie mu już więcej zadawać pytań dotyczących bezpośrednio jego osoby. Odpowiada wtedy trochę dziwacznie i nie tak, jak by się chciało, żeby syn odpowiadał. Podniosła się nieco speszona, podeszła do baru i obróciwszy się plecami do Olivera i Tony'ego zaczęła wyjmować kieliszki i szklanki.

Odetchnęła z ulgą, kiedy zadzwonił dzwonek i Oliver wyszedł do hallu, aby przywitać Freda Collinsa i jego córkę.

U drzwi wejściowych rozległo się coś w rodzaju ryku bawołu, Fred Collins miał bowiem taki sposób mówienia. Pochodził ze stanu Oregon i był przekonany, że najlepiej reprezentuje zalety i szeroki gest prymitywnego Zachodu rycząc wszędzie i przy każdej okazji ile tchu w piersi. Był wielki, ciężki, miażdżył w uścisku rękę, lubował się w szerokoskrzydłych kapeluszach, które przywodziły na myśl Texas, pił jak smok, organizował z zapalem partie pokera i zawsze wyciągał Olivera na polowania na jelenie i dzikie ptactwo. Dwa razy na rok odkrywał jakiegoś genialnego boksera, który, jego zdaniem, miał z pewnością zapędzić w kozi róg Joego Louisa, a kiedyś zawiózł Olivera aż do Cleveland tylko w tym celu, by zobaczyć, jak jakiś pięściarz z Porto Rico w trzech rundach znokautował jego najświeższego geniusza.

Lucy uważała, że Collins jest wspaniałomyślny i ma dobre serce, mimo że nigdy nie

miała okazji się o tym przekonać. Poza tym była mu wdzięczna, że tak często wieczorami wyciągał z domu Olivera i że zabierał go na parodniowe wyprawy do odległych obozowisk myśliwskich.

Collins miał ładną, chociaż nieco wyblakłą żonę, do której mówił:

„Dziewuszko”, i odnosił się z niezdarną, zgoła niedźwiedzią galanterią. Ich córka

Betty miała zaledwie piętnaście lat - malutka, cała miodowobursztynowej barwy, bardzo pewna siebie, zimna kokietka. Lucy myślała o niej po cichu, że z każdym dniem dojrzewa do zepsucia. Nawet Oliver, mimo że należał do mężczyzn, których najmniej można by o to posądzać, przyznawał, że kiedy Betty Collins wchodzi do pokoju, zaczyna się czuć nieswojo.

- Powiadam ci, Ollie - huczał Collins tak głośno, że każde słowo dolatywało wyraźnie do saloniku - ten chłopak to po prostu coś nadzwyczajnego. Widziałeś, jak się bronił, kiedy nalecieli na niego ci z ataku? To jest geniusz!

Co jesień Collins uzupełniał swoją kolekcję geniuszów, którzy mieli zapędzić w kąk Joego Louisa, odkryciami niezwykłych obrońców w piłce nożnej, którzy z kolei mieli zaćmić zupełnie sławę Reda Grange'a.

- Napiszę o tym chłopcu do mojego dawnego trenera w Oregonie - grzmiał dalej Collins. - Może nawet pojedę do niego z gotową propozycją. Moglibyśmy chłopaka tam wykorzystać.

Collins wyszedł z college'u przed z górą dwudziestu laty, a od przeszło dziesięciu nie był w Oregonie, mimo to jednak jego poczucie solidarności nie zachwiało się ani na chwilę. Miał je również w stosunku do Legii Amerykańskiej, której był oficerem, w stosunku do kilku tajnych stowarzyszeń oraz do Stanowego

Komitetu Republikańskiego w New Jersey, który właśnie chwiał się w posadach pod potężnymi ciosami dynastii Rooseveltów.

Jak myślisz, Ollie? - pytał Collins, wciąż jeszcze niewidzialny, ale za to dobrze słyszalny - przecież on mógłby naprawdę do czegoś dojść w Oregonie.

Masz sto procent racji - usłyszała Lucy cichy głos Olivera, gdy wstała, by wyjść naprzeciw gości.

Collins był jedynym człowiekiem, który mówił do Olivera: „Ollie”. Za każdym razem Lucy wzdrygała się na to serdeczne zdrobnienie, ale sam Oliver, jak się zdawało, nie miał żadnych sprzeciwów.

Obaj mężczyźni weszli do pokoju zaganiając przed sobą Betty. Dziewczyna uśmiechnęła się do Lucy i powiedziała:



- Dzień dobry pani.

Jej głos, podobnie jak cała postać i zachowanie, miał w sobie coś takiego, że mężczyźni w jej obecności stawali się niespokojni.

Collins zatrzymał się na progu przybierając melodramatyczną pozę.

- Na miły Bóg! - ryknął rozpościerając ramiona jak zapaśnik, który zamierza chwycić przeciwnika. - Cóż to za zjawisko! Naprawdę, jest za co dziękować Bogu.

Wiesz, Ollie gdybym miał zwyczaj chodzić do kościoła, to poszedłbym dzisiaj i śpiewałbym chwałę Panu Najwyższemu za to, że uczynił twoją żonę tak piękną. - Sunął ku niej zataczając się lekko. - Nie mogę się oprzeć, madame. Po prostu nie mogę się oprzeć - wołał biorąc ją w ramiona. - Z każdym dniem jest pani piękniejsza.

Synu - zwrócił się do Tony'ego, który stał jeszcze w drzwiach i przyglądał mu się uważnie - za twoim pozwoleniem pocałuję mamusię, bo to dzisiaj święto, a poza tym twoja mamusia jest najpiękniejszą kobietą z tej strony Missisipi.

Nie czekając na odpowiedź Tony'ego przycisnął do siebie Lucy, jak zapaśnik na ringu przyciska przeciwnika, i złożył głośny pocałunek najpierw na jednym jej policzku, a potem na drugim. Dusił ją niemal ciężarem swego cielska, a Lucy śmiała się z pewnym przymusem i pozwalała się całować, bo jeśli ktoś już wpuścił Collinsa za próg swego domu, to musiał się pogodzić z jego hałaśliwością i z zamaszystą galanterią domowego chowu. Ponad ramieniem Collinsa jej spojrzenie szukało syna.

Tony już na nią nie patrzył, odwrócił się i obserwował Ollivera z wyrazem takiego zainteresowania, jak gdyby ojciec był ciekawym obiektem badań naukowych.

Lucy nie mogła dojrzeć Ollivera, bo Collins znowu przycisnął ją serdecznie do potężnej jak beczka piersi i wykrzykiwał bez sensu, ale w najlepszych intencjach:

- Wenus! Prawdziwa Wenus!

Potem bardzo wymownie mrugnął i pochylając się ku niej lubieżnie, powiedział scenicznym szeptem:

- Dziecino, mój wóz czeka przed domem, nie wyłączyłem motoru. Powiedz:

„tak”, i już wyjeżdżamy. Pierwsza noc na nowiku. Uważaj, Ollie, uważaj na mnie, bracie! Czuję, że ona budzi we mnie tygrysa.

Wybuchnął ogłuszającym śmiechem i wreszcie puścił Lucy.

- Dosyć już tego, Fred - powiedziała zdając sobie sprawę, że słowa jej nie mogą mieć żadnego znaczenia wobec jego ryku i cmoktania wargami.

Spojrzała jeszcze raz w stronę Tony'ego, ale on wpatrywał się w ojca z chłodnym, wyczekującym wyrazem twarzy. Olliver zdawał się tego nie widzieć. W

ciągu minionego roku spotykał się z Collinsem tak często, że cały ten hałas i zamieszanie, towarzyszące nieodłącznie jego osobie, wydawały mu się już czymś normalnym, tak jak ludziom mieszkającym w pobliżu wodospadu przestaje on w końcu zakłócać ciszę.

Collins puścił Lucy, opadł z rozmachem na tapczan i posadziwszy córkę obok siebie, zaczął pieścić jej dłoń swoją ogromną łapą.

- Ach, jak tu rozkosznie miękko - powiedział z błogością. - Te ławki na stadionie niemożliwie odgniatają siedzenie. - Przyjrzał się Tony'emu z promiennym uśmiechem, pełnym życzliwej dobroduszości. - Wiesz, Lucy, masz fajnego chłopaka. Trochę jeszcze żyłowaty, co, synu? Ale to taki wiek. Jak miałem twoje lata, możesz mi wierzyć albo nie, ważyłem wszystkiego sto trzydzieści pięć funtów, nawet kiedy przemokłem na wylot. - Zarechotał potężnym basem, jak gdyby mu się udał pierwszorzędny dowcip. - Cieszymy się okropnie, że nareszcie poznaliśmy młodego następcę tronu, prawda, moje złotko? - zwrócił się do córki zaglądając jej w oczy z czułością.

Betty przyglądała się uważnie Tony'emu, wprawiając przy tym w ruch długie rzęsy.

Tak, tatusiu - odpowiedziała skromnie.

Tak, tatusiu - przedrzeźniał ją Collins drżącym dyszkantem. - Och, jakież

tomy można wyczytać z tych dwóch zwykłych słówek! Tak, tatusiu. - Pochylił się i pocałował Betty w policzek, rozanielony obrazem córki, jaki malowała mu wyobraźnia. - Strzeż się tej dziewczyny, mój synu - rzucił pod adresem Tony'ego. - Ma oko na ciebie. Rozpoznaję wszystkie oznaki. Możesz się uważać za szczęściarza, ale radzę się strzec. Wszyscy chłopcy z ostatniego roku w tutejszym college'u oddaliby z ochotą swoją przyszłoroczną pensję za to jedno malutkie: „Tak, tatusiu.”

Daj spokój, tato... - przerwała Betty uderzając go lekko po rękę.

Jak szliśmy rano przez stadion na nasze miejsca - huczał Collins - to cała drużyna dopingowa westchnęła z pożądania, jakby wiatr przeszedł przez pole pszenicy. Słyszałaś przecież. - Śmiał się z rozczuleniem, dumny, szczery i prostoduszny.

Oliver, który stał razem z Tony'm przy kominku, roześmiał się także. Tony spojrzał na niego bynajmniej nie ubawiony, z lodowatym zdziwieniem.

Słuchaj no, Betty - zastanawiał się głośno Collins. - Nie wybierasz się dzisiaj na jakieś tańce?

Owszem - odpowiedziała dziewczynka.

No, to zabierz Tony'ego ze sobą. Jeżeli jest wart chociaż połowę tego co ojciec, to założę się, że potrafi cię niejednego nauczyć.

Lucy spojrzała niespokojnie na syna. Tony przypatrywał się Collinsowi z takim

wyrazem twarzy, jak gdyby był on zwierzęciem, którego nie zdarzyło mu się jeszcze spotkać, i jakby usiłował właściwie zaklasyfikować to zwierzę.

- Oczywiście, bardzo chętnie - rzekła Betty uśmiechając się do Tony'ego i wytaczając średnią artylerię. - Naprawdę, strasznie bym chciała. Tylko że obiecałam

Chrisowi, że z nim pójdę i...

Ach, Chris, Chris! - Collins machnął niecierpliwie ręką. - Wiesz dobrze, że

Chris nie jest dla ciebie. Nie możemy przecież pozwolić, żeby Tony zanudzał się ze swoimi starszankami przez całe święta. Wybierz się i z Tony'm, i z Chrisem.

Oczywiście, to będzie wspaniale - odparła Betty, a Lucy dałaby sobie uciąć głowę, że dziewczynka rozważa w duchu wrażenie, jakie wywarłoby jej zjawienie się na sali w towarzystwie dwóch chłopców. - Jeżeli Tony ma ochotę...

Jasne, że ma ochotę! - krzyknął Collins. - No więc, synu, jesteś u nas o dziewiątej wieczorem i...

Bardzo mi przykro, proszę pana - rzekł Tony spokojnie. - Mam dzisiaj zajęty wieczór.

Jego bardzo opanowany głos przeciął burzliwy potok wymowy Collinsa ostrzem chłodnej, uprzejmej obojętności, dając od jednego razu odprawę hałaśliwemu, głupiemu ojcu i zalotnej, triumfującej córce. Nie było w tym głosie ani cienia chłopięcej niepewności. Była to zupełnie dojrzała, mrożąca odprawa, zaaplikowana z rozmysłem. Betty dobrze to rozumiała. Spojrzała uważnie na

Tony'ego, zła i zaciekawiona zarazem, odsłaniając na chwilę swoją prawdziwą twarz.

Potem spuściła powieki i znowu ukryła się za nimi.

„Gdzie on się tego nauczył? - zastanawiała się Lucy. - Co miał z dziewczętami przez te dwa lata, że jest aż tak pewien siebie?” Widziała teraz Collinsa oczami

Tony'ego i z przykrością uświadamiała sobie, że jeszcze przed rokiem Oliver nie zgodziłby się nigdy wpuścić do swego domu ani samego Collinsa, ani jego córki.

Collins także rozumiał. Oczy mu się zwężyły, mierzył wzrokiem Tony'ego zdając sobie sprawę z jego wrogości. W pokoju zapadła nieznośna cisza, atmosfera była pełna napięcia. Lucy zauważyła, że z nich wszystkich tylko Tony nie czuł się zakłopotany. Collins opiekuńczym gestem poklepał córkę po ręku.

No, jak chcesz, synu - odezwał się wreszcie. - Dawałem ci szansę. - Potem zwrócił się w stronę Olivera. - Mówiłeś coś, Ollie, o kieliszeczku, czy też mi się zdawało?

Och, przepraszam - rzekł Oliver. - Przepraszam cię najmocniej! Na co masz ochotę?

Martini. To jedyny trunek na Dziękczynienie.

O1iver wrzucił do shakera kostki lodu, po czym otworzył butelkę z dżinem.

Wszyscy przyglądali się tym czynnościom z udanym zaciekawieniem, usiłując w ten sposób zatuszować rozdźwięk, jaki Tony stworzył pomiędzy nimi.

- Nie, nie, nie, bracie! - zawołał Collins zrywając się z tapczana. - Utopisz wszystko w wermucie. - Podeszedł do baru i wziął shaker z rąk Olivera. - Zepsujesz nam święto, Ollie. Czeka, daj mi to. Pozwól zabrać się do roboty staremu wydze od martiniego.

Dobrze, rób, jeśli masz ochotę - zgodził się O1iver oddając mu także butelkę z dżinem. - My na ogół pijemy whisky i dlatego...

Cała sztuka tkwi tutaj, w przegubie. Cała, sztuka, bracie, w przegubie - tłumaczył Collins przymrużając oko i dolewając ostrożnie dżinu. - Nauczył mnie tego jeden stary Indianin, tam w puszczy...

- Ja to zrobię - odezwał się niespodziewanie Tony. Zbliżył się bez pośpiechu do dwóch mężczyzn stojących przy barze i odebrał shaker z rąk Collinsa. Ten stał z głupią miną, z otwartymi ustami i ręką wciąż jeszcze zgiętą, jak gdyby trzymał w niej dzbanek.

- W tym domu, proszę pana - wyjaśnił Tony - mamy własnych barmanów.

Z całym spokojem dolał wermutu i dżinu i zaczął potrząsać shakerem spoglądając na O1ivera z milczącą, bezlitosną naganą.

- Oczywiście, oczywiście - wybąkał Collins wzruszając ramionami. Czuł się poskromiony, chciał jakoś zareagować, ale nie wiedział jak. Odprawiono go, więc odszedł i usiadł z powrotem na tapczanie.

Tony stał przy barze mieszając cocktail i nie zwracając uwagi na Collinsa.

Patrzył wciąż pogardliwie na ojca. Wzrok O1ivera spotkał się przelotnie z jego spojrzeniem, O1iver uśmiechnął się niepewnie i oddalił się od baru.

- No, proszę - powiedział głośniej, niż było trzeba. - Jak to się opłaca oddać syna do dobrej szkoły! Uczą go robić cocktaile.

Roześmiał się nieszczercze, a Lucy poczuła, że nie wytrzyma w tym pokoju ani chwili dłużej. Zerwała się z krzesła mówiąc:

- Bardzo przepraszam, ale muszę zobaczyć, czy obiad się nie przypala.

Uciekła do kuchni i zamknęła za sobą drzwi, aby nie słyszeć, o czym tamci mówią ze sobą w saloniku. W roztargnieniu przekładała bez celu różne rzeczy z miejsca na miejsce, nie uważała na to, co robi, pragnęła tylko, żeby już się skończył ten dzień, ten tydzień, ten rok... „O Boże - myślała z rozpaczą - gdyby nie te przypadki!” Dlaczego musieli spotkać na meczu Collinsa?

Dlaczego nie mogło na przykład padać, wtedy me wyszli by w ogóle z domu?

Dlaczego Oliver musiał ich zaprosić? Dlaczego pozwoliła mu się całować? Dlaczego Oliver pozwala mówić do siebie: Ollie?

Ułożyła indyka na półmisku, ubrała go dokoła patatami, przelała sos do sosjerki, a borówki włożyła do szklanej czarki. Potem usiadła przy oknie z rękami założonymi bezsilnie na kolanach i zapatrzyła się w szarość jesiennego popołudnia. Z saloniku przestały dolatywać głosy, a w parę minut później usłyszała samochód Collinsa ruszający sprzed domu.

Wniosła świątecznego indyka do jadalni i uśmiechając się niemal tak jak należy, zaczęła wołać: „Obiad! Obiad!” Ale wiedziała, że teraz nic już nie pomoże.

Tony nie odzywał się prawie wcale w czasie obiadu, za to Oliver mówił o wiele za dużo, wypił bez mała całą butelkę wina i wygłosił obszerną przemowę na temat polityki, podatków i możliwości wojny. Mówił z ustami pełnymi jedzenia, spoglądając w przestrzeń nad ich głowami i nie oczekując odpowiedzi.

Po obiedzie oznajmił, że przyrzekł Collinsowi wpaść do niego na kieliszek brandy.

Zapytał, czy Tony i Lucy mają ochotę wybrać się razem z nim, ale zdawało się, że odetchnął z ulgą, kiedy Tony powiedział: „Nie”, a Lucy oświadczyła, że jest zmęczona i chciałyby uciąć sobie drzemkę.

Oliver wyszedł z domu nucąc głośno melodię marsza, który przed południem grała na stadionie szkolna orkiestra w przerwie między dwiema częściami meczu. Gdy zostali sami przy nie sprząniętym stole, Lucy pomyślała przez chwilę, że nareszcie będzie mogła porozmawiać z Tony’em i może, jeśli uda jej się znaleźć właściwe słowa, potrafi uratować ich wszystkich. Ale Tony miał twarz obojętną i zdawał się przebywać myślami gdzie indziej. Wstała zatem od stołu mówiąc:

- Zostawimy to wszystko, posprzątam później.

Poszła na górę do sypialni, nie oglądając się za siebie. Położyła się i zapadła w drzemkę. Męczyły ją niespokojne sny, jakieś drzwi otwierały się w tych snach i zamykały, słyszała czyjeś kroki w mrocznym, odległym korytarzu, a potem przygłuszone stuknięcia, jak gdyby gdzieś daleko zatrzęsnęły się drzwi.

Obudziła się wcale nie wypoczęta, zeszła na dół do saloniku i nie zdziwiła się spostrzegłszy kopertę na stole z książkami. Wzięła ją do ręki, wyjęła ze środka kartkę i wciąż bez najmniejszego zdziwienia przeczytała list od Tony’ego, który powiadamiał ją, że jego zdaniem będzie lepiej, jeśli wróci zaraz do szkoły.

„Gardzę Tobą za krzywdę, którą wyrządziłaś ojcu - pisał chłopak - i za to, co z niego zrobiłaś. Nie chcę go już więcej widzieć w tym domu razem z Tobą i z tymi nowymi przyjaciółmi, na jakich go skazałaś.”

Na końcu listu były jakieś słowa mocno poprzekreślane i w pierwszej chwili Lucy nie pomyślała o tym, aby spróbować je odczytać. Siedziała z listem w ręku o szarym listopadowym zmierzchu, znużona, przytłoczona ciężarem przypadkowości i klęski.

Po jakimś czasie zapaliła lampkę i wpatrzyła się uważnie w przekreślone słowa na końcu listu. Przysunęła się z kartką bliżej światła i zaczęła odcyfrowywać literę po literze, aż w końcu po paru minutach odczytała to, co Tony napisał.

„Nie chcę Cię znać” - to były te słowa. Zdziwiła się, dlaczego zadał sobie trud przekreślenia ich.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Następnym razem zobaczyła go dopiero w Paryżu, w barze zasnutym dymem z papierosów. Za jej plecami Murzyn wygrywał na pianinie i śpiewał rozlewnym, harlemskim akcentem piosenkę *Le piano des pawres*. Amerykański student przytrzymał jej rękę na stoliku zastawionym kuflami z piwem.

Ileż to lat upłynęło od ponurego zmierzchu w owym listopadzie do chwili, kiedy właściciel paryskiego baru powiedział: „Jeśli można radzić, madame, proszę najpierw zatelefonować. Pan Crown ma żonę. Piękną, uroczą żonę”? Szesnaście lat. I

do tego wygrana wojna, dla niej przegrana. Oliver zginął. Ona starzeje się i pogodziła się z tym albo prawie że się pogodziła. Wszystko zostało naprawione, prawie naprawione. Wszystko przemyślane na nowo. Cierpienie i śmierć osnuły się mgłą przyzwyczajenia, zatarły się w pamięci i na pozór nie mogły już stać się źródłem nowego bólu.

Tej nocy bardzo niewiele spała w wysokim, staroświeckim pokoju hotelowym.

Szerokie i ciężkie łoże przyciśnięte było do ściany ogromną szafą z ciemnego drzewa, której drzwi nie domykały się i od czasu do czasu skrzypiały w ciemności cicho, ostrzegawczo, poruszane podmuchem wślizgującym się przez szparę pomiędzy metalową żaluzją i futryną okna.

Leżąc wsłuchiwała się w tajemniczą skargę skrzypiącej szafy, chwiała się na krawędzi snu i odmieniała po dziesięć razy swoje plany. Postanawiała, że wyjedzie nazajutrz rano, postanawiała, że pójdzie pod adres, który jej dał właściciel baru, postanawiała zachowywać się tak, jakby wcale nie spotkała Tony'ego, i zgodnie z poprzednim planem poświęcić jutrzejszy dzień na zwiedzanie Wersalu i Luwru oraz na spacer nad Sekwaną. Postanawiała wyskoczyć natychmiast z łóżka i zatelefonować do niego, i powiedzieć mu... co mu powiedzieć? „Tu mówi twoja matka. Czy jeszcze mnie nienawidzisz?” Albo może: „Przed

paru godzinami wstąpiłam do nocnego lokalu i zgadnij, kogo tam widziałam przy barze?”

Usnęła rozmyślając o jego twarzy, tak bardzo podobnej do innej twarzy, martwej już i prawie zapomnianej, rozmyślając o szczupłej, dziecinnej twarzyczce, z której ta twarz wyrosła, o delikatnej skórze i szarych, cętkowanych tęczęwkach, tak bardzo przypominających jej własne.

Wcześniej, bo niewiele po ósmej godzinie rano, obudził ją dolatujący z ulicy hałas samochodów, motocykli i wozów ciężarowych. Przez chwilę leżała bez ruchu nasłuchując tych niemiłych odgłosów. Pamięć jej była jeszcze uśpiona, ale miała świadomość, że coś się zmieniło. Już nie czuła się jak turystka w Paryżu, lecz jak cierpiąca ofiara w obcym, zaciemnionym pokoju.

Nagle zbudziła się i pamięć. Lucy zrozumiała, skąd się w niej nagle wzięło to uczucie. Zmusiła się do wstania, spojrzała na zegarek. Z żalem pomyślała; że gdyby obudziła się później, mogłaby sobie powiedzieć, że już za późno, że już na pewno nie zastanie go w domu, że wyszedł do pracy.

Wykąpała się w chłodnej wodzie, aby się prędzej otrząsnąć z resztek snu, i zaczęła się ubierać pośpiesznie, bez zastanowienia, spoglądając od czasu do czasu na zegarek, jakby się bała spóźnić na pociąg. Zanim wyszła z pokoju, rzuciła okiem na swoje odbicie w lustrze. Przyglądała się sobie z zaciekawieniem, myśląc o tym, jaką on ją zobaczy przy spotkaniu. Bez cienia chępliwości stwierdziła, że nawet w dziennym świetle, nawet po nocy spędzonej niemal bezsennie, nie wygląda tak źle.

Oczy ma błyszczące, skórę gładką, a ponieważ jest opalona, nie potrzebuje żadnego makijażu, prócz odrobiny pomadki na usta. Ciemnoblonde włosy ładnie wyglądają poprządkowane jaśniejszymi pasmami, spłowiałymi od słońca.

Włożyła kapelusz i już miała wyjść, lecz nagle zatrzymała się, zdjęła go z głowy i rzuciła na łóżko. Na ogół chodziła bez kapelusza, wyjątek stanowiły oficjalne okazje, a z tego spotkania nie chciała robić oficjalnej okazji. Zdenerwowana, jeszcze raz przeczesała włosy szczotką, po czym pod wpływem nagłego impulsu podeszła do otwartej walizki stojącej na stolku, sięgnęła do kieszeni po wewnętrznej stronie wieka i wyciągnęła zmiętą, podniszczoną kopertę. Ostrożnie włożyła ją do torebki i wyszła.

Na dole przywołała taksówkę i zaledwie dwa razy powtórzyła adres, a szofer już ją zrozumiał. Usadowiła się na tylnym siedzeniu i gdy samochód ruszył wzdłuż

cienistej, wysadzonej drzewami ulicy, doznała przez chwilę czegoś w rodzaju uczucia triumfu. „Może to omen - pomyślała. - Może dzisiaj potrafię się porozumieć z wszystkimi?”

Taksówka wiozła ją szybko przez nieznane ulice, Lucy podskakiwała na twardych

sprężynach i nie wiedziała właściwie, co chce powiedzieć swojemu synowi.

Trudno jej było nawet uprzytomnić sobie, dlaczego chce się z nim widzieć i czego się spodziewa po tej wizycie. Wiedziała tylko, że musi to zrobić. Tak jak we śnie otwiera się drzwi do drugiego, ciemnego korytarza i wie się, że z jakiegoś powodu, który nigdy nie będzie wyjaśniony, trzeba koniecznie, zanim sen się skończy, dojść do samego końca korytarza.

Taksówka zatrzymała się przed domem czynszowym, Lucy wysiadła i zapłaciła szoferowi usiłując zapanować nad lekkim drżeniem rąk. Nie wchodziła jeszcze do bramy, lecz przyglądała się domowi od zewnątrz. Był zbudowany z nijakiego, szarego kamienia, dosyć odrapany i zniszczony przez słońce, ot, jeden z tych domów, które same w sobie mają bardzo niewiele piękna, ale jakimś sposobem wraz z sąsiednimi, podobnymi domami tworzą w Paryżu miłe, skromne ulice, składające się razem na miasto.

U nas - pomyślała Lucy - gdyby ktoś mieszkał w takim domu, starałby się przenieść jak najprędzej do innej dzielnicy.”

Weszła do bramy i powiedziała bardzo wyraźnie do tłustej, jasnowłosej konsjerżki:

*Monsieur Crown, s'il vous plait?*

*Troisième à gauche* - odparła konsjerżka lustrując nieznajomą ostrym, podejrzliwym spojrzeniem.

Lucy przetłumaczyła sobie uważnie jej słowa na angielski i przycisnęła w windzie guzik na trzecie piętro. W klatce schodowej było ciemno, toteż długo szukała po omacku, zanim trafiła na dzwonek przy drzwiach, na lewo od windy. Słyszała, jak dzwonek dźwięczy w mieszkaniu, a z jakiegoś innego mieszkania w tym samym domu dochodziło stłumione huczenie odkurzacza, uparte i drażniące.

Nikt nie otwierał, więc Lucy zadzwoniła jeszcze raz. Budziła się w niej nadzieja, zmieszana z wyrzutami sumienia, że może nie ma nikogo w domu, może będzie mogła zejść ciemnymi schodami, wyjść na ulicę i uciec od tego domu, może nie będzie musiała spojrzeć w oczy synowi. Już miała odejść, kiedy usłyszała zbliżające się kroki i drzwi się otworzyły.

Przed nią stała młoda kobieta w różowym szlafroczk, drobna, z krótkimi, ciemnymi włosami, rozświetlonymi blaskiem słońca, wpadającym do hallu z głębi mieszkania. Lucy nie wiedziała wyraźnie jej twarzy, tylko szczupła sylwetka rysowała się ostro na jasnym tle.

Pani Crown? - zapytała.

Tak - odparła młoda kobieta stojąc w szeroko otwartych drzwiach.

Czy pan Crown jest w domu?

Nie. - Przechyliła w bok głowę, jak gdyby chciała się lepiej przyjrzeć obcemu



gościowi.

A kiedy wróci? - pytała dalej Lucy.

Nie wiem. - Głos młodej kobiety był teraz chłodny i niezycziwy. - Nie wiem, kiedy wróci. A co mam powtórzyć? Kto chciał się z nim widzieć?

Nazywam się Crown - rzekła Lucy czując, że to brzmi śmiesznie. - Jestem jego matką.

Przez chwilę stały obie w milczeniu i przyglądały się sobie. Wtem młodsza roześmiała się.

- Proszę wejść - powiedziała ujmując Lucy za rękę. - Najwyższy czas, żebyśmy się wreszcie poznały.

Zaprowadziła Lucy przez przedpokój do saloniku. Panował tu nieład, na niskim stoliku przy tapczanie stała taca, a na tacy - nie dopita filiżanka kawy, tłący się papieros i numer „Tribune” w kontynentalnym wydaniu, otwarty na wstępnym artykule.

- A więc, witam panią w Paryżu - rzekła z leciutkim uśmiechem młodsza pani Crown.

Trudno było poznać, czy w tych słowach i w uśmiechu, który im towarzyszył, była ukryta drwina, czy też nie. Lucy znalazła się na obcym, niepewnym gruncie, toteż stała w wyczekującej pozie, ostrożna i skrępowana.

Myślę, że przede wszystkim powinnam się przedstawić - mówiła dalej pani domu, patrząc otwarcie na Lucy. - A może pani wie, jak ja się nazywam?

Nie, niestety nie...

Dora. A ja znam pani imię. Może pani usiądzie. Pozwoli pani filiżankę kawy?

Jeżeli nie ma Tony'ego... - broniła się Lucy niepewnie. - Nie chciałabym przeszkadzać tak wcześnie rano.

Nie mam nic lepszego do roboty o tej porze - odparła Dora. - Pójdę tylko po drugą filiżankę.

Wyszła z pokoju lekkim krokiem, zbierając połami różowego szlafrocza promienie słońca wpadające przez otwarte okna. Pokój ten pamiętał lepsze czasy.

Dawno nie malowane ściany były już przybrudzone, a dywan przeświecał wytartymi plamami. Wszystko tu pachniało wynajętymi meblami w niezbyt dobrym stanie i prowizoryczną egzystencją ludzi nie dbających o jutro. Jedyne dwa duże, efektowne obrazy zawieszane na ścianie - abstrakcyjne i pełne niepokoju - świadczyły o osobistym smaku właściciela.

„Muszą być w biedzie - pomyślała Lucy. - Ale gdzie się podziały wszystkie

pieniądze?”

Dora wróciła z filiżanką. Podczas gdy nalewała kawę, Lucy obserwowała ją spod oka.

Była bardzo młoda, miała głęboko osadzone, czarne oczy i gęste, ciemne włosy odczesane z czoła z surową, lecz pociągającą prostotą. Matowa bladość jej trójkątnej twarzyczki podkreślała niepokojąco zmysłowy wyraz dużych i pełnych ust. Z

papierosem przyklejonym do warg Dora pochylała się nad niskim stolikiem i mrużąc lekko oczy nalewała kawę. Twarz jej wydawała się naznaczona trwałym piętnem rezygnacji i zniechęcenia.

„Może to taki fason w tym roku dla młodych małżeństw? - myślała Lucy biorąc z jej rąk filiżankę. - Może zdecydowali, że w tym roku trzeba mieć minę niezadowoloną?”

No, nareszcie - rzekła Dora siadając naprzeciw Lucy. - Jaka szkoda, że nie ma Tony'ego, żeby robić honory domu.

Tak wcześnie wyszedł?

Nie - odparła bezbarwnym głosem. - Jeszcze nie wrócił.

Ma nocną pracę? - zapytała Lucy zmieszana.

Nie.

Bo ja... Bo ja widziałam go o drugiej w nocy, w pewnym barze... - Urwała zakłopotana.

Tak? - Dora nie sprawiała wrażenia zainteresowanej. - I jakież było powitanie?

Nie rozmawiałam z nim. Kiedy wyszedł z baru poprosiłam właściciela o adres.

Był sam? - Dora przechyliła w tył głowę, by wypić resztkę kawy z filiżanki.

Tak, sam.

Coś podobnego! - Głos Dory był w dalszym ciągu bezbarwny i martwy.

Przepraszam - rzekła Lucy. - Nie chcę się mieszać w... Lepiej już sobie pójdę. Jak wróci, to proszę mu powiedzieć, że jestem w Paryżu. Zostawię mój numer telefonu w hotelu i jeżeli zechce...

Ależ nie, proszę nie odchodzić - nalegała żona Tony'ego. - To nie jest żadne mieszanie się w nasze sprawy. Powinien wrócić lada chwila.

Albo... lada tydzień - dodała śmiejąc się cierpko. - Nie, wcale nie jest tak źle, jak pani przypuszcza. W każdym razie, lubię sobie wmawiać, że nie jest tak źle, jak się ludziom wydaje. Tony ma w pobliżu pracownię i czasami, kiedy ma dużo roboty albo kiedy już nie może dłużej znieść domowych rozkoszy, zagrzebuje się w swojej norze.

Ale jeżeli pani go widziała w barze o drugiej nad ranem, to chyba tej nocy tak ciężko nie pracował.

Ma pracownię? - zdziwiła się Lucy. - A co on tam robi?

Jak to, pani nie wie? - Dora wydawała się również zdziwiona.

Nie. Ostatni raz odezwał się do mnie w czasie wojny, kiedy go zawiadomiłam o tym, że ojciec poległ. Zatelegrafował mi wtedy, że nie ma zamiaru przyjechać na uroczystości żałobne.

To zupełnie podobne do niego - zauważyła Dora z wyrazem rozbawienia. - Nie znosi wszelkich ceremonii. Gdyby nasz ślub trwał pięć minut dłużej, na pewno umknąłby od ołtarza jak rączy jeleni. - Umilkła, zapaliła nowego papierosa krzywiąc się przy tym trochę i wpatrzyła się w sufit nad głową Lucy, jak gdyby przywoływała wspomnienie dnia swojego ślubu. - Przypuszczam, że pani nie wiedziała także i o tym, że jest żonaty?

Nie wiedziałam.

Tak, jest żonaty - powiedziała powoli. - Za swoje grzechy. Na razie jest żonaty. Przy tym kupnie nie dają żadnej gwarancji. - Zaśmiała się krótkim, urywanym śmiechem.

„Nie jest taka oschła, jak by się chciała wydać - pomyślała Lucy przyglądając się bladej młodzieńczej twarzyczce, ściągniętej wyrazem goryczy. - Może i to jest tylko moda. Albo nauczyła się nosić taką maskę, żeby wytrzymać ze swoim mężem.”

Chce pani wiedzieć, co on robi w pracowni? - podjęła Dora. - Jest karykaturzystą. Rysuje zabawne ilustracje do czasopism. Tego pani także nie wiedziała?

Nie - odpowiedziała Lucy. Wydawało jej się nieprawdopodobne, aby jej syn wybrał taki zawód. Słowo „karykaturzysta” kojarzyło się naiwnie w jej myślach z wyobrażeniem kłownów, aktorów farsowych w śmiesznych kapeluszach i nieskomplikowanych, lekkomyślnych młodzieńców. W ciągu tej krótkiej chwili, kiedy przyglądała się Tony’emu w tej nocy, nic podobnego nie przyszło jej na myśl.

Jako chłopiec był także dosyć poważny. - Co prawda - dodała głośno - miał zwyczaj bazgrać na swoich szkolnych książkach małe rysunekzki. Ale nie było w tym nic wybitnego.

Myślę, że musiał zrobić postępy od tego czasu - zauważyła Dora. - W każdym razie postępy w tym kierunku...

Ale nigdy nie spotkałam jego nazwiska.

Nie podpisuje tych rysunków swoim nazwiskiem. Mam wrażenie, że się ich wstydzi. Gdyby mógł robić cokolwiek innego, rzuciłby rysowanie.

A co chciałby robić?

Nic. Przynajmniej nie mówił mi o niczym określonym.

Dobrze zarabia? - zapytała Lucy.

Tak, dosyć. Mamy na jedzenie. Gdyby chciał wrócić do Ameryki, mógłby prawdopodobnie robić grube pieniądze. Ale jemu nie bardzo na tym zależy. Ma proste upodobania. Okropne, ale proste. - Uśmiechnęła się blado. - Nigdy nie objawiał pragnienia obsypywania żony futrami ani klejnotami.

Dlaczego nie chce wrócić do Ameryki? - dopytywała się Lucy z trwożną nadzieją, że odpowiedź nie będzie dla niej bolesna.

Dora spojrzała na nią zimno.

- Mówi, że od wczesnej młodości przywykł żyć na wygnaniu i że czułby się chyba niedobrze, gdyby to się miało odmienić. Poza tym mówi, że najlepiej mu się żyje we Francji, bo Francuzi są ludźmi zrozpaczonymi i on się tym zachwyca. „Co za rozmowy toczyły się w tym obskurnym pokoju - myślała Lucy. - Jakież bolesne, beznadziejne słowa musiały tu padać!”

Dlaczego on opowiada takie rzeczy? - spytała głośno. Młoda kobieta popatrzyła na nią przeciągle i rzekła:

Chyba pani mogłaby mi coś na ten temat powiedzieć. Lucy zawahała się.

- Może kiedy indziej. Wygląda na to, że Tony jest bardzo trudny we współżyciu.

Dora roześmiała się tak, jak gdyby śmiech z trudem wrywał się z jej gardła.

- Ależ pani ma talent opisowy! - powiedziała z ironią. „Nie jest mi życzliwa - stwierdziła w duchu Lucy. - Może się okazać taka albo inna, ale nie jest dla mnie życzliwa.”

- Nie powinnam tak o nim mówić - ciągnęła żona Tony'ego. - Robię z niego potwora. A on wcale nie jest potworem. Już pięć lat żyjemy ze sobą, nieraz było mi ciężko, no i zawsze wisi w powietrzu ta możliwość, że pewnego pięknego poranka on wróci do domu i powie: „Teraz już koniec między nami.” Właściwie jestem pewna, że to się kiedyś stanie, ale pomimo wszystko nie chciałabym, żeby było inaczej, nie chciałabym niczego zmieniać. Warto było - powiedziała z naciskiem, jak gdyby chcąc sprowokować protest ze strony Lucy. - Wszystko jedno, jak to się skończy, ale warto było. - Z wyraźnym wysiłkiem powstrzymywała się od dalszych zwierzeń. - Sama pani zresztą zobaczy, kiedy pani z nim porozmawia - podjęła lekkim tonem. - Przypuszczam, że w ciągu dwudziestu minut potrafi panią zupełnie oczarować i będzie go pani uważać za najbardziej oddanego i kochającego syna na świecie. Jeżeli tylko zechce, na pewno panią przekona, że przez dwadzieścia lat starał się połączyć z panią telefonicznie, tylko tak się fatalnie składało, że ile razy zatelefonował, pani akurat nie było w domu.

- Wątpię - odparła Lucy.

Czuła się zdenerwowana, zawiedziona, mocno zaciskała dłonie, aby opanować ich niespokojne ruchy. Taki pech! Taki pech! Kiedy ona nareszcie przygotowała się do spotkania z Tony'm, jego nie ma w domu. Zamiast syna zastaje tę nieżyczliwą, nieszczęśliwą, cyniczną i zarazem patetyczną dziewczynę, która odsłania przed nią niepokojące historie o mężu, raczy ją skromną antologią jego gorzkich aforyzmów o wygnaniu i rozpacz, wreszcie z wyzywającą szczerością opowiada o swojej miłości, którą on odpłaca lekceważeniem albo jeszcze gorzej.

Ale już dosyć o mnie i o moich sprawach - rzekła Dora zmieniając się nagle w uprzejmą panią domu. - Chciałabym teraz dowiedzieć się czegoś o pani.

Wygląda pani tak młodo...

Nie jestem już wcale młoda.

Wiem, że pani była piękna. Tony mi opowiadał. - Głos Dory brzmiał teraz szczerze i swobodnie, oczy uśmiechały się i spoglądały na Lucy otwarcie, z nieoczekiwanym uznaniem, jak gdyby postanowiła patrzeć na nią zupełnie obiektywnie, bez żadnych skojarzeń z historią jej życia, bez nawiązywania do tego, co się kryło poza modnie ostrzyżonymi, ciemnoblonde włosami, poza szeroko rozstawionymi, głębokimi oczami i dużymi, młodzieńczymi ustami o miłym wyrazie.

- Ale nigdy nie przyszło mi na myśl, że pani może wciąż tak wyglądać, że kiedy panią zobaczę, to wszystko będzie jeszcze tak samo jak wtedy...

Już dawno nie jest tak samo jak wtedy, moja droga - stwierdziła Lucy.

Powinna pani zobaczyć moją matkę. - Dora zachichotała złośliwie. - W typie *garden-club*. Waga półciężka. Kiedy nareszcie zrezygnowała z młodości, wybrała się na najdłuższą wycieczkę morską, jaką można było wykombinować.

Wybuchnęły obie przyjemnym, kocim śmiechem, jak dwie plotkujące kumoszki.

- Musi pani tu jeszcze trochę zostać - rzekła Dora - i nauczyć mnie tej sztuki.

Nigdy nie mogłam znieść myśli, że się zestarzeję. Kiedy miałam szesnaście lat, ślubowałam sobie święcie, że popełnię samobójstwo w czterdziestą rocznicę urodzin.

Może pani mnie od tego uratuje.

„Nauczyć cię tej sztuki - myślała Lucy uśmiechając się do synowej, ale w sercu czując mroczną trzeźwość. - Moja sztuka polega na tym, że jestem sama, że nie mam się na czym oprzeć z dostateczną pewnością, że nie mam nikogo, kto by mnie podtrzymał.” Moja sztuka, jeśli cię to interesuje, polega na nieustannej walce.”

- Co za szkoda, że nie przyszła pani do nas po południu - mówiła Dora. - Powinnyśmy się czegoś napić dla uczczenia naszego pierwszego spotkania, i to po tylu latach. - Spojrzała

pytając na Lucy. - Czy pani uważałaby to za wielkie przestępstwo, gdybyśmy się czegoś napiły o tej porze?

Lucy rzuciła okiem na zegarek. Było pięć minut po wpół do dziesiątej.

- No cóż... - powiedziała niepewnie.

Znała kilka kobiet, które zawsze umiały znaleźć pretekst, aby pić o wszelkich porach dnia i nocy. Może to było to? Może dlatego Tony trzymał się z daleka od domu?

Dora zachichotała. - Niech pani tak na mnie nie patrzy - powiedziała domyślnie. - Od samego urodzenia nie wypiałam jeszcze ani kieliszka przed południem.

Lucy znowu się roześmiała, podobała jej się bystrość synowej.

- Myślę, że to wspaniały pomysł - oświadczyła.

Dora wstała i podeszła do stolika z marmurową płytą, na którym stały pod ścianą butelki i parę szklaneczek. Nalała do dwóch szklaneczek szkockiej whisky i trochę wody sodowej. Miała precyzyjne i pełne wdzięku ruchy, a kiedy odmierzała starannie trunek przechylając w bok głowę, wyglądała jak poważna, wysmukła dziewczynka. Patrząc na nią Lucy poczuła ostrą niechęć do syna jako do sprawcy cierpienia takiej dziewczyny. Dziewczyny, która ze względu na swą piękność mogła się spodziewać od pierwszego spojrzenia w lustro, że ludzka życzliwość, wyrozumiałość i miłość będą ją otaczać przez całe życie. Dora podała jej szklaneczkę.

Na różnych uroczystościach w małych miasteczkach francuskich -  
powiedziała - bardzo często pije się przed południem. Zaprasza się wtedy mnóstwo ludzi, a w miejscowej gazecie pojawiają się ogłoszenia, w których to się nazywa

*Verre d'amitie* albo *Coupe d'honneur*. To znaczy - przetłumaczyła sumiennie - „Czarka przyjaźni” albo „Honorowa lampka”. A jak my to nazwiemy?

Zaraz, muszę się zastanowić - rzekła Lucy. - Może trochę tego i trochę tego?

Trochę tego i trochę tego - zgodziła się Dora podnosząc swoją szklaneczkę.

Wypiły. Dora kontemplowała smak trunku poruszając językiem w ustach.

Teraz już wiem, dlaczego ludzie lubią pić przed południem - oznajmiła po chwili. - O tej porze whisky ma smak o wiele bardziej wyrazisty, prawda?

Tak, rzeczywiście - przyznała Lucy.

Atmosfera wrogości rozwiała się i Lucy zaczynała się czuć zupełnie swojsko w towarzystwie synowej. Pochwalała Tony'ego przynajmniej za to jedno, za to, że wybrał sobie taką żonę.

- No więc - mówiła Dora popijając whisky - dosyć już naopowiadałam o sobie i o Tony'm. Pomówmy teraz o pani. Co pani tutaj robi? Wycieczka turystyczna?

- Częściowo tylko. Pracuję w pewnej nowojorskiej organizacji, związanej mniej lub więcej oficjalnie z Organizacją Narodów Zjednoczonych. Zajmujemy się dziećmi. To znaczy, robimy zamieszanie na całym świecie i naprzykrzamy się różnym mężom stanu, jeżeli nie zajmują właściwego stanowiska wobec zagadnienia pracy nieletnich, kredytów dla szkolnictwa albo zapewnienia małym obywatelom powszechnego szczepienia i iluś tam litrów mleka rocznie. Występujemy też bardzo stanowczo w sprawie przyznania nieślubnym dzieciom pełnej równości wobec prawa.

No i tym podobne historie. - Mówiła lekkim tonem, lecz mimo to nie potrafiła zamaskować dumy ze swojej pracy oraz wielkiej powagi, z jaką ją traktowała. - W

Ameryce ludzie dają masę pieniędzy na naszą organizację, a my decydujemy, jak je użyć. Już od pięciu tygodni grasuję po Europie, robię ważną minę na różnych konferencjach, notuję, klepię po czarnych główkach dzieci w Jugosławii, Grecji i na

Sycylii. Wczoraj też miałam konferencję. Trzeba było wszystko tłumaczyć na trzy języki, toteż skończyło się dopiero po pierwszej w nocy. Nie miałam czasu na obiad, więc wróciłam do hotelu głodna jak pies. Dlatego właśnie poszłam do baru, i tam zobaczyłam Tony'ego...

- Widzę z tego, że pani jest bardzo ważną osobistością - rzekła Dora z młodzieńczym podziwem. - Może pani miewa konferencje prasowe i różne wywiady?

Od czasu do czasu - uśmiechnęła się Lucy. - Moja specjalność to regulacja urodzin.

Nigdy nic nie robiłam - stwierdziła Dora, w zamyśleniu obracając w palcach szklaneczkę. - Nawet nie skończyłam college'u. Przyjechałam tu na wakacje, poznałam Tony'ego i taki był koniec mojej nauki. To musi być cudowne - czuć się pożyteczną.

Tak - powiedziała Lucy zwięźle i poważnie.

Może kiedy Tony mnie w końcu porzuci - rozważała Dora rzeczowo - zrobię, co trzeba, żeby się stać użyteczną.

Ktoś pchnął z drugiej strony drzwi od jadalni, otworzyły się z wolna i spoza nich wyrzała główka małego chłopczyka.

Mamo - powiedział chłopczyk - Yvonne mówi, że ma dziś po południu wychodne i że jeżeli ty się zgadzasz, to ona mnie zabierze do swojej szwagierki. Ta szwagierka ma trzy ptaszki w klatce.

Chodź tutaj, Bobby, i przywitaj się.

Kiedy muszę powiedzieć Yvonne - nalegał chłopiec. - Muszę jej zaraz powiedzieć.

Wszedł jednak do pokoju i onieśmielony, nie patrzył wcale na Lucy. Trzymał się prosto jak struna, wyglądał zdrowo, miał myślące, szare oczy i podłużną głowę z wysokim

czołem. Włosy miał krótko obcięte, ubrany był w kuse spodenki i trykotową koszulkę, a gołe ręce i nogi, podrapane i pozalepiane plastrami, jak to zwykle u dzieci, wydawały się proste i zadziwiająco krzepkie.

Lucy wpatrywała się w niego całkiem oszołomiona, zapomniała się uśmiechnąć do dziecka i zastanawiała się tylko nad tym, jak Tony wyglądał w tym wieku. „Dlaczego nie powiedziała mi, że mają syna?” - myślała dotknięta do żywego i znowu nieufna. Wyczuwała, że Dora dla jakichś przyczyn sięgających w przyszłość zataiła przed nią sprawę tak zasadniczej wagi.

- To jest twoja babcia - mówiła Dora przyglądając delikatnie włosy chłopczyka. - Przywitaj się z babcią.

Bez słowa, w dalszym ciągu nie patrząc na nią, chłopiec podszedł do Lucy i wyciągnął rączkę. Uścisnęli sobie dłonie z powagą. Wtem, nie mogąc zapanować nad sobą, Lucy objęła go i zaczęła całować, mimo że mogła go przez to odstraszyć i zrazić do siebie. Bobby stał grzecznie i czekał, aż go uwolni z uścisku.

Lucy nie wypuszczała go z objęć nie dlatego, żeby pragnęła przedłużyć pocałunki, lecz z obawy, że gdyby go puściła, to chłopczyk mógłby spostrzec jej łzy.

Obejmując szczupłe ramionka, dotykając palcami delikatnej, jędrnej twarzyczki dziecka, poczuła, że to, co straciła, te zmarnowane lata, które dotychczas wydawały się tylko abstrakcyjną, teoretyczną stratą, że to wszystko staje się nagle rzeczywiste, bolesne, ucieleśnione w sposób wstrząsająco smutny.

Pochyliła głowę i ucałowała puszyste włosy chłopca, pachnące suchym, świeżym, zapomnianym zapachem dzieciństwa. Czowała, że Dora ją obserwuje.

Odetchnęła głęboko, powstrzymała łzy napływające do oczu, puściła chłopca i z wysiłkiem uśmiechnęła się do niego.

Robert to śliczne imię - powiedziała. - A ile masz lat? Chłopiec wrócił do matki i stanął przy niej. Nie odzywał się.

Bobby, powiedz babci, ile masz lat - zachęcała go Dora.

Moja babcia jest gruba - oświadczył chłopczyk.

To tamta babcia. Ta, która była u nas zeszłego roku.

- Mam cztery lata - odpowiedział Bobby. - Moje urodziny są w zimie.

Wtem zgrzytnął klucz w drzwiach wejściowych i w hallu dały się słyszeć kroki. Do pokoju wszedł Tony. Na widok Lucy zatrzymał się i nie poznając jej w pierwszej chwili - uprzejmy i zdziwiony - spojrzał pytająco na Dorę. Miał na sobie to samo ubranie, w którym go widziała w nocy. Wyglądało tak, jakby się w nim przespał. Był zmęczony, nie ogolony i



mrugał powiekami, gdyż po ciemnej windzie raził go jaskrawy blask słońca w saloniku. W ręku trzymał ciemne okulary.

- Tatuś! - zawołał chłopczyk. - Mama mówi, że mogę pójść z Yvonne po południu do jej szwagierki. Tam są trzy ptaszki w klatce.

- Halo, Tony - powiedziała Lucy podnosząc się z tapczana.

Tony parę razy szybko potrząsnął głową jak ktoś, kto chce się otrząsnąć z przywidzenia.

Aa, tak - powiedział cicho. Nie uśmiechnął się do niej.

Gawędziłyśmy sobie bardzo przyjemnie z twoją matką - wtrąciła Dora.

Spojrzenie Tony'ego zsunęło się z ich twarzy na stojące przed nimi szklaneczki z whisky.

- Tak, widzę. - Uśmiechnął się teraz, ale ten uśmiech był chłodny i nieobecny.

- To świetny pomysł.

Wyciągnął rękę do Lucy i uściśnił jej dłoń oficjalnie. Potem odwrócił się do chłopca. Przez chwilę stał w milczeniu wpatrując się w dziecko z wyrazem napięcia, zaciekawienia i miłości, jak gdyby doszukiwał się w jego subtelnej, miłej, uradowanej twarzyczce jakiejś ukrytej, niedostrzegalnej tajemnicy.

„Tego mi także zapomniała powiedzieć - myślała z goryczą Lucy. - że on tak kocha swoje dziecko.”

Robert - powiedział Tony poważnie - chciałbyś być posłańcem?

To zależy - odparł ostrożnie chłopczyk wyczuwając, że chcą się go pozbyć.

Chciałbyś pójść do Yvonne i powiedzieć, że tatuś ma ochotę na jajka z boczkiem i na duży kubek kawy?

- Ale będę mógł tutaj wrócić? - upewniał się Bobby.

Tony spojrzał na żonę, a potem na Lucy.

Oczywiście - odpowiedział. - Stanowczo chcemy, żebyś do nas wrócił.

To ja tak powiem Yvonne. że stanowczo chcecie, żebym tu wrócił.

Doskonale - zgodził się Tony.

Chłopczyk wybiegł z pokoju. Tony patrzył za nim w milczeniu, dopóki nie znikł za drzwiami, po czym odwrócił się do Lucy i Dory.

No, więc od czego zaczniemy? - zapytał.

Wiecie co - rzekła Dora - chyba lepiej, żeby mnie tu nic było. Ubiorę się, wezmę z sobą małego i...

Nie - sprzeciwiła się Lucy głośniejszym głosem niżby chciała. Myśl, że zostanie sam na sam z

Tony'm w tym odrapanym, byle jak umeblowanym pokoju, że będą czekać, aż

Dora z małym opuszczą mieszkanie, wydawała się jej nie do zniesienia. Potrzebowała trochę czasu i pragnęła się znaleźć na gruncie neutralnym. - Zdaje mi się, że będzie lepiej, jeżeli chcesz się ze mną zobaczyć, żebyśmy się spotkali trochę później.

Jak sobie życzysz - rzekł Tony uprzejmie.

Nie chciałabym psuć twoich planów...

Mój plan na dzień dzisiejszy - powiedział swobodnie, uśmiechając się do niej - to zabawianie mojej matki. Tylko że... - Rozejrzał się po pokoju. - Nie mam ci za złe, że chcesz się stąd wydostać. Coś ci powiem. Zaraz na rogu jest bistro. Jeżeli zechcesz na mnie poczekać jakieś pół godzinki...

Dobrze - przystała skwapliwie Lucy. - Doskonale. - Zwróciła się do Dory. - Do widzenia, moja kochana. - Miała ochotę ucałować ją na pożegnanie, ale nie mogła się na to zdobyć czując na sobie uważne spojrzenie syna. - Bardzo, bardzo dziękuję.

- Odprowadzę panią do drzwi.

Nigdy jeszcze od swoich dziewczęcych czasów Lucy nie czuła się tak niezręczna i skrepowana jak teraz, kiedy chwyciwszy torebkę i rękawiczki wychodziła za Dorą do hallu. Tony stał pośrodku saloniku, wydawał się zmęczony i jakby lekko ubawiony.

Dora otworzyła drzwi na klatkę schodową, Lucy zawahała się w progu.

- Chciała mi pani coś powiedzieć? - spytała po cichu.

Dora zastanawiała się chwilę.

- Proszę uważać - powiedziała w końcu. - Proszę myśleć o sobie. Kto wie nawet, czy to nie byłby dobry pomysł, gdyby pani nie czekała na niego w bistro, kiedy się tam zjawi za pół godziny.

Lucy nachyliła się ku niej impulsywnie i pocałowała w policzek. Dora nie poruszyła się. Stała przy drzwiach i czekała, już nie było w niej życzliwości. Lucy odsunęła się i zaczęła nerwowo wciągać rękawiczki.

- Musi pani zejść na dół schodami - objaśniała Dora. - Te francuskie windy chodzą tylko w jednym kierunku.

Lucy skinęła głową i zaczęła schodzić. Słyszała, jak się za nią zamknięty drzwi od mieszkania. W klatce schodowej było ciemno, więc schodziła ostrożnie, stukając obcasami o kamienne stopnie. Gdzieś w głębi domu nadal pracował odkurzacz: rozedrgany, pulsujący dźwięk, podobny do huczenia gigantycznych owadów w koszmarnym śnie, gonił za nią aż do bramy wiodącej na ulicę.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Przez piętnaście minut krążyła bez celu przypatrując się wystawom sklepowym, lecz w gruncie rzeczy nie dostrzegając wcale, co się na nich znajduje.

Potem wróciła spieszenie na róg ulicy, na której mieszkał Tony. Tak jak powiedział, na rogu było bistro, a kilka stolików stało na niewielkim tarasie pod płóciennym dachem.

Usiadła i zamówiła kawę, aby czymś zabić czas oczekiwania.

Odwiedziny w domu Tony'ego bardzo ją zdeprymowały. W ciągu minionych lat myślała, oczywiście, od czasu do czasu o tym, że kiedyś zobaczy syna, ale w jej wyobraźni to spotkanie odbywało się zawsze w momencie pełnym dramatycznego napięcia. Ona leży na łożu śmierci, wzywają Tony'ego, on przybywa - młodzieńczy, bardzo łagodny - i przebacza jej w obliczu wieczystego rozstania. Ostatni gest miłości, ostatni, kojący pocałunek (twarz, którą miała ucałować, pozostawała uporczywie twarzą szczupłego, trzynastoletniego chłopca, opaloną od słońca, które świeciło tamtego, dawno minionego lata), a potem cudowny powrót do zdrowia, pojednanie i przyjaźń do końca życia. Nawiedzał ją także, chociaż w ostatnich latach już o wiele rzadziej, stale powtarzający się sen: Tony stał nad jej łóżkiem, przyglądał jej się, jak śpi i mówił ochryplym szeptem: „Umrzyj! Umrzyj!” Ale rzeczywiste spotkanie okazało się gorsze zarówno od owego gorzkiego snu, jak i od naiwnej fantazji na temat łoża śmierci. Było przypadkowe i chaotyczne, nie obiecywało nic dobrego na przyszłość. Najpierw, w barze, nie była pewna, czy to naprawdę on, i czuła się zakłopotana, że oto siedzi w nocnym lokalu z dwoma studentami, którym się pozwoliła przygadać, mimo że najzupełniej niewinnie. A potem - przykre wrażenie zaniedbanego mieszkania, zawiedziona żona spowiadająca się przed nią ze swego nieszczęśliwego życia i z rozpaczliwych myśli o przyszłości. Niespodziewany ból na widok małego chłopca z taką znajomą twarzyczką, z poważnymi, łagodnymi oczami, w których mieszały się pokolenia i które zdawały się potępiać ją wstecz jeszcze raz, obarczać ją na nowo jeszcze bardziej przygniatającym ciężarem odpowiedzialności.

Wreszcie sam Tony - przedwcześnie posiwiaty, przedwcześnie znużony, nonszalancki i nieprzyjemnie obcy w stosunku do żony, a w stosunku do niej obojętnie uprzejmy, niewzruszony. Lucy przyznawała, kontrolując swoje wrażenia, że mogła być pod wpływem nie zachęcającego i, być może, wypaczonego obrazu syna, jaki odmalowała jej Dora, zanim Tony wrócił do domu. Wiele przemawiało za tym, że Dora, hodując zadawnione zale i świeżo rozdrażniona spędzeniem przez męża nocy poza domem, mogła w swoim opowiadaniu

poważnie zniekształcić sytuację. Ale nawet gdyby tak było, gdyby przyjąć dużą przesadę w relacji Dory, Tony zrobił na Lucy niepokojące wrażenie.

Wśród tych myśli przewijał się obraz wnuczka. W nim tkwił zadatek nadziei.

Ale chłopaczek był wrażliwy, uwikłany w matni zawodów i wzajemnych żalów, jakimi dręczyli się jego rodzice, zbyt mały jeszcze, aby zrozumieć żrącą gorycz tych prądów, które wypaczały nurt jego życia, skazany nieuchronnie na ich szkodliwe, erozyjne działanie. „O Boże! - westchnęła Lucy. - Co z niego wyrośnie? Czy kara będzie trwać wiecznie?”

Wspomnienie Tony'ego, kiedy stał w nędznym saloniku pomiędzy żoną i matką, krzywiąc usta w cynicznym uśmiechu, wydało jej się nagle przerażające i nienawistne. Ten uśmiech wyszydzał ją i pomniejszał, zagrażał wszystkiemu temu, co tak troskliwie budowała dla siebie od czasu wojny. Zagrażał poczuciu celowości wykonywanej pracy i własnej zdatności do niej, poczuciu, że nareszcie dojrzała, podliczyła swój rachunek uczciwie i surowo. Zagrażał dumie ze zwycięstwa odniesionego nad przypadkowością życia, z tego, że nie ugrzęzła w trzęsawisku swych win, że wkraczała w swoje szóste dziesięciolecie nienaruszona, silna i pożyteczna. Gdy stanął jej przed oczami uśmiech Tony'ego, wszystko to się zachwiało i znowu czuła się tak jak wtedy, przy końcu tamtego lata nad jeziorem:

niepewna, wstydząca się samej siebie, niezdolna do miłości. „Muszę coś zrobić - pomyślała - muszę koniecznie coś zrobić, żeby przestał się tak uśmiechać.”

Czuła się przyparta do muru i bezradna, bała się tego spotkania, na które czekała. Jakże mogła się spodziewać, że czegoś dokona tutaj, w ciągu kilku minut, przy filiżance kawy? Trzeba było wytłumaczyć cały ciąg życia, przerzucić most nad przepaścią, a takich rzeczy nie załatwia się przecież w pół godziny, przy stoliku w bistro. Potrzebowała czasu, jak najwięcej czasu, a poza tym nie takiej atmosfery jak tu, w tej szpetnej kawiarence, gdzie kelnerzy w wyplamionych ubraniach szczękali szkłem w głębi lokalu, a o parę stolików od niej jakiś nie ogolony młodzieniec, wyglądający tak, jakby się krył przed policją, głowił się nad programem totalizatora.

Otworzyła nerwowym ruchem torebkę, wyjęła z niej lusterko i spojrzała na odbicie swej twarzy. Dostrzegła w niej niepokój i wymuszoną sztuczność. To nie była jej prawdziwa twarz, to nie był właściwy wyraz na tę okazję. Schowała z powrotem lusterko i już miała zamknąć torebkę, gdy wtem zauważyła list, który zabrała z walizki wychodząc z hotelu. Wyjęła go, w jej mózgu zaczynał się powoli formować jakiś plan.

Wyciągnęła z koperty cztery arkusiki lichego papieru, cienkie i mocno przetarte na zgięciach. Nie zaglądała do nich od lat i zapakowała je razem z innymi rzeczami w ostatniej chwili przed wyjazdem z Ameryki, nie zdając sobie wyraźnie sprawy z odruchu, jaki nią

kierował, i poprzestając na niejasnej myśli, że skoro już ma być w Europie...

Rozłożyła list i zaczęła czytać.

„Szanowna Pani Crown! Jestem tutaj w szpitalu, więc korzystam z okazji, żeby Pani napisać o stracie, która Ją dotknęła.”

Na liście widniał stempel Czerwonego Krzyża, pismo było koślawe i wypracowane, jak gdyby autor listu był półanalfabetą.

„Pewnie Pani dostała zawiadomienie o Panu Majorze z Ministerstwa Wojny, ale ja byłem razem z Panem Majorem i wiem, że jak się coś takiego stanie, to człowiekowi lżej się robi na sercu, kiedy może się dowiedzieć ze szczegółami o tym, co się stało, od kogoś takiego, co sam był na miejscu. To miasteczko nazywa się Ozieres, może cenzor przepuści, bo to z nimi nigdy nie można wiedzieć, i ja będę to miasteczko długo pamiętać, bo także tam oberwałem, tyle że miałem szczęście, bo jestem niski, a Pan Major, pewnie Pani pamięta, był bardzo wysoki mężczyzna, i maszynka pruła na jednej wysokości, więc ja dostałem w ramię i w szyję (dwa pociski kaliber 30), a Pan Major, że to o wiele wyższy ode mnie, dostał w same płuca. Może to będzie dla Pani pociecha, Pani Crown, że Pan Major nawet nie wiedział, kto go skosił. Z nami był także jeden Francuz, zgrabna bestia niczym łasica, więc od razu skoczył do rowu i nawet go nie drasnęło. Odkąd jestem w szpitalu, to czytam nasze gazety z kraju i oni tam tak piszą, jakby po przerwaniu frontu to już była czysta parada, ale niech Pani wierzy mnie, bo ja sam byłem w tym wszystkim i to nie była żadna parada. Ja byłem w pododdziale zwiadowców przydzielonym do korpusu i mieliśmy trochę półotwartych wozów terenowych, ale przeważnie to jeepy, i kręciliśmy się po całym terenie, bo nikt wtedy nie wiedział, gdzie kto siedzi, i zostały takie wysepki Niemców, to jedni chcieli się jeszcze bić, a znowu inni tylko wypatrywali, komu się poddać.

Człowiek nie mógł wiedzieć, na co się nabije, aż się wpakował i oni otworzyli ogień.

Wtedy można było wiać i nawet ściągnąć przez radio pomoc, jeżeli się miało szczęście, a do naszej roboty właśnie trzeba było mieć szczęście. Ja się tam nie uskarżam, bo myślę, że nie było innego sposobu. Chyba Pani wie, że Pan Major miał przedtem przydział do Drugiego Wydziału sztabu korpusu i każdy zwyczajny oficer dziękowałby Panu Bogu za taką bezpieczną i wygodną służbę, ale Pan Major nie był podobny do tych oficerów ze sztabu, chociaż pewnie i oni mają coś do roboty na tyłach i pewnie starają się, jak mogą. Pan Major zawsze tylko wypatrywał, gdzie może być jakaś draka, i wszędzie chciał być osobiście, więc przywykliśmy do jego jeepa i był razem z nami w kilku rozmaitych akcjach, i z przyjemnością mogę zaświadczyć, że chociaż miał swoje lata, zawsze był odważny i nieustraszony, i to jest taka prawda, jak że dzień jest jasny, i był wesół i prawdziwy

demokrata. Jeżeli coś można mu było zarzucić, to chyba tylko to, że czasami narażał się na śmierć bez takiej na sto procent potrzeby. Więc tego dnia kiedy go zabili, zatrzymaliśmy się o jakieś pięć mil od

Ozieres, przy paru wiejskich chałupach, a że nie było tam nic do roboty, mieliśmy trochę odpocząć. Wtedy zgłosił się do nas jeden Francuz, gospodarz, i powiada, że on jest z tamtej strony Ozieres i że tam się ukrywa kupa Niemców, może ze dwudziestu, i że oni chcą się poddać. Więc Pan Major wziął ze sobą tego Francuza i jeszcze drugiego jeepa z czterema chłopakami i pogazowaliśmy. Może Pani będzie kiedyś we

Francji, w miasteczku Ozieres, to Pani sama zobaczy, że jak się podjeżdża od północy, to jest skrzyżowanie dróg na dwieście jardów przed miasteczkiem, i jak dojechaliśmy do tego miejsca, to Pan Major zatrzymał obydwaj jeepy i powiada, że lepiej iść dalej piechotą. Wyłamał sobie kij z żywopłotu, a w jeepie miał biały ręcznik, więc uwiązał ten ręcznik do kija i mówi po francusku do tego Francuza:

«Pójdziecie razem ze mną», a chłopakom powiada, żeby na wszelki wypadek zawrócili jeepy i rozproszyli się trochę, żeby mogli nas kryć, jakby coś poszło nie tak.

Miasteczko było zamknięte jak pudełko. We Francji mają okiennice w oknach, więc wszystko było pozamykane, nie widać było żywego ducha, taka cisza i spokój, jakby człowiek był już w powrocie w Iowa. Ten Francuz, Pan Major i ja zaczęliśmy iść drogą do miasteczka, Pan Major szedł w środku i nie było żadnego znaku, żeby coś takiego miało się stać, i ten Francuz gadał do Pana Majora po francusku, a Pan Major mu odpowiadał, mówił, że już był raz we Francji dawno temu, jeszcze przed wojną, że wtedy nauczył się ich mowy, i raptem, ledwie doszliśmy do tego skrzyżowania, bez

żadnego ostrzeżenia otworzyli na nas ogień. Już przedtem napisałem, że trafiło mnie w ramię i szyję, ale i tak przekulałem się jakoś do rowu przy drodze, a ten Francuz do drugiego rowu. Może Pani myśli, że ten Francuz to nie był tak na sto procent w porządku, więc muszę Pani powiedzieć, że to była dla niego wielka niespodzianka, tak samo jak i dla mnie, i słyszałem, jak krzyczał i przeklinał po francusku w tamtym rowie po drugiej stronie drogi, i tak było przez cały czas, pókiśmy tam leżeli. Pan

Major został na środku drogi, a jak minęła chwilka, to wyjrzałem na niego z rowu, ale poznałem, że jemu już nic nie potrzeba. Niemcy tylko jeden raz plunęli z maszynki i potem już nie było o nich słyhu. Jak Pani ktoś będzie opowiadać, że oni się trzymają Konwencji Genewskiej, to proszę do mnie przysłać takiego gościa, już ja mu pokażę moje dwie dziurki - jedną w ramieniu, a drugą w szyi. Chociaż to nigdy nie wiadomo, może oni naprawdę chcieli się poddać, ale jakiś oficer mógł się pokazać w miasteczku i dobrze ich ochrzanić. W każdym

razie nasze chłopaki, co zostały przy jeepach, postrzelały trochę nad naszymi głowami w stronę miasteczka, żeby Niemcy wiedzieli, że będzie kasza, jak spróbują się stawiać, a jeden z naszych pogazował jeepem z powrotem do wioski do porucznika. Porucznik przyjechał w rekordowym czasie i zaraz nas zabrał, ot tak z odsłoniętej drogi, nic się nie przejmował, że Niemcy mogli każdej chwili znowu otworzyć ogień. Słyszałem, jak porucznik powiedział, kiedy się przyjrzał Panu Majorowi: On nawet nie wiedział, co się z nim stało, i ja tak samo już

napisałem na początku listu, a to jest zawsze coś. Nałożyli mi opatrunek polowy i odwieźli zaraz na tyły, i w ogóle trudno, żeby się kto lepiej ze mną obchodził. Jakby Pani chciała wypadkiem napisać do porucznika, to on się nazywa porucznik Charles

C. Draper i trzymali się bardzo z pani mężem, prawie jak ojciec z synem, tyle że tutaj w szpitalu chodzą takie gadki, że porucznik dostał się w zasadzkę gdzieś w

Luksemburgu, ale to nie wiadomo na pewno.

Z poważaniem Jack Mc Cardle (Sierż.) P.S. Powiedzieli mi, że mam zostać zwolniony z powodu choroby i że dostanę częściową rentę inwalidzką.

Jack Mc Cardle (Sierż.)”

Lucy złożyła starannie zapisane kartki, wsunęła je do koperty i schowała kopertę z powrotem do torebki. Wtedy właśnie spostrzegła Tony’ego, który nadchodził cienistą stroną ulicy. „Chociaż tyle, że wyrósł na przystojnego mężczyznę - pomyślała przypatrując mu się z daleka. - Chociaż tyle...” Tony miał chód rozważny, jak gdyby zastanawiał się nad każdym następnym krokiem. W jego sposobie poruszania się nie było nic z przelewającej się przez brzegi witalności i nieświadomego wdzięku sportowca, robił wrażenie człowieka związanego z miejskimi murami, który jednak już dawno powziął świadomą decyzję odizolowania się, postanowił nie dać się wpędzić w gorączkowy nurt życia otaczających go tłumów. Miał ciemne okulary, co sprawiało wrażenie pozy, ponieważ było jeszcze świeżo i słońce nie świeciło zbyt mocno. Okulary te były zapewne jeszcze jedną, świadomie ustawioną barierą, która go odgradzała od świata, podtrzymywały samotną wieżę jego starannie strzeżonej, nieubłaganej surowości.

Zatrzymał się przy stoliku. Lucy zauważyła, że był ogolony, miał na sobie świeżą koszulę i odprasowane ubranie, bardzo proste, dobrze skrojone i na pewno kosztowne, w którym wyglądał swobodnie i elegancko. Przypomniała sobie nieodmienną staranność i dobry gust w sposobie ubierania się Olivera. Tony miał uprzejmy wyraz twarzy, ale w kąciku jego ust błąkał się ciągle cień tamtego, niedomówionego uśmiešku. Lucy przywitała go uśmiechem, w którym nie było

żadnej pretensji do rodzinnej poufałości.

No jak, czy tu będzie dobrze? - zapytał Tony siadając obok niej przy stoliku. - Mam na myśli to bistro.

Ach, to nie ma znaczenia - odparła myśląc równocześnie, że Tony ma głos łagodniejszy i głębszy niż Oliver.

Skinął na kelnera i zamówił dwie kawy nie pytając, czy ona ma ochotę na jeszcze jedną.

Dora mi powiedziała, że dzisiaj w nocy widziałas mnie w barze. Dlaczego nie podeszłaś?

Chciałam się trochę zastanowić - rzekła Lucy nie przyznając się, że nie była pewna, czy to był on.

Moglibyśmy uczcić tę okazję butelką szampana. Takie spotkanie wypadłoby lepiej gdzieś po północy. - Mówił przyjemnym tonem, trudno byłoby bliżej zlokalizować jego wymowę, która odpowiadała raczej jakiejś uogólnionej wymowie amerykańskiej. Lucy nie mogła się zorientować, czy Tony kpi sobie z niej, czy też nie. - No cóż, musimy poprzestać na kawie - ciągnął dalej. - Dora mi opowiedziała, co porabiasz we Francji. To niesłychanie imponujące.

Nie tak bardzo - odparła wypatrując nerwowo ostrza drwiny i szykując się do odparowania go, gdyby istotnie było w nią wymierzone.

Roztaczasz opiekę nad nowym pokoleniem na całym świecie. Mam wrażenie, że przyda im się trochę opieki, prawda? A co powiesz o Bobby'm?

Prześlizgnął się chłopaczek.

Tak, rzeczywiście - stwierdził takim tonem, jak gdyby uznawał fakt obiektywny. - Ale zmieni się jeszcze, zanim będzie za późno. - Uśmiechnął się. - Kiedy wyszłaś od nas, zaczął się dopytywać, gdzie byłaś dotychczas.

I co mu powiedziałaś?

O, powiedziałem, że byłaś bardzo zajęta - odparł swobodnie. - Myślę, że to go zadowoliło. Znasz na pewno tę nową teorię na temat dzieci. Trzeba im mówić prawdę, ale tylko tyle prawdy, na ile w danej chwili mają ochotę. „Nie przeciążać prawdą czteroletnich bąków” - powiadają księgi mądrości.

Kelner przyniósł im kawę. Lucy przyglądała się, jak Tony miesza łyżeczką cukier w swojej filiżance. Miał długie palce z niestarannie obcięzonymi paznokciami.

Pamiętała, że do ośmiu lat obgryzał je z zapalem, czasami aż do krwi. Psychiatrzy twierdzili, że to oznacza poczucie zagrożenia, lęk przed porzuceniem i samotnością, przed



pozbawieniem miłości. „Czymże, u diabła, mógł się czuć zagrożony, kiedy miał osiem lat? - zastanawiała się w duchu. - Może ja zacznę dziś wieczorem obgryzać paznokcie?”

Podniosła filiżankę i spróbowała kawy.

- Wyjątkowo dobra - oceniła tonem dobrze wychowanego gościa, który chwali ulubioną restaurację swego gospodarza. - A tyle się słyszy złego o francuskiej kawie.

- Trzeba się znaleźć samemu w jakimś kraju, żeby się przekonać, że nikt nigdy nie powiedział o nim prawdy.

Tony zdjął okulary i zaczął masować powieki delikatnym, miękkim gestem, który wskazywał na długoletnie przyzwyczajenie. Bez okularów jego oczy, osadzone głęboko w cieniu gęstych rzęs, wydawały się zadumane i łagodne, a z twarzy znikł wyraz surowej powściągliwości.

Musisz jeszcze wciąż nosić ciemne okulary? - spytała Lucy.

Tak, prawie stale.

Nic nie lepiej z oczami?

Nie.

A próbowałaś coś na to robić?

Przez jakiś czas - odparł Tony wkładając znów okulary, jak gdyby chciał się od niej odgrodzić płaską, nieprzeniknioną ścianą. - Znudzi mi się doktorzy i całe to ich udawanie.

Wsluchując się w jego powolny, głęboki i pozbawiony jakiegokolwiek akcentu głos, w którym przebijała nuta znużenia i sceptycyzmu, Lucy wspominała, jak, będąc chłopcem, zachłystywał się po prostu słowami z przejęcia i pośpiechu.

„Widzieliśmy jelenia - słyszała jego przenikliwy chłopięcy głos. - Zszedł do jeziora, żeby się napić wody...”

- Słuchaj, Tony - rzekła nagle pod wpływem serdecznego odruchu. - Co tobie jest? O co tu właściwie chodzi?

Spojrzał na nią zdziwiony. Zawahał się, obracał przez chwilę filiżankę na spodku.

Aha - powiedział w końcu. - Widzę, że Dora nie marnowała czasu.

Wcale nie tylko Dora. Każdy to widzi, wystarczy pięć minut, żeby...

Nic mi nie jest - przerwał jej szorstko. Potrząsnął gniewnie głową, ale zaraz uśmiechnął się i przybrał z powrotem ton zdawkowej, towarzyskiej uprzejmości. - A propos, jak ci się Dora podoba?

Jest bardzo ładna.

Prawda? - uśmiechnął się miło.

I bardzo nieszczęśliwa.

To już tak zwykle bywa - powiedział bezbarwnie.

I boi się.

A kto się dzisiaj nie boi? - Teraz w głosie Tony'ego brzmiała arogancja i zniecierpliwienie. Zdawało się, że lada chwila zerwie się od stolika i ucieknie.

Boi się, że ją porzucisz - brnęła Lucy z uporem, wiedzona nadzieją, że może drażniąc go, zadając pytania i raniąc jego uczucia zdoła nawiązać z nim jakąś łączność.

Dla niej to byłoby prawdopodobnie najlepsze - zauważył z uśmiechem. - Nie ma w tym nic takiego strasznego. Wszyscy naokoło, wszyscy nasi znajomi nie robią nic innego, tylko porzucają naszych znajomych.

Dlaczego mieszkasz w Europie? - zapytała pośpiesznie, uciekając od nie milego tematu.

Spojrzał na nią wyraźnie ubawiony.

- Jesteś stuprocentową Amerykanką - powiedział. - Amerykanie uważają osiedlenie się w Europie za coś niemoralnego.

- Nie o to chodzi - rzekła Lucy przywołując w pamięci obraz odrapanego, nieprzytulnego mieszkania bez cienia indywidualnego wyrazu, najwidoczniej urządzonego z myślą o przelotnym pobycie ludzi pozbawionych korzeni. - Ale tutaj nie jesteś u siebie... Ani twoja żona, ani dziecko.

Tony skinął głową.

- Tak, masz słuszość - zgodził się. - I to jest właśnie wspaniale. To uwalnia człowieka od poczucia odpowiedzialności.

- Ileż to czasu minęło, odkąd wyjechałeś od nas?

Zdawało się, że Tony zastanawia się nad tym pytaniem. Odchylił w tył głowę, przymknął oczy, słońce błyszczało w ciemnych szklach okularów.

- Osiemnaście lat - powiedział w końcu.

Lucy poczerwieniała.

Miałam co innego na myśli. Chodzi mi o to, kiedy wyjechałeś z kraju.

Aa... Jakieś pięć czy sześć lat temu - odparł niedbale, pochylając się znowu nad stolikiem i ostrożnie odsuwając od siebie filiżankę, jak gracz przesuwając pionki na szachownicy.

Masz zamiar kiedyś wrócić? Wzruszył ramionami.

Możliwe. Co tu można wiedzieć?

Czy to zależy od spraw pieniężnych? Tony uśmiechnął się nieprzyjemnie.

Aha - powiedział. - Jak widzę, zdążyłaś się połapać, że nie jesteśmy najbogatszymi

Amerykanami w Europie.

Co się stało z tymi pieniędzmi, które dostałeś po załatwieniu sprawy spadkowej i po sprzedaniu drukarni?

Jeszcze raz wzruszył ramionami.

- To, co zawsze. Fałszywi przyjaciele, szumne życie, no i niewłaściwe inwestycje. Lekko przyszło, lekko poszło. Nie zależało mi specjalnie na tych pieniądzach. Źle się z nimi czułem. - Przyjrzał się jej uważnie. - No, a ty? - zapytał. - Dobrze się z nimi czujesz?

W jego tonie nie było nic sędziowskiego, tylko zwykła ciekawość. Lucy postanowiła pominąć milczeniem to pytanie.

- Gdybyś kiedy potrzebował pieniędzy... - zaczęła.

Tony przerwał jej ruchem ręki.

Ostrożnie - powiedział ostrzegawczo. - To cię może drogo kosztować.

Mówię serio.

Dobrze, będę pamiętał - odparł poważnie.

- Dora mówiła mi, że nie jesteś bardzo zadowolony ze swojej pracy...

Rzeczywiście tak ci mówiła? - zapytał zdziwiony.

Może nie ściśle tak - poprawiła się Lucy. - Ale wspomniała, że używasz innego nazwiska i że...

Nie mam dosyć talentu, żeby warto było się tym zajmować - powiedział w zamyśleniu, raczej do siebie samego niż do niej. - A poza tym to jest harówka. Dosyć bezcelowa i przygnębiająca harówka.

Więc dlaczego nie weźmiesz się do jakiegoś innego zajęcia?

Mówisz zupełnie tak jak moja żona - stwierdził z uśmiechem. - W tym musi być chyba jakiś ogólnokobiecego optymizm. Nie podoba ci się twoja robota? Nic prostszego: zamknij budę i od jutra startuj w innym zawodzie.

Co z twoją medycyną? Słyszałam, że ci szło bardzo dobrze, a potem rzuciłeś.

Dwa lata babrałem się z truposzami. Miałem lekką rękę do nieboszczyków, profesorowie bardzo mnie chwalili.

Wiem - rzekła Lucy. - Znam kogoś z uniwersytetu Columbia, opowiadał mi. Więc dlaczego przerwałeś?

No cóż... Kiedy spadek został już załatwiony, uważałem, że to idiotyczne mieć w banku kupę forsy i harować czternaście godzin na dobę. Pomysł podróży wydał mi się nagle bardzo pociągający. Zresztą - dorzucił po chwili - doszedłem do wniosku, że niewiele mi na tym zależy, żeby kogoś uleczyć.

Tony... - powiedziała zdławionym, matowym głosem.

Tak?

- Tony, czy ty naprawdę jesteś taki, czy tylko pozujesz?

Oparł się plecami o poręcz krzesła i patrzył na dwie młode dziewczyny w czarnych sukienkach, przechodzące na ukos przez jezdnię.

- Nie wiem - odparł. - Właśnie czekam, żeby mi ktoś to powiedział.

- Tony, czy chcesz, żebym poszła i zostawiła cię tu samego?

Nie odpowiedział od razu. Powolnym ruchem zdjął okulary i bardzo ostrożnie położył je na stoliku. Spojrzał na nią spokojnie, nie broniąc do siebie dostępu żadną barierą, spojrzał znajomymi, głęboko osadzonymi oczami, w których był smutek i zastanowienie.

Nie - rzekł w końcu i wyciągnąwszy rękę przez stół dotknął delikatnie jej dłoni. - Byłoby mi okropnie przykro.

Zrobisz coś dla mnie?

Co takiego? - zapytał wracając do czujnej rezerwy.

Pojedziesz ze mną dziś do Normandii? Chcę zobaczyć to miasteczko, gdzie ojciec poległ, i cmentarz, na którym go pochowali. Dostałam list od jednego sierżanta, który wtedy był razem z nim, i wiem, jak się to miasteczko nazywa. Ozieres...

Ozieres - powtórzył nakładając z powrotem okulary i odgradzając się od niej znowu barierą, jak gdyby już żałował chwili słabości. - Przejeżdżałem kiedyś tamtędy. Ale nie było żadnej tablicy. - Roześmiał się cierpko. - żeby też dać się zabić w takiej dziurze!

Nie wiedziałeś o tym?

Tony potrząsnął przecząco głową.

Nie. Zatelegrafowałaś tylko, że poległ. Nic poza tym.

Może słyszałeś, jak to się stało?

Nie, nic nie słyszałem.

Dostał wiadomość, że w miasteczku są jacyś Niemcy, którzy się chcą poddać - mówiła zwięźle Lucy. - Więc wysiadł tuż przed osadą i zaczął iść z białą flagą, a w pięć minut później już nie żył.

Był już trochę za stary do tych rzeczy - zauważył Tony.

Szukał umyślnie śmierci.

Poczytaj trochę gazety. Świat pełen jest ludzi, którzy szukają śmierci.

Nie zrobił na tobie takiego wrażenia, kiedy go widywałeś w czasie wojny?

Niewiele go widywałem - odparł omijając ją wzrokiem i najwyraźniej nie chcąc się wdawać w te sprawy. - A kiedy byliśmy z sobą, nie odczuwałem nic poza skrępowaniem, że

nie jestem w mundurze.

Tony, to nieprawda! - zaprotestowała.

Nieprawda? Może i nie. Może to on był zakłopotany, że ja jeszcze żyję.

Nie mów tak.

Dlaczego? - odparł szorstko. - Bardzo dawno postanowiłem, że nie będę kłamał na temat uczuć, jakie nas łączyły, ojca i mnie.

On ciebie kochał.

Z białą flagą... - podjął Tony tak, jakby jej wcale nie słyszał. - No cóż, chyba ojcowie mogą jeszcze gorzej umierać. Powiedz mi jedną rzecz...

Słucham cię.

Czy naprawdę spotkałaś mnie przypadkiem w tym barze dzisiejszej nocy, czy też przyjechałaś do Paryża z tą myślą, że będziesz mnie szukać?

Patrzył na nią z kpiącym wyrazem twarzy, gotów nie dać wiary jej słowom.

- Nawet nie wiedziałam, że jesteś w Europie - odpowiedziała Lucy. - Kiedy wyszedłem z baru i zapytałam tego człowieka, czy zna twój adres, zdaje mi się, że pragnęłam, żeby go nie znał i żeby nie mogła się dowiedzieć, gdzie mieszkasz.

Tony kiwnął głową.

Tak, rozumiem.

Wiedziałaś, że kiedyś musimy się gdzieś spotkać.

Tak by się zdawało. Kiedy się ma syna, to zdawałoby się, że kiedyś trzeba się z nim spotkać.

Gdybym planowała spotkanie z tobą, byłabym to inaczej urządziła, nie tak - rzekła Lucy wspominając swoje fantazje, śmiertelne łoże i pocałunki.

No, ale trzeba się zadowolić tym, co jest. Więc teraz masz ochotę odwiedzić ten grób? To dosyć naturalne. Nie mówię, że powinniśmy tam jechać, ale uważam to za dosyć naturalne. Powiedz mi - zwrócił się do niej tonem towarzyskiej rozmowy - czy zauważyłaś, jaki on się zrobił pod koniec wulgarny?

Nie.

O umarłych mów tylko dobrze! - Tony uśmiechnął się zgryźliwie. - Oczywiście. Zrobił się hałaśliwy i jakiś pusty, nafaszerowany dowcipami z kasyna oficerskiego, frazesami z patriotycznych wstępniaków. Kombinował też z dziewczynkami. Za każdym razem pytał mnie, czy mam dosyć pieniędzy, żeby się trochę zabawić. I wtedy przymrużał jedno oko. A ja za każdym razem odpowiadałem, że setka zawsze się przyda.

Był bardzo wspaniałomyślny - wtrąciła Lucy.

Może to właśnie było jego wadą. - Tony spojrział na niebo. Było czyste, niebieskie, a w południowej stronie jakby zbiegały od żaru. - Dobry dzień na samochodową przejażdżkę - stwierdził. - Co prawda, umówiłem się z kimś na lunch, ale myślę, że wystarczy opowiedzieć o poległym ojcu, odzyskanej matce i tym podobnych historyjkach. Wytlumaczę, że muszę się wybrać na pewne pole bitwy, pod białą flagą.

**Nie!** - rzekła Lucy nagle ochryplym głosem i wstała od stolika. - Nie chcę, żebyś ze mną jechał, jeżeli tak się do tego odnosisz.

Powiedz mi - zapytał nie ruszając się z miejsca i wciąż patrząc w rozżarzone niebo - dlaczego chcesz tam jechać?

Oparła się dłonią o stolik, czuła się wyczerpana. Spoglądała z góry na odchyloną do tyłu twarz syna, zastygła w nieprzeniknionym wyrazie, na ostry, przydymiony cień padający od okularów na wystające kości policzkowe, gładko obciążone skórą.

- Bo my go zniszczyliśmy, ty i ja - rzekła głucho. - Bo nie wolno nam o nim zapomnieć.

Wtedy spostrzegła, że Tony płacze. Patrzyła nie wierząc własnym oczom, ścisnęła kurczowo rękawiczki, a jemu łzy wymykały się spod okularów i spływały powoli po twarzy. Pochylił się gwałtownie i zasłonił rękami twarz.

„Płacze - pomyślała z ogromną ulgą. - Jest jeszcze nadzieja. On płacze!”

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Jechali w milczeniu, w blasku stojącego w zenicie słońca, małym, czarnym samochodem Tony'ego, mogącym pomieścić nie więcej niż dwie osoby. Dach był spuszczone i nawet gdyby mieli ochotę rozmawiać, wiatr uderzający gwałtownie w ich twarze nie pozwoliłby na to. Tony prowadził samochód nieostrożnie i z nadmierną szybkością. Gdy przejeżdżali obok starych zagród wiejskich, zbudowanych z kamienia, kury zmykały przed nimi drogą, a w miasteczkach, które mijali, ludzie patrzyli na nich z wyrzutem, mając im za złe, że są Amerykanami i że jeżdżą tak szybko. Łaciate krowy pasły się na zielonych łąkach, szosa wiała się ujęta na długich odcinkach we wdzięczny nawias wyniosłych topoli, które powtarzały odgłos mknącego samochodu szumiącym, opętanym rytmem, niby odległe, podniecające bicie w bęben owinięty sukrem.

Lucy miała ochotę powiedzieć, że nie potrzebują się śpieszyć. Wiatr przeszkadzał jej, zawiązała sobie szalik na głowie, czuła się już za stara na taki samochód i na taką wariacką jazdę. Nie ma się po co śpieszyć. On już tam leży od jedenastu lat, więc może poczekać

jeszcze godzinę dłużej.

Mijali rodziny biwakujące przy drodze. Ludzie siedzieli na krzeselkach wokół składanych stolików nakrytych serwetą, na których ustawione były butelki z winem i małe wazoniki z kwiatami, obok długich, wąskich bułek. Od czasu do czasu przejeżdżali przez wioski zsieczone pociskami, widzieli sterczące ruiny domów, zwietrzałe na słońcu i złagodniałe, jak gdyby stały tutaj od setek lat. Lucy usiłowała sobie wyobrazić, jak wyglądały domy, zanim je dosięgły pociski, i co się musiało wtedy dziać, wtedy, w samym tym momencie. Dym, odłamki kamieni wylatują w powietrze, ludzie krzyczą do siebie spod walących się murów. Nie, nie umiała sobie tego wyobrazić. Ruiny wydawały się takie odwieczne, pełne spokoju, wycieczkowicze ze swoim winem, goździkami i serwetkami na składanych stolikach wyglądali tak, jakby nie zmarnowało im się ani jedno lato. „Gdzie ja byłam - rozmyślała Lucy - kiedy ta dzwonnica runęła i zamieniła się w kupę gruzu? Szykowałam lunch u siebie w domu, o trzy tysiące mil stąd.

Przechodziłam właśnie przez kuchnię wyłożoną czyściutko linoleum, żeby wziąć elektryczny piecyk do grzanek, otwierałam lodówkę, żeby wyjąć dwa pomidory i garnuszek z sosem majonezowym.”

Spojrzała z boku na syna. Jego twarz pozbawiona była wszelkiego wyrazu, oczy miał utkwione w szosie. Nie zwracał najmniejszej uwagi na wycieczkowiczów ani na ślady wojny. „Ci, co mieszkają w Europie - pomyślała musieli się chyba przyzwyczaić do ruin.”

Czuła się bardzo zmęczona. Bolało ją czoło od nieustannych uderzeń wiatru, ociężałe powieki same opadały na oczy. łożek zdawał się zaciśnięty w kłębek, górna krawędź pasa wrzynała się w ciało, a na wąskim, skórzanym siedzeniu samochodu trudno było tak się obrócić, aby znaleźć ulgę. Od czasu do czasu czuła w gardle mdlący, niemiły smak wywołany znużeniem, a kiedy spoglądała na Tony’ego, jego głowa rozpływała się w niewyraźnej mgle nad kierownicą.

„Powinnam coś powiedzieć - myślała z wysiłkiem. - Coś takiego, żeby przestał być obcym człowiekiem, żeby znowu był moim synem. Ale jestem zanadto zmęczona, nie mogę nic wymyślić.”

Zamknęła oczy i zapadła w drzemkę. Jechali szybko wśród świeżej zieleni pól i zwietrzałych ruin.

„No, więc tak - przeżuwał Tony ciągle tę samą myśl. - No, więc tak. W końcu przyjechała. Jak się ma matkę, to chyba byłoby zbytnim optymizmem spodziewać się, że ona już się nigdy nie zjawia.”

Spojrzał na nią przelotnie. „Śpi sobie w najlepsze - pomyślał. - Przetrawia rozkosznie

dzisiejsze wzruszenia, z całym spokojem karmi się śmiercią, pojednaniem, łzami i winą. Wciąż jeszcze ładna, nawet w tym szaliku na głowie i w ostrym świetle. Ile może mieć lat? Pięćdziesiąt trzy, może pięćdziesiąt cztery? Wciąż jeszcze ten nieuchwytny wyraz erotycznej zachęty, którego nie potrafiłem rozpoznać jako chłopiec, ale teraz, kiedy poznałem tyle innych kobiet, teraz, patrząc na nią wstecz z perspektywy czasu, rozpoznaję go doskonale. Wciąż jeszcze krzepka, proste ramiona, kształtne piersi, cera bez zmarszczek i te przeklęte, podługne, szare, orientalne oczy.

Jak długo tu pozostanie? Kiedy ma zamiar wracać? Za tydzień, dwa? Wystarczy, żeby mi zatruć życie i żeby wypróbować swoje wdzięki na Francuzach, dla których kobieta koło pięćdziesiątki, zwłaszcza z takim wyglądem jak ona, może być jeszcze interesującą zwierzyną. Wystarczy, żeby otworzyć stare rany, wywołać z zapomnienia widmo nieszczęścia, domagać się rodzinnych uczuć, odwiedzać groby, wylewać łzy, zakłócać spokój, poflirtować w nieznanym języku i pokosztować zagranicznych łóżek...

Usiedliśmy przy grobie ojca, letni wietrzyk szemrzący nad krzyżami opowiadał nam o tym, co się tu działo. Zatrzymaliśmy nasz otwarty samochód w tym miejscu, gdzie dosięgła go kula, i wspominaliśmy, jaki był z niego dureń. Sezon turystyczny w pełni, po całej Europie Mamy z Maminymi Synkami zwiedzają co ciekawsze zabytki. Po lewej ręce widzimy Mont Saint Michel. Po prawej proszę zwrócić uwagę na zniszczenia. A tam, na ukos, w pobliżu bardzo interesującego kościoła normandzkiego z czternastego wieku, który niestety ucierpiał od bomb w czasie nalotu, widzimy rów, do którego stoczył się szanowny Tatuś, kiedy dostał serię z karabinu maszynowego. Tatuś wierzył niezachwianie w Konwencję Genewską, a któż mógł wiedzieć więcej niż on o konwencjach?

Oto Mamin Synek przy kierownicy. Samochód jest bez zarzutu, mimo że niedrogi, i fotografowie, którzy chcą zdobyć zdjęcia z wakacyjnych wycieczek, bardzo często biorą go na obiektyw. W razie czego, nadaje się na pogrzeby, jeżeli rzeczywisty pochówek odbył się w dostatecznie odległej przeszłości. Wyraz twarzy Maminego

Synka jest także bez zarzutu, ale, w przeciwieństwie do samochodu, kosztował go dosyć drogo.”

Lucy otworzyła oczy.

Dojeżdżamy już? - zapytała.

Jeszcze ze dwie godziny. Możesz spokojnie spać dalej.

Na pół śpiąc próbowała się do niego uśmiechnąć, po czym znowu powieki opadły jej na oczy. Tony po raz drugi spojrzął na nią przelotnie i z powrotem wpatrzył się w szosę. Była wąska, pośrodku wypukła i wielokrotnie, niedbale naprawiana, tak



że samochód co chwila podskakiwał trafiając kołami na łatanie miejsca. W powietrzu wisiał zapach smoły, która świeciła lepko na krawędziach nawierzchni, topiąc się w słonecznym upale.

„Jak by to było łatwo... - rozmyślał Tony podnosząc chwilami wzrok na falujące, rozgrzane powietrze nad szosą. - Jak by to było łatwo jeszcze troszeczkę zwiększyć szybkość, przekreślić raz kierownicę i rąbnąć prosto w drzewo przy drodze.

Jak łatwo! Raz na zawsze!”

Usta wykrzywiły mu się w niedobrym uśmiechu na myśl o matce śpiącej przy nim tak ufnie. „To by była dla niej nauczka - zadrwił w duchu - żeby się nie umawiać na wycieczki z obcymi mężczyznami.” Zapatrzył się w fale gorącego powietrza widoczne nad każdym, nawet nieznacznym wzniesieniem szosy, rozedrgane i płynne, znikające jak mgła, gdy samochód zbliżał się do wzniesienia.

„Mogła czeka - snuł dalej swoje dziwaczne rozmyślenia. - Teatr śmierci znajduje się o dwie godziny drogi małym, otwartym samochodem. Tutaj zabili mi ojca... Czy aby naprawdę tutaj? Może został zabity o wiele wcześniej, zanim doszedł do skrzyżowania tych dróg, może na innym kontynencie? Tyko że morderstwa dokonano po cichu i nikt z uczestników tej sceny, nie wyłączając ofiary, nie przyznawał się długo, bardzo długo. To wcale nie taka prosta sprawa, jak by się zdawało - ustalić datę i miejsce śmierci ojca.”

Z oczami utkwionymi przed siebie, w drogę, która wywijała się spod kół, Tony rozmyślał o swoim ostatnim spotkaniu z ojcem.

Miał wtedy dwadzieścia lat, spotkali się w Nowym Jorku i rozpoczęli wieczór od jakiegoś baru w pobliżu Madison Avenue. Ojciec stał ze szklaneczką w ręku.

Wyglądał młodo i bardzo marsowo w mundurze, na którym widniała wstążeczka z pierwszej wojny światowej.

Była mniej więcej siódma godzina, sala pełna po brzegi, mnóstwo mundurów i eleganckie kobiety w futrach, jak się zdawało - bardzo zadowolone z wojny. Na dworze ziąb i deszcz. Ludzie wpadali do baru zacierając zmarznięte dłonie, cieszyli się hałaśliwie, że nareszcie są w ciepłym lokalu, że jest wojna, że za chwilę się czegoś napiją. W rogu sali wynajęty muzyk grał na pianinie piosenki z *Oklahomy*. „Nie żyje biedny Jud...” - przyśpiewywał cicho do wtóru muzyce.

Godzinkę przedtem Oliver zatelefonował do Tony'ego, do jego uczelni.

Wydawał się w wesołym usposobieniu i trochę tajemniczym tonem powiedział:

- Wiesz co, Tony, rzuć wszystko do diabła i przyjeżdżaj tutaj, zjesz obiad ze swoim starym. Może drugi raz nie będziesz miał już takiej okazji.

Tony wcale nie wiedział, że ojciec przebywał w pobliżu Nowego Jorku.

Według ostatnich wiadomości, jakie otrzymał od niego, Oliver był gdzieś na

Południu. Odkąd miał przydział do Drugiego Wydziału (bo w lotnictwie proponowano mu tylko siedzenie przy biurku w Waszyngtonie), Oliver przez dwa lata tłuki się, nie bardzo wiadomo po co, po różnych obozach szkoleniowych, od czasu do czasu, bez uprzedzenia, zjawiał się na przepustkę w Nowym Jorku, spotykali się parę razy na obiedzie, po czym znów znikał udając się w jakieś nowe miejsce. Tony, jeśli się nad tym w ogóle zastanawiał, był przekonany, że ojciec nie wydestanie się nigdy poza granice Stanów i będzie świętował dzień zawieszenia broni po głupiemu, bezsensownie, w jakimś kasynie oficerskim w Karolinie albo w pociągu wojskowym sunącym powolutku w stronę Środkowego Zachodu.

Kiedy odnalazł go w barze, uścisnęli sobie jak zwykle dłonie. Uścisk Olivera był przesadnie krzepki, jak gdyby w tym okresie usiłował niemal bezwiednie przy każdej okazji dowieść ludziom, że mundur uczynił go młodszym i silniejszym, niż

mógł się wydawać z wyglądu. Zeszczuplał trochę w wojsku i pas leżał zupełnie płasko na jego brzuchu. Ciemne, przyprószone siwizną włosy miał krótko ostrzyżone.

Z daleka, z twarzą ogorzałą na słońcu i wietrze, z bujnymi, mocnymi włosami i płaskim brzuchem opiętym w elegancki mundur, przypominał rysunki oficerów wyższego stopnia, wypełniające działy ogłoszeń w ilustrowanych czasopismach. Nie był jednak oficerem wyższego stopnia. Miał na mundurze listki majora (od czasu zgłoszenia się do wojska tylko raz awansował), a gdyby ktoś podszedł do niego blisko, zobaczyłby szare worki pod oczami i same oczy, niezdrowe, z pożółkłymi białkami, spoglądające z wyrazem nerwowego napięcia, tak charakterystycznym dla ludzi, którzy z próżności nie noszą okularów lub którzy boją się przyznać swoim przełożonym, że ich wzrok nie jest już tak bystry, jak być powinien. Również tylko z daleka wydawało się, że twarz Olivera zeszczuplała wskutek zdrowszych warunków

życia, z bliska widać było, że jest ściągnięta i wychudzona, a cera pod opalenizną ma jakiś ziemisty ton zmęczenia.

Uścisnął rękę syna z wesołym uśmiechem.

- Jak się masz - powiedział. - Cieszę się, że cię widzę. Czego się napijesz?

Tony miał ochotę odmówić, nie lubił bowiem alkoholu, pomyślał jednak, że skoro sam nie ma na sobie munduru, to przynajmniej powinien się napić z wojakim.

Spojrzał na szklaneczkę, którą Oliver trzymał w ręku.

- A ty co pijesz? - zapytał.

Bourbon. Dobra, stara bourbonka z Kentucky. Mają tutaj na składzie.

Bourbon - rzucił Tony w stronę barmana.

To ich najlepszy trunek - zachwalał Oliver machając przyjaźnie ręką barmanowi.

Tony doszedł do wniosku, że ojciec musiał wystartować już jakiś czas temu.

Słucham pana - powiedział barman.

Wspaniale wyglądasz, synu - entuzjasmował się Oliver. - Po prostu wspaniale.

Dobrze się czuję - rzekł Tony krzywiąc się lekko na słowo „synu”.

Zanim Oliver poszedł do wojska, zawsze mówił do niego po imieniu. Tony zastanawiał się, jakie to tajemnicze względy wojskowe mogły spowodować tę zmianę.

Trochę - za szczupły - oceniał go Oliver obiektywnie. - Trochę za błądy.

Nie wydaje mi się, żebyś używał ruchu.

Czuję się dobrze - powtórzył Tony zasłaniając się tym stwierdzeniem.

- Nie uwierzysz, ilu ochotników odrzucają codziennie. Młodych chłopców.

Zdawałoby się, że powinni im bez mrugnięcia dać kategorię A. Tymczasem cała kolekcja dolegliwości. Tak, to jest to życie w mieście, za dużo wygód, białe bułeczki, brak pracy fizycznej.

- Nawet gdybym był zbudowany jak Joe Louis, i tak by mnie odrzucili -

powiedział spokojnie Tony, żeby raz się odczepić od tego tematu.

- Ależ, oczywiście, oczywiście - przyznał skwapliwie Oliver. - Wcale nie o tobie mówiłem. Tylko tak, ogólnie. Nie o specjalnych przypadkach. Bywają przecież pozostałości różnych nieszczęśliwych wypadków i tym podobne sprawy.

Zdawał się bardzo zakłopotany, toteż Tony powitał z ulgą whisky, którą barman postawił przed nim na ladzie, pozwalając to bowiem zmienić temat rozmowy.

Podniósł w górę szklaneczkę,

- Za zwycięstwo - rzekł uroczyście Oliver.

Tony wolałby wprawdzie, aby ojciec znalazł jakiś inny pretekst do wypicia whisky, ale stuknął się z nim szklaneczką. Całe otoczenie wydawało mu się trochę melodramatyczne - przyćmione, miękkie światło w barze, on sam w cywilnym ubraniu, ładne kobiety w ładnych sukniach i ten muzyk przy fortepianie.

- Słyszałem o jednej knajpie z befsztykami - oznajmił Oliver. - W Trzeciej

Alei. Trochę tam pachnie czarnym rynkiem. - Uśmiechnął się porozumiewawczo. - Ale co, u diabła? Dla wojska musi być wszystko, co najlepsze. Tam, dokąd się wybieram, będzie cholernie mało befsztyków.

- Jedziesz do Europy? - zapytał Tony.

Oliver rozejrzył się ostrożnie.

- Nie mówię ani tak, ani nie. - Klepnął Tony'ego po ramieniu i roześmiał się głośno. - W każdym razie mogę ci coś poradzić. Przyjrzyj się dobrze twojemu staremu. Dużo, dużo czasu upłynie, zanim go znowu zobaczysz.

„On przecież nie był taki - myślał Tony z niechęcią. - Mogłem być wtedy smarkaty, ale to niemożliwe, żebym się tak mylił.”

Może to się niedługo skończy - powiedział głośno.

Nie bujaj sam siebie, synu. - Oliver przysunął się bliżej i zaczął mówić szeptem. W jego oddechu czuć było whisky, którą pił całe popołudnie. - To będzie długa, bardzo długa zabawa, mój synu. Gdybyś mógł widzieć to, co ja widziałem.

Gdybyś wiedział coś o tych sprawach... - Pokiwał głową z miną Kasandry, z chorobliwą satysfakcją prywatnego właściciela poufnych informacji o czasie trwania wojny i o nieszczęściach, jakie ona przyniesie. - Barman! - zawołał. - Jeszcze dwa razy bourbon.

Tylko raz - zwrócił się Tony do barmana. - Ja jeszcze pomarudzę przy tej porcji.

Za moich studenckich czasów - oświadczył Oliver - odmawiało się picia tylko wtedy, kiedy człowiek już leżał pod stołem.

Mam jutro masę roboty.

Naturalnie, naturalnie. - Oliver nerwowym ruchem ręki otarł usta, jak gdyby nagle zorientował się, że zalatuje od niego whisky. - Ja tak tylko żartuję. Cieszę się, że myślisz poważnie. Naprawdę. Zaczynam uważać, że może, pomimo wszystkich błędów, nie wywiązałem się jednak najgorzej z ojcowskich obowiązków.

Tyłu chłopców w dzisiejszych czasach... - Zająknął się spostrzegłszy, że Tony spuścił głowę i bawi się swoją szklaneczką. - Chciałem powiedzieć, że cholernie dużo chłopców w dzisiejszych czasach... No, że wszyscy oni myślą tylko o picciu, o kopaniu piłki i o tym, żeby się zabawić. A przyszłość? Niech diabli wezmą przyszłość.

„Za każdym razem kiedy się widzimy, ale to za każdziutkim razem, sady diabłami - pomyślał Tony. - Wszystko mi jedno, dokąd się wybiera. Jeżeli jeszcze raz powie to słowo, wynoszę się stąd.”

- Nie jestem temu wcale przeciwny, rozumiesz mnie? - mówił Oliver z szerokim, jowialnym gestem. - Nic podobnego. Każdemu chłopcu to dobrze robi. W

pewnych granicach, oczywiście. Wia-domo, chłopak musi się wyszumieć. - Roześmiał się i wychylił do dna szklaneczkę, w chwili gdy barman stawiał przed nim następną. - W swoim czasie należałem do tych, co szumieli najgłośniej. Możesz sobie wyobrazić. Młody porucznik we Francji po zawieszeniu broni. - Potrzęsął głową i zaśmiał się znacząco.

Ale w następnej chwili spowaźniał, jak gdyby poprzez opary whisky, poprzez obecną

chwilę i świeże wspomnienie koszar, gdzieś na dnie mózgu błysło mu dalekie światełko. - Ale muszę powiedzieć coś na moją korzyść. Większość mężczyzn, kiedy zacznie szumieć w młodości, to potem, dają słowo, nie może się odzwyczaić; na łożu śmierci jeszcze próbują uszczypnąć pielęgniarkę. A ja nie. Owszem, szumiałem. Nie zapieram się tego i nie mówię, że mi wstyd z tego powodu. Ale przestałem szumieć. - Prztyknął głośno palcami. - Ot, tak! Raz na zawsze.

Popatrzył na szklaneczkę, którą trzymał obu rękami. Spojrzenie miał zamglone, poważne, nie było w nim śladu błazeństwa, policzki mu obwisły, stracił marsowy wygląd.

Pianista zaczął grać nową piosenkę. „Niejedna nowa twarzyczka ucieszy moje oko...” - przyśpiewywał cichutko. - „Niejedna nowa...”

Czy... czy miałeś jakie wiadomości od matki? - zapytał Oliver obracając szlaneczkę w zgrubiałych palcach.

Nie - odparł Tony.

Wiesz, prowadzi teraz bardzo poważną pracę.

Tak? - zdziwił się Tony uprzejmie, pragnąc w duchu, aby ojciec przestał o tym mówić.

- W laboratorium przy szpitalu w Fort Dix - ciągnął Oliver. - Rozmaite badania krwi, jakieś prace nad febrą tropikalną i tym podobne rzeczy. Kiedy przystąpiliśmy do wojny, matka zdecydowała, że to byłby po prostu wstyd, gdyby jej kwalifikacje miały się marnować, a ja byłem tego samego zdania. Masę zapomniała i musiała pracować jak sto diabłów, żeby sobie wszystko na nowo przypomnieć, ale nie

żałowała sił. Teraz ma pod sobą sześciu asystentów. Byłbyś z niej dumny, gdybyś mógł to widzieć.

Z pewnością - zgodził się Tony.

Wiesz co? Moglibyśmy do niej zadzwonić i za dwie, trzy godziny byłaby już na miejscu.

Nie - uciął Tony krótko.

W taki dzień jak dzisiaj - mówił Oliver nie patrząc na syna - jestem pewien, że to by jej sprawiło przyjemność.

Dlaczego nie idziemy na te befsztyki?

Oliver rzucił na syna okiem i pociągnął łyk ze szklaneczki.

Jeszcze nie skończyłem - powiedział. - Nie ma się co śpieszyć. - Spojrzał jeszcze raz na Tony'ego - Twardy z ciebie chłopak - powiedział cicho. - Wyglądasz jak pęta w kołnierzyku numer czternaście, który nie potrzebuje się golić częściej niż

raz na tydzień, ale może się okazać, że to właśnie ty w naszej rodzinie jesteś twardym człowiekiem. - Zaśmiał się cicho. - No cóż, w każdej rodzinie powinien być chociaż jeden taki. Ale, ale... Mówiłem ci, że spotkałem Jeffa ostatnim razem, jak byłem w Nowym Jorku?

Nie, nie mówiłeś.

Jest porucznikiem w Marynarce. Dopiero co wrócił z Guadalcanal czy z Philippeville, a może z jakiegoś innego miejsca w tym rodzaju i wygląda na wilka morskiego. Natknąłem się na niego w jakimś barze, pomyślałem sobie: „Co u diabła!”, siedliśmy razem przy stoliku i wypiliśmy po jednym. Dopytywał się, jak jest teraz z twoim wzrokiem.

Naprawdę?

„O Boże - myślał Tony z rozpaczą - ten wieczór będzie najgorszy. Najgorszy ze wszystkich.”

Tak. Uważam, że zrobił się bardzo sympatyczny. Trochę zespokojniał.

Postanowiliśmy, że co było, a nie jest... Podaliśmy sobie ręce. Ostatecznie, to było tak dawno, a teraz wszyscy przeżywamy wspólnie tę samą wojnę.

Wszyscy, z wyjątkiem mnie - wtrącił Tony. - Chodźmy już, ojcie. Warto by chyba coś zjeść.

Naturalnie, naturalnie. - Oliver wyciągnął portfel i położył na ladzie banknot pięciodolarowy. - Co było, a nie jest... - powtórzył w zamyśleniu. Wygladził starannie banknot. - Bardzo dawno temu. - Roześmiał się. - Kto dziś pamięta o takich rzeczach? Dziesięć państw upadło od tego czasu. No, dobrze, dobrze. - Położył dłoń na ramieniu Tony'ego uspokajającym gestem. - Muszę przecież zaczekać na resztę.

Ale zanim zdążyli wyjść, do baru weszło dwóch podporuczników, każdy ze swoją dziewczynką, i okazało się, że obaj byli przy sztabie w Wirginii, do którego

Oliver był przydzielony, i że, zdaniem Olivera, to były fajne chłopaki, najfajniejsze - do diabła! - jakich można sobie wyobrazić, i że musieli ze sobą wypić, a potem jeszcze na drugą nogę, bo to były - do diabła! - najfajniejsze chłopaki, jakich można sobie wyobrazić, a poza tym wszyscy wybierają się przecież w tajemnicę w nieznane strony. Potem ktoś wspomniał o Swanny'm, że się przeniósł do broni pancerniej i że podobno był na liście zaginionych w czasie walk na Sycylii, więc musieli wypić jeszcze za Swanny'ego, bo podobno był na liście zaginionych na

Sycylii. A wtedy jedna z dziewcząt zaczęła się przyglądać Tony'emu bez ceremonii i wyzywająco dotknęła go palcem, i powiedziała: „Patrzenie, jaki ładny cywil”, a Oliver, jak to

on, zaraz wyjechał z oczami Tony'ego i ze szmerami w sercu, a Tony, który w radosnej atmosferze braterstwa broni musiał wypić jeszcze jedną szklaneczkę whisky i zaczął odczuwać jej działanie, powiedział, że każe wymalować tabliczkę i zawiesi sobie na piersiach, a na tej tabliczce będzie wypisane: „Nie pogardzajcie biedakiem z kategorii F. W patriotycznym porywie zgłosił on rodzonego ojca na wszystkie możliwe inwazje.” Wszyscy się śmiali, ale Oliver śmiał się nie bardzo szczerze, a po chwili powiedział:

- No, ale ja przyrzekłem mojemu chłopcu befsztyk.

Położył jeszcze jeden banknot pięciodolarowy i wyszli nareszcie z baru.

W restauracji z befsztykami był tłok, więc musieli poczekać przy barze i

Oliver znowu zamówił whisky. Spojrzenie miał mętne i tępe, ale nic nie mówił, tylko raz, patrząc na ludzi jedzących przy stolikach, mruknął pod nosem:

- Przekłęci paskarze!

Jeszcze nie siedli do obiadu, kiedy weszła na salę dziewczyna, z którą Tony umawiał się kilka razy, w towarzystwie jakiegoś sierżanta z lotnictwa w okularach.

Dziewczyna nazywała się Elizabeth Bartlett, była bardzo ładna i nie mogła mieć więcej niż osiemnaście lat. Jej rodzice mieszkali w Saint Louis, ona zaś miała posadę w Nowym Jorku, nie wymagającą zbyt wiele trudu ani czasu, poza tym zaś korzystała, jak mogła, z wojny. Ile razy Tony wybrał się z nią na jakąś zabawę, rozstawali się wyczerpani dopiero rano, gdy słońce wschodziło nad dachami, bo dla Elizabeth przeżywać wojnę to znaczyło przede wszystkim tańczyć przez całą noc pięć razy w tygodniu. Sierżant nie był już młody, a jego smutna mina przywodziła na myśl człowieka, któremu się dobrze powodziło przed pójściem do wojska i który cierpi dotkliwie, ilekroć zdarzy mu się spojrzeć na naszywki zdobiące jego rękaw.

Tony musiał przedstawić ojcu Elizabeth, która, podając mu rękę, powiedziała niskim, gardłowym głosem:

- Bardzo mi miło, panie majorze.

Z kolei Elizabeth przedstawiła swojego sierżanta, który powiedział po prostu:

„Serwus”, chcąc przez to podkreślić, że jest poza służbą. Oliver uparł się, żeby wszystkim zafundować kolejkę. Powiedział do Elizabeth ojcowskim tonem:

- Diabło ładna z pani dziewczyna. - A sierżantowi oświadczył: - Muszę przyznać, sierzancie, że tylko dzięki wam, sierżantom, nasza armia trzyma się jako tako.

Sierżanta wcale to nie wzruszyło.

- A mnie się zdaje, panie majorze - powiedział - że to dzięki głupocie nasza armia trzyma się jako tako.

Oliver roześmiał się na te słowa bardzo demokratycznie, Elizabeth zaś wyjaśniła:

On był chemikiem w przemyśle i teraz się wścieka, że go wsadzili do lotnictwa.

Nie cierpię samolotów - oznajmił sierżant. Rozejrzył się ponurym wzrokiem po sali. - Nie doczekamy się wolnego stolika. Chodźmy lepiej gdzie indziej.

Przez cały dzień marzyłam o befsztyku - jęknęła Elizabeth.

Okej - zgodził się sierżant z posępną miną. - Jeżeli przez cały dzień marzyłaś o befsztyku...

Starszy kelner podszedł do Olivera i powiedział, że jest już wolny stolik w rogu sali, wobec czego Oliver zaprosił sierżanta i Elizabeth, by siedli razem z nimi, na co sierżant zrobił jeszcze bardziej ponurą minę. Okazało się jednak, że stolik jest zbyt mały i w żaden sposób nie da się przy nim umieścić czterech osób. Oliver i Tony zabrali swoją whisky i pozostawili tamtych dwoje przy barze. Odchodząc Tony usłyszał, jak Elizabeth powiedziała do swego partnera:

- O Boże, Sidney, ależ z ciebie ponurak!

śalował, że tamci nie przyłączyli się do nich. Wprawdzie ani Elizabeth, ani sierżant specjalnie go nie interesowali, chociaż z Elizabeth bywał jakiś pożytek, ale po prostu nie chciał być sam na sam z ojcem przez cały wieczór. Przez tyle lat musiał z nim odsiadywać te przypadkowe, nieprzyjemne obiady - w hotelowych restauracjach na prowincji, kiedy był jeszcze w szkole, w przydrożnych gospodach w czasie wakacji, kiedy Oliver sumiennie obwoził go po różnych parkach narodowych, i wreszcie tutaj, w Nowym Jorku, gdy ojciec dostawał urlop. Niektóre obiady bywały gorsze od innych, zwłaszcza jeśli Oliver był w nastroju do picia, ale ani jeden nie zostawił Tony'emu miłego wspomnienia. Tym razem Oliver był na pewno w nastroju do picia. Chciał koniecznie pić whisky także do obiadu.

- Podobno Churchill pije whisky - oświadczył, kiedy Tony zaproponował wino. - Jeżeli Churchillowi wystarcza whisky, to i mnie także wystarczy. - Tu spojrział na Tony'ego bojowo i dumnie, na chwilę bowiem poczuł się owiany tchnieniem wielkości.

- Tego wieczoru było jednak coś niezwykłego w sposobie, w jaki Oliver pił.

Nie był on nałogowym pijakiem i dotychczas, jeśli mu się zdarzyło wypić trochę za dużo, miało to zawsze charakter czegoś przypadkowego. Tym razem wysuszał każdą kolejną szklaneczkę z tak zawziętym uporem, jak gdyby jeszcze przed nocą czekało go coś, czego człowiek może dokonać tylko mając w sobie wzmocnioną dawkę alkoholu. Tony popijał wodę i przyglądał się ojcu uważnie. Miał nadzieję, że uda mu się wymknąć, zanim Oliver będzie zupełnie gotów. Przypomniało mu się, że w piątek

Księżde Mojżeszowej jest zalecenie, aby ojcowie nie pokazywali się nago swoim



synom. Ale to było, zanim wynaleziono bourbon.

Oliver mlaskał przy jedzeniu, brał do ust zbyt duże kęsy i połykał łapczywie.

- Najlepsze befsztyki w całym mieście - deliberował głośno. - Smażą na oliwie. Ba, Włosi! Nie wierz temu, co opowiadają o Włochach. Cholernie fajne chłopaki.

Listek sałaty spadł mu z widelca na mundur, strącił go niedbale, na mundurze została tłusta plama. Tony przypomniał sobie, że jako chłopiec, kiedy był jeszcze w domu, odnosił się z niechęcią do surowych wymagań ojca przy stole.

Przez jakiś czas Oliver jadł w milczeniu kiwając z uznaniem głową nad befsztykiem, pakując do ust kęs na kęsem i pochłaniając za każdym łykiem pół szklaneczki whisky, która mieszała mu się w ustach z jedzeniem. Śnił z takim zapalem, że aż słychać było regularny, cichy chrzęst w szczękach. Nagle położył widelec na stole.

Przestań mi się przyglądać - powiedział ochryplym głosem. - Niech mnie diabli wezmą, nie pozwolę nikomu patrzeć na mnie w ten sposób!

Ja wcale nie patrzyłem na ciebie - tłumaczył się Tony zmieszany.

Nie bujaj. Masz ochotę pokrytkować mnie? Proszę bardzo, ale innym razem. Nie dzisiaj. Zrozumiano?

Tak, ojcze.

Podłe, zaślinione bydlę - mamrotał Oliver niezrozumiale. - Ogryza śmierdzące kości. - Przez chwilę wpatrywał się w Tony'ego groźnym wzrokiem, ale potem wyciągnął rękę i dotknął łagodnie jego dłoni. - Przepraszam cię - powiedział. - Głupio się dzisiaj czuję. Nie zwracaj na mnie uwagi. Ostatni wieczór... - Nie dokończył zdania. - Kiedyś - podjął na nowo - wiesz, to byłby dobry pomysł, gdybyś mi kiedyś napisał wyczerpujący memoriał pod tytułem: „Co myślę o moim ojcu.” - Uśmiechnął się. - Albo: „Ojciec pijany, trzeźwy i wystawiony do wiatru.” Coś w tym rodzaju. Bez żadnych przemilczeń. Może to by nam obu na dobre wyszło. Może przy następnym spotkaniu nie miałbyś już tego zduszonego wyrazu twarzy. Do diabła, wyglądasz na nieszczęśliwego chłopaka. Nawet gdybyś był w porządku z oczami, na pewno by cię nie wzięli do wojska ze względu na twój nastrój. Zaraziłbyś menancholią cały pułk. Co to jest? I dlaczego tak jest? Ach, nic mi nie mów! Kogo to może obchodzić? - Powiódł mętnym spojrzeniem po sali. - Trzeba się było wybrać na jakąś komedię muzyczną. śęgnąć kraj śpiewem i tańcem. Tylko że te cholerne bilety były już wyprzedane do ostatniego. Nie masz mi nic do powiedzenia?

Nie - odparł Tony. Miał nadzieję, że towarzystwo przy sąsiednim stoliku nie przysłuchiwało się ich rozmowie.

Nigdy nie ma mi nic do powiedzenia - mruczał Oliver. - Kiedy miał trzynaście lat,

wygłosił wielką mowę, która zadziwiła słuchaczy bystrością i dojrzałością umysłu, a potem nabrał wody w usta do końca życia. Ta dziewczyna mruga do ciebie, Tony, ledwie oka nie złamie.

- Co... co takiego? - zdumiał się Tony.

Oliver wskazał niedyskretnie ręką na drzwi.

- Ta od sierżanta - wyjaśnił. - Wybiera się do ustępu i sygnalizuje w twoją stronę niczym marynarz na maszcie.

Elizabeth stała rzeczywiście przy drzwiach i uśmiechała się do Tony'ego kiwając na niego palcem. Sala restauracyjna była załamana pod kątem prostym, w kształcie litery L, a sierżant został za załamaniem i nie mógł widzieć dziewczyny.

Siedział ociężale przy swoim stoliku i z melancholijną miną żuł kawałek chleba.

- Przepraszam - powiedział Tony, rad z wymówki, która mu pozwalała umknąć od stołu. - Za chwilę wrócę.

- Jeżeli o mnie chodzi, możesz się nie spieszyć. Nie odpłyniemy, aż się zmieni wiatr.

Tony przeszedł przez salę w kierunku drzwi. Kiedy się zbliżył, Elizabeth zachichotała cicho i wciągnęła go do ciasnego korytarza.

Masz ochotę ze mną pohulać? - spytała.

A co z sierżantem?

Och, on ma przepustkę tylko do jedenastej. - Machnęła ręką bez troski. - Możesz się odczepić od taty?

- Choćby mnie to miało życie kosztować! - odrzekł ponuro.

Elizabeth znowu zachichotała.

Fatrowie to ciężka trucizna, prawda?

Ciężka trucizna - zgodził się Tony.

Chociaż twój wygląda dosyć wdechowo. W tym mundurze...

Tak, wdechowo...

Pójdziemy do „Village”? - zapytała Elizabeth.

Okej.

W barze numer jeden, jedenasta piętnaście. Będziemy dzisiaj oblewać.

Co oblewać?

To, że jesteśmy cywile, ty i ja - odpowiedziała z uśmiechem i wypchnęła go z powrotem na salę. - A teraz szoruj do taty.

Tony wracał do stolika w nieco lepszym humorze. Przynajmniej nie cały wieczór będzie zmarnowany.

Na którą godzinę się umówiłeś? - zapytał Oliver, gdy Tony usiadł na swoim miejscu.

Na jutro.

Nie wprowadzaj w błąd wojska. - Oliver uśmiechał się niewesoło, wpatrzony w drzwi, za którymi znikła Elizabeth. - Ile ona ma lat? Ze dwadzieścia?

Osiemnaście.

Coraz wcześniej zaczynają, co? Biedny sierżant. - Spojrzał na sierżanta, unieszkodliwionego za załomem ściany, i zaśmiał się bezlitośnie. - Buli po pięć dolarów za befsztyk, a dziewczyna zdradza go w drzwiach do ustępu z młodym, przystojnym facetem. - Przechylił się wygodnie w tył, na poręcz krzesła, i z powagą, uważnie patrzył na syna, który myślał już tylko o godzinie jedenastej piętnaście. - Nie potrzebujesz się chyba wysilać, co? Założę się, że lecą na ciebie jak osy na miód.

Proszę cię, ojczec...

No, no, nie bądź niewdzięczny - upominał Oliver bez humoru. - Kto wie, czy to nie największy dar w życiu, uroda. Jesteś przystojny i od razu startujesz w połowie drogi pod górę. Nie jest to w porządku, ale to przecież nie twoja wina, powinieneś wykorzystać szansę. Co do mnie, to byłem kiedyś dosyć przystojnym chłopcem, ale nie miałem tego czegoś. Kobiety mogły się pohamować w mojej obecności. Jak będziesz starszy, napisz mi o tych sprawach. Zawsze byłem ciekaw, jak ci się to ułoży.

Jesteś pijany, ojczec - powiedział Tony.

Naturalnie - zgodził się chętnie Oliver. - Chociaż to chyba nie jest najmilsza rzecz, jaką można powiedzieć ojcu w chwili, kiedy wybiera się na wojnę. Za moich młodych lat ojcowie nigdy się nie upijali. To było, oczywiście, przed prohibicją. Inny świat. Tak - wrócił do poprzedniego tematu - masz w sobie to samo, co matka.

Ojczec - przerwał mu ostro Tony. - Napij się trochę kawy.

Była bardzo piękna - zaczął kwiecicie Oliver, używając czasu przeszłego, jak gdyby mówił o kimś, kogo znał co najmniej pięćdziesiąt lat temu. - Kiedy wchodziła do pokoju, wszyscy natychmiast odwracali głowy w jej stronę. Zawsze wchodziła tak jakoś skromnie, jakby się chciała usprawiedliwić. Była po prostu nieśmiała, wystraszona, chciała zwracać na siebie jak najmniej uwagi, ale to sprawiało zupełnie inne, dziwne wrażenie. Prowokujące. Wystraszona... To dosyć śmiesznie brzmi, jeżeli chodzi o twoją matkę, prawda? - Wpatrywał się natarczywie w

Tony'ego. - Prawda? - powtórzył wyzywająco.

Nie wiem.

Wystraszona. Przez tyle lat. Tyle lat... - Głos Olivera stał się zawodzący, a ludzie

przy sąsiednich stolikach zaczęli milknąć i przysłuchiwać się jego słowom. - Tyle lat. śartowałem sobie z niej z tego powodu. Powtarzałem jej ciągle, że jest taka piękna, bo chciałem, żeby nabrała więcej pewności siebie. Uważałem, że sam mam jej dosyć, mogę trochę odstąpić i nie poczuję ubytku. Pewność siebie... Tobie nikt nie musi jej odstępować. Masz jej tyle. A wiesz, skąd ci się wzięła? - Przechylił się nad stolikiem i powiedział zaczepnie: - Bo nienawidzisz wszystkich naokoło. Tak, to nieźle, to wcale nieźle - potrafić nienawidzić wszystkich, kiedy się ma dwadzieścia lat. Daleko zajdziesz. Jeżeli nie zbombardują Nowego Jorku. - Potoczył dokoła groźnym spojrzeniem i natychmiast ludzie przy sąsiednich stolikach, którzy dotychczas przysłuchiwali mu się uważnie, zaczęli bardzo głośno ze sobą rozmawiać.

- Jak by to było śmiesznie... - powiedział nagle Oliver. - Wyobraź sobie tych wszystkich opasłych paskarzy, jak wybredzają i wybrzydząją w najlepsze, aż tu nagle gwizd, podrywają głowy do góry i... trrach! sufit się na nich wali. Do diabła, chciałbym tu być, żeby to zobaczyć. - Odsunął od siebie talerz. - Masz ochotę na ser?

Nie, dziękuję.

Ale ja mam. Mam cholerną ochotę na wszystko, co tylko da się dostać. - Kiwnął ręką na kelnera, ale nie chciał zamówić kawy. Upierał się, że musi być jeszcze jedna whisky.

- Ojciec... - zaprotestował Tony. - Pohamuj się.

Oliver machnął ręką z dobrodusznym zniecierpliwieniem.

- Wolnego, wolnego - powiedział. - Uprościłem swoje apetyty. Wszystkie te wymysły, że przed obiadem musi być cocktail, potem dwa gatunki wina, potem brandy... śyjemy w ciężkich czasach. Uprościć to przecież hasło dnia. Nawet w wojsku się tego trzymają. Uproszczona dywizja. Trójkątna. Wyeliminowali brygadę, a ja wyeliminowałem wino i cocktaile. To wielki krok na drodze do naszego zwycięstwa. Nie rób takiej sędziowskiej miny. Zanim się stąd wyniosę, chcę ci jeszcze po wiedzieć parę rzeczy, a to jest właśnie jedna z tych rzeczy. Nie rób takiej miny. To jest... to jest po prostu banalne. - Uśmiechnął się zadowolony, że udało mu się znaleźć właściwe słowo. - Jesteś na to zanadto inteligentny. Postaraj się być bardziej oryginalny. Kochaj swojego ojca. Powiedz, gdzie można dzisiaj znaleźć coś oryginalniejszego? Cały świat akademicki mówiłby o tobie. Niezwykle zjawisko, nowy przedmiot studiów psychologicznych! Najważniejsze wydarzenie od czasów wiedeńskich! Kompleks Kordelii. - Roześmiał się, rad z własnego dowcipu.

Tony siedział z wzrokiem utkwionym w obrus i myślał o tym, kiedy nareszcie skończy się ten wariacki, niespodziewany monolog. Opanowała go nagle tęsknota za dawnymi spotkaniami z ojcem w ciągu minionych lat, za ich sztywną atmosferą, akcentowaną

długimi chwilami milczenia. Ojciec bywał zawsze taki poprawny, speszony i skępowany, z trudem wyszukiwał tematy rozmowy w ciągu tych paru godzin na miesiąc, które spędzali razem.

- Bo mój ojciec, na przykład, odebrał sobie życie - opowiadał Oliver. - W tym samym roku, kiedyś ty się urodziłeś. Poszedł nad morze w Watch Hill, wszedł po prostu do wody i utopił się. W tamtych czasach popełnić samobójstwo w takiej miejscowości to było bardzo wytwornie, ale oczywiście nikomu się nie wysnęło słowo:

„samobójstwo”, mówiło się, że dostał skurczu. Niewykluczone, że właśnie tego ranka zauważył, w jaki sposób mu się przyglądam, i powiedział sobie: „No tak, to decyduje.

Dzisiaj trzeba z tym skończyć.” Nie mogliśmy odnaleźć ciała. Pewnie do dzisiejszego dnia obija się gdzieś tam, w Golsztromie. Ubezpieczenie było przyzwoite. Tego ranka wiatr dął dosyć mocno i była wysoka fala. Ojciec zawsze bardzo zwracał uwagę na pozory. To cecha rodzinna, widzę, że ją odziedziczyłeś. Może masz jaką teorię, żeby wytłumaczyć, dla czego twój dziadek utopił się w Watch Hill w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym?

Tony westchnął.

Wiesz, ojcie, jutro muszę wstać bardzo wcześnie, a ciebie czeka pewnie także niełatwy dzień. Może byśmy już skończyli i pojechali do domu?

Do domu - powtórzył Oliver. - Mój dom jest w pokoju 934 w hotelu

Shelton, na Lexington Avenue. Ale mogę pojechać, jeżeli ty pojedziesz ze mną.

Zawiozę cię taksówką i wysadzę przed hotelem.

O, nie, nie! - Oliver z chytrą miną przytknął palec do nosa. - Śadnych takich! Nie zgadzam się! Mam ci masę rzeczy do powiedzenia, mój panie. Może mnie nie być ze trzydzieści lat, musimy wszystko zaplanować. Ostatnie zalecenia

Odyseusza dla Tele... Telemacha. Bądź dobry dla matki i uważaj na gości. - Wykrzywił się w uśmiechu. - Widzisz, ja jestem żołnierz-prostak, ale zostały jeszcze jakieś ślady dawnego, wytworniejszego życia przed epoką hotelu Shelton.

Tony spojrzął na zegarek. Było już piętnaście po dziesiątej. Rzucił okiem w stronę Elizabeth. Tamci pili już kawę.

- Nie martw się - uspokoił go Oliver. - Poczekaj na ciebie.

No, chodźmy.

Wstał, potrącone krzesło zakołysało się za nim, ale nie zwrócił na to uwagi, a krzesło w końcu stanęło na cztery nogi. Oliver zapłacił rachunek. Gdy wychodzili, Elizabeth uśmiechnęła się do nich, Tony zaś usiłował wyrazem twarzy dać jej do zrozumienia, że trwa w postanowieniu dotarcia do baru numer jeden na godzinę jedenastą piętnaście albo bardzo

niewiele później.

Wysiedli z windy na dziewiątym piętrze, Tony otworzył drzwi, bo Oliver nie mógł trafić kluczem do zamku, a następnie zapalił światło w pokoju ojca. Pokój był mały, zarzucony różnymi śmieciami - na podłodze leżał rozbabrany wojskowy worek na rzeczy, na łóżku - zielonkawy płaszcz od deszczu, stos świeżo upranych, ale wymiętoszonych koszul koloru khaki piętrzył się na toalecie, a na biurku walały się gazety, byle jak zsunięte w jeden kąt przez pokojówkę.

- Jesteśmy w domu - powiedział Oliver. - Rozgość się. - Nie zdejmując czapki ani płaszcza podszedł do kredensu, otworzył i wyjął butelkę whisky. - To nadzwyczajny hotel - powiedział podnosząc butelkę pod światło, aby sprawdzić, ile w niej jeszcze zostało. - Pokojówki są niepijące.

Przeszedł do łazienki. Słysząc było, jak nalewa wody do szklanki i podśpiewuje sobie: „Nie żyje biedny Jud”. Tony podszedł do okna i odsunął zasłonę.

Okno wychodziło na pod-worze. Ze wszystkich stron spoglądały na niego takie same, ośleple okna. Niebo rozwierało się w górze w nieokreśloną, czarną dal.

Oliver wrócił ze szklanką w rękę i dolał do niej whisky. A potem, w płaszczu i czapce, opadł ciężko na fotel. Oklapł, zapadł się głęboko w fotel i we własny płaszcz, czapka zsunęła mu się na tył głowy, w obu dłoniach trzymał szklaneczkę z whisky.

Można by pomyśleć, że to starzejący się żołnierz dopiero co wrócił do domu po strasznej klęsce i oto na jedną chwilę poddał się rozpacz i wyczerpaniu.

- O Boże - wyszeptał cicho. - O Boże!

Za drzwiami, na korytarzu, słysząc było stłumiony jęk windy jeżdżącej w górę i na dół, złowróżbny, wibrujący.

- Syn... - mrucał Oliver niewyraźnie. - Po co człowiek ma syna? Normalnie nikt sobie nie zadaje takich pytań. Kiedy się ma normalne, zwyczajne życie, kiedy się zasiada co wieczór razem z nim do obiadu, kiedy daje mu się od czasu do czasu po uchu, żeby nie był nieznośny, wtedy to się rozumie samo przez się. Co, u diabła, przecież wszyscy naokoło mają synów. Ale kiedy życie jest rozerwane, rozbite, rozdarte - przeciągał z bolesną rozkoszą słowa wyrażające rozstanie i rozdział - o, wtedy to całkiem inna historia! - Zasunięty głęboko w fotelu, popił trochę ze szklanki i mrucał dalej: - Człowiek pyta sam siebie: Po co ja to zrobiłem? Po co mi to było?

Chcesz wiedzieć? Chcesz się dowiedzieć, do jakiego wniosku doszedłem?

Tony odwrócił się od okna, podszedł powoli do fotela i stanął przed ojcem.

Pomogę ci się rozebrać i położyć do łóżka, dobrze? - zapytał łagodnie.

Nie chcę iść do łóżka. Chcę ci powiedzieć, co myślę o synach. Kto wie, czy sam nie będziesz miał synów, a wtedy może cię to zainteresować na własny rachunek.

Człowiek ma syna po to, żeby móc w sobie odrodzić optymizm. Facet dochodzi do pewnego wieku, powiedzmy - dwadzieścia pięć, trzydzieści lat, to zależy od inteligencji, i wtedy zaczyna sobie mówić: „To wszystko jest do kitu!” Zaczyna rozumieć, że każdy następny dzień przynosi nową porcję tego samego, tyle że właśnie z każdym dniem trochę gorszą. Jeżeli facet jest religijny, to zapewne powiada sobie:

„Śmierć jest moim celem. Alleluja, słyszę, jak aniołowie stroją złote harfy, moja dusza przygotowuje się na ziemi do chwały niebieskiej.” Ale jeżeli nie jest religijny, jeżeli uważa, że tamte sprawy to jest znowu to samo, tylko z niedzielą włącznie, to co mu zostaje? Książeczka czekowa, nie zapłacone rachunki, coraz chłodniejsza krew w

żyłach i - co mamy dzisiaj na obiad, kto będzie na obiedzie, co jedliśmy w zeszłym tygodniu, **kto** nas odwiedzał w zeszłym roku? Weź tych z biletami pracowniczymi, co wracają pociągiem do domu co dzień koło szóstej. Ładunek nudy wciśniętej w taki jeden pociąg wystarczy, żeby znieść z powierzchni ziemi duże miasto. Nuda. To jest początek i koniec pesymizmu. I wtedy przychodzi dziecko. Mały chłopczyk nie wie, co to pesymizm. Człowiek patrzy na niego, przysłuchuje mu się, a on w każdej sekundzie dyszy pasją. Pasją wyrastania, czucia, poznawania. Ma w sobie coś takiego, co mu daje pewność, że warto rosnąć, warto się uczyć porozumiewania się z ludźmi, uczyć się jeść łyżką, uczyć się korzystać z ustępu, uczyć się czytać, walczyć na pięści, kochać... Jest na grzbiecie fali, która go niesie naprzód. W każdym razie, jemu się wydaje, że naprzód, i wcale mu nie przychodzi na myśl, żeby się obejrzeć za siebie i zapytać: „Kto mnie pcha naprzód? Dokąd zmierzam?” Człowiek patrzy na syna i zaczyna rozumieć, że w ludzkiej rasie jest coś, co każe jej wierzyć ślepo w życie. Dla człowieka, którego ojciec wszedł w morze w Watch Hill i utopił się, taka rzecz może mieć cholernie duże znaczenie. Kiedy miałeś trzy lata, lubiłem ci się przyglądać.

Siedziałeś na podłodze i próbowałeś sam wkładać skarpetki i buty. Pociłeś się okropnie, a ja ryczałem ze śmiechu. W tych chwilach, gdy siedziałem w twoim pokoju, wśród twoich rówieśników, i śmiałem się jak wiejski parobek w cyrku, byłem razem z tobą na grzbiecie fali, podkradałem ci trochę optymizmu na własny użytek.

Byłem ci za to wdzięczny i chowałem cię w sercu jak skarb. A teraz... - Oliver popił whisky i uśmiechnął się chytrze, spoglądając na Tony'ego ponad krawędzią szklanki.

- A teraz wcale cię nie chowam w sercu. Nowa porcja tego samego. Młody człowiek z pretensją do świata. Przypomina mi mnie samego, kiedy byłem młodszy, przypomina mi pewną ładną kobietę, z którą akurat się ożeniłem, przypomina mi, że podciągnęliśmy w górę

naszą drukarnię...

Ojczy - przerwał mu Tony udręczonym głosem - po co opowiadasz to wszystko?

Właśnie, po co? - wymamrotał Oliver ustami na krawędzi szklanki. - Jest po co! Ostatnia wola, testament. Przed wyruszeniem na wojnę. Wojna też bardzo pomaga, a jakże! Jak nie można mieć syna, to koniecznie na wojnę. To także taka fala. Nie ma czasu obejrzeć się ani zapytać, kto popycha i dokąd.

Złudzenie jakiegoś celu, jakiegoś dokonania. Zdobywasz miasto. Nie pytaj, jakie miasto. Nie pytaj, kto jest w tym mieście. Nie pytaj, co oni będą tam robić, kiedy ty pójdziesz dalej. Nie pytaj, czy trzeba je było zdobywać. Tylko nie trać nadziei, że wojna potrwa dostatecznie długo, że nie zabraknie miast do zdobywania, że już nie wrócisz...

- Nie mówiłbyś takich rzeczy, gdybyś nie był pijany - powiedział Tony.

Nie mówiłbym? Możliwe, że nie. - Oliver zaśmiał się cicho. - W takim razie warto było się upić. Ty nie pamiętasz, bo byłeś za mały, ale kiedyś miałem bardzo wysokie mniemanie o sobie. Wyobrażałem sobie, że Pan Bóg specjalnie się wysilił, żeby połączyć w mojej osobie inteligencję, uczciwość, pracowitość i dowcip. O

cokolwiek byś mnie zapytał w tamtych czasach, natychmiast miałem gotową odpowiedź, niczym papież albo mózg elektronowy. Byłem solidny jak nasza republika, czego się nie dotknąłem, musiało się udać, pewność to było moje drugie imię. Byłem pewien swego zdania o różnych sprawach w pracy, o małżeństwie, o uczciwości, o wychowaniu dzieci i nie dbałem o to, co inni wiedzą na ten temat.

Patrzyłem na świat szeroko otwartymi oczami lunatyka. Byłem produktem zacnej rodziny i ojca-samobójcy. Miałem za sobą pieniądze, dobrą szkołę i dobrego krawca, toteż żaden piorun nie mógł mnie zabić, choćby mnie trafił między oczy w sam dzień

Czwartego Lipca. I nagle, tamtego lata, w małej śmierdzącej dziurze nad jeziorem, w ciągu piętnastu minut wszystko się zawaliło. Oczywiście, fałszywa decyzja. Ale może jedyną słuszną decyzją byłoby wtedy powiesić cię za nogi i utopić w jeziorze. Na to, naturalnie, nie pozwalało moje stanowisko społeczne. Abraham i Izaak! Nie, ten numer nigdy by nie przeszedł w stanie Vermont, choćby nie wiem jacy aniołowie czuwali w pobliżu. Wobec tego, rzecz jasna, obróciłem nóż przeciw samemu sobie, chociaż ty na pewno jesteś innego zdania. Co, u wszystkich diabłów! - zawołał wojowniczo. - Jakaż to krzywda ci się stała? Rozstałeś się z domem trochę wcześniej, niż to się zwykle dzieje, i parę razy byłeś sam w czasie świąt. To wszystko.

Tak, to wszystko - - powiedział Tony głosem nabrzmiałym goryczą tych siedmiu lat.

- A ja... - mówił Oliver nie zwracając uwagi na syna. - Dla mnie po prostu skończyło



się życie. Kiedy później wracałem myślą do tamtych czasów i rozumiałem już, że to moja wina, mówiłem sobie: „To zmysły kazały ci tak postępować.”

Możliwe, że tak było. Tylko że wkrótce potem niewiele zostało z moich zmysłów.

Naturalnie, udawaliśmy przed sobą, bo w małżeństwie obowiązuje pewna kurtuazja w tych sprawach, ale już wtedy za dużo innych rzeczy nam przeszkadzało i w końcu prawie zupełnie daliśmy temu spokój.

- Ja nie chcę o tym słyszeć.

Dlaczego? Masz już dwadzieścia lat. Podobno przepowiadają ci karierę jako ozdobię wydziału medycznego w college. Więc chyba nie urażam dziewiczego uszu?

Znaj ojca twego i matkę swoją. Jeżeli nie możesz ich czcić, to przynajmniej znaj ich.

To nie jest byle jaka sprawa, w tym jest naprawdę coś ciekawego. Wojna zrobiła ze mnie z powrotem mężczyznę. Miałem jedną kelnerkę w Columbus, w Północnej

Karolinie. W czasie decydującego weekendu przetrzymałem pewnego sędziego i dwóch kapitanów ze sztabu. Był wtedy upał, wszystkie dziewczęta chodziły bez pończoch. Gdybym był katolikiem, to zupełnie poważnie pomyślałbym o święceniach kapłańskich. Ty jesteś teraz moim spowiednikiem, a mój ulubiony konfesjonał mieści się na dziewiątym piętrze hotelu Shelton.

Idę już - powiedział Tony zmierzając do drzwi. - Uważaj na siebie i daj mi znać, pod jakim adresem mam pisać i...

- Na rozgrzeszenie trzy łyki bourbon - bełkotał O'Liver. - Gdzie się podziała ta butelka?  
- Zaczął macać rękami po podłodze koło fotela, znalazł butelkę i nalał sobie whisky do jednej trzeciej wysokości szklanki. Odstawił butelkę z powrotem na podłogę i przymykając jedno oko jak strzelec wyborowy, strzelił korkiem przez pokój do kosza na śmieci. - Dwa punkty - powiedział zadowolony. - Wiesz ty o tym, że w młodości byłem doskonałym sportowcem? Cały dzień mogłem biegać, pierwszorzędnie grałem na pierwszej bazie, chociaż na tym stanowisku wszyscy najlepsi gracze to mańkuty. Wybijałem też długie piłki, ale mało było okazji, więc w końcu nie warto było się tego trzymać. Ciągnęło mnie, żeby zostać bohaterem w mundurze, jak mój cioteczny dziadek, który poległ pod Wilderness w wojnie domowej, ale pierwsza wojna światowa wyleczyła mnie z tych ciągotek. Całe sześć miesięcy pobytu we Francji spędziłem w Bordeaux i przez ten czas słyszałem tylko jeden jedyny strzał oddany po to, żeby kogoś zabić. To żandarm polowy strzelał do dwóch Senegalczyków, którzy rozwalili szybę w winiarni na Place Gambetta. Nie odchódź jeszcze - powiedział prosząco. - Może kiedyś twój syn zapyta cię o najważniejsze zdarzenia w dziejach naszej rodziny i wtedy dopiero pożałujesz, że nie chciałeś zostać pięć minut dłużej, żeby nasiąknąć rodziną

tradycją. Na naszej tarczy herbowej wypisane są trzy wielkie słowa: Samobójstwo, Klęska i Cudzołóstwo.

Gotów jestem wyzwać każdą amerykańską rodzinę, która ma w żyłach krew, a nie wodę, żeby pokazała, czy potrafi się lepiej spisać.

Teraz bredzisz - powiedział Tony nie odstępując od drzwi. - Nie ma żadnego sensu w tym, co opowiadasz.

Mój synu, za taką obrazę idzie się pod sąd wojenny - oświadczył z powagą Oliver ze swego fotela. - Miłosierdzie zaczyna się w hotelu Shelton.

Tony otworzył drzwi.

- Nie, nie odchodź! - zawołał Oliver usiłując się wydobyć z fotela. Chwiał się na nogach, ale ostrożnie trzymał w ręku szklaneczkę..- Mam coś dla ciebie. Zamknij drzwi. Jeszcze tylko pięć minut. - Twarz mu drgała z bolesnego napięcia. - Przepraszam cię. Miałem ciężki dzień. Zamknij drzwi. Już nie będę pił więcej.

Widzisz... - Niepewnym ruchem odstawił szklankę na kredens. - Największa ofiara.

Chodź tu, Tony - prosił pieszczotliwym głosem, chwiejąc niepewnie głową. - Zamknij drzwi. Nie zostawiaj mnie jeszcze samego. Jutro już mnie nie będzie w kraju, dam ci spokój na Bóg wie jak długo. Możesz chyba zostać jeszcze pięć minut.

Proszę cię, Tony, nie chcę być teraz sam.

Tony zamknął niechętnie drzwi. Wrócił i usiadł sztywno na łóżku.

- No widzisz - rozczulił się Oliver. - No widzisz, jaki z ciebie chłopak. Prawdę powiedziawszy, piłem dzisiaj na twoją intencję. Nie śmiej się. Znasz mnie przecież, nie jestem pijakiem. Tylko że tyle się nazbierało, tyle ci chciałem powiedzieć. Od tak dawna nie mogliśmy ze sobą pogadać. Te przekłete obiady... - Potrząsnął głową. - Przede wszystkim chcę się przed tobą usprawiedliwić.

- O Jezu! - jęknął Tony obejmując głowę rękami. - Nie teraz, ojczy, nie teraz!

Oliver stał nad nim kiwając się lekko w tył i naprzód.

Złożyliśmy cię w ofierze - mówił. - Tak, przyznaję. Wtedy wydawało się, że był w tym jakiś sens. Skąd mogliśmy przewidzieć, że to się odmieni? Chcesz zemsty? Spójrz na mnie, masz dostateczną zemstę.

Niczego nie chcę - oświadczył Tony. - Nie chodzi mi o zemstę.

Naprawdę? - zapytał Oliver z napięciem.

Naprawdę.

Dziękuję ci, synu! - - Oliver wyciągnął gwałtownie obie ręce, pochwycił dłoń Tony'ego i zaczął ją ścisnąć jak szalony. - Dziękuję ci, dziękuję!

To wszystko co miałeś mi do powiedzenia? - zapytał Tony podnosząc głowę i spoglądając na ojca, który stał pochylony, z mętnymi oczami, i chwiały się na nogach.

Nie, nie. - Oliver puścił Tony'ego i zaczął prędko mówić, jak gdyby się bał, że jeśli przestanie na chwilę, Tony zostawi go samego w pokoju. - - Powiedziałem ci przecież, że mam coś dla ciebie. - Podszedł do otwartego worka na rzeczy, zwałił się przy nim na oba kolana, aż stęknęła podłoga, i zaczął grzebać w jego wnętrzu. - Już

od dawna chciałem ci to dać. Bałem się, że może się nie nadarzyć odpowiednia okazja i... O jest! - Wyciągnął małą paczuszkę owiniętą w bibułkę i ściągniętą gumową opaską. Klęczęc zdzierał niezdarnie bibułkę. Odrzucał podarte strzępy na podłogę, aż

w końcu ukazał się staroświecki złoty zegarek. - To zegarek mojego ojca - powiedział unosząc go w górę. - Masywne złoto. Zawsze go miałem przy sobie, żeby mi przynosił szczęście, chociaż właściwie wolę zegarek na rękę. Dał mi to na dwa tygodnie przed śmiercią. Masywne złoto - powtórzył przyglądając się zegarkowi pod światło i obracając go powoli w trzęsących się rękach. - Stary Waltham. Ma już

przeszło czterdzieści lat, ale doskonale chodzi. - Wstał z klęceczek i podszedł znów do Tony'ego nie przestając podziwiać zegarka. - Nie musisz go przecież nosić, jest strasznie niemodny, ale mógłby sobie leżeć na biurku, taki zegarek...

Podał go synowi, ale Tony nie chciał go wziąć.

Dlaczego nie masz go dalej nosić? - zapytał z uczuciem przesadnego lęku. - Jeżeli ci przynosił szczęście.

Szczęście... - Oliver uśmiechał się gorzko, boleśnie. - Miej go ty, zamiast mnie. Może tobie przyniesie więcej szczęścia. Proszę cię, weź.

Tony wyciągnął powoli rękę. Oliver położył na niej zegarek, niezwykle ciężki i gruby. Złota oprawa była bogato grawerowana, na nieco pożółkłej tarczy widniały cienkie, staroświeckie cyfry rzymskie. Tony spojrzał uważniej, było po jedenastej. „O, do diabła! - zaklął w duchu. - Nie spotkam się z Elizabeth. Nie będzie na mnie czekała.

- Dziękuję - powiedział głośno. - W odpowiednim czasie oddam go mojemu synowi.

Oliver uśmiechnął się niepewnie.

- O, właśnie. To jest myśl.

Tony wsunął zegarek do kieszeni i podniósł się z łóżka.

No, ale ja... - zaczął się wycofywać.

Nie odchodź jeszcze. Tylko chwilę. Jeszcze tylko jedna rzecz.

Co takiego? - Tony usiłował stłumić w swym głosie nutę rozdrażnienia z powodu ojca, z powodu tego wieczoru, z powodu ponurego, rozbabranego pokoju.

Poczekaj. Tylko poczekaj - powiedział Oliver wykonując szeroki, tajemniczy gest ręką.

Podszedł do telefonu, usiadł na łóżku (ciągle w płaszczu i w czapce) i podniósł słuchawkę. Zastukał niecierpliwie w widelki.

Proszę. Orange 7654 - powiedział do telefonistki. - To w stanie New Jersey.

Do kogo telefonujesz? - zapytał podejrzliwie Tony.

Tak, w porządku, Orange. - Oliver odwrócił się do syna nie odejmując od ucha słuchawki. - Wiesz o tym, że przenieśliśmy się kilka lat temu do New Jersey?

Tak.

No, oczywiście. Przecież byłeś tam kiedyś. Radosne Święto Dziękczynienia. Okazało się, że naprawdę trudno było dłużej wytrzymać w Hartford. Pod jednym względem wyszło nam to rzeczywiście na dobre. Drukarnia była już bardzo przestarzała, a w New Jersey udało mi się kupić nowy zakład i ogromnie go rozwinąłem. Ta przeprowadzka zrobiła ze mnie bogatego człowieka. - Roześmiał się.

- Romantyzm biznesu - powiedział z nieokreślonym gestem. - Mogłem sobie pozwolić nawet na patriotyzm i zgłosić się do szeregów na wezwanie ojczyzny.

Proszę pani, proszę pani! - zawołał zniecierpliwiony do telefonistki.

Do kogo telefonujesz? - zapytał Tony ponownie.

Do twojej matki. - Twarz Olivera wykrzywiła się, jakby miał się rozplakać, chociaż zapewne była to tylko whisky. Jego oczy miały błagalny wyraz.

Och, dajże spokój - zaprotestował Tony. - Jakież to ma sens?

- Tylko raz - prosił Oliver. - Tylko w ten ostatni wieczór. Powiemy jej tylko:

Halo! Ty i ja, obaj. Co ci to może szkodzić? Powiemy tylko: Halo! Tony zawahał się, wzruszył ramionami.

- Okej - powiedział znużonym tonem.

- No widzisz - zawołał Oliver uszczęśliwiony. - Fajny z ciebie facet!

„Fajny facet - pomyślał Tony. - To jest słownik mojego ojca.”

- Podejdź tutaj. - Oliver kiwał gwałtownie ręką. - Weź słuchawkę. Zaraz będziesz z nią mówić. Podejdź prędko!

Tony podszedł do aparatu, wziął słuchawkę i przyłożył do ucha. Słyszał daleki sygnał, powtarzający się w regularnych odstępach czasu. Ojciec stał tuż przy nim, zalatywało od niego whisky, dyszał prędko, jak gdyby dopiero co przebiegł kawał drogi. W telefonie dzwoniło i dzwoniło.

- Pewnie śpi - rzekł Oliver z nutą niepokoju. - Jeszcze nie usłyszała.

Tony nie odpowiedział. Wsłuchiwał się w dalekie dzwonięcie.

- A może jest w kąpielni - domyślał się Oliver. - Może woda się leje w łazience i dlatego nie słyszy.

- Nikt się nie zgłasza - powiedział Tony i chciał odwieść słuchawkę, ale Oliver odebrał mu ją szybko i przyłożył do ucha, jak gdyby nie dowierzał synowi.

Stali bez ruchu. Wąty, bezduszny dźwięk powtarzającego się dzwonka rozlegał się zdumiewająco głośno w ciszy pokoju.

Pewnie poszła do kina - odezwał się Oliver po chwili. - Albo na jakiegoś brydża. Masami grywa w brydża. Albo musiała zostać dłużej w pracy. Bardzo ciężko pracuje i...

- Powieś słuchawkę - przerwał mu Tony. - Nie ma jej w mieszkaniu.

Jeszcze tylko pięć razy niech zadzwoni. Przeczekali jeszcze pięć dzwonek, po czym Oliver powiesił słuchawkę. Nie ruszał się z miejsca, stał wpatrzony w aparat telefoniczny na niechlujnym nocnym stoliku, poprzypalanym od papierosów i poplamionym od mokrych szklanek.

Tak... Czy to nie pech? - powiedział prawie szeptem, kiwając głową i nie odrywając wzroku od telefonu. - Czy to nie prawdziwy pech?

Dobranoc, ojciec - odezwał się Tony.

Oliver nie poruszył się. Stał wpatrzony w telefon, twarz jego miała wyraz poważny, zamyślony, niespecjalnie smutny, ale jakiś daleki i skupiony.

Ojciec, dobranoc - powtórzył Tony. Oliver spojrzał na niego.

A, tak - - powiedział bezbarwnie.

Wyciągnął rękę, Tony uścisnął ją. Dłoń Olivera leżała bezwładnie w jego dłoni.

No więc... - zaczął Tony niezgrabnie, czując nagle, jakie to trudne i kłopotliwe zadanie: żegnać przed wyruszeniem na wojnę nie tego członka rodziny, którego należałoby żegnać. - Wszystkiego dobrego.

Tak, tak, synu - odparł Oliver z nieobecny uśmiechem. - Bardzo miły był ten wieczór.

Tony wpatrywał się w niego z napięciem, ale Oliver najwyraźniej nie miał nic więcej do powiedzenia. Zdawało się, że jego zainteresowanie osobą syna wyczerpało się całkowicie. Kiedy Tony wychodził z pokoju, Oliver stał jeszcze przy telefonie.

Miał nadzieję, że Elizabeth na niego czeka, więc wziął taksówkę i pojechał do baru numer jeden. Nie zastał jej tam, wobec czego postanowił zaczekać piętnaście minut, a gdyby się nie zjawiała do tego czasu, wracać do domu.

Zamówił whisky i od niechcienia wsunął rękę w kieszeń. Był w niej zegarek.

Wyjął go i zaczął mu się przyglądać. Miał uczucie, że trzyma w ręku rok tysiąc dziewięćsetny. Jakiś tłusty jegomość stał w kręgu światła przy pianinie i śpiewał: „Ja kocham życie.”

Tony odwrócił zegarek kopertą do góry. W barze było ciemnowo, ale kiedy trzymał zegarek nad samą ladą, padał na niego promień światła od małej lampki ukrytej za rzędami butelek. Złoto ozdobione koronką delikatnego wzoru lśniło w jego ręku. Na brzeżku koperty był maleńki występ, Tony podważył go, koperta odskoczyła.

W środku ukazała się fotografia. Pochylił się, aby się lepiej przyjrzeć. Była to fotografia matki, zrobiona w latach wczesnej młodości. Lucy miała włosy upięte w zabawny, niemodny kok, ale to nic nie szkodziło, i tak była piękna. W ukośnie padającym, skąpym świetle, przy którym barman przyrządzał napoje, gdy odbywały się występy przy fortepianie, z podniszczonej fotografii spoglądały na Tony’ego szeroko rozstawione, naiwne, trochę nieśmiałe i uśmiechnięte oczy.

„O Boże - westchnął w duchu - po co on to zrobił?”

Rozejrzał się, gdzie by można wyrzucić fotografię, ale w tej samej chwili dostrzegł Elizabeth, która przeciskała się wśród stolików zmierzając w stronę baru.

Zamknął kopertę zegarka i wsunął go do kieszeni. „Zrobię to po powrocie do domu” - pomyślał.

Będziemy grzeszyć - szepnęła Elizabeth ściskając go za rękę. - Będziemy grzeszyć. Tata leży już grzecznie w łóżeczku?

Tak, grzecznie i bezpiecznie.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Szosa wymykała się gładko spod kół, samochód połykał dwie falujące wstęgi cienia padającego od drzew po obu stronach drogi, kamienie kilometrowe z nazwami normandzkich miejscowości spływały w jeden strumień. Tony siedział wyprostowany przy kierownicy i prowadził automatycznie, pogrążony we wspomnieniach owego wieczoru w Nowym Jorku. Przez wiele lat wysiłał się, żeby o tym zapomnieć.

„Kiedy człowiek widzi ojca ostatni raz przed śmiercią - rozmyślał gorzko -

powinien dostać jakiś znak z góry, jakieś ostrzeżenie, że to już nigdy więcej. Wtedy mógłby powiedzieć właściwe słowo, nie uciekałby z pustego pokoju hotelowego, nie denerwowałby się, czy zdąży na randkę w barze z dziewczyną, która ma osiemnaście lat i

przyjechała do Nowego Jorku, żeby używać wojny.”

Widział kątem oka, że matka siedzi koło niego z zamkniętymi oczami, a wiatr targa końcami jej szalika. Zastanawiał się, jak by to było, jak by się wszystko mogło odmienić, gdyby ona tamtego wieczoru była w domu, gdyby podeszła do telefonu, gdyby usłyszał jej głos wtedy, kiedy ojciec powiedział: „No, widzisz. Fajny z ciebie facet!”

Na wpół drzemiąc Lucy siedziała wciśnięta w wąskie siedzenie, wiatr świszczął jej w uszach, pędziła w stronę mogiły, której nie widziała jeszcze i której istotnego sensu dotychczas nie rozumiała. Ona także myślała o swoim ostatnim spotkaniu z Oliverem. Była prawie trzecia nad ranem, wiedziała, że Oliver spotkał się przedtem z Tony’em i próbował do niej telefonować, bo powiedział jej o tym później.

Weszła do zimnego, pustego domu, w którym każdy dźwięk budził echo. Była znużona i zniechęcona, odprawiła spod drzwi młodego oficerka.

- Nie - powiedziała porucznikowi zagrażając mu wejście i nie przekręcając klucza w zamku. - Nie wejdiesz. Jest już za późno. I nie odsyłaj taksówki. Bądź grzecznym chłopcem, wracaj do domu. Mamy przed sobą jutro.

- Kocham cię - wyszeptał chłopak żarliwie. „O Boże! - pomyślała. - On to mówi poważnie. To ta wojna. Przez parę godzin pocieszam rannych w odrapanym budynku przy szosie, przez parę smutnych godzin, od których serce się ścisza, a oni zaraz:

Kocham cię! Dlaczego to robisz?” Czuła się wyczerpana, przypomniawszy sobie, że nazajutrz rano musi być o dziewiątej w laboratorium. „Trzeba mieć litość także i dla siebie” - zdecydowała.

Nie opowiadaj takich rzeczy - powiedziała do porucznika.

Dlaczego? - Objął ją i chciał pocałować.

Bo to za bardzo komplikuje wszystko.

Pozwoliła mu na przelotny pocałunek, po czym odepchnęła go lekko.

Jutro wieczór? - zapytał.

Zadzwoń po południu.

Już tylko trzy dni zostały do zaokrętowania - żalił się błagalnym tonem. - Proszę cię...

No, dobrze.

To było cudowne - wyszeptał.

„Piękna zapłata - uśmiechnęła się w duchu sarkastycznie. - Uprzejmy, dobrze wychowany młodzieniec nie rozstaje się ze swymi manierami nawet w czasie wojny.”

Naprawdę nie chcesz, żebym wszedł z tobą do mieszkania?

Roześmiała się i odprawiła go ruchem ręki, on zaś uśmiechnął się smutnie i zszedł po schodach do taksówki czekającej na niego przy krawężniku. Wydawał się rozżalony, samotny i mimo oficerskiego płaszcza bardzo wiotki, za młody i za uprzejmy na to, co go czekało. Patrząc za nim Lucy poczuła zamęt w myślach, zwątpiła w wartość tego, co uczyniła tej nocy, a co aż do tej chwili uważała za akt wspaniałomyślności i miłosierdzia. Może na dłuższą metę będzie mu z tym jeszcze gorzej?

Zapaliła światło w hallu i chciała pójść prędko na górę, do łóżka. Zatrzymała się jednak i zaczęła węszyć. Z saloniku wyraźnie dolatywał zapach dymu. „Muszę powiedzieć sprzątacze, żeby nie paliła papierosów w czasie roboty” - pomyślała zirytowana. Ale przypomniała sobie, że sprzątaczką przychodzi tylko dwa razy w tygodniu, w poniedziałki i czwartki, a tego dnia nie był ani poniedziałek, ani czwartek.

Zawahała się, weszła do saloniku. Od progu zobaczyła żarzący się punkcik i ciemną postać zanurzoną w fotelu wysuniętym na sam środek dywanu. Przekręciła światło.

Przed nią siedział skulony w fotelu O1iver. Miał na sobie płaszcz i palił papierosa. Nie widziała go od pięciu miesięcy. Zauważyła, że wyszczuplał od tego czasu, a przy tym wyglądał o wiele starzej. Oczy zapadły się w oczodołach, usta miały grymas zmęczenia.

O1iver! - powiedziała.

Halo, Lucy.

Nie wstał z fotela. Głowa mu się chwiała, oblizywał wargi. Poznała, że musiał pić.

- Od dawna tu jesteś? - zapytała.

Zdjęła płaszcz i rzuciła go na krzesło. Czowała się nieswojo, bała się trochę. To nie było do niego podobne - przyjeżdżać bez uprzedzenia, przebrać miarę w picciu i wreszcie siedzieć w ten sposób, w płaszczu, po ciemku, w zamyśleniu tającym w sobie groźbę, na fotelu ustawionym chyba umyślnie na wprost drzwi wejściowych.

Parę godzin - odpowiedział. - Nie wiem dokładnie. - Mówił powoli, z namysłem, głosem nieco schrypniętym. - Telefonowałem z Nowego Jorku, ale nie było cię w domu.

Może ci co podać? Coś do wypicia albo kanapkę?

Nie, nic nie chcę.

Dali ci urlop? - zapytała. - Na jak długo?

Jutro wsiadam na statek. Do Europy.

Oo...

„W tym tygodniu wszyscy odpływają - pomyślała. - Cała armia. Gdybym nie była tak okropnie zmęczona, na pewno przyszłoby mi na myśl jeszcze coś więcej poza tym.”

Wstrząsnął nią lekki dreszcz.



Zimno tutaj - powiedziała. - Trzeba było odkręcić termostat.

Nie zauważyłem.

Podeszła do termostatu zawieszzonego na ścianie i przekręciła go na osiemdziesiąt stopni, do podziałki, przy której był napis: „Temperatura letnia”. Nie spodziewała się, aby ogrzewanie mogło zacząć działać szybko, ale chciała po prostu czymś się zająć, by uniknąć utkwionego w nią badawczego spojrzenia męża.

Głodna jestem - powiedziała. - Pójdę chyba zobaczyć, czy jest coś w lodówce. Naprawdę nie chcesz, żebym ci coś przyniosła?

Naprawdę.

Zdusił papieros w popielniczce umieszczonej na poręczy fotela i patrzył za nią, gdy odchodziła do kuchni.

W kuchni umyślnie marudziła. Zajrzała do lodówki, chociaż nie miała na nic ochoty.

Nie chciała wracać do Olivera i była zła na siebie, że po tylu latach ciągle jeszcze się go boi. Zastanawiała się, czy Oliver spędzi tę noc w domu i czy będzie nalegał, żeby spać z nią razem. Zanim wstąpił do wojska, mieli oddzielne sypialnie i bywało, że przez długie okresy wcale się do niej nie zbliżał. Ale nagle, bez specjalnego powodu, bez jakiegś podniety, której mogłaby się domyślać, przeprowadzał się do jej pokoju i nie opuszczał go przez kilka nocy pod rząd. Bywał wtedy prawie tak samo namiętny jak w pierwszych dniach po ślubie, tylko że obok głodu i rozkoszy zmysłów wyczuwała w nim tajoną melancholię i żal.

Gdy na koniec poszedł do wojska, zaofiarowała się, że będzie go odwiedzać, będzie dojeżdżać do obozu, do którego go przydzielą. On jednak nie chciał się na to zgodzić tłumacząc, że jej praca jest zanadto poważna, aby można ją było zaniedbywać.

Pisywał do niej sumiennie raz w tygodniu, przy czym ton jego serdecznych listów bardziej przypominał uważającego i ufego męża, jakim był w pierwszych latach małżeństwa, niż roztargnionego, zmęczonego businessmana, jakim się stał po opuszczeniu Hartford.

Od owego Dnia Dziękczynienia, kiedy Oliver przywiózł Tony'ego do domu, nawiedzała ją od czasu do czasu myśl o rozstaniu się z mężem. Gdyby wśród znanych jej mężczyzn był chociaż jeden, co do którego mogłaby sobie wmówić, że go kocha, zażądałaby rozvodu od Olivera.

Potem przyszła wojna, Oliver wyjechał z domu. Był naprawdę za stary na wojsko, toteż nie wątpiła ani przez chwilę, że zdecydował się na to, aby oddalić się od niej i od nierozwiązalnego problemu, jakim była dla niego. Pozwoliła, by ich stosunek rozluźnił się w ten sposób, postanawiając, że po wojnie trzeba będzie powziąć ostateczną decyzję.

Stała przed otwartą lodówką, przyglądała się pustym prawie półeczkom i wzdychała

rozmyślając o tych wszystkich sprawach. „Dosyć podłe to nasze małżeństwo - mówiła sobie z gorzkim uśmiechem - ale zawsze małżeństwo. Prawdopodobnie nie gorsze od wielu innych.”

W lodówce było parę butelek piwa i kawałek sera szwajcarskiego, ale nie zdecydowała się na to, mimo że teraz odczuwała pragnienie i piwo na pewno by jej smakowało. Zamiast tego wyjęła butelkę mleka i nalała do szklanki. Wzięła także paczkę sucharków z półki i zaniósła je razem z mlekiem do saloniku. „Niechże zabierze ze sobą na wojnę taki niewinny obrazek żony - pomyślała ubawiona swą kobiecą chytrą. O trzeciej nad ranem żoneczka pije mleko jak grzeczna dziewczynka.”

Oliver nie ruszył się z miejsca. Siedział wciśnięty głęboko w fotel, z podniesionym kołnierzem płaszcza, ze wzrokiem utkwionym w dywan i z nowym papierosem przyklejonym do warg.

Lucy usiadła na tapczanie, a szklankę z mlekiem i sucharki postawiła przed sobą na małym stolczku. Oliver odwrócony był do niej profilem, zmęczenie nadawało jego rysom niezwykłą ostrość, obnażało w nich ptasi wyraz.

Powinieneś być dać mi znać, że przyjedziesz - powiedziała pijąc mleko małymi łykami.

Nie spodziewałem się, że przyjadę. Miałem tylko tę jedną noc na Nowy

Jork i zdecydowałem, że spędzę ją z Tony'm. - Mówił cicho, trochę ochryplym głosem, jak gdyby przedtem musiał głośno wykrzykiwać rozkazy pod gołym niebem, na zimnie i wietrze.

Co u niego słyhać? - spytała Lucy, wyczuwała bowiem, że Oliver czeka na to pytanie.

- Nic dobrego - odparł. - Na pewno nic dobrego.

Milczała, bo nie można było na to nic odpowiedzieć. Siedziała na brzegu tapczana, skupiona w napięciu nerwów, wpatrzona w jego suchy profil na tle światła padającego od lampy, podobny do rzeźby na monecie, posągowej. W tym, co powiedział o synu, czuła podwójny wyrzut - skierowany przeciw samemu sobie i przeciw niej.

Odwrócił powoli głowę i zaczął się jej przyglądać z pijacką, akademicką powagą.

- Bardzo ładna suknia - powiedział niespodziewanie. - Widziałem cię w niej dawniej?

- Tak.

I sama ją wybierałaś?

Tak, sama.

Pokiwał głową z uznaniem.

- Zawsze byłaś prześliczna, ale nie umiałaś się odpowiednio ubierać.

Zacierałaś swoją urodę. A teraz nauczyłaś się. Podoba mi się ta suknia. To nie ma żadnego znaczenia, ale podoba mi się.

Znowu odwrócił się, oparł się plecami o poręcz i nie odzywał się chyba przez minutę. Oddychał spokojnie, regularnie, Lucy myślała, że usnął.

- Telefonowaliśmy do ciebie z Nowego Jorku, to znaczy Tony i ja - odezwała się nagle nieruchoma postać z fotela. - Chciał z tobą rozmawiać. Przypuszczam, że przyjechałby tutaj razem ze mną, gdybyś była w domu.

Bardzo żałuję - powiedziała cicho.

Ten jeden wieczór. Dlaczego nie mogłaś być w domu w ten jeden wieczór?

- Podniósł się z fotela i stał przed nią ciężki, prawie bezkształtny w wymiętym płaszczu, końce rozpiętego paska wisiały nieporządnie. - Gdzie byłaś? - zapytał szarym, bezbarwnym głosem.

„Nareszcie” - pomyślała Lucy i przewyciężając się podniosła na niego spokojne oczy.

Byłam w mieście - powiedziała. - Umówiłam się.

Umówiłaś się. - Kiwał głową z pijacką dobroduszością. - Umówiłaś się, żeby co robić?

Śłuchaj, Oliverze, bądź rozsądny. Gdybym wiedziała, że zadzwonisz, na pewno siedziałabym w domu. To był po prostu pech...

Po prostu pech... - powtórzył zanurzając ręce w kieszenie i nisko spuszczać głowę, tak że broda oparła mu się o piersi. - Znudził mi się ten wieczny pech. Kiedy się zacznie dobra passa? Pytałem cię po co się umówiłaś?

Byłam na obiedzie - odparła nie tracąc spokoju. - Z jednym wojskowym, młodym porucznikiem, którego poznałam w szpitalu. Jest lotnikiem.

Na obiedzie z lotnikiem. Musieliście jeść bardzo powoli. Było po trzeciej, kiedy się pożegnaliście przed drzwiami. Co robiliście poza tym?

Wiesz, Oliverze... - zaczęła Lucy podnosząc się z tapczana.

Co robiliście poza tym? - powtórzył tym samym szarym, obojętnym głosem. - Dałaś mu się kochać?

Lucy westchnęła.

Naprawdę chcesz wiedzieć? - zapytała.

Chcę.

No więc tak, dałam się kochać.

Oliver skinął głową, ciągle z tym samym dobrodusznym uśmiechem.

- To było pierwszy raz?

Zawahala się, kusiło ją, żeby skłamać. Ale odsunęła od siebie tę myśl.

Nie - odpowiedziała.

Kochasz go?

Nie.

Ale przyjemnie ci z nim w łóżku?

Właściwie nie.

- Właściwie nie - powtórzył poważnym tonem. - Więc dlaczego to robisz?

Wzruszyła ramionami.

On był ranny w Afryce. Ciężko ranny. I strasznie się boi, bo wysyłają go znowu. Na Pacyfik.

Aha, rozumiem - powiedział rzeczowo. - To taka forma patriotyzmu.

Nie wyśmiewaj się ze mnie. śal mi go było. To chyba zrozumiałe, prawda?

Jest młody, boi się, już raz oberwał. Zdaje się, że bardzo mu zależało...

Naturalnie, doskonale rozumiem - rzekł Oliver łagodnie. - Naturalnie, w szpitalach są teraz setki takich młodych chłopców, co to coś oberwali i boją się. Ja, naturalnie, nie jestem młody i nie boję się. Ale prawdopodobnie wiesz, że ja także coś oberwałem. Chcesz pójść ze mną do łóżka?

Oliver... - Zrobiła krok w stronę drzwi. - Jesteś w takim stanie, że nie można teraz z tobą rozmawiać. Idę spać. Jeżeli koniecznie chcesz się grzebać w tym wszystkim, to odpowiem ci na każde pytanie jutro rano.

Zatrzymał ją ruchem ręki. - Jutro rano już mnie tutaj nie będzie. Właśnie teraz jestem w cudownym usposobieniu do takiej rozmowy. Pijany, niewyspany i na wyjeździe. Kiedy człowiek idzie na wojnę, ma ochotę uporządkować pewne rzeczy.

Testament, wspomnienia, stan faktyczny żony. Powiedz mi - zapytał tonem swobodnej, towarzyskiej rozmowy - miałaś jeszcze innych kochanków, prawda?

Lucy westchnęła.

Kiedyś, dawno temu, powiedziałam, że nigdy więcej nie będę cię okłamywać.

- Właśnie o to mi chodzi. Chcę zabrać z sobą nie sfalszowany rachunek.

Tak, miałam innych - przyznała się. - No i co?

A wtedy, kiedy zostawałaś w mieście na noc po teatrze, to nie było tylko dlatego, że bałaś się wracać sama pociągami tak późno?

Nie tylko dlatego.

Kochałaś któregoś z nich? - Wpatrywał się w nią z napięciem i podszedł o krok

bliżej.

Nie.

Poważnie to mówisz?

Przykro mi, ale żadnego nie kochałam.

Dlaczego?

Może nie jestem zdolna do miłości - odparła Lucy. - A może kocham ciebie. Sama nie wiem.

Więc po co to robisz? - zapytał stając tak, że zagroził jej dostęp do drzwi.

Po co to robisz, do cholery?

Może dlatego, że wtedy coś znaczę, a od wczesnej młodości czułam się zawsze taka bez znaczenia. Może dlatego, że mam w sobie pustkę. Może dlatego, że za każdym razem wydaje mi się przez kilka chwil, że coś z tego będzie, że nareszcie odnajdę klucz do tej zagadki. Może dlatego, że rozczarowałam się do siebie, do ciebie i do Tony'ego. Może nie jestem nic warta, a może matka zostawiła mnie kiedyś samą w nocy, kiedy miałam dwa latka. - Wzruszyła ramionami. - Może po prostu dlatego, że dzisiaj jest taka moda. Nie wiem. Ale już pójdę spać. - Postąpiła jeszcze krok w stronę drzwi.

Tylko jedno pytanie - powiedział cichym, matowym ze zmęczenia głosem.

- Czy masz zamiar uprawiać to dalej?

Myślę, że tak - odparła znużona. - Przecież gdzieś musi być odpowiedź na tę zagadkę.

Stali naprzeciw siebie - Lucy sztywna i wyzywająca, Oliver lekko zgarbiony, zamyślony i niesyty pytań, w wymiętoszonym, obwisłym i wyplamionym płaszczu.

Powiedz mi, Lucy - zapytał przyjaznym, niemal lirycznym tonem, w którym brzmiała nutka tkliwego pożegnania - czy ty jesteś szczęśliwa?

Nie.

To jest niewybaczalne - powiedział kiwając głową. - żeby nie być szczęśliwą!

Zbliżył się do niej, ręce zwisały mu wzdłuż boków, wpatrywał się w jej twarz przenikliwie, badawczo.

- Jesteś zwyczajna kurwa - powiedział nie podnosząc głosu. I uderzył ją.

Uderzył mocno, zwinętą pięścią, tak jakby bił mężczyznę.

Cofnęła się trochę i wsparła o ścianę. Nie krzyknęła, nie zrobiła żadnego ruchu, aby się zasłonić. Stała prosto, oparta plecami o ścianę i nie odwracała wzroku od jego oczu. Oliver westchnął, przysunął się jeszcze o krok. Znowu uderzył, z całej siły, wymierzał karę jej i samemu sobie. Poczwała krew na wargach, światło lamp zaczęło tańczyć czerwono przed

oczami, ale i teraz nie próbowała się zasłonić. Stała z podniesioną brodą, patrzyła na niego bez żadnego wzruszenia, krew ściekała jej z ust.

Czekała. Dotychczas nigdy jej nie uderzył, ale teraz nie uważała, aby w tym było coś dziwnego albo niesprawiedliwego. Pięści Olivera spadały na nią ciężko, każdy cios trzeźwo wymierzony, z uroczystą nieuchronnością wykonywanego wyroku, a ona patrzyła mu prosto w oczy z wyrazem przebaczenia i zrozumienia.

„Musiało się tak stać - myślała poprzez szum w uszach, poprzez drętwy ból sypiących się na nią ciosów. - Już dawno temu wszystko było postanowione.”

Gdy w końcu osunęła się na podłogę pod ścianą, jej piękna, czarna suknia była ochlapana krwią i cała pomięta. Olwer stał przez chwilę bez ruchu patrząc na nią z góry z łagodnym, nieobecnym wyrazem twarzy. Podniesiony kołnierz od płaszcza miał w sobie coś wojennego.

Po chwili Oliver odwrócił się i wyszedł z domu.

Długo jeszcze leżała nie poruszając się, mimo że słyszała, jak się za nią zamknęły drzwi wejściowe. W końcu podniosła się z podłogi i zanim poszła na górę do swojej sypialni, zgasiła wszystkie światła w saloniku i wyłączyła termostat z zapobiegliwością oszczędnej pani domu.

Przez dziesięć dni nie wychodziła na miasto, bo sińce i skaleczenia potrzebowały tyle czasu, żeby się zagoić.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Zrobiło się późno, do Ozieres była jeszcze godzina drogi, wobec czego Tony postanowił zatrzymać się na lunch. „Lepiej odwiedzać groby nie kochanych ojców z pełnym żołądkiem” - powiedział sobie w duchu.

Zajechał przed mały hotelik, stojący samotnie w szczerym polu. W cieniu platanów tworzących rodzaj altany ustawione były stoliki, a wejście do budynku udekorowane było, jak zwykle, całą kolekcją tabliczek wyrażających uznanie rozmaitych związków francuskich smakoszy dla tutejszej restauracji.

Wyłączył motor i przez chwilę siedział jeszcze bez ruchu. Zdrętwiał od długiej jazdy, a czoło paliło go od słońca i wiatru. Spojrzał z ukosa na Lucy czekając, aż

otworzy oczy. Twarz jej była spokojna, na ustach błędził lekki uśmiech, jak gdyby śniły jej się szczęśliwe wieczory, wypełnione w czasach młodości tańcem, a tajemną rozkoszą w późniejszych latach. Poczul wzbierające w nim rozdrażnienie. Uważał, że nie powinna

wyglądać w ten sposób. W takim dniu powinna swoim wyglądem sprawiać na ludziach wrażenie, że wspomnienia jej są przepełnione smutkiem i kryją w sobie cierpienie. „Zdolność zapominania - myślał z goryczą - jest w rodzie Crownów cechą zanikającą, przekazywaną tylko kobietom tego rodu.”

Lucy otworzyła oczy.

- Pora na lunch - odezwał się Tony.

Spojrzała na hotelik, na restaurację pod platanami, za którymi ciągnął się sad.

- Jaki to śliczny zakątek - powiedziała z przesadnym zachwytem turystki.

Weszli do ogródka.

- Proszę cię, zamów coś dla mnie. Pójdę się trochę odświeżyć.

Tony zajął miejsce i patrzył za matką, która szła między stolikami deptając po drobnym, wypłukanym żwirze. Zauważył jej proste plecy, zdumiewająco młody zarys długich nóg i modne pantofle na wysokich obcasach, które włożyła zapewne dlatego, że wychodząc rano z hotelu nie liczyła na tę wycieczkę. Przy innym stoliku dwaj mężczyźni raczyli się homarem, ale Tony zwrócił uwagę, że przestali na chwilę jeść i odprowadzali Lucy wzrokiem pełnym uznania, aż znikła w drzwiach hoteliku.

„Ciekaw jestem - pomyślał - od jak dawna mężczyźni przyglądają się jej w ten sposób. Chyba przeszło trzydzieści lat? I jak to na nią wpłynęło?”

Zjawiała się kelnerka, zamówił dwie porcje pstrąga z sałatą i butelkę białego wina.

„Niech wiem przynajmniej, że zjadłem dobry lunch” - powiedział sobie w duchu.

śałował teraz, że się zgodził na tę eskapadę. Zaskoczyła go propozycja Lucy, poza tym był ciekaw, a wreszcie miał naturalną skłonność do uprzejmości, zawsze chciał się okazać usłużny i uczynny dla innych. Teraz jednak czuł się wzburzony, niepewny, wspomnienia obudzone przez matkę były bolesne i wstydliwe. Nie wiadomo dlaczego, czuł się przy niej stary, uświadamiał sobie, że ma już trzydziestkę i że zmarnował kawał życia. Mimo że ani jedno słowo nie padło na ten temat, zdawało się, że wybrali się do Normandii tylko po to, aby ocenić i porównać mężczyznę, jakim był dzisiaj, z możliwościami chłopca, którym był wtedy, gdy się widzieli po raz ostatni. Ocena - zarówno z jego, jak i z jej strony - wypadła ujemnie, negatywnie.

„Zrobiła kawał drogi, żeby mi sprawić ból” - pomyślał z niechęcią.

Najwięcej wzburzył go wyraz twarzy matki, na chwilę przedtem zanim się obudziła, kiedy zajechali przed hotel. Ten jej miękki, kobiecy uśmiech, zdradzający tajemne wspomnienia. Przypomniał mu ów moment, gdy jako chłopiec zajrzał przez szparę w żaluzji i zobaczył ją w objęciach Jeffa. Twarz miała wówczas zwróconą w stronę okna, oczy,

zamknięte, usta zaś rozchylone do uśmiechu, jakiego Tony nigdy przedtem nie widział na niczyjej twarzy. Był to uśmiech nienasycony, samolubny, głuchy na wszystkie inne głosy prócz głosu jej własnej rozkoszy, wstrząsający skupioną siłą i egotyzmem. Wspomnienie tego uśmiechu prześladowało go, stał się on dla niego symbolem kobiecości i sygnałem ostrzegającym o niebezpieczeństwie.

Ilekczo związał się z jakąś kobietą, czyhał nieustannie na ten uśmiech, choćby na cień uśmiechu, na ukrytą aluzję, podobnie jak szuler czyha na znaczoną kartę, jak żołnierz wypatruje miny. Z tego powodu był powściągliwy i chłodny, raczej obserwował, niż uczestniczył w miłości i nigdy, w żadnym związku nie oddawał się całkowicie. Kobiety, z którymi miał do czynienia, wyczuwały tę jego ostrożną niezależność. Wprawdzie żadna z nich nie pojmowała właściwie jego postawy ani tego, co się poza nią kryło, ale wszystkie w mniej lub bardziej histeryczny sposób oskarżały go o podejrzliwość, oziębłość i zupełną niezdolność do kochania. Kiedy teraz oglądał się wstecz na swoje stosunki z kobietami, zdawało mu się, że układały się one w jeden gorzki, oskarżycielski ciąg, w którym osoby oskarżycielek zmieniały się od czasu do czasu, ale treść oskarżenia - poważna, potępiająca, nie do odparcia -

pozostawała zawsze jednakowa.

śadna z kobiet, z którymi kiedyś żył bliżej, nie zachowała dla niego przyjaznych uczuć i przywykł już spotykać się z zimnym, mściwym wyrazem twarzy, ilekczo natknął się przypadkiem na którąś z nich. W roku czterdziestym siódmym wyjechał z

Ameryki dlatego, że dziewczyna, którą - jak mu się zdawało - bardzo kocha, nie chciała wyjść za niego za mąż.

- Kocham cię - mówiła mu - ale się ciebie boję. Nigdy nie jesteś cały ze mną. Nawet kiedy całujesz, zdaje mi się, że w tej samej chwili wydajesz jakiś sąd o mnie. Nieraz udało mi się schwytać twoje spojrzenie, kiedy na mnie patrzyłeś, czasami to było niesamowite spojrzenie, a wyraz, jaki wtedy miałeś, po prostu mroził mi krew w

żyłach. Nigdy nie mogę się pozbyć uczucia, że już-już, lada moment ode mnie odejdiesz. Nie potrafię cię przytrzymać i gdzieś, w samym środku, wiem na pewno, że któregoś pięknego poranka obudziłabym się bez ciebie. Ty zawsze uciekasz, nie tylko ode mnie i nie tylko od kobiet. Obserwowałam także twój stosunek do mężczyzn, rozmawiałam z nimi o tobie. Ostatecznie wszyscy mają to samo wrażenie.

Nie znam ani jednego mężczyzny, który mógłby uczciwie powiedzieć, że jesteś jego przyjacielem.

Dziewczyna nazywała się Edith, miała długie blond włosy, wyszła za mąż za kogoś z



Detroit, miała dwoje dzieci i od tego czasu zdążyła się dwa razy rozwieść.

Uciekał. Kiedy Edith rzuciła mu w twarz to oskarżenie, zaprzeczył gorąco, ale dobrze wiedział, że to była prawda. Uciekł od miłości matczynej i od litości ojca. Uciekł od wojny, uciekał od namiętności kobiet i od przyjaźni mężczyzn. Uciekł od zawodu, do którego już niemal się przygotował, i od kraju, w którym się urodził. Jego żona była przekonana, że zamierza od niej uciec, i w pewnym sensie miała słuszość. Pracownia w innej dzielnicy miasta, samotne podróże, noce spędzane poza domem - to już było tak, jakby stopniowo odchodził. Ożenił się wkrótce po zerwaniu przez Edith ich narzeczeństwa. Ożenił się głównie dlatego, że Dora była bardzo młoda, wesoła, naiwna, natarczywa, i dlatego, że to małżeństwo nie zdawało się nakładać na niego zbyt wielkich ciężarów. Ale potem urodziło się dziecko, wesołość i naiwność gdzieś znikły, pozostała już tylko natarczywość i zdarzały się całe okresy, kiedy jedynie poczucie odpowiedzialności za syna skłaniało go do podtrzymywania pozorów - jakże nieraz przykrych! - prawdziwego małżeństwa.

„Kiedy ucieknę od mojego syna?” - zadał sobie w duchu pytanie.

Podniósł wzrok i spoglądając ponad butelką chłodzonego wina, którą kelnerka postawiła przed nim na stole, zobaczył Lucy wychodzącą z hotelu. Włosy miała porządnie uczesane, a szalik trzymała niedbale w ręku. Zauważył, że dwaj mężczyźni przy tamtym stoliku znowu przyglądają się jej z zainteresowaniem i z mimowolnym wyrazem zadowolenia na widok wysokiej, przystojnej, dobrze ubranej kobiety, świeżo umytej i uczesanej, która w migotliwej grze światła i cieni pod zielonym dachem altany miała wszelkie pozory młodości i zmierzała w stronę stolika na końcu ogródka, gdzie oczekiwał ją młody mężczyzna. „Oto zbliża się moja matka - pomyślał Tony z ironią. - Uwieńczona pożądliwością, omotana girlandą nie wygasającej namiętności.”

Podniósł się, odsunął dla niej krzesło i nalał wina do obu kieliszków. Zaczęli popijać, nie wznosząc jednak żadnego toastu.

- No, teraz już dużo lepiej - rzekła Lucy pijąc łąpczywie.

Czuła, jak wino spłukuje jej z gardła kurz, którego nałykała się w drodze. Spojrzała na Tony'ego i znowu zauważyła grymas rozbawienia, to samo ironiczne, odpychające skrzywienie warg, które rano, w jego mieszkaniu, wzburzyło ją do głębi. Teraz zmroziło ją to, nie mogła już mówić naturalnie. Ułożyła sobie, że w oczekiwaniu na jakiś znak współczucia lub przywiązania z jego strony, który by jej otworzył dostęp do niego, będzie się zachowywać swobodnie, zdawkowo i trochę w stylu matrony.

Plan ten wydawał się w tej chwili naiwny i beznadziejny.

Czuła się skrępowana, więc jadła prędko, nie odzywając się i nie zwracając uwagi na

to, co je. Wskutek zdenerwowania wypila sama prawie całą butelkę wina, nie zauważyła bowiem, że Tony ciągle jej dolewał z życzliwą i pełną humoru złośliwością starego wygi, który sprowadza nieletnich na złe drogi.

Wino było zimne, wytrawne, nie mogła zaspokoić pragnienia; toteż wdzięczna była

Tony'emu, gdy zamówił drugą butelkę. Była przekonana, że lekki napój nie mógł mieć na nią innego wpływu poza tym, że wszystko naokoło wydawało się teraz przyjemnie plastyczne i wyraźne.

Kiedy opróżnili już do połowy drugą butelkę, miała wrażenie, że unosi się lekko w powietrzu i z pewnej odległości obserwuje chłodno scenę przedstawiającą matkę i syna, związanych ze sobą podobieństwem ciał. Dawno umilkły strzały, oni zaś wybierają się - bo tak wypada - odwiedzić swego zmarłego i po drodze zatrzymali się w normandzkim ogródku. Cieszą się nawzajem swym towarzystwem w sposób powściągliwy, cywilizowany, zachowując się względem siebie z uprzejmą powagą.

Kiedy jednak zamrugała oczami, odsunęła butelkę z winem i przyjrzała się trochę dokładniej, zauważyła, że w tym obrazku jest coś niedobrego. Uśmiech przyklejony do twarzy mężczyzny mógł z oddalenia uchodzić za wyraz pobłażliwości i synowskich uczuć, ale z bliska wyrażał tylko szyderstwo, rozwierał pomiędzy nimi przepaść, zadawał kłam miłości, był tylko udręczonym grymasem z ciemnej otchłani.

Tego nie można znieść - powiedziała odstawiając kieliszek i patrząc mu prosto w oczy.

Co się stało? - zapytał zdziwiony.

Powiedz mi, co ty o mnie myślisz?

No, wiesz - obruszył się - przecież nawet nie miałem czasu wyrobić sobie zdania.

Miałeś czas - zaprzeczyła, dziwnie gładko wymawiając słowa, mimo że język ocięzał jej trochę od wina. - Widzę to po twojej twarzy. Masz o mnie sąd, bardzo wyczerpujący, bardzo interesujący i zależy mi na tym, żeby go usłyszeć.

No cóż... - Tony oparł się plecami o poręcz krzesła. Postanowił wprowadzić ją w wesoły nastrój. - Muszę się przyznać, że od samego rana bez przerwy cię podziwiam.

Podziwiasz? - spytała ostro. - Z jakiej racji?

Z tej racji, że jesteś wciąż taka młoda, piękna i pełna życia - odparł uśmiechając się. - To bardzo mądrze z twojej strony.

Mądrze... - powtórzyła wyczuwając, że chciał ją dotknąć tym słowem, i zdając sobie sprawę, że mu się to udało.

Ciekaw jestem, jak potrafiłaś to zrobić - dodał swobodnym tonem.

Twoja żona pytała mnie o to samo.

Muszę ją w takim razie zapytać, co jej odpowiedziałaś.

Wcale nie odpowiedziałam - rzekła Lucy. - Ty jej to wytłumaczysz. Jestem przekonana, że masz na ten temat swoją własną teorię.

- Może i mam.

Patrzyli na siebie przez stół jak dwaj wrogowie, gotowi ranić się wzajemnie.

Więc zdradź mi ją - zażądała. - Taka trafna diagnoza może mieć dla mnie duże znaczenie przez najbliższych dwadzieścia lat.

Tak... - zaczął Tony. Mówił sobie, że przecież sama tego chciała, przyjechała tutaj, odgrzebała wszystko na nowo, upierała się, żeby zobaczyć grób, niech więc się dowie. - Obawiam się, że moje zdanie opiera się na trochę staroświeckich przesłankach. Myślałem sobie, że grzech się opłaca. że młodość najdłużej służy tym, co nie mają serca. A zatem - grzesz i kwitnij! Nic cię nic może dotknąć. Naokoło rodziny się rozlatują, upadają całe imperia, ale na twojej głowie jeden włoszek nie posiwał.

Nic mnie nie może dotknąć... - Lucy chwiała głową w zdumieniu. - Więc tak myślałeś przez te wszystkie lata?

- Oczywiście... w sensie przenośnym - sprostował bezlitośnie.

Na chwilę zaległo między nimi milczenie. Oboje wsłuchiwali się w echo jego szyderczych słów.

- Mylisz się, Tony - odezwała się w końcu cicho. - Zdaje ci się, że jesteś niedobrym, nieprzyjemnym człowiekiem, i wobec tego starasz się tak zachowywać, żeby usprawiedliwić to wyobrażenie o sobie. Ale ja nie wierzę, żebyś był taki naprawdę. Wiem, jaki byłeś jako chłopiec, a cokolwiek by się potem zdarzyło, ten chłopiec nie mógł przestać istnieć. Ja dobrze wiem, Tony, co to znaczy mylić się co do siebie, bo przez ostatnie dziesięć lat starałam się tylko odrobić krzywdę, którą wyrządziłam dlatego, że pomyliłam się w swoim wyobrażeniu o sobie. Wszystko było nie tak. Wszystko nie tak... Same przypadki i pomyłki. - Mówiła przeciągając leciutko słowa, jakby w jej głosie śpiewało wino. - Przypadki i pomyłki. Gdyby ta obrzydliwa dziewczynka nie przyjechała tamtego lata nad jezioro, gdyby się nie nudziła w to chmurne popołudnie i nie poszła na spacer do lasu, gdyby wyjrzało słońce i ona zdecydowała się popływać, gdybyś ty nadszedł o pół godzinki później - dzisiaj nie siedzielibyśmy tutaj, tak jak siedzimy. Gdybyś nie był tak ciężko chory i bliski śmierci, ojciec nigdy by nie wpadł na myśl, żeby przyjąć dla ciebie młodego opiekuna.

Gdyby nie zajechał któregoś dnia do garażu i nie dowiedział się, że nie zapłaciłam rachunku, chociaż zdawało mi się, że zapłaciłam, gdyby nie wypomniał mi tego przez telefon

w taki sposób, że poczułam się upokorzona i obudziło się we mnie pragnienie buntu... Nic by się nie stało. Nic zupełnie. - Pokiwała głową, jak gdyby zdumiewając się nad zawiłymi i złośliwymi ścieżkami losu, na których jej życie potknęło się i upadło. - Ale cóż, było pochmurno, była ta wstrętna dziewczynka, był twój młody opiekun, a ty nie nadszedłeś pół godziny później. I dlatego coś, co mogło być tylko odosobnionym, trochę niemądrym i niepotrzebnym wyskokiem, czymś, co się zdarza milionom kobiet i co w końcu staje się nieważnym, zwietrzałym sekretem, o którym kobiety w starszym wieku myślą już tylko z pobłażliwością - to coś stało się katastrofą. Nieprzebytym działem wodnym, który oddzielił moje życie od twojego i od życia twojego ojca.

To zbyt łatwe wytłumaczenie - powiedział Tony pełen nienawiści do matki za to, że tak dokładnie wszystko pamiętała. - Za łatwo zrzucasz z siebie odpowiedzialność.

O nie! - zaprzeczyła. - Nie powinieneś tak myśleć. Nigdy nie powinieneś tak myśleć. Każdy człowiek jest odpowiedzialny za swoje przypadki i ja odpowiadam za moje. Tylko że nikt nie może uniknąć przypadku, takiego czy innego. Nie spodziewaj się, że tobie uda się wymknąć. Ważne jest tylko to, jak się zachowasz wobec twojego przypadku, jak z niego wybrniesz i jak wynagrodzisz szkody. Tak, ja postąpiłam, jak można było najgorzej. Bo utrwaliłam mój przypadek. Popełniłam wszystkie błędy, jakie tylko można było popełnić. Ponieważ po piętnastu latach małżeństwa doznawałam przez parę letnich tygodni przyjemności w obcowaniu z młodym mężczyzną, doszłam do wniosku, że jestem kobietą zmyslową. No, a tymczasem okazało się, że wcale nie jestem. Bałam się twego ojca, skłamałam przed nim, kłamstwo było paskudne i wyszło na jaw. Wstydziałam się i wobec tego doszłam do wniosku, że tylko bezwzględna szczerowość może nas uratować. Ale okazało się, że nic nie uratowała. Ty byłeś świadkiem przeciwko mnie, cierpiełeś z powodu tej sprawy i kazałeś nam cierpieć, więc postanowiłam, że to cierpienie będzie nie do naprawienia. Zbyt bolesne byłoby dla mnie wówczas twoje świadectwo, więc wysłałam cię z domu. Ale nieobecność twoja świadczyła przeciwko nam, z każdym rokiem potępiała nas coraz surowiej...

Uważasz, że byłoby lepiej, gdybym z wami pozostał? - zapytał bez przekonania.

Tak. Jakoś musielibyśmy przetrzymać. Rodzina to żywe ciało. Można ją zranić, ale jeśli tylko zostawić jej szansę, zrośnie się i zagoi. Nie wyleczy się nigdy, jeśli trzymać ranę otwartą. A my zrobiliśmy z tej rany po prostu instytucję, na niej zbudowaliśmy nasze małżeństwo, całe życie, i musieliśmy za to zapłacić.

Musieliśmy zapłacić... - mruknął Tony przyglądając się silnej, zdrowej, dobrze zakonserwowanej kobiecie, która miała gładką twarz bez jednej zmarszczki, młode usta i

delikatną cerę, ładnie zaróżowioną od wina i słońca. - To znaczy: kto za to zapłacił?

Wiem, wiem, o czym myślisz - powiedziała kiwając głową. - Uważasz, że ty zapłaciłeś. Śe ojciec zapłacił. A ja wyszłam gratis. Ale mylisz się. Ja także musiałam zapłacić.

Mogę sobie wyobrazić, w jaki sposób ty zapłaciłaś - rzekł bez miłosierdzia.

Tak, masz rację - zgodziła się znużona. - Płaciłam w wielu łóżkach. Ale to było dawno temu i skończyło się jednej nocy, kiedy ojciec przyjechał do domu, żeby się pożegnać przed odjazdem na wojnę. - Przymknęła oczy, by się odgrodzić od syna, i przywołała z pamięci swój własny obraz, gdy leżała pod ścianą obryzganą krwią po wymierzonej karze, o czwartej godzinie w chłodny zimowy ranek. Przypomniała sobie zatrzaśnięcie się drzwi wejściowych za mężem, którego nie miała już nigdy więcej zobaczyć. - Nie tylko w ten sposób płaciłam. Płaciłam także poczuciem winy, osamotnieniem i zawiścią. - Otworzyła oczy i popatrzyła na niego. - Zdawało mi się, że już wszystko spłaciłam, ale teraz widzę, że nie. Jeszcze nie. Wszystko jedno, co o mnie myślisz, ale ostatecznie przypuszczam, że możesz uwierzyć w poczucie winy i osamotnienie. Najgorsza ze wszystkiego była chyba zawiść. Zazdrościłam wszystkim.

Zazdrościłam kobietom, które żyły w spokojnych, nudnych stadłach, i tym, których życie małżeńskie było burzliwe, pełne walk, rozstań i pojednań. Zazdrościłam kobietom uprawiającym bezmyślną rozpustę, zdolnym mieć siedmiu mężczyzn w ciągu jednego tygodnia i zapominać o nich z taką samą łatwością, z jaką się oddawały. Zazdrościłam tym, które świadomie postanowiły wytrwać w wierności przez cały czas wojny i nie zachwiały się ani razu, ale zazdrościłam także i tym, które dawały się porywać miłości albo żądzy rozkoszy i gotowe były wszystko poświęcić, walczyć przeciw każdemu, każdą bronią, o wybranego mężczyznę. Zazdrościłam kobietom, które przeżywały te rzeczy poważnie, i tym, które brały je lekko, bo sama w ogóle nie wiedziałam, jak mam je traktować. W szpitalu było mnóstwo kobiet i często powtarzały sobie jeden i ten sam dowcip. Mówiły, że należą do klubu, który powstał w Anglii, bo tam wojna zaczęła się wcześniej. Ten klub nazywał się w skrócie U.M.O., co oznaczało: Uszczęśliwajcie Młodych Oficerów. Od czterdziestego do czterdziestego piątego roku wszystkie kobiety pracujące w szpitalu zaśmiewały się z tego dowcipu. Ja śmiałam się razem z nimi i zazdrościłam im. A

najwięcej zazdrościłam samej sobie. Sobie takiej, jaką byłam przedtem.

Zazdrościłam swojego małżeństwa, aż do tamtych wakacji nad jeziorem. Nie dlatego, żebym miała sentymentalne pojęcie o sobie albo żebym fałszowała we wspomnieniu obraz mojego małżeństwa. Było w nim sporo braków i niedociągnięć, a jeżeli ojciec nie mówił ci nic o tych sprawach, to posłuchaj, ja ci teraz opowiem.

Ojciec był człowiekiem namiętnym i zawiedzionym. Za młodych lat mierzył wysoko.

Kochał się w samolotach, w tych, którzy je budowali i latali na nich. Wytwórnia samolotów, którą założył, zapowiadała się bardzo dobrze i zdaje się, że ojciec lubił myśleć o sobie jako o pionierze, o eksperymentatorze, który stanie się w kraju Kimś.

Właśnie w tym czasie umarł jego ojciec, więc musiał wrócić do rodzinnej drukarni i do miasta, od którego przez dziesięć lat starał się oderwać. Zrozumiał, że jest niczym, że do niczego nie dojdzie, i wtedy zapragnął całą swoją pasję i rozczarowanie

życiowe zrekompensować we mnie. Ja nie dorosłam do takiej roli, wiedziałam o tym, czułam do niego niechęć z tego powodu i w końcu kazałam mu za to cierpieć. Bałam się go, za dużo ode mnie wymagał, komenderował każdym moim krokiem i najczęściej nie potrafił mnie zaspokoić. Mimo to kochałam go i kiedy teraz myślę o tamtych sprawach, uważam, że nasze małżeństwo było udane, chociaż wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy. Byłam nieśmiała, chwiejna i skłonna do mściwości, miałam marne wyobrażenie o sobie, toteż zaczęłam szukać bardziej pochlebnej opinii w ramionach innych mężczyzn. Z początku wmawiałam sobie, że szukam miłości, ale to nie była prawda. Nie znalazłam ani miłości, ani dobrej opinii o sobie. A przecież

starałam się o to.

Umilkła i zaczęła się kołysać na krześle, pochylona do przodu, z łokciami wspartymi o stolik, z brodą na skrzyżowanych dłoniach, wpatrzona ponad głowę

Tony'ego w splątany chaos twarzy. Zdawało jej się, że słyszy w normandzkim ogródku tajemne, natarczywe głosy, przyciszony śmiech męski, westchnienia, szepty i płacz, słyszy, jak ją wołają, jak mówią: „Lucy, Lucy”, „Najmilsza” i „Kocham cię”, i

„Było cudownie”, mówią: „Pisz do mnie co dzień” i „Nigdy cię nie zapomnę”, słyszy w mroku nasyconym znużeniem: „Dobranoc, ukochana, dobranoc...”

- Najrozmaitsi mężczyźni... - podjęła cichym, bezbarwnym głosem. - Był jeden adwokat, który chciał rzucić żonę i troje dzieci, żeby się ze mną ożenić, bo mówił, że nie może beze mnie żyć, ale żyje zupełnie dobrze i ma teraz pięcioro dzieci.

Był młody trener piłki nożnej z pryncetońskiego uniwersytetu, temu posłałam jako ślubny prezent srebrny talerz na ciastka. Był pewien właściciel sklepu z antykami, który ciągnął mnie na koncerty muzyki kameralnej po całym Nowym Jorku i chciał, żebym z nim zamieszkała, bo to go miało uchronić przed homoseksualizmem, ale nie zamieszkałam z nim i teraz on żyje z jakimś meksykańskim chłopcem. Był autor scenariuszów filmowych, którego poznałam w pociągu i spałam z nim, bo i tak mieliśmy się rozstać nazajutrz rano. Był nawet jeden chłopak z twojego roku w Columbia, opowiadał mi, że wspaniale się uczysz, że nie

masz przyjaciół i że według niego, na dalszą metę nie zajdziesz wysoko. Był oficer marynarki handlowej, który w zimie pływał na statku wycieczkowym po Morzu

Karaibskim. Miał ciało tancerza, wielu rzeczy nauczyły go panie odbywające wycieczki po ciepłych morzach i ten jeden jedyny raz, kiedy z nim byłam, właśnie wtedy zdawało mi się, że nareszcie znalazłam to, czego szukałam przez całe życie...

Ale gdy wstał, żeby się ubrać, troszeczkę za długo podziwiał siebie w lustrze zawiązując krawat. Przyglądałam mu się. Pogwizdywał i uśmiechał się z zadowoleniem do swego perkatego nosa, i po prostu wszystkimi porami wypacał z siebie tanie męskie zarozumiałstwo. Wiedziałam, że już nigdy go nie zobaczę, bo przez niego doznałam uczucia poniżenia. To nie był kochanek, który ma się za chwilę rozstać ze swoją partnerką, to był zawodowy baseballista, który przykłada dwa palce do czapki kłaniając się publiczności po drodze na swoją bazę. Odtąd - mówiła tym samym, bezbarwnym głosem - zrozumiałam, że to nie dla mnie. Zmysłowa rozkosz jest dla natur zmysłowych, a ja pomyliłam się co do siebie.

Potem, oczywiście, była armia lądowa, marynarka i lotnictwo - ciągnęła z nieubłaganą szczerością. - Tylko że wtedy niczego już nie szukałam, nie spodziewałam się niczego. Po prostu miłosierne uczynki. Ale do miłosierdzia także trzeba mieć talent, toteż razem wzięwszy, jak było do przewidzenia, moja amatorska działalność dobroczynna wyrządziła więcej szkody, niż przyniosła pożytku. Zadawałam ból rannym i porzucałam niepokieszonych w rozpacz. Z litości zrobiłam się kurwą i obrażałam uczucia tych, którzy szli na spotkanie śmierci, bo im nie kurwy były potrzebne. Im trzeba było czułości i otuchy, a ja potrafiłam dać tylko przelotne zaspokojenie, którym może obdarzyć każda prostytutka. Obrażałam także własne uczucia, bo ta profesja nie była dla mnie i robiła ze mnie karykaturę, której nie mogłam ścierpieć. Stałam się nieczuła, kłamałam i wymyślałam chytne sztuczki w telefonicznych rozmowach, kokietowałam w łóżku, postępowałam jak oszust marnotrawiący cały swój rzeczywisty majątek na fałszowane rachunki, których nikt w końcu nie uzna.

Lucy zalewała Tony'ego potokiem zwierzeń nie dopuszczając go do słowa. Jak rachmistrz zliczający długą kolumnę cyfr, chciała ją ostatecznie podkreślić i wyprowadzić saldo, zanim się zabierze do innych rzeczy.

- Wreszcie - mówiła dalej - kiedy nadszedł moment przełomowej decyzji, kiedy, być może, jedno moje słowo zdołałoby uratować i ojca, i mnie, powiedziałam nie to słowo, które było potrzebne. To jasne. Człowiek musi latami sumiennie się przygotowywać, musi rozumieć samego siebie, żeby w krytycznej chwili umieć znaleźć właściwe słowo. A ja nie rozumiałam niczego, do niczego nie byłam przygotowana. Czekał na mnie w ciemnym pokoju przed swoim odjazdem do Europy.

Było koło trzeciej nad ranem, przyjechał bezpośrednio po spotkaniu z tobą i musiał coś dosłyszeć z tego, co mówił mi ten porucznik przy pożegnaniu pod drzwiami, ale chyba niewiele. Zapytał, czy mam zamiar dalej prowadzić romans z tym chłopcem, a ja odpowiedziałam, że tak. I pytał, czy miałam innych kochanków, a ja odpowiedziałam, że tak. Pytał, czy będę miała w przyszłości innych, i znowu odpowiedziałam mu: tak. Byłam dumna z siebie, bo uważałam, że nareszcie jestem dość silna, żeby być uczciwą. Ale to nie była uczciwość. To była zwykła zemsta i zarozumialstwo. W każdym razie, w owej chwili żadnemu z nas dwojga nie było potrzebne uczciwe „tak”, tylko miłosierne „nie”. Cóż, kiedy w tym okresie moje miłosierdzie już się wyczerpało. Ojciec zbił mnie za to, i słusznie, a potem odjechał i zabili go.

Umilkła. Przez kilka sekund w altanie słyhać było tylko brzęczenie pszczoły fruującej uparcie i niespokojnie nad koszykiem ze śliwkami, stojącym na stole. Lucy zwilżyła językiem wargi, podniosła kieliszek i wypła wino do dna.

- No, więc teraz widzisz - powiedziała po chwili - jak twoja matka wymigała się od zapłaty. Miałam dosyć czasu, żeby to wszystko przemyśleć, nikomu nic nie mówiłam, ty możesz być pierwszym, który się o tym dowie. A jeżeli cię to interesuje, wiedz, że od tamtego ranka aż do dziś nie dotknęłam żadnego mężczyzny. Nie sprawiło mi to specjalnej trudności i nie roszczę sobie z tego powodu pretensji do pochwał, bo tylko raz jeden miałam pokusę, i to nie zanadto silną.

Odpędziła serwetką pszczołę, która porzuciła koszyk z śliwkami i pomknęła w górę po słonecznym promieniu, w gąszcz liści nad ich głowami.

- Dostałam wiadomość, że ojciec poległ, ty zatelegrafowałeś, że nie przyjedziesz na uroczystości żałobne, musiałam przebrnąć sama przez to wszystko.

Potem siedziałam także sama w tym przeklętym domu w New Jersey, gdzie oboje z ojcem zadręczyliśmy się aż do nienawiści, aż do rozpacz. Wtedy postanowiłam, że muszę się zrehabilitować.

Chciałam nareszcie dojść do tego, żeby móc samej sobie przebaczyć. Czułam, że jedyny sposób to stać się użyteczną i kochać. Byłam pewna, że nie potrafię już kochać żadnego mężczyzny, przecież wypróbowałam te sprawy, więc zdecydowałam, że to będą dzieci. Może i myśl o tobie grała tu jakąś rolę. Tak strasznie spartaczyłam sprawę w stosunku do ciebie. Zapragnęłam udowodnić sobie, że jeśli tylko zdobędę jeszcze jedną szansę, potrafię ją lepiej wykorzystać. Złożyłam wniosek o adopcję dwojga dzieci, chłopca i dziewczynki. Czekając na załatwienie tej sprawy krążyłam po ulicach i parkach, przyglądałam się dzieciom, bawiłam się z nimi, jeżeli matki albo wychowawczynie nie miały nic przeciwko



temu, i układałam sobie najcudowniejsze plany. Myślałam, że poświęcę bez reszty ostatnie dwadzieścia lat mego życia wychowywaniu wspaniałych, promiennych chłopców i dziewcząt, którzy później, kiedy dorosną, będą w każdej sytuacji życiowej wykazywać odwagę, delikatność i inteligencję. Tylko że ci, którzy decydowali o powierzaniu dzieci przybranym rodzicom, mieli swoje własne poglądy. Nie bardzo im to odpowiadało, że samotna kobieta dobrze po czterdziestce chce adoptować dwoje dzieci, więc przeprowadzili dyskretny wywiad i coś niecoś musieli usłyszeć. Nie wszystko, ale widocznie dosyć.

Załatwili mój wniosek odmownie. Tego dnia, kiedy mi powiedzieli, że nie, włóczyłam się po polankach w Centralnym Parku, przypatrywałam się małym chłopcom, jak biegali po trawie, i dziewczyneczkom z balonikami i wtedy dopiero zrozumiałam, co muszą czuć te biedne kobiety, które wykradają z wózków niemowlęta pozostawione na chwilę. Nie miałam żalu do tych ludzi z Towarzystwa

Opieki. Trzeba ponosić konsekwencje swoich czynów, popełnianych w ciągu dziesięciu lat. Trudno było wymagać, żeby mi uwierzyli na słowo, gdybym poszła do nich i powiedziała: „Zmieniłam się. Jestem inną kobietą. Od dzisiaj mam zamiar zostać świętą.” Oni mają coś lepszego do roboty niż myśleć o tym, by dopomóc wdowie z zaszarganą opinią do wybaczenia samej sobie.

Sięgnęła po butelkę i wylała resztę wina do swego kieliszka. Nie było tego dużo i nie od razu wypić. Siedziała wpatrzona w kratkowaną serwetę i w kieliszek, który obracała w palcach. Nie życzyła sobie ani nie oczekiwała żadnego słowa ze strony Tony’ego. Już to samo, że mogła z niego zrobić słuchacza tego aktu samooskarżenia, dawało jej gorzką, zbawienną rozkosz.

Jednakże - podjęła na nowo obracając w zamyśleniu nóżkę kieliszka -  
właśnie wtedy zaświtała pewna nadzieja w moim osobistym życiu. Pamiętasz Sama Pattersona? - spytała niespodziewanie.

Tak, oczywiście - odparł Tony.

Nie widziałam go wiele lat, ale przyjechał na uroczystości żałobne i potem odwiedzał mnie od czasu do czasu albo zapraszał na obiad, kiedy był w Nowym

Jorku. Sona rozwiodła się z nim przed samą wojną, o piętnaście lat za późno, jeśli chodzi o nich oboje. Dobrze mi było w jego towarzystwie, bo wiedział o mnie wszystko i nie musiałam przed nim udawać. Kiedyś, bardzo dawno temu, podpił sobie trochę na jakimś dansingu, objął mnie i omal że mi się nie oświadczył z miłością. - Uśmiechnęła się smutno. - To był taki sobotni dansing w klubie podmiejskim.

Okazało się, że on to traktował poważnie, i kiedy poszłam do niego i powiedziałam, że

nie chcą mi dać tych dzieci, zaproponował mi małżeństwo. Tłumaczył, że w ten sposób, jako mężatka, będę mogła zaadoptować tyle dzieci, na ile będę miała ochotę.

Poza tym powiedział, że mnie kocha od początku, chociaż wtedy rzeczywiście wysnęły mu się te słowa po pijanemu. Niewiele brakowało, żebym się zgodziła. Sam był prawdziwym przyjacielem, może jedynym moim przyjacielem, lubiłam go i podziwiałam od pierwszego spotkania. Zresztą, nie chodziło tylko o dzieci. To małżeństwo mogło mnie wybawić od samotności. Nie możesz sobie wyobrazić, co to jest samotność dla starzejącej się kobiety, bez męża, bez rodziny, w takim mieście jak Nowy Jork. To jest chyba prawdziwa samotność, to jest ostateczna, naga treść tego słowa w dwudziestym wieku. Ale nie zgodziłam się. Nie zgodziłam się, bo on mnie kochał i pragnął mnie, a ja czułam, że potrafię kochać już tylko dziecko, pragnęłam tylko schronić się przed samotnością i dosyć już było mężczyzn, którym sprawiałam zawód w ciągu mego życia. Kiedy mu o tym powiedziałam, odjechał, a ja poczułam się tak, jakbym nareszcie uwierzyła, że kiedyś sobie przebaczę. Nie myśl, że później nie żałowałam tego kroku. W ciągu kilku miesięcy po tej rozmowie dziesięć razy omal nie zatelefonowałam do niego, żeby mu powiedzieć, że zmieniłam zdanie. Ale nie zrobiłam tego. Przynajmniej ten jeden raz potrafiłam słusznie osądzić sytuację i trzymałam się tego sądu. Mimo to, ostatecznie nie kto inny, tylko właśnie Sam

Patterson mnie uratował. Dowiedział się o Komitecie, który tworzono w powiązaniu z Organizacją Narodów Zjednoczonych. Ten komitet miał robić co się da dla dzieci pozostawionych wskutek wojny bez dachu nad głową i bez jedzenia. Sam wyrobił mi audiencję i postarał się, żeby mnie zaangażowali, a kiedy w pewnym momencie cała ta historia wydała mi się bezcelowa, namówił mnie, żebym jednak została. Bo widzisz, to zupełnie co innego troszczyć się o milion dzieci, których się nigdy nawet nie zobaczy, zdobywać dla nich tony pszenicy, skrzynie penicyliny i mleko w proszku. To nie to samo, co patrzeć, jak dziecko wyrasta pod twoją czułą opieką, i choćby się odnosiło nie wiem jakie sukcesy, wszystko to jest okropnie zimne i abstrakcyjne. Ja nie jestem kobietą abstrakcyjną. Ale pracowałam po dwanaście godzin na dobę i pakowałam w to tyle własnych pieniędzy, na ile mnie było stać. Jeżeli pomimo to nie znalazłam zaspokojenia, jeżeli ciągle dręczy mnie głód i samotność, no cóż... czegóż

innego mogłam się spodziewać? Są za to innego rodzaju rekompensaty. Nie jestem szczęśliwa, ale jestem potrzebna. Musi mi to wystarczyć na ten rok. Jestem wdzięczna temu milionowi dzieci, których nie znam i nie Kocham, które mnie nigdy nie będą kochały.

Podniosła pustą butelkę i przyjrzała się jej krytycznie.

Chyba już za późno, żeby zamówić jeszcze jedną? Tony spojrział na zegarek.

Tak, już za późno - powiedział.

Czuł się ogłuszony, nie był już zdolny do wydania sądu o tej kobiecie, która w ciągu minionej godziny obnażyła się przed nim w tak bolesny sposób. Wiedział, że później będzie musiał wydać ten sąd, bo miał już wszystkie fakty w ręku. Ale na razie to było niemożliwe. Mógł się zdobyć jedynie na to, by spojrzeć na zegarek i powiedzieć:

- Nie zdążymy na wieczór z powrotem do Paryża, jeżeli natychmiast stąd nie wyjedziemy.

Skinęła głową i zawiązała szalik, aby w drodze wiatr nie targał jej włosów. W

łagodnym, miękkim cieniu altany jej twarz wydawała się także łagodna i spokojna, przypominała Tony'emu dziewczęta, które widywał w lecie, jak wyjeżdżały nad morze w otwartych samochodach. Wyjął portfel i sięgnął po rachunek, który leżał przy nim na talerzu, ale Lucy go wyprzedziła, wzięła kartkę i mrużąc krótkowzroczne oczy, by dojrzeć sumę wypisaną ołówkiem, powiedziała:

- To już do mnie należy. Cała przyjemność była po mojej stronie.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY**

Jechali w milczeniu przecinając kołami wydłużone popołudniowe cienie drzew. Samochód pędził z bardzo dużą szybkością, zamiatając z piskiem opon wiraże wąskiej, wypukłej szosy. Tony pochylał się w skupieniu nad kierownicą. Lucy miała wrażenie, że umyślnie jedzie tak szybko i ryzykownie, aby zmusić się do skoncentrowania uwagi na wymijaniu innych samochodów i braniu zakrętów, aby po prostu nie móc myśleć o niczym innym.

Nie starała się nawiązać rozmowy. „Wyczerpałam się - pomyślała z uczuciem otępienia. - Nie mam mu już nic więcej do powiedzenia.”

Zbliżali się do jakiejś osady. W odległości ćwierć mili, w niewielkim zagłębieniu terenu, gromadka błękitnawych łupkowych dachów nad ścianami z szarego kamienia tłoczyła się wokół kościelnej wieży.

- To już tutaj - powiedział Tony.

Lucy wpatrywała się w przestrzeń przez szybę osłaniającą od wiatru. Osada wygrzewała się spokojnie w blasku słońca, otoczona zielenią pól, a szosa wbijała się w sam jej środek. Była podobna do dziesięciu innych miasteczek, które mijali po drodze.

Więc co chcesz teraz zrobić? - zapytał Tony.

To się stało na skrzyżowaniu. Dostałam list od jednego sierżanta, który był razem z

ojcem. Pisał, że zbliżali się od północy i że było skrzyżowanie dróg przed samym miasteczkiem.

Jeżeli od północy, to z przeciwnej strony.

Przejeżdżali w milczeniu przez osadę. Ulica była wąska i kręta, domy stały przy samej jezdni, pelargonie kwitły w podłużnych skrzynkach na oknach. Wszystkie okna były pozasłaniane okiennicami i Lucy wyobraziła sobie nagle, że mieszkańcy przyczaili się za nimi, że śledzą z wrogością w sercu obcych, którzy pędzą w diabelskich maszynach przez ich miasteczko, zakłócając odwieczny spokój tego miejsca, przypominając im o ubóstwie, o gorzkich korzeniach wrosłych w chłopską rolę i o ciężkim życiu, jakie było ich udziałem na ziemi.

Przypominała sobie opowieść sierżanta i myślała z pewnym roztargnieniem, że Oliver przebył ocean po to, aby zdobyć tę opustoszałą dziurę, i nawet to mu się nie udało.

Przejechali już prawie całe miasteczko nie spotykając żywego ducha. Zniszczone żaluzje w oknach pochłaniały blask słońca, jedyna stacja benzynowa na skraju osady była zamknięta i nie widać było nikogo z obsługi. Zdawało się, że to specjalnie dla

Lucy miasteczko zachowało dokładnie takie samo oblicze, uśpione i zdradliwe, jak w owym dniu, jedenaście lat temu, kiedy jej mąż zbliżał się szosą z białym ręcznikiem uwiązany do gałęzi wyciętej z żywopłotu.

Tony prowadził samochód ze zmarszczonym czołem, jak gdyby nie był zadowolony z wyglądu mijanej osady. Być może jednak raził go po prostu blask słońca, odbijający się od złuszczonych murów. Dojechali powoli na drugi kraniec osady i Lucy dostrzegła skrzyżowanie. Przyglądała się dwóm wąskim, prowincjonalnym szosom, grubo przysypanym bielutkim pyłem, których przecięcie odznaczało się tylko niewielkim rozszerzeniem powierzchni. Doznawała niemal przyjemnego uczucia rozpoznawania. Jak gdyby szukała zguby, która ją dręczyła przez wiele lat, i oto nagle natrafiła na nią.

- To tutaj - powiedziała. - Zatrzymajmy się.

Tony zatrzymał wóz nieco z boku, przed samym skrzyżowaniem, ale nie mógł zupełnie zjechać z drogi, ponieważ na jej skraju był rów. Miał on około trzech stóp głębokości i był zarośnięty trawą przysypaną kurzem zmiatany z szosy. Droga nie była wysadzana drzewami, ale w odległości kilku jardów biegł żywopłot.

Tony oparł się plecami o poręcz siedzenia i zaczął gimnastykować zdrętwiałe ramiona.

- To jest właśnie to miejsce - rzekła Lucy i wysiadła z samochodu.

Nogi miała drętwie i zeszywniałe. Teraz, kiedy nie byli już w ruchu, słońce prażyło

mocno na odsłoniętej drodze. Zdjęła z głowy szalik, przegarnęła rękami włosy i poszła do skrzyżowania, wzbijając za każdym krokiem drobne, kredowo białe chmurki pyłu. Cała okolica pogrążona była w popołudniowej drzemce, rozciągała się naokoło pusta i bezimienna, odarta z wszelkich wzruszeń, tchnąca wątłym zapachem trawy.

W oddali rozsiane były gromadki dachów z kościelnymi wieżami pośrodku, takie same małe miasteczka zagubione w połodze słońca. Jedyne w kierunku północnym, w stronie przeciwnej niż osada, krajobraz był bardziej urozmaicony. W odległości około stu stóp teren wznosił się i drzewa obrzeżały drogę, która spływała prostym, łagodnym spadkiem. Na podstawie listu sierżanta Lucy mogła sobie wyobrazić dwa jeepy ustawione pod samym wzgórkiem i zwrócone w przeciwnym kierunku, jak również czterech żołnierzy w hełmach, z bronią gotową do strzału, leżących tuż za krawędzią wzniesienia. Obserwowali osadę oraz trzy postacie, które szły w stronę skrzyżowania w żarze lejącym się z nieba i w białym pyłe. Na chwilę ich sylwetki zarysowały się ostro na tle pustego nieba, po czym zaczęły się opuszczać po przeciwnym zboczku małego, nic nie znaczącego pagórka, ku milczącym domom.

Szła powoli aż do przecięcia się dróg. „Depczę po tym miejscu - myślała. - To jest miejsce, którego szukał, do którego odbył podróż przez ocean. Po co tu przyjechałam?

Przecież to jest takie samo miejsce jak każde inne. Boczna, prowincjonalna szosa, na której widać ślady wozów, zakątek Europy, który mógłby się znaleźć równie dobrze w

Maryland, w Maine albo w Delaware. Jak okiem sięgnąć, nie widać żadnego śladu, że kiedyś przeszła tędy wojna, że umierali tutaj ludzie z bronią w ręku.”

Potrząsnęła głową. Uczuła w sobie pustkę i bezradność. Jak można oddać hołd tamtej chwili albo wskrzesić ją na nowo do życia na tym nijakim, nic nie mówiącym skrzyżowaniu dróg? Nie ma tu żadnego symbolu, żadnego pomnika, ot, po prostu -

drogi, bez historii i bez znaczenia. Czowała za swoimi plecami obecność syna zatopionego w myślach i nieprzejednanego. Nagle pożałowała, że Tony był tu z nią razem. Gdyby przyjechała sama albo z kimś innym, z kimkolwiek innym, potrafiłaby może odnaleźć sens tamtej chwili, dać upust smutkowi, doznać ulgi. „Nie powinnam być tutaj razem z nim” - doszła do wniosku.

Mimo woli zaczęła się zastanawiać: „Jak długo powinnam się zatrzymać w tym miejscu? Czy wypada odejść po dziesięciu minutach? Może raczej piętnaście minut?

Czy powinnam położyć tu jakiś kwiatek, zapłakać, wydrapać imię na kamieniu?”

Obejrzała się na Tony'ego. Siedział przy kierownicy, w kapeluszu zsuniętym na czoło, aby słońce nie raziło go w oczy. Nie patrzył na nią. Patrzył obojętnie na puste pola. Przyszło

jej na myśl, że Tony ma minę szofera czekającego przed sklepem na swoją panią. Nie obchodzi go, co ona kupuje, jak długo zasiedzi się w sklepie ani dokąd zechce potem pojechać. Czeka cierpliwie, daleki, nie mający z nią nic wspólnego, zarabia swoją pensję i myśli tylko o szóstej godzinie, kiedy będzie wolny. Podeszła do samochodu. Obrócił głowę w jej stronę.

- To pech, żeby zginąć akurat w takim miejscu - powiedział spokojnie.

Lucy milczała. Przeszła na drugą stronę samochodu uważając, by nie wpaść do rowu, i otworzyła torebkę, która została w wozie. Wyciągnęła z niej list od sierżanta i ostrożnie wyjęła z koperty. List był pomięty i wystrzępiony na brzegach ze starości, a kiedy go rozłożyła, na zgięciach widać było drobniutkie dziurki.

- Weź - powiedziała podając go synowi. - Może masz ochotę przeczytać.

Tony spojrział na nią nieufnie, zupełnie jak szofer, który woli nie dać się wciągnąć w sekrety swojej pani. W końcu jednak wziął list, rozpostarł go na kierownicy i zaczął czytać.

Lucy znowu obeszła samochód i oparła się z tyłu o bagażnik. Nie chciała patrzeć na Tony'ego w czasie czytania listu. Nie chciała, żeby uważał za konieczne przybrać ze względu na nią jakiś specjalny wyraz litości, rozbawienia z powodu ortografii i stylu sierżanta czy też smutku z powodu tamtego odległego wydarzenia.

Zastanowiła ją cisza, tak obca hałaśliwej i tłocznej prowincji amerykańskiej, zauważyła także, że nie słychać świegotu ptaków. „A, prawda - przypomniała sobie -

przecież Francuzi strzelają do każdego ptaszka, więc albo wyginęły, albo nauczyły się cicho siedzieć.”

Usłyszała szelest papieru w rękach Tony'ego, który złożył list i wkładał go z powrotem do koperty. Obróciła się w jego stronę. Wsuwał bardzo ostrożnie nadwątlone kartki i poprawiał na brzegach. W zamyśleniu stuknął parę razy kopertą o kierownicę, po czym znów znieruchomiał, zapatrzony w drogę. Na koniec wysiadł i schował list do kieszeni. Wyszedł na środek drogi, zatrzymał się i zaczął grzebać końcem buta w mialkim jak mąka pyle.

Aż do ostatniej chwili popełniał ten sam błąd, prawda? - odezwał się odgrzebując pył i wygładzając go podeszwą. - Zawsze był taki pewien, że każdy mu ulegnie.

Tylko tyle masz do powiedzenia?

A co chcesz, żebym mówił? Może mam wygłosić mowę o bohaterze, który tutaj zginął? Przecież on tylko szedł. - Tony zawrócił ku niej. - Powinien był zostać przy sztabie, ten sierżant miał rację.

Sierżant wcale tego nie napisał.

- Ale to się czyta między wierszami. Wszyscy tak robili, każdy, kto miał odrobinę rozsądku. Nie byli nieustraszeni, pogodni i demokratyczni... - Uśmiechnął się sarkastycznie. - No i dlatego dzisiaj są w domu.

Obrócił się na pięcie i spojrzał na skrzyżowanie. Potem pochylił się nad samochodem, pogrzebał przez chwilę pod złożonym, brezentowym dachem i wyciągnął stamtąd lewarek. Rozłożył go i zamocował tak, że stał się podobny do laski z cienką, wygiętą rączką. Znow się nachylił i tym razem wydobył butelkę w słomianej powłoczce. Zdjął ją. Lucy zobaczyła zalakowaną butelkę brandy.

W sam raz na chłodne noce i dla spragnionych podróżnych - powiedział

Tony rzucając do rowu słomiany wiecheć i podnosząc w górę butelkę. - Może masz przy sobie korkociąg?

Nie. - Lucy przyglądała mu się zaskoczona i podejrzliwa.

To niedobrze. We Francji człowiek nie powinien się ruszać bez korkociągu.

- Wszedł na środek drogi i wpatrywał się w ziemię pod nogami. Następnie obrócił lewarek rączką do dołu i powoli, starannie, zaczął nią wypisywać jakieś litery w białym pyłe. Zaciekawiona, Lucy podeszła do niego z tyłu, aby się lepiej przyjrzeć.

Duże drukowane litery, rozmieszczone w jednakowych odstępach w poprzek drogi, układały się w następujące słowa: „Oliver Crown. Mąż i ojciec.” Tony zawahał się, cienka rączka lewarka zawisała w powietrzu. Wreszcie dopisał jeszcze jedno słowo: „Przemysłowiec”. Wykaligrafował ostatnią literę, cofnął się trochę i przechylił w bok głowę, jak malarz, kiedy się przygląda krytycznie swojemu dziełu. Potem zbliżył się jeszcze raz i wyrysował prostokąt dookoła napisu. - Tak będzie lepiej -

powiedział. Zszedł na bok drogi, schylił się i obtłukł o kamień szyjkę butelki. Wrócił do napisu i uważnie, po troszeczkę, zaczął wylewać brandy wzdłuż kresek tworzących litery.

- żeby było wyraźniej - objaśnił. - Cały świat będzie mógł teraz przeczytać.

W rozżarzonej powietrzu czuć było mocny, słodki zapach brandy. Tony skończył polewać litery, zostało mu jeszcze dosyć płynu na ramkę. Ciemny napis odbijał wyraźnie od roziskrzonego, białego pyłu. Przez chwilę zdawało się, że jest jakiś sens i trwałość w tej płycie grobowej.

Tony skończył robotę i wyprostował się. Kiedy spojrzał na Lucy, twarz jego miała dziwny, bolesny wyraz, wykrzywiona była grymasem udręki.

Coś przecież trzeba było zrobić - powiedział trzymając w ręku obtłuczoną butelkę.

Wtem Lucy usłyszała odgłos zbliżających się kroków, bardzo wielu kroków splątanych w nieregularnym rytmie i coraz głośniejszych. Spojrzała w stronę pagórka.

Ponad jego krawędzią ukazał się nieduży, trójkątny proporzec zamocowany na drzewcu. W następnej sekundzie zza wzniesienia i z cienia przydrożnych drzew zaczęli się wyłaniać ludzie w mundurach, maszerujący szybko dwójkami. Mimo woli

Lucy zamrugała powiekami. „Wyobrażam sobie Bóg wie co - pomyślała. - Przecież już dawno przestali maszerować.”

Kolumna zbliżała się do nich, Lucy zaczęła się śmiać. Spoceni ludzie w mundurach, którzy schodzili z pagórka niosąc przed sobą proporzec, to byli harcerze w koszulach i spodenkach koloru khaki, z plecakami na plecach, z drużynowym w berecie na czole. Podeszła do samochodu, oparła się i śmiała się, śmiała się historycznie.

- Co ci się stało? - Tony podszedł i przyglądał się jej uważnie. - Z czego się tak śmiejesz?

Uspokoila się. Patrzyła na nadchodzącą kolumnę.

- Nie wiem - odpowiedziała cicho.

Gdy chłopcy ich mijali, Lucy i Tony stali przy samochodzie, na brzegu drogi.

Harcerze byli w wieku od trzynastu do szesnastu lat, opaleni, chudzi, mieli długie włosy, kościste kolana i bardzo poważne miny z powodu plecaków. Wyglądali na synów fryzjerów i muzykantów. Nie patrząc pod nogi przemaszerowali po napisie świeżo wyrysowanym w pyłe, na którym brandy zdążyła już wyschnąć. Przechodząc wzbijali za sobą podeszwami biały obłoczek, a buty i długie skarpety mieli szare od kurzu. Spocone dziecinne twarze zwracały się z zachwytem w stronę zgrabnego samochodziku i uśmiechały się poważnie do cudzoziemców. Drużynowy zsalutował według wszelkich reguł i powiedział „Bonjour” spoglądając z zaciekawieniem na butelkę, którą Tony miał w ręku.

Tony także powiedział „Bonjour”, a wtedy wszyscy chłopcy odkrzyknęli mu chórem. Ich pozdrowienie zabrzmiało czysto i dźwięcznie, głuszając tępy odgłos kroków na drodze.

Świadomi swego celu, maszerowali ku szarym murom osady, a kiedy oddalili się trochę prosta, białą drogą, nie wyglądali już wcale jak dzieci, lecz znowu jak

żołnierze, znużeni i samotni w słonecznym upale, ale zdecydowani, nieugięci pod ciężarem plecaków, wierni trójkątnemu sztandarowi na czole kolumny. Tony i Lucy patrzyli za nimi bez słowa, aż znikli wśród domów miasteczka, które ich wchłonęło w milczeniu.

Wtedy Tony cisnął pustą butelkę w żywopłot.

No, to nie mamy już tu nic do roboty - oświadczył.

Tak - zgodziła się Lucy.

Była niewymownie znużona. Powłócząc stopami w pyłe zaczęła iść wzdłuż rowu, aby się dostać na drugą stronę samochodu, gdzie były drzwiczki. Na brzegu



rowu leżało kilka kamieni, Lucy stąpnęła na jeden z nich, skręciła wysoki obcas i całym ciężarem upadła na ręce i kolana. Ogłuszona, czując ból w dłoniach i kolanach oraz wstrząs rozlewający się tępo wzdłuż grzbietu, aż do mózgu, nie ruszała się z miejsca, włosy opadły jej na oczy, dyszała głośno jak zwierzę, gdy padnie wyczerpane pod zbyt wielkim ciężarem.

Tony patrzył przez chwilę z niedowierzaniem na matkę, która leżała niezdarnie u jego stóp, znieruchomiała z bólu. Wreszcie pochylił się i wziął ją pod ramię, aby pomóc jej wstać.

- Nie dotykaj mnie - burknęła szorstko nie patrząc na niego i nie podnosząc głowy.

Odstąpił o krok i wsłuchiwał się w suche, szarpiące szlochanie bez łez, w które zamienił się jej oddech. Po chwili wyciągnęła rękę, oparła się o zderzak i powoli, z wysiłkiem dźwignęła się na nogi. Dłonie jej krwawiły, otarła je o suknię zostawiając na niej brudnoczerwone smugi. Pończochy były podarte na kolanach i krew sączyła się z podrapanej skóry. Niezręcznymi, ślepych ruchami rąk zaczęła poprawiać na sobie suknię. Nagle wydała się Tony'emu stara, opuszczona i godna litości. Widział, że walczy o zachowanie resztek swojej zwykłej odwagi i wytrzymałości.

Nie ruszył się, aby jej pomóc, ale wpatrywał się w nią z zastygłą twarzą, zafascynowany tym nowym obrazem matki - pokrwawionej, bezbronnej, uwalanej ziemią. Patrząc na jej niekobiece, pozbawione wdzięku ruchy, gdy wygładzała na sobie suknię i pochylała się z trudem, by otrzeć krew z podrapanych kolan, wyobraził sobie bardzo plastycznie jej starość i śmierć, przypomniał sobie w gwałtownym przypływie litości dla nich obojga ową noc przespaną na ganku, w rozsuwanym fotelu pod gwiazdzystym niebem, i pohukiwanie puszczyków, i swoje postanowienie, że zostanie lekarzem i wymyśli szczepionkę przeciwko śmierci. Łzy przesłoniły mu oczy, słyszał znowu hukanie puszczyka, wspominał nieśmiertelną małpę i listę kandydatów do nieskończonego życia: matkę, ojca, Jeffa i siebie. Z chaosu wspomnień, spod szczątków rozwalonych, a tak długo podtrzymywanych wałów obronnych wyłaniał się dziwaczny obraz. Nie tylko on sam leży na rozsuwanym fotelu pod niebem usianym gwiazdami. Z nim razem leży jego syn, czarodziejskim sposobem przemieniony w jego bliźniaka, trzynastolatka. Oto rozdają nieśmiertelność zgodnie z niewzruszonymi przepisami miłości i patrzą, jak idzie ku nim przez trawnik zasnuty mglistym oparem ich matka - lekkostopa, o tkliwym głosie, najukochańsza - patrzą, jak wraca prosto z objęć kochanka, aby ich ucałować na dobranoc.

Powoli zbliżył się do Lucy, wyciągnął chusteczkę i ostrożnie otarł brud ze skaleczeń najpierw na jednej, a potem na drugiej dłoni. Odgarnął jej włosy z czoła i otarł chusteczką pot ze ściągniętej, postarzałej twarzy. Podprowadził ją do drzwiczek samochodu i pomógł wsiąść. Stał przy niej chwileczkę, a kiedy podniosła na niego oczy, zobaczył, że odpywa z nich

wyraz cierpienia.

Końcami palców pogładził lekko jej policzek, tak jak ona głaskała go często w dzieciństwie, i powiedział:

- Chyba już nie trzeba jechać na cmentarz, prawda?

Czuł pod palcami drobniutkie drżenie jej skóry. Potrząsnęła głową, a ruch ten wyrażał wdzięczność.

- Już nie trzeba - powiedziała cicho.

Dochodziła północ, kiedy znaleźli się z powrotem w Paryżu. Tony zajechał wprost do hotelu, w którym mieszkała matka. Pomógł jej wysiąść z samochodu i odprowadził do samego wejścia. Zatrzymali się przed drzwiami, przytłoczeni nieco koniecznością powiedzenia sobie paru słów przed rozstaniem.

Śłuchaj, Tony - Lucy odezwała się pierwsza. - Zostanę tutaj jeszcze tylko dzień. Czy mogłabym przyjść do was jutro, wszystko jedno o jakiej porze?

Chciałabym coś przynieść twojemu synkowi. Jakąś zabawkę.

Ależ naturalnie.

Nie myśl, że musisz być wtedy w domu - dorzuciła skwapliwie. - To nie jest potrzebne.

Tak, rozumiem.

No, więc dobrze - mówiła prędko. - Przyjdę po południu. O której godzinie kończy się jego spanie?

- Chyba o trzeciej.

- Więc będę o trzeciej.

Nagle zrozumiał, że nie może jej tak zostawić. Z dziecinnym, zduszonym okrzykiem chwycił ją w ramiona, przycisnął mocno do piersi, przywarł do niej i poczuł w tej samej chwili, że wszystkie te lata, obarczone ciężarem wspomnień i błędów, opadają mu z ramion. Przebaczał jej, bez słowa prosił o przebaczenie dla siebie, czepiał się jej kurczowo, czepiał się tego, co im jeszcze zostało na pustyni miłości, jaką oboje stworzyli wokół siebie.

Ona tuliła go, pocieszała, głaskała po rękę, obojętna na ludzi, którzy mijali ich w ciemnej, obcej ulicy przyglądając się z zaciekawieniem tej scenie.

- Mamo - powiedział nareszcie - pamiętasz, jak wyjeżdżałem wtedy, pod koniec tamtych wakacji, i zapytałem cię, co mamy sobie powiedzieć, kiedy się przypadkiem spotkamy? Pamiętasz, co mi powiedziałaś?

Lucy skinęła głową. Tak, pamiętała to ciche popołudnie, głęboki, tchnący jesienią błękit górskiego jeziora i chłopca w miejskim ubraniu, z którego wyrósł w ciągu jednych

wakacji.

- Powiedziała, że chyba zawołały do siebie: Halo!

Tony wyswobodził się łagodnie z uścisku matki i popatrzył jej w oczy.

- Halo! - powtórzył bardzo poważnie. - Halo, halo!

Uśmiechnęli się do siebie. Byli w tym momencie zupełnie podobni do każdej innej matki i do każdego innego dorosłego syna w chwili, gdy rozstają się pogodnie po całym dniu spędzonym wspólnie za miastem.

Lucy rzuciła wzrokiem na swoją zmiętą, podartą suknię, na pończochy w strzępach i podrapane kolana.

- Ładna historia - powiedziała. - Jak mnie zobaczą w hotelu w takim stanie, gotowi pomyśleć, że Bóg wie co dzisiaj wyczyniałam. - Roześmiała się. Wspięła się trochę na palce i pocałowała go w policzek z takim spokojem, jak gdyby od dwudziestu lat co wieczór całowała go w ten sposób na dobranoc. - Śpij dobrze -

rzuciła na pożegnanie, odwróciła się i weszła do hotelu.

Stał przez chwilę patrząc, jak szła przez westibul w kierunku łoża portiera.

Wysoka, trochę ociężała kobieta, samotna i już niemłoda, solidna i pogodzona z losem, nie żywiąca żadnych złudzeń co do swojej osoby. Wsiadł do samochodu i odjechał do domu.

Otworzył drzwi, w mieszkaniu było ciemno. Wszedł do dzieciennego pokoju, stanął przy łóżeczku Boba i wsłuchiwał się w jego spokojny oddech. Po chwili chłopczyk obudził się i usiadł w łóżeczku.

Tatuś - wymamrotał zdziwiony.

Chciałem ci tylko powiedzieć dobranoc. Przed chwilką pożegnałem się z babcią. Przyjdzie do ciebie jutro, jak się obudzisz po południu.

Po południu - powtórzył sennie chłopczyk, jak gdyby chciał zapamiętać to słowo, zanim znowu ogarnie go otchłań zapomnienia.

- Przyniesie ci zabawkę - szeptał Tony w ciemnościach.

Ja chcę traktor - powiedział Bobby. - Albo nie, lepiej okręt.

Zatelefonuję rano do babci. Na pewno przyniesie okręt.

Taki duży - mówił chłopczyk układając się znów na poduszce. - Na dalekie podróże.

Tony skinął głową.

- Wielki okręt na dużo dalekich rejsów - zapewnił syna.

Ale Bobby już go nie słyszał. Usnął.

Tony wszedł do pokoju, który był wspólną sypialnią jego i Dory. Dora spała także.

Leżała na wznak oddychając spokojnie, z głową „odrzuconą” do tyłu i obu rękami podniesionymi na wysokość twarzy, jakby się przed czymś broniła. Tony rozebrał się cicho po ciemku i wsunął się do łóżka. Przez chwilę leżał bez ruchu.

Pomyślał: „Oto jeszcze jeden dzień mego życia!”

Potem obrócił się na bok, odjął delikatnie ręce żony od jej twarzy, objął ją ramionami i usnął.

